

ZESZYT STO TRZYDZIESTY

ZESZYTY HISTORYCZNE

INSTYTUT
PARYŻ



LITERACKI
1999

ZESZYT STO TRZYDZIESTY

ZESZYTY HISTORYCZNE

INSTYTUT
PARYŻ



LITERACKI
1999

BIBLIOTEKA «KULTURY»
TOM 509

ISSN 0406-0393

ISBN 83-86907-24-X

Dziękujemy Radzie Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa za pomoc finansową przy wydaniu 130 numeru *Zeszytów Historycznych*

Editeur: INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 MAISONS-LAFFITTE

Wydanie krajowe:
Towarzystwo Opieki nad Archiwum
Instytutu Literackiego w Paryżu
02-103 Warszawa, ul. Hankiewicza 1, pok. 0103
tel./fax 824 35 88, tel. 824 38 00

Druk: Drukarnia «Efekt», ul. Lubelska 30/32, Warszawa.

Andrzej NOWAK

POLITYKA „ROSYJSKA” OBOZU PIŁSUDSKIEGO W LATACH 1914-1918

W 1914 roku w systemie polityki międzynarodowej w Europie Środkowo-Wschodniej nie było miejsca dla innych aktorów aniżeli trzy mocarstwa, które 120 lat wcześniej podzieliły między siebie Rzeczpospolitą. Pomost między ideą odbudowy polskiej niepodległości (na ziemiach odebranych w większości imperium rosyjskiemu) a rzeczywistością polityczną drugiej dekady XX wieku dało się przerzucić tylko w warunkach powszechnej wojny. Jej wybuch, a następnie długotrwały, wyniszczający wszystkie walczące strony przebieg, pozwolił dopiero na pojawienie się na międzynarodowej arenie aspiracji nie tylko Polski, ale także innych, pozbawionych własnego państwa narodów środkowej i wschodniej części kontynentu. Zachwianie w toku I wojny strategicznej równowagi, ustalonej na tym obszarze od czasu rozbiorów (i skorygowanej jedynie w wyniku zjednoczenia Niemiec), stworzyło szanse realizowania wielu – konkurujących między sobą – scenariuszy zasadniczej przebudowy europejskiego wschodu, w której podmiotem stawały się nie tylko trzy dominujące tutaj przez ostatnich dwieście lat mocarstwa. To, co było polityczną fantazją na progu lata 1914 roku, mogło okazać się rzeczywistością u schyłku roku 1918.

Prowadzenie przez Polskę niezależnej i w pełni równo-

rzędnej polityki wobec Rosji było w roku 1914 właśnie taką fantazją, która cztery lata później stała się faktem. Faktem także stał się w tym czasie rozpad politycznej podmiotowości Rosji na zwalczające się wzajemnie, konkurujące o geopolityczną schedę po imperium Romanowów ośrodki – bolszewicki i antybolszewicki (ten ostatni bynajmniej nie jednolity). Bez poznania drogi do połączenia dwu tych faktów-przesłanek w koncepcji, a następnie działaniach politycznych polskiego ruchu niepodległościowego, który do I wojny światowej przystępował z ideą samodzielnego czynu zbrojnego wymierzonego w rosyjskie państwo, nie jest możliwe zrozumienie czynnej polityki wschodniej Polski lat 1919-1920.

1. Od wojny do rewolucji

W dziele o kampanii roku 1812 Carl von Clausewitz uważał, że wielkiego państwa – takiego jak Rosja – nie można ostatecznie pokonać inaczej jak poprzez sprowokowanie wewnętrznego podziału, rozbicia, wojny domowej¹. Pilny od 1905 r. student Clausewitza² (pilniejszy zapewne niż Marksa), Józef Piłsudski podzielał w pełni ten pogląd – wyrobiony już wcześniej na podstawie polskich doświadczeń w walce z rosyjskim imperium. Nie pominął go również w momencie, gdy zdecydował się na postawienie sprawy polskiej w wojnie przeciw Rosji, wojnie toczonej u boku niemieckiego i austriackiego żołnierza³.

1. Zob. C. von Clausewitz, „The Campaign of 1812 in Russia”, London 1843, s.184.

2. Zob. W Jędrzejewicz, J. Cisek, „Kalendarium życia Józefa Piłsudskiego” (cyt. dalej jako: „Kalendarium”), Wrocław 1994, t. I, s. 175.

3. Na temat genezy, założeń, praktycznej realizacji i licznych taktycznych korekt koncepcji oparcia polskiej akcji niepodległościowej w czasie I wojny światowej o państwa centralne, w tym – w pierwszym rządzie – o Austrię, zob. m.in. monografię W. Sulei, „Orientacja austro-polska w latach I wojny światowej (do aktu 5 listopada 1916 roku)”, Wrocław 1992; A. Garlickiego, „Geneza Legionów. Zarys dziejów Komisji Tymczasowej Skonfederowanych Stronnictw Niepodległościowych”, Warszawa 1964; J. Molendy, „Piłsudczycy a narodowi demokraci 1908-1918”, Warszawa 1980, a także R. Świętka, „Lodowa ściana. Sekrety polityki Józefa Piłsudskiego 1904-1918”, Kraków 1998.

Wojna między zaborcami, która ostatecznie, po stuletnim oczekiwaniu, rozpiętała się latem 1914 roku, rozpoczynała się wszakże w atmosferze zjednoczenia narodowego głównych antagonistów, odsuwającego perspektywę wybuchu wewnętrznych sporów politycznych czy społecznych konfliktów. Nadzieja na nową rewolucję, nowy podział wewnętrzny w Rosji, wydawała się w tym momencie rozwiewać. Nawet tak konsekwentni jej budziciele jak Włodzimierz Iljicz Uljanow z rozgoryczeniem gotowi byli teraz uznać, że ich oczy nie zobaczą już zwycięstwa rewolucji nad Nową czy Moskwą. Piłsudski jednak przygotowywał się do polskiego udziału w europejskiej wojnie w przekonaniu, że żywioły opozycyjne w Rosji dadzą jeszcze znać o sobie w końcowej fazie wielkiego konfliktu, przy czym nie chodziło mu wyłącznie o narodowościowe ruchy odśrodkowe na *okrainach* imperium.

Znany jest spór o to, czy Piłsudski przewidział przebieg I wojny. Publicyści i historycy toczą go na kanwie odczytu, jaki Piłsudski wygłosił 21 lutego 1914 roku w Paryżu. Wedle relacji obecnego na odczycie przywódcy rosyjskiej partii socjalistów-rewolucjonistów Wiktora Czernowa, Piłsudski wyraził przekonanie o bliskości konfliktu austriacko-rosyjskiego na Bałkanach, który wciągnie szybko do wojny ich sojuszników: Niemcy po stronie Austro-Węgier, Francję i Anglię po stronie Rosji (ich siłę może uzupełnić także Ameryka). „Rosja będzie pobita przez Austrię i Niemcy, a te z kolei będą pobite przez siły anglo-francuskie (lub anglo-amerykańsko-francuskie). Wschodnia Europa będzie pobita przez Europę środkową, a środkowa z kolei przez zachodnią. To wskazuje Polakom kierunek ich działania”.⁴ Bogusław Miedziński uzupełnił tę relację, powtarzając za Witoldem

4. W. Czernow, „K rusko-polskim odnoszenijam (Razryw PSR i PPS nakanunie pierwoj mirowoj wojny)”, *Nowyj żurnal* 1952, nr 28, s. 229. Por. najobszerniejszą dyskusję sporu wokół wartości relacji Czernowa ze strony przeciwnika tezy o odgadnięciu przez Piłsudskiego losów przyszłej wojny: T. Naęcz, „Irredenta polska”, Warszawa 1992, s. 304-310; ze strony zwolenników tezy o wykazanej w Paryżu przenikliwości Komendanta – J. Molenda, „Piłsudczycy a narodowi demokraci 1908-1918”, Warszawa 1980, s. 58-61; zob. także T. Wolsza, „W sprawie prognoz Józefa Piłsudskiego dotyczących przebiegu I wojny”, *Dzieje Najnowsze*, R. XVII, 1985, z. 3-4, s. 159-166.

Jodko-Narkiewiczem przewidywania Piłsudskiego z końca 1913 roku, w których obok też wyłożonych później w Paryżu miało pojawić się dodatkowe założenie, że „klęska wojenna przyniesie tym razem prawdziwą rewolucję w Rosji, albowiem obejmie ona i armię lub nawet od niej się zacznie”.⁵

Przeciwnicy poglądu o istotnej trafności przewidywań Piłsudskiego co do przebiegu wojny w 1914 roku powołują się na to, że zarówno relacja Czernowa, jak też tym bardziej pochodząca z drugiej ręki informacja od Miedzińskiego, zapisane zostały w wiele lat po opisywanych wydarzeniach, *ex post* przypisując geniusz przenikliwości przywódcy polskiej irredenty. Nikt bodaj nie zwrócił uwagi na pochodzący z 1 grudnia 1913 roku całkowicie wiarygodny zapis trwałości nadziei Piłsudskiego na wynikający z oczekiwanej wojny nawrót rewolucyjnego zamętu w Rosji. Obradujący wówczas we Lwowie zjazd delegatów partii wchodzących w skład Komisji Tymczasowej Skonfederowanych Stronnictw Niepodległościowych zajął się na posiedzeniu swej Komisji Prasowej m.in. sprawą broszury, jaką z inspiracji Piłsudskiego napisał Leon Wasilewski. Wydana w języku rosyjskim, pod tytułem „Wozroźdienieje bor’by za niezawisimost’ Polszy”, była ona swego rodzaju oficjalnym wypowiedzeniem wojny Rosji przez polską irredentę. Celem jej było poinformowanie społeczeństwa rosyjskiego o celach i nowych formach polskiej walki niepodległościowej, tym razem opartej o koncepcję budowy własnej siły zbrojnej, którą będzie można wykorzystać w zbliżającej się wojnie Austrii i Rosji dla wyzwolenia Królestwa Polskiego z rosyjskiej niewoli. Wasilewski powtórzał w swojej broszurze wyrażany już wcześniej przez siebie pogląd, że „Rosja konstytucyjna”, po 1905 roku, okazała się równie bezwzględnym wrogiem polskich dążeń narodowych i aspiracji innych narodów zachodnich *okrain* imperium, jak Rosja samodzierżawna. Polacy musieli zatem wybrać drogę wojny – brzmiała konkluzja.⁶

5. B. Miedziński, „Wspomnienia” (dokończenie), *Zeszyty Historyczne*, z. 37, Paryż 1976, s. 67

6. Zob. [L. Wasilewski], „Wozroźdienieje bor’by za niezawisimost’ Polszy”, Kraków 1913, Wyd. KTSSN, s. 3-15, 22, 37.

Po co wydawać broszurę, która odsłania wojenny program polskich niepodległościowców i adresować ją do Rosjan? Bardzo ostro postawił tę kwestię na posiedzeniu Komisji Prasowej Władysław Studnicki. Uznał on – nie bez racji – że tekst Wasilewskiego daje praktycznie wyraz nadziei na to, iż poinformowana o stanie politycznych nastrojów w Polsce wewnętrzna opozycja w Rosji będzie skłonna może przewartościować swoje stanowisko w sprawie polskich dążeń. Studnicki stwierdzał: „Broszura wyraża przeświadczenie, że irredenta rachuje na jakąś grupę polityczną rosyjską, która nam sprzyja. Obecnie takiej grupy nie ma, więc może to wywołać fałszywą orientację w społeczeństwie”. Studnicki zagroził wprost, że jeżeli książeczka Wasilewskiego nie zostanie wycofana, odsunie się od prac w KTSSN i zaatakuje ją na forum publicznym.⁷ Pomysłu wydania broszury do Rosjan podjął się wówczas bronić Rajmund Jaworowski z PPS-Frakcji, który zauważał, że „trzeba rewolucjonistów rosyjskich pouczyć, by liczyli się z realną możliwością polskiej akcji niepodległościowej: rewolucyjny ruch rosyjski, w razie ruchu zbrojnego, może nam iść na rękę i wiele pomóc”.⁸

Piłsudski, jako inicjator całego przedsięwzięcia wydawniczego, także bronił jego sensowności, choć w trybie bardziej warunkowym, aniżeli czynił to Jaworowski. Stwierdzał, że większość Rosjan nie ma rzeczywiście bladego pojęcia o sprawie polskiej i determinacji zorganizowanych wokół KTSSN sił politycznych, by ją czynnie postawić przeciw Rosji w czasie zbliżającej się wojennej zawieruchy w Europie. I tutaj dało znać o sobie zafascynowanie Piłsudskiego przykładem powstania styczniowego. Przypomniał: „Współdziałanie rewolucjonistów rosyjskich w [18]63 roku wiele nam zrobiło”. Nie wskazywał jednak na obecnej mapie politycznej opozycji i rewolucji w Rosji realnego sojusznika, ale uznawał, że na tej mapie trzeba będzie znaleźć jeszcze jeden – istotny – punkt oparcia własnego projektu walki o Polskę: „Nie można się

7. Protokół z posiedzenia plenarnego Kongresu Skonfederowanych Stronnictw Niepodległościowych, Archiwum Akt Nowych, Papiery KTSSN, sygn. 66, k. 35-36; cyt. w: J. Piłsudski, „Pisma zbiorowe. Uzupełnienia”, red. A. Garlicki, R. Świętek, t. 2, Warszawa 1993, s. 376.

8. Tamże, k. 38.

wyrzekać osłabienia przeciwnika. To się robi przez informowanie szczegółowe tych czynników, które negatywnie mogą osłabić naszych przeciwników”⁹

Na progu wielkiej wojny Piłsudski nie przewidywał rewolucji w Rosji u jej kresu, ale po prostu wpisywał nadzieję na nią w swoją polityczną kalkulację, w swój plan maksimum. Relacjonując ten plan, tę kalkulację, w czasie trzy miesiące późniejszego wykładu paryskiego, Piłsudski nie występował jako natchniony prorok, ale raczej konsekwentny wykonawca własnego politycznego projektu, scenariusza, w którym miała się znaleźć ważna, choćby tylko negatywna, destrukcyjna rola dla rewolucji wewnętrznej w Rosji. Poza zasięgiem jego możliwości, naturalnie, było spełnienie owego scenariusza. Rozważając jednak jego szanse, nie chciał zarazem zaniedbać niczego, co mogłoby go do tej – tak odległej, zdawałoby się w 1914 roku, możliwości – przygotować.

Obecność lidera największej antysystemowej, rzecz można, partii rosyjskiej na paryskim wykładzie Piłsudskiego nie była przypadkowa. Już bez pośrednictwa broszury Wasilewskiego, w poufnej rozmowie z Czernowem, chciał Piłsudski przedstawić plany polskiego obozu niepodległościowego w zbliżającej się wojnie. Pójście z Austrią w wojnie przeciw Rosji było tu zarysowane jako etap tylko większego zamysłu, którego kolejnym szczeblem mogło być wznowienie taktycznego przynajmniej porozumienia z czynnikami wewnętrznej rewolucji rosyjskiej. Podejmując już od kilkunastu lat próby utrzymania bodaj kontaktów z rozproszonymi siłami wewnętrznej opozycji w Rosji, Piłsudski chciał niejako oficjalnie poinformować wybranego ich reprezentanta o zdecydowanym przez polski obóz niepodległościowy strategicznym wyborze wojny z Rosją u boku mocarstw centralnych po to właśnie, by pozostawić sobie na przyszłość otwartą drogę powrotu do tych kontaktów czy nawet sojuszu. Czernow zinterpretował rozmowę w Paryżu jako formalne zerwanie dotychczasowego współdziałania między PPS a partią socjalistów-rewolucionistów we wspólnej walce z caratem. W świetle zapisu

9. Tamże, k. 39: cyt. w: J. Piłsudski, „Pisma zbiorowe. Uzupełnienia”, t. 2, s. 374.

wypowiedzi Piłsudskiego z lwowskiej narady KTSSN widać jednak, że wódz polskiej irredenty z góry zakładał tymczasowy charakter sytuacji, w której wewnątrz Rosji nie dałoby się znaleźć taktycznego bodaj partnera w walce o zbawienną dla Polski zmianę politycznego układu Europy Wschodniej.¹⁰

Wektor politycznej działalności Piłsudskiego po 1905 roku skierowany był zdecydowanie ku zerwaniu nadmiernego, tak uwidocznionego w czasie tej pierwszej rewolucji, uzależnienia polskiego ruchu od chaosu sił rewolucyjnych w Rosji. Stawiając na organizację własnej siły zbrojnej i oparcie je o jedyne państwo zaborcze, gdzie tego rodzaju działalność organizacyjna była możliwa – to jest o Austrię – Piłsudski nie chciał przekreślić politycznej perspektywy, którą otwierała wcześniejsza aktywność i kontakty PPS na wschodzie. W 1914 przystępował do wojny z Rosją – i ten oczywisty aspekt kierowanej przez niego akcji niepodległościowej był naturalnie wygrywany w propagandzie polskiej irredenty. Zdawał sobie jednak sprawę z tego, jak mało kto oprócz niego, że za fasadą Rosji zjednoczonej w ogniu „świętej wojny” z niemiecko-austriackim najeźdźcą, pozostawały wciąż płytko uspięne siły wewnętrznej jej rozkładu, które w razie przedłużającej się wojny będą musiały się ujawnić. Ich znajomość była jego atutem, mogła stać się ukrytą potencją uwiązanej u początku wielkiej wojny do rydwanu państw centralnych Polski. Piłsudski nie chciał z tego atutu rezygnować.

Dlatego odrzucał, nawet w momencie wybuchu wojny, stanowisko jakie w kręgu zorientowanej na Austrię akcji

10. Por. B. Miedziński, dz. cyt., s. 66-73; S. Skwarczyński, „Licytacja sprawy polskiej wzywaj”, *Niepodległość*, t. VIII (po wznowieniu), Londyn-Newy Jork 1972, s. 13; W. Pobóg-Malinowski, „Najnowsza historia polityczna Polski”, t. 1, wyd. 3, Londyn 1984, s. 631-633; T. Nałęcz (dz. cyt., s. 306-309), a także A. Garlicki („Geneza Legionów Polskich”, w: „Z dziejów Legionów Polskich i Polskiej Organizacji Wojskowej 1914-1918”, Warszawa 1984, s. 14) – kwestionują przeprowadzenie w Paryżu przy okazji wykładu Piłsudskiego rozmowy Czernowa z Witoldem Jodką-Narkiewiczem, w której według Miedzińskiego miały zostać zawarte właśnie rozważania na temat tymczasowego zawieszenia partnerskich kontaktów PPS Piłsudskiego z eserami, wspomniana wyżej relacja samego Czernowa nie pozostawia jednak wątpliwości, że do przedstawienia tej kwestii doszło w czasie spotkania w Paryżu (niezależnie od tego, czy jego partnerem był sam Piłsudski czy wydelegowany przez niego Jodko).

niepodległościowej reprezentował najdobitniej wspomniany już Władysław Studnicki. Podobnie jak wielu innych zwolenników tej akcji, Studnicki widział w Rosji wroga absolutnego i monolitycznego, a wszelkie próby poszukiwania w niej jakiegokolwiek, choćby taktycznego partnera, nawet na przyszłość – uważał za szkodliwe. O jego stanowisku, bardziej może nawet popularnym w kręgu akcji legionowej od niewyrażanej na ogół publicznie, zniuansowanej myśli samego Komendanta, świadczył nie tylko protest wobec adresowanej do Rosjan broszury KTSSN, ale przede wszystkim same teksty publicystyczne Studnickiego. W ich świetle Rosja miała być w nadchodzącej wojnie zniszczona wyłącznie siłą militarną państw centralnych, wspartą ewentualnie tendencjami odśrodkowymi nierosyjskich narodów imperium. Studnicki snuł w kwietniu 1914 roku wizję rozbioru Rosji, „która traci zabór rosyjski aż do granicy Dźwiny, Berezyny i Prypeci na rzecz państwa polskiego, złączonego unią realną lub dynastyczną z Austrią i Węgrami. Traci Finlandię, nad którą protektorat obejmuje Szwecja, traci Kaukaz, przyłączony do Turcji azjatyckiej [...] Traci w Azji na rzecz Chin i Japonii Syberię po Bajkał, okręg minusiński i kraj ałtajski.”¹¹

Rewolucja wewnątrzrosyjska mogła się w takim scenariuszu pojawić wyłącznie jako dopełnienie katastrofy rosyjskiej państwowości, której ostatecznym przypieczętowaniem miałyby być dokonany przez czynniki zewnętrzne rozbiór. Zrealizowanie owego scenariusza groziło jednak konsekwencjami, które tylko przekonani przedstawiciele orientacji austrofilskiej i germanofilskiej (ta ostatnia reprezentowana była przez Studnickiego) gotowi byli przyjąć: groziło mianowicie oddaniem Polski pod całkowitą kontrolę, na łaskę i niełaskę zwycięskich mocarstw centralnych.

Przed tą ewentualnością ostrzegali najusilniej i starali się jej zapobiec przedstawiciele narodowej demokracji z Romanem Dmowskim na czele. I z tego także powodu rewolucja w Rosji nie wchodziła w krąg przewidywań, a tym bardziej

11. W. Studnicki, „O rozbiór Rosji”, *Nowa Reforma* z 5 IV 1914; por. J. Gzella, „Zaborcy i sąsiedzi Polski w myśli społeczno-politycznej Władysława Studnickiego (do 1939 roku)”, Toruń 1998, s. 15-88.

założeń ich politycznej koncepcji na progu I wojny światowej, w której sukces sprawy polskiej ufundować chcieli na zwycięstwie Ententy. Polityczny, a tym bardziej społeczny przewrót wewnętrzny w Rosji, o ile równoznaczny byłby z otwarciem na oścież frontu wschodniego armiom niemieckim i austriackim, oznaczał największe zagrożenie dla tej koncepcji. Wydaje się jednak, jak to przekonująco zasugerował w swej monografii K. Kawalec, że sam Dmowski liczył się z możliwością rewolucji w Rosji już po zakończeniu wojennej rozgrywki z Niemcami: wtedy mogła się ona przekształcić w okoliczność sprzyjającą nawet powodzeniu realizowanych przez Narodową Demokrację planów, mogła pomóc rozwiązać problem zakresu suwerenności i pozwolić na wytyczenie granic zgodnie z polską racją stanu. Gdy rewolucja w Rosji stanie się faktem, okazało się, że narodowi demokraci szybko zechcieli i umieli z niej skorzystać, by podnieść w oczach Ententy samodzielną rolę czynnika polskiego w utrzymaniu przeciwniemieckiego frontu na wschodzie Europy, a także powojennego porządku w tej części kontynentu.¹²

Samemu momentu upadku caratu w marcu 1917 roku nie przewidział ani Piłsudski, ani Dmowski. Ten ostatni przyznaje to wyraźnie *ex post* w „Polityce polskiej i odbudowaniu państwa”. Piłsudski na progu 1917 roku wciąż zaabsorbowany był rozgrywką z wojskowymi i politycznymi władzami niemieckimi o stworzenie samodzielnej pozycji dla Polski u boku państw centralnych, a przede wszystkim o zbudowanie rzeczywistej polskiej siły zbrojnej, zgoda na którą przekreśliłaby Niemcom możliwość separatystycznego porozumienia z Rosją. 3 marca 1917 roku, wysyłając Władysława Baranowskiego do Szwajcarii jako delegata „dyplomatyczno-propagandowego” prowadzonej przez siebie akcji, Piłsudski wyraźnie stwierdzał potrzebę pozyskiwania na przyszłość

12. Na temat założeń polityki narodowej demokracji wobec Rosji i ewentualności wybuchu rewolucji w latach 1914-1917 zob. m.in. S. Grabski, „Pamiętniki”, oprac. W. Stankiewicz, Warszawa 1989, t. 1, 279; R. Dmowski, „Polityka polska i odbudowanie państwa”, oprac. T. Wituch, Warszawa 1988, t. 1, s. 338-339; R. Wapiński, „Roman Dmowski”, Lublin 1988, s. 228-229; K. Kawalec, „Roman Dmowski”, Warszawa 1996, s. 181-183.

„wielkich demokracji” Zachodu, nie zmieniał jednak wciąż obowiązującego antyrosyjskiego wektora swojej politycznej akcji. Instrukcja dla Baranowskiego głosiła: „Polska niepodległościowa walczy zbrojnie przeciw Rosji jako zaborcy największych terytoriów etnicznie czysto polskich. [...] Z narodami imperium rosyjskiego pragniemy żyć w przyjaźni i chcemy im walką naszą pomóc do zrzucenia jarzma rosyjskiego, do czego, podobnie jak i my, dążą.”¹³

W kręgu propagandy związanego z akcją Piłsudskiego obozu POW i PPS już od aktu 5 listopada 1916 roku uzyskane od państw centralnych zapowiedzi odbudowy Polski na terenach odebranych rosyjskiemu imperium traktowane były jako hasło, które winno pobudzić do czynu, do ożywienia ruchów separatystycznych inne narody imperium: od Finów, poprzez Białorusinów, Ukraińców, po Gruzinów i Ormian. Bezpośrednio przed marcem 1917 roku hasło to z myślą o antycarskiej rewolucji samych Rosjan także połączył w swych tekstach bodaj tylko Tadeusz Hołówko, jeden z najznakomitszych publicystów kręgu POW-PPS, a wkrótce także jeden z najważniejszych wykonawców polityki wschodniej tegoż obozu w końcowej fazie I wojny światowej.¹⁴

Narastające lawinowo w ostatnich dniach lutego strajki w Piotrogradzie, przy jednoczesnym załamaniu dyscypliny garnizonu carskiej stolicy, doprowadziły tymczasem do politycznego przesilenia w państwie carów. 27 lutego (starego stylu, 12 marca nowego stylu) wystąpili dwaj pretendenci do władzy: z jednej strony skupiający przedstawicieli centrowych i umiarkowane prawicowych ugrupowań Tymczasowy Komitet Dumy Państwowej, z drugiej – Tymczasowy Komitet Wykonawczy Rady Delegatów Robotniczych, zdominowany przez mieńszewików i eserowców. Kiedy trzy dni później politycy z Komitetu Dumy powołali Rząd Tymcza-

13. W. Baranowski, „Rozmowy z Piłsudskim 1916-1931”, wyd. 2, Warszawa 1990, s. 40-41.

14. Zob. T. Hołówko, „Zadania i prawa demokracji polskiej”, *Widnokrąg*, nr 17 z 13 XII 1916; por. tenże, „W przeddzień powstania państwa polskiego”, *Widnokrąg*, nr 16 z 4 XI 1916; zob. także I. Werschler, „Z dziejów obozu belwederskiego. Tadeusz Hołówko – życie i działalność”, Warszawa 1984, s. 59-61.

sowy z premierem Jerzym Lwowem na czele, a następnie abdykował car Mikołaj, potwierdzając jednocześnie nominację księcia Lwowa na premiera, dla wszystkich było już jasne, że w Rosji dokonała się rewolucja. Zarysowywało się także wewnętrzne jej rozbitcie na dwa nurty: jeden związany z Rządem Tymczasowym oraz drugi – poczynający swój bieg w Radzie Delegatów i sławetnym jej rozkazie numer 1 (z 1/15marca), który pogrążył ostatecznie dyscyplinę rosyjskiej armii.¹⁵

Deklaracja Piotrogradzkiej Rady Delegatów z 27 marca, uznająca pełne prawo Polski do niepodległości, a następnie opublikowana cztery dni później odezwa Rządu Tymczasowego, która potwierdzała również prawo narodu polskiego do samostanowienia (ograniczone co prawda przez założenie koniecznego sojuszu wojskowego przyszłej Polski z Rosją, a także wytyczenia granic nowego państwa przez rosyjską Konstytuante) – dwa akty polityczne dwóch nurtów rewolucji prędko okazały zarówno jej zasadnicze znaczenie dla sprawy polskiej, jak też pozytywne z punktu widzenia możliwości rozgrywania tej sprawy przez Polaków skutki wewnętrznej rywalizacji dwóch ośrodków władzy w nowej Rosji. Odezwy dotyczące bezpośrednio Polski uzupełnił dekret Rządu Tymczasowego z 2 kwietnia, który zniósł formalnie wszelką dyskryminację narodowościową i religijną w państwie, otwierając drogę wszystkim nierosyjskim narodom imperium do otwartych aspiracji politycznych. Kierunek ruchu na tej drodze wskazała dalej rezolucja Pierwszego Wszechrosyjskiego Zjazdu Rad, przyjęta w kwestii narodowej 20 czerwca 1917 roku. Uznana w niej zasada decentralizacji władzy i wprowadzenia lokalnego samorządu poszerzona została do zaakceptowania prawa wszystkich narodów imperium do samookreślenia, włącznie z oddzieleniem od Rosji, wszakże z zastrzeżeniem, by prawo to realizowane było w porozumieniu z

15. Na temat rewolucji lutowej, jej genezy i przebiegu, najlepszym wprowadzeniem pozostają dwa opracowania: L. Bazyłowa, „Obalenie caratu”, Warszawa 1977 oraz R. Pipesa, „The Russian Revolution”, New York 1990, s. 272-337 (wyd. polskie: „Rewolucja rosyjska”, Warszawa 1996).

rosyjską Konstytuantą, nie zaś metodą faktów dokonanych.¹⁶

Zamajaczyła możliwość zrealizowania aspiracji niepodległościowych nie tylko Polski, ale i innych narodów byłego Cesarstwa Romanowów nie w totalnej wojnie z Rosją, ale przy akceptacji części przynajmniej sił politycznych przyjmujących odpowiedzialność za nową Rosję. Zdawała się otwierać szansa zrealizowania scenariusza maksimum politycznej fantazji snutej w kręgu Piłsudskiego od dwudziestu lat. Tego, że taka szansa przybliżyła się nagle, ani sam Piłsudski, ani grupa związanych z nim działaczy niepodległościowych nie przeoczyła. Zdawano sobie jednak w tymże środowisku sprawę, że wykorzystanie owej szansy będzie wymagało przezwyciężenia szeregu przeszkód, z których najważniejszą w pierwszej kolejności była wzrastająca zasadniczo z momentem rewolucji w Rosji przewaga państw centralnych na wschodzie Europy. Wedle dobitnej formuły jednego z politycznych powierników Komendanta, Jędrzeja Moraczewskiego, z chwilą wybuchu rewolucji rosyjskiej, paraliżującej siły państwowe imperium, „wojna między Polską a Rosją została zakończona”.¹⁷ Sam Piłsudski na naradzie ze

16. Por. tekst orędzia Piotrogradzkiej Rady Delegatów do narodu polskiego z 27 III 1917, w: Dokumenty i materiały do historii stosunków polsko-radzieckich (cyt. dalej jako DiM), Warszawa 1962, t.1, s. 8-9; też, w: „Powstanie II Rzeczypospolitej. Wybór dokumentów 1866-1925”, red. H. Janowska i T. Jędruszczak, Warszawa 1984, s. 332; tekst proklamacji Rządu Tymczasowego do Polaków, przyjętej 29 marca a ogłoszonej dwa dni później, w: K. Kumaniecki, „Odbudowa państwowości polskiej. Najważniejsze dokumenty 1912-styczeń 1924, Warszawa 1924, s. 67; toż w: „Powstanie II Rzeczypospolitej...”, s. 332-333; teksty dekretu Rządu Tymczasowego z 2 kwietnia oraz rezolucji w kwestii narodowej, podjętej przez I Wszechrosyjski Zjazd Delegatów Robotniczych i Żołnierskich 20 czerwca, w: R. P. Browder i A.F. Kerensky, „The Russian Provisional Government 1917”, Stanford, 1961, t 1, s. 211 i 318-319. Wnikliwą analizę tych dokumentów oraz towarzyszących im powstawaniu dyskusji politycznych w kręgu rewolucji rosyjskiej między marcem i czerwcem 1917 roku przedstawia W. Sukiennicki, „East Cenral Europe during World War I: From Foreign Domination to National Independence”, New York-Boulder, 1984, t. 1, s. 303-332 i t. 2, s. 1069-1077.

17. List J. Moraczewskiego z 12 V 1917, Biblioteka Narodowa w Warszawie, rkps 7628, k. 134; por. W. Suleja, „Spór o kształt aktywizmu: Piłsudski a Sikorski w latach I wojny światowej”, w: „W kręgu twórców myśli politycznej. Polska myśl polityczna XIX i XX wieku”, t. 5, Wrocław 1983, s. 189-190.

swoimi bliskimi współpracownikami (m.in. z udziałem A. Śliwińskiego, M. Sokolnickiego, S. Thugutta, L. Wasilewskiego), na której omówił znaczenie rewolucji lutowej, uznał jej wybuch za punkt zwrotny w polityce realizowanej przez jego obóz w czasie I wojny. Jak relacjonuje Wasilewski, Piłsudski stwierdził wówczas, że „Rosja jako najważniejsza siła w naszych obliczeniach politycznych, ten nasz wróg największy, na dłuższy przeciąg czasu ustępowała z pola. W tym okresie można było nie liczyć się z bezpośrednim niebezpieczeństwem rosyjskim i należało teraz zwrócić całą energię przeciwko dwóm innym okupantom”.¹⁸ W interpretacji Michała Sokolnickiego, który zaczynał wówczas pełnić rolę swego rodzaju ministra spraw zagranicznych obozu Piłsudskiego, związany z rewolucją lutową przełom w stosunku do Rosji polegał nie tylko na tym, że Rosjanie sami obalili carat, że na miejscu więzienia narodów powstawało państwo konstytucyjne i można było liczyć na to, że ucisk Polski, jak też innych nierosyjskich narodów imperium przestanie być rosyjską racją stanu. „Polska nie była już niewolnikiem Rosji [...] Polska w wojnie powszechnej stawiała się mniejszym lub większym, ale istotnym czynnikiem międzynarodowym i Rosja stawiała się dla niej z tą chwilą, podobnie jak Austro-Węgry czy Niemcy, podobnie jak w dalszym zasięgu Francja czy Anglia czy Ameryka, współczynnikiem polityki, negatywnym czy pozytywnym, zależnie od okoliczności, od układu sił i od praktycznych możliwości”.¹⁹

Z rachunku sił, jakiego dokonywał Piłsudski wiosną 1917 roku wynikała konieczność kontynuowania gry z Niemcami, próby budowania u ich boku własnej, liczącej się siły zbrojnej, która stałaby się materialnym atutem w momencie zmiany orientacji – możliwej już (choć jeszcze nie przesądzonej) od wybuchu rewolucji w Rosji. Armia, którą miał Piłsudski jeszcze nadzieję tworzyć w strukturach powołanej aktem 5 listopada 1916 roku namiastki polskiej państwowości, nie była wszakże już potrzebna przeciw Rosji, ale właś-

18. L. Wasilewski, „Józef Piłsudski, jakim Go znałem”, Warszawa 1935, s. 148-149.

19. M. Sokolnicki, „Józef Piłsudski a zagadnienie Rosji”, *Niepodległość*, t. 11 (po wznowieniu), Londyn 1950, s. 62.

nie jako atut w nowej grze – o pozycję Polski (i Piłsudskiego także) w obozie zwycięskiej Ententy..., lub zwycięskich Niemiec. Przewrót w Piotrogradzie i deklaracje władz nowej Rosji uznające własną państwowość i niepodległość Polski dawały w każdym razie swobodę politycznego manewru. Zwiększanie realnej (a więc wojskowej) siły Polski oraz poszerzanie pola manewru dla polskiego ruchu niepodległościowego w miarę zbliżania się wojny do ostatecznego rozstrzygnięcia – to był niezmienny wektor poczynań Piłsudskiego aż do aresztowania w lipcu 1917 roku.

Miejsce rewolucji rosyjskiej w tej perspektywie najprecyzyjniej określiły artykuły konspiracyjnego tygodnika *Rząd i Wojsko*. Wydawany od września 1916 roku z inicjatywy Walerego Sławka, redagowany przez Adama Skwarczyńskiego i Tadeusza Hołówkę, *Rząd i Wojsko* stał się szybko główną, nie ograniczoną przez cenzurę, trybuną politycznych koncepcji obozu niepodległościowego skupionego wokół Piłsudskiego. „Nowe koniunktury” i „Rewolucja rosyjska” – dwa artykuły z numeru 15. datowanego na 15 kwietnia 1917 roku, odkrywają istotne konteksty ówczesnego myślenia tego środowiska o wydarzeniach w Rosji i ich konsekwencji dla Polski.

Rewolucja lutowa oznaczała tutaj przede wszystkim przekreślenie niebezpieczeństwa powrotu Rosji na ziemie zajęte w toku wojny przez państwa centralne. Na rzecz tej tezy miały przemawiać wymowne świadectwa moralnego rozkładu rosyjskiej armii, manifest Rządu Tymczasowego potwierdzający oficjalnie zgodę nowej Rosji na odbudowę Polski, wreszcie – najciekawsze w tym kontekście obserwacje i prognozy o charakterze ogólnym, wyrażone w drugim ze wspomnianych artykułów. W oparciu o znajomość wewnętrznej struktury państwa carów, ufundowanej na dośrodkowej funkcji państwowej biurokracji i przymusowej centralizacji wieloetnicznej ludności, anonimowy autor artykułu już w miesiąc po przewrocie w Piotrogradzie przewidywał wybuch separatyzmów lokalnych od Finlandii, poprzez Łotwę, Estonię, Ukrainę, aż po narody Kaukazu. „Jak się ostoje nowy rząd rewolucyjny wobec takich separatystycznych dążeń? Czy zdobędzie się na odwagę rozwiązania

zagadnień narodowościowych z duchem czasu?”²⁰ – brzmiało zasadnicze pytanie, nie tylko jednego artykułu, ale całej myśli obozu piłsudczykowski wobec nowej Rosji. Równie ważna była druga uwaga, do której punktem wyjścia było stwierdzenie, iż przewrót w Piotrogradzie nie miał u swej genezy charakteru spontanicznego, ale był inspirowany z zewnątrz – wedle publicysty *Rządu i Wojska* przez dyplomację brytyjską, która obawiała się perspektywy zawarcia separatystycznego pokoju z Niemcami przez uformowany z końcem 1916 roku germanofilski rząd Imperium Romanowów. Nie będziemy zatrzymywać się dłużej nad oceną trafności tej intuicji (warto może dodać, że na drugim biegunie polskiej sceny politycznej Roman Dmowski, dzieląc pogląd o bynajmniej nie spontanicznych źródłach rewolucji lutowej, przypisywał jej inspirację ostatniemu carskiemu ministrowi spraw wewnętrznych Aleksandrowi Protopopowowi – jako przedstawicielowi germanofilskiej klikki, która przez przywołanie widma powtórki roku 1905 chciała przekonać cara i zachodnich sojuszników o konieczności jak najszybszego zawarcia przez Rosję odrębnego pokoju z Niemcami).²¹ Istotny jest raczej wniosek wyprowadzony z tej przesłanki. W wydaniu *Rządu i Wojska* brzmiał on następująco: rewolucja w Rosji nie może w tej fazie oznaczać, jak sądzą niektórzy na podstawie analogii z rewolucją francuską, wzmożenia odpornej, militarnej energii rosyjskiego państwa. By przejść od fazy pierwotnej, inspirowanego z zewnątrz, nieautentycznego, rzec można, przewrotu politycznego, do fazy rzeczywistej, dotykającej podstawowych zagadnień społecznych rewolucji, konieczne jest zrzućcenie wpływów obcych, które może nastąpić tylko po zawarciu pokoju i zwróceniu się nowej Rosji ku jej wnętrzu. Z logiki rozwoju sytuacji rewolucyjnej w Rosji po marcu 1917 roku wynika rychły pokój na wschodzie Europy – taki był kolejny fundamentalny wniosek polityczny publicysty *Rządu*

20. Rewolucja rosyjska, *Rząd i Wojsko* nr 15 z 15 IV 1917, s. 5; por. „Nowe konjunktury [sic!], tamże, s. 3-5; O genezie samego pisma zob. S. Thugutt, „Wybór pism i autobiografia”, Warszawa 1939, s. 45; T. Hołowko, „Ze wspomnień ‘germanofila’”, w: „Wspomnienia legionowe”, cz. 1, Warszawa 1924, s. 52-53; I. Werschler, dz. cyt., s. 62-63.

21. Zob. R. Dmowski, dz. cyt., t. 1, s. 339-340.

i Wojska. W jego ujęciu miał to być jednak pokój oznaczający wyłącznie zwinięcie dotychczasowego frontu wojny Rosji z państwami centralnymi, w żadnym zaś wypadku ogólną pacyfikację stosunków politycznych na wschodzie kontynentu.

„Rewolucja rosyjska jest epilogiem wojny i znakiem przełomu czasów”²² – głosiła najważniejsza bodaj konkluzja dokonywanej w kręgu Piłsudskiego analizy. Ów przełom miał wynikać z postawienia w rozwoju rewolucji rosyjskiej kwestii radykalnych przemian społecznych i politycznych, których przykład może okazać się zaraźliwy dla innych narodów, stron toczącej się wojny. Lewica może podnieść wkrótce głowę tak w państwach centralnych, jak i we Włoszech czy we Francji. Sam autor tej analizy należał przecież do formacji lewicowej, a jednak zdawał sobie jasno sprawę z prawdopodobnego zderzenia radykalnych haseł społecznych z dążeniem do wyzwolenia narodowego. Rewolucja rosyjska już w kwietniu 1917 roku ujawniała mu swój nie tylko pozytywny dla Polski, ale i potencjalnie groźny wymiar.

„Żywioły robotnicze są głodne i skłonne w chwili obecnej do groźnego domagania się o chleb. Do chwili zawarcia pokoju może być tylko jeszcze gorzej. Czy łatwo nam będzie wtedy budować podstawy państwa polskiego, gdy głód we wzmożonej sile zajrzy do okien? A uświadomienie narodowe, a entuzjazm, zapał i wola? Wszakże tyle jeszcze w Polsce śpiączki i bierności – wszakże tyle serc jest jeszcze nierozbudzonych. Rewolucja rosyjska jest wydarzeniem, które roztoczy szerokie kręgi naokoło. Jeżeli potrafi ona zrzucić z siebie brzemień dyplomacji angielskiej (...) i tym samym wywalczy światu pokój, to położenie powstającego do życia państwa polskiego będzie jeszcze trudniejszym, gdyż obok zagadnienia tworzenia naszej państwowości, uwypukli się jeszcze bardziej zagadnienie ukształtowania stosunków społecznych (...) Chwila zawierania pokoju będzie chwilą dla nas najkrytyczniejszą. Jakże będzie wówczas wyglądała nasza sprawa, jeśli i wtedy nie będziemy mieli żołnierza, na którym by słuszność naszych żądań można było oprzeć?”²³

22. „Rewolucja rosyjska”, *Rząd i Wojsko* nr 15 z 15 IV 1917, s. 6.

23. Tamże, s. 6.

Z pewnością niewiele było wiosną 1917 roku równie przenikliwych wejrzeń w znaczenie i konsekwencje rozpoczynającej dopiero swój bieg rewolucji rosyjskiej. Dla programu dalszego działania sił politycznych skupionych wokół Piłsudskiego zasadnicze znaczenie miały trzy wydobyte stąd przesłanki: po pierwsze, utworzenie przez przewrót pietrogradzki drogi nierosyjskim ruchom narodowościowym w imperium do zdecydowanych dążeń autonomicznych lub wręcz niepodległościowych, prowadzących w perspektywie do rozsadzenia lub bodaj okrojenia państwa carów na strategicznych obrzeżach; po drugie, gwałtowne przybliżenie perspektywy zakończenia wojny na froncie wschodnim; po trzecie wreszcie, możliwość rozprzestrzenienia hasła rewolucji społecznej poza granice samej Rosji. Niezmiernie istotne było także poprzedzające wszystkie te założenia przekonanie, że losy systemu carskiego są w każdym razie przesądzone, że Rosja w dawnym, przedrewolucyjnym kształcie ustrojowym nie zostanie już przywrócona. Wnioski stąd wynikające wpisać można było wszakże w różne scenariusze dalszego biegu wypadków.

Z pierwszą przesłanką wiązały się dalsze pytania. Czy rewolucyjny rząd Rosji będzie umiał rozstać się z imperialną strukturą państwa, pozwalając nierosyjskim narodom dawnego państwa carów na usamodzielnienie? Czy też, przeciwnie, podejmie walkę o utrzymanie jedności imperium? W dalszej perspektywie pojawiały się groźne pytania wynikające z rozwinięcia trzeciej przesłanki: czy w swej dynamice ideologicznej, rzecz można, rewolucja rosyjska zatrzyma się na krawędzi niebezpiecznej dla swych sąsiadów anarchii, wyzwalając w nich tylko swym przykładem potencjał niezbędnych społecznych przemian? A może przekroczy tę krawędź, zmuszając kraje dobijające się dopiero w Europie Środkowo-Wschodniej własnej państwowości, do obrony także przed zagrożeniem idącym pod czerwonym sztandarem, podniesionym nad Newą i Moskwą? Przesłanka druga, dotycząca rychłego pokoju, stawiała na porządku dziennym zasadniczą kwestię, kto będzie zwycięzcą w kończącej się wojnie? Czy, jak zakładał to najbardziej optymistyczny scenariusz, wyrażony przez Piłsudskiego w jego paryskim wykładzie z lutego 1914 roku, po wycofaniu Rosji z wojny nad państwami centralnymi, prze-

wały jednak siła wielkich demokracji zachodniej Europy, wzmocniona decydująco przez stojące do walki po ich stronie Stany Zjednoczone (6 kwietnia 1917 roku wypowiedziały wojnę Niemcom)? Czy też zwycięstwo osiągną Niemcy, zdolne po podyktowaniu Europie Wschodniej swego pokoju, przerzucić wszystkie siły na front zachodni?

Od odpowiedzi na te ostatnie pytania zależała polityka bieżąca obozu Piłsudskiego. Wiosną 1917 roku jednoznacznej odpowiedzi na owe pytania nie było. Artykuły *Rządu i Wojska* z tego okresu podpowiadały jeszcze szansę zrealizowania polskich aspiracji państwowych u boku zwycięskich Niemiec. Wyrażony po raz pierwszy tak jasno i tak szeroko zakres tych aspiracji (to jeszcze jeden bezpośredni skutek rewolucji rosyjskiej, która w kierunku podobnie ambitnego wykładu polskich ambicji politycznych popchnęła w tym samym czasie także Romana Dmowskiego), kreślony był jeszcze w opozycji do możliwości porozumienia ze sprzymierzoną przecież wciąż z Ententą rewolucyjną Rosją.

Warunki wskazane w odezwie Rządu Tymczasowego do Polaków były dla obozu Piłsudskiego jeszcze nie do przyjęcia – w każdym razie nie do przyjęcia w perspektywie owego maksymalnego zasięgu niepodległościowych aspiracji. Pełna niepodległość bowiem nie mogła być ograniczona narzuconą koniecznością sojuszu z Rosją. Przymus taki – stwierdzał publicysta *Rządu i Wojska* – oznaczałby dalsze skrępowanie rozwoju wyższej kultury polskiej przez ów rosyjski „hamulec”, a także, wobec trwania zaborczego instynktu w psychice rosyjskiej, otwierałby możliwość ponownego uzależnienia i zniewolenia Polski przez jej ogromną wschodnią sojuszniczkę. Najważniejszy i najbardziej konkretny był jednak ten argument: „Państwo Polskie w sojuszu z Rosją nie mogłoby prowadzić własnej państwowotwórczej polityki wobec swych sąsiadów: Białorusinów, Litwinów, Ukraińców – gdy tymczasem lepsza przyszłość dla Polski i dla tych narodów tkwi we wspólnym współżyciu państwowym na zasadach federacyjnych, równych z równymi, wolnych z wolnymi”.²⁴

Pojawiał się jednak problem praktyczny: jak przekonać

24. „Nowe konjunktury” [sic!], *Rząd i Wojsko* nr 15 z 15 IV 1917, s. 4.

aktualnych panów sytuacji w Europie Środkowo-Wschodniej – niemiecką generalicję i gabinet Kaisera – do zrealizowania tej wizji Polski, której nie gwarantowała rewolucyjna Rosja? Testem miała być polityka niemiecka w stosunku do Litwy. Albo Niemcy pozwolą na połączenie (federacyjne) historycznej Litwy z Polską, tworząc z nich razem czynnik międzynarodowej równowagi w tej części kontynentu, „awangardę Europy Środkowej przeciwko kolosowi rosyjskiemu”, albo też zdecydują się na bezpośrednie podporządkowanie Litwy Berlinowi, w przekonaniu o łatwości jej zgermanizowania, albo wreszcie oddadzą ją w rokowaniach pokojowych Rosji. Dwa ostatnie rozwiązania oznaczałyby całkowite przekreślenie szans na zrealizowanie politycznego planu maksimum obozu Piłsudskiego u boku państw centralnych. Niedopowiedziana konkluzja tych rozważań sprowadzała się do groźby zmiany orientacji polskiego ruchu niepodległościowego na proalianski w takim wypadku. Wtedy zaś musiałaby powrócić kwestia uzgodnienia politycznych ambicji Polski z nową Rosją – już nie za pomocą przewagi niemieckiego bagnetu i armaty, ale w stosunkach bezpośrednich, w których Polska miałaby wystąpić jako równy partner Rosji.

Rozstrzygnięcia dokonane na konferencji w Kreutznach, 23 kwietnia (a więc ledwie tydzień po opublikowaniu omawianych wyżej programowych artykułów *Rządu i Wojska*), przez polityczne i wojskowe kierownictwo Cesarstwa Niemieckiego, a potwierdzone miesiąc później na naradzie w tej samej miejscowości z udziałem austro-węgierskiego ministra spraw zagranicznych, całkowicie przekreśliły nadzieje na zrealizowanie projektu budowy silnej, sfederowanej z Litwą Polski u boku Niemiec. Generał Erich von Ludendorff przeforsował swoje stanowisko oznaczające maksymalne ograniczenie tworzony na podstawie aktu 5 listopada Polski i bezpośrednie podporządkowanie Litwy i Kurlandii Niemcom. Tajne postanowienia z Kreutznach wkrótce miały ujawnić w pełni swe antypolskie znaczenie.²⁵ Coraz mniej zainteresowane wykorzystaniem realnej polskiej siły zbrojnej, która wraz z

25. Zob. W Sukiennicki, „East Central Europe During World War I: From Foreign Domination to National Independence”, t. 1, Boulder-New York 1984, s. 347-350; L. Grosfeld. „Polityka państw centralnych wobec sprawy polskiej w latach 1914-1918”, Warszawa 1962, s. 213-214.

rozkładem militarnym rosyjskiego przeciwnika przestawała po prostu być potrzebna, Niemcy zablokowały także budowę upragnionej przez Piłsudskiego polskiej armii. W maju 1917 roku decyzja o zmianie orientacji ostatecznie dojrzała.

Ze względów praktycznych zatem pojawiała się potrzeba zwrócenia ku Rosji zrewolucjonizowanej, by w niej szukać sposobów i środków dźwignięcia sprawy polskiej. Przed taką konkluzją bronili się nadal – i niemal do końca wojny – zwolennicy trwania po stronie Niemiec, którzy, jak Studnicki, także po marcu 1917 roku stwierdzali, że „nasz wróg Rosja może zmieniać swoje imię, może na tronie być Mikołaj czy Michał, ale wrogiem naszym, bezwzględny wrogiem pozostanie. (...) Nie ufamy ani Rosji carskiej, ani liberalno-burżuazyjnej, ani rewolucyjnej chłopskiej i robotniczej. Wszelka Rosja była i będzie nam wroga”.²⁶ Liczniejsi zwolennicy rozwiązania austro-polskiego, faktycznie przekreślonego już w Kreutznach, ze zgrozą dostrzegali, jak wiosną 1917 roku Piłsudski wraz ze swoim polityczno-konspiracyjnym obozem zaczyna wychylać się z zainteresowaniem w stronę Rosji. „Socjaliści gotowi stworzyć nową orientację, nazwijmy ją noworosyjską. Korzystając z rewolucji będą szli do walki z mocarstwami centralnymi. Powstanie nowy chaos w ojczyźnie” – notował już 24 marca prezes Naczelnego Komitetu Narodowego, Władysław Leopold Jaworski.²⁷

Piłsudski zwracał się istotnie w stronę Rosji. Przede wszystkim po to, by wobec niemożności utworzenia liczącego się polskiego wojska u boku państw centralnych, uformować ją po drugiej stronie frontu, gdzie w rozsypującej się armii rosyjskiej znajdowało się jednak – wedle różnych szacunków – od 300 do 700 tysięcy żołnierzy polskiego pochodzenia.²⁸

26. Pierwsza część cytatu: W Studnicki, „O rewolucji rosyjskiej”, *Goniec Wieczorny i Poranny* z 29 III 1917; druga część: tenże, „Program Stronnictwa P[añstwowców] P[olskich], *Naród a Państwo*, nr 5/1918, s. 1; por. J. Gzella, dz. cyt., s. 83-86; zob. także stanowczą polemikę ze stanowiskiem podtrzymywanym przez Studnickiego – „Aktywizm”, *Rząd i Wojsko*, nr. 19 z 12 VI 1917, s. 1-2.

27. W.L. Jaworski, „Dziennik 1914-1918”, oprac. M. Czajka, Warszawa 1997, s. 177.

28. Według danych rosyjskiego sztabu generalnego w armii cesarskiej

Konieczne było także przyjrzenie się sytuacji wewnętrznej w nowej Rosji, podjęcie systematycznego badania zagrożeń mogących wylać się z rewolucyjnego kotła na sąsiadów, ale także poszukiwanie szans porozumienia z którymś z konkurujących nurtów rewolucji, porozumienia jak najbliższego tym warunkom, których nie przyjęły w stosunku do Polski państwa centralne. Potrzebne było rozeznanie w siłach i zamiarach poszczególnych formacji politycznych rewolucji, które rywalizowały między sobą o ostateczne zwycięstwo w chaosie 1917 roku.

2. *Między chaosem a Niemcami*

Skupienie w ciągu pierwszych trzech lat wojny pracy organizacyjnej obozu Piłsudskiego po niemiecko-austriackiej stronie frontu wschodniego, wymagało szybkiego nadrobienia zaległości. Podstawę do tego tworzyła istniejąca cały czas w Rosji struktura PPS-Frakcji, a przede wszystkim formowana od jesieni 1914 roku tajna sieć Polskiej Organizacji Wojskowej. Tworzone z Piotrogradu, zrazu na bazie petersburskiego oddziału Związku Walki Czynnej, POW kierowane na tym terenie przez Franciszka Skąpskiego (w sierpniu 1915 został mianowany komendantem Organizacji na całe imperium), wizytowane było w 1915 przez osobistych emisariuszy Piłsudskiego i Komendy Naczelnej – m.in. Bogusława Miedzińskiego i Tadeusza Hołówkę. Wiosną 1916 roku osiągnęło stan 25 zorganizowanych członków w Piotrogradzie, 35 w Kijowie, 15 w Moskwie, 5 w Charkowie, kilku w Odessie. Szczególne znaczenie miała uzyskać odrębna Komenda Naczelna III POW, z ośrodkiem w Kijowie, do której w

służyło ok. 700 tysięcy rzymskich katolików, w tym ok. 20 tysięcy oficerów i 119 generałów. Wedle oceny Aleksandra Lednickiego w lipcu 1917 roku w armii rosyjskiej znajdowało się ok. 314 tysięcy Polaków. Szacunek Lednickiego podzielał także znajdujący się wówczas w Rosji Stanisław Grabski. Zob. m.in. S. Grabski, dz. cyt., t. 2, s. 11; H. Bagiński, „Wojsko Polskie na Wschodzie 1914-1920”, Warszawa 1921, s. 107; W. Sukiennicki, dz. cyt., s. 1076; L. Grosfeld, „Polskie reakcyjne formacje wojskowe w Rosji 1917-1919”, Warszawa 1956, s. 23, 69.

1918 roku przesunął się główny ciężar działalności organizacyjno-wywiadowczej akcji obozu Piłsudskiego na terenie byłego imperium Romanowów.²⁹

Znaczenie rozwijania tej sieci podkreślał bardzo sam Piłsudski, kierując jeszcze wiosną 1916 roku swego osobistego reprezentanta, Michała Sokolnickiego, do Sztokholmu, gdzie spotkał się on z delegatami podziemnej POW z Rosji. Kolejna misja wysłana do Sztokholmu na spotkanie z przedstawicielami POW i całego obozu demokratyczno-niepodległościowego z Rosji już po rewolucji lutowej (w maju 1917) nie miała charakteru samodzielnej akcji Piłsudskiego, ale była oficjalnym przedsięwzięciem Tymczasowej Rady Stanu. Przekreśliło to możliwość podjęcia już wtedy jasnej decyzji o tworzeniu po stronie rosyjskiej oddziałów polskich, które mogłyby stanąć do walki przeciw państwom centralnym. Spowodowało to przejściową dezorientację działaczy POW w Rosji co do zamiarów samego Piłsudskiego w tym zakresie.³⁰

29. „Raport z roboty POW i stanu umysłów w Rosji – Do Komendanta Józefa Piłsudskiego” [raport z lutego-marca 1916 r.], Centr Chranienija Istoriko-Dokumentalnych Kolliekcij [dawniej Osobyj Archiw; cyt. dalej jako CChIDK], Moskwa, fond 482 (Archiwum POW), op. 5, d. 1153, k. 1-3; na koniec 1918 roku, gdy zlikwidowany został oddział POW w Moskwie liczył on już 60 członków (zob. Notatka Oddziału 1 – Referat POW – Sztabu Generalnego WP z 19 I 1919 r., w tymże archiwum, fond 482, op. 5, d. 1153, k. 13; także w zespole tym znaleźć można m.in. zestawienia składów Komendy Naczelnej III POW, listy ewidencyjne jej członków, wykazy poległych (zob. m.in. fond 482, op. 5, d. 1132 i d. 1134); por. również H. Józewski, „Zamiast pamiętnika”, cz. II – K.N. III *Zeszyty Historyczne*, z. 59, Paryż 1982, s. 14-16; W. Szczęsny, „Kwestia wojska polskiego w Rosji w 1917 r.”, Warszawa 1936, s. 37-38; T. Nałęcz, „Polska Organizacja Wojskowa 1914-1918” [autor nie miał okazji badać podstawowych dla swojego tematu archiwaliów wywiezionych do Moskwy], Warszawa 1984, s. 137-138; A. Peptoński, „Wywiad w wojnie polsko-bolszewickiej 1919-1920”, Warszawa 1999, s. 29-38; J. Rowiński, „Wkład Polskiej Organizacji Wojskowej w odzyskanie niepodległości”, w: „U progu niepodległości Polski”, wrzesień 1918-marzec 1919, red. S. Biegański, Londyn 1990, s. 85-87; I. Werschler, dz.cyt., s. 42-43; I. Spustek, „Polacy w Piotrogradzie 1914-1917”, Warszawa 1966, s. 377-383; L. Grosfeld, „Polskie reakcyjne...”, s. 14-15.

30. Zob. m.in. M. Sokolnicki, dz. cyt., s. 60-61; tenże, „Na przełomie polityki legionowej. Epizody roku 1916”, *Niepodległość*, t. 5, Londyn 1955, s. 6-14; T. Hołówko, „Przez dwa fronty – ze wspomnień emisariusza politycznego z 1918 r.”, Warszawa 1931, s. 245-247; T. Nałęcz, „POW”, s. 137-138; L. Grosfeld, „Polskie reakcyjne...”, s. 18-19.

W maju 1917 roku rzeczywisty stosunek przywódcy obozu niepodległościowego do sprawy budowy wojska polskiego po drugiej stronie frontu był zdecydowany. W kontekst szerszej koncepcji wpisywała go wypowiedź Piłsudskiego na poufnym posiedzeniu Tymczasowej Rady Stanu w dniu 25 maja 1917 roku, gdzie określił Polskę jako „środkowy punkt pomiędzy chaosem rosyjskim a zniechęconymi Niemcami, [...] punkt oparcia dla tych, którzy chcą nareszcie wyjść z tej sytuacji”. Aby stać się takim punktem w rzeczywistości, nie tylko w teoretycznej koncepcji, Polska potrzebowała wojska – szukać go można było w tym momencie tylko w Rosji.³¹ Pogląd swój w tej sprawie szerzej wyłożył Piłsudski w tym samym czasie jednemu z bliższych swoich młodych powierników z POW, Bogusławowi Miedzińskiemu, gdy w przewidywaniu możliwości rychłego aresztowania przez niemieckie władze okupacyjne przekazywał mu instrukcje wytyczające kierunek dalszego działania. Miedziński miał jechać jako emisariusz do Rosji z wyraźnie postawionym zadaniem: „Nie mieszać się do wewnętrznych walk rosyjskich. Wyciągnąć jak najwięcej Polaków z wojska rosyjskiego. Ściągać ich jak najbliżej kraju”.³² Zgodnie ze spisaną po latach relacją Miedzińskiego, Piłsudski już w tym momencie przewidywał, że po zakończeniu wojny światowej o losach wschodu Europy decydować będzie przede wszystkim realna siła, jaką wówczas będą prezentowali poszczególni kandydaci do narzucenia swego porządku politycznego na tym obszarze. „Liczyć się musimy z tym, że wśród rządów koalicji będzie tendencja do pozyskania sobie Rosji; a i ze strony Rosji samej, jeśli nawet będzie demokratyczna czy liberalna, będziemy mieli pretensje do kresów. Sondowałem już tę sprawę w rozmowach z nimi przed wojną i wiem, że to nie pójdzie gładko. (...) Tu na wschodzie będziemy prawdopodobnie stali z Rosją oko w oko. Musimy być tak silni, żeby się móc Moskałom nie dać i żeby konferencja pokojowa wiedziała, że jeśli będą chcieli

31. J. Piłsudski, „Pisma zbiorowe”, t. 4 (pod red. W. Lipińskiego), Warszawa 1937, s. 182.

32. B. Miedziński, „Wspomnienia”, cz. 4, *Zeszyty Historyczne*, nr 36, Paryż 1976, s. 178.

nam zrobić krzywdę, to możemy zacząć nową burzę”.³³

Tak jak w 1905 roku, podobnie i teraz, Piłsudski nie chciał, żeby Polska wystąpiła jako strona w rozpetanej przez rewolucję i zaostrzającej się z każdym miesiącem wewnętrzną walce sił politycznych w Rosji. Samodzielne stanowisko wobec Rosji, każdej Rosji, Polska mogła zdobyć wyłącznie przez odbudowanie własnej mocy militarnej i wykorzystanie przejściowego osłabienia wschodniego imperium przez wojnę i rewolucję. Dopiero wówczas miał nadejść czas właściwej rozgrywki, w której przyda się uprzednie wyróżnienie wewnątrz rosyjskiego tygła tych formacji czy ugrupowań, z którymi – acz nie gładko, a więc nie bez argumentu polskiej realnej siły przede wszystkim – będzie można jednak łatwiej niż z innymi dojść do jakiegoś *modus vivendi*.

Nowym planom Piłsudskiego wychodziła naprzeciw rezolucja zgłoszona 8 czerwca na Zjeździe Związku Wojskowych Polaków w Piotrogradzie, by honorowym przewodniczącym Zjazdu wybrać właśnie legendarnego Komendanta I Brygady. Piłsudski rozważał nawet przejściowo możliwość potajemnego przedostania się przez linię frontu i objęcia faktycznego, nie tylko honorowego przywództwa nad wojskami polskimi tworzącymi się w Rosji oraz rozpoczęcia rozmów politycznych z przywódcami głównych nurtów rewolucji.³⁴ Świadomy jednak słabości swoich atutów w takiej rozgrywce w tym momencie, wybrał oczekiwanie na spodziewany areszt dokonany przez Niemców, który umocnić miał go w roli męczennika sprawy niepodległości i niekwestionowanego jej lidera. Po zatrzymaniu Piłsudskiego 22 lipca 1917 roku, przez ponad 15 miesięcy politykę wobec Rosji mieli prowadzić jego zaufani podkomendni, zorganizowani w POW, a także w nowym tajnym porozumieniu politycznym niepodległościowej lewicy – Konwencie Organizacji A.

W zadaniu budowy wojska polskiego w Rosji i własnych w nim politycznych wpływów, napotkać oni musieli problemy wynikające zarówno z niekonsekwentnej polityki władz

33. Tamże, s. 180.

34. Zob. m.in. L. Wasilewski, dz. cyt., s. 149-150; M. Sokolnicki, „Józef Piłsudski a zagadnienie...”, s. 60-62; B. Miedziński, „Wspomnienia”, cz. 4, s. 169-172.

Rosji, jak i ze sprzecznych stanowisk we wpływowych kołach politycznych polskich w Rosji w tej kwestii, jak wreszcie z nasilającego się rozkładu samej armii, w której hasła i wpływy komunistyczne docierały także do żołnierzy-Polaków.

Już 5 kwietnia minister wojny w Rządzie Tymczasowym, Aleksander Guczkow, zaproponował w poufnym liście do premiera ks. Jerzego Lwowa, by rozważyć możliwość wyodrębnienia z armii rosyjskiej wojska polskiego, co byłoby logicznym dopełnieniem wcześniejszej odezwy Rządu do Polaków, a zarazem mogłoby pozwolić na stworzenie z powołanej za zgodą rosyjskich czynników polskiej armii „oparcia dla naszych przyszlých wpływów w obrębie nowego organizmu państwowego”.³⁵

Ideę tworzenia polskiej armii w Rosji poparły entuzjastycznie środowiska Narodowej Demokracji, które pragnęły wykorzystać w ten sposób możliwość zdecydowanego wzmocnienia stanowiska Polski w obozie Ententy. Koncepcji tej przeciwstawiły się natomiast wrogo nastawione do endecji ugrupowania o orientacji liberalnej i centrolewicowej (w tym także kierownictwo PPS-Frakcji i POW w Rosji, zmyłone przejściowo dyrektywami otrzymanymi na wspomnianej wyżej majowej konferencji w Sztokholmie z wysłannikami Tymczasowej Rady Stanu). Ich przedstawiciele nie wierzyli w możliwość pokonania państw centralnych i chcieli trzymać się kursu politycznego obowiązującego w Polsce zapowiedzianej przez Niemcy i Austrię aktem 5 listopada. Współpracujący ściśle z wpływowym w aktualnych kołach rządowych Rosji Aleksandrem Lednickim, przewodniczącym utworzonej 28 marca Komisji Likwidacyjnej, mającej przeprowadzić ostatecznie prawne oddzielenie Królestwa Polskiego od państwa rosyjskiego, zwolennicy tej linii na zwołanym w maju w Moskwie Kongresie Demokracji Polskiej uznali oficjalnie autorytet utworzonej przez państwa centralne Tymczasowej Rady Stanu. Naturalnie jeszcze ostrzej od nich przeciwko tworzeniu polskiej armii z rozpadającego się wojska byłego

35. Pismo ministra spraw wojskowych A. Guczkowa do prezesa rządu Tymczasowego G. Lwowa, 23 III (5 IV) 1917, w: „Materiały archiwalne do historii stosunków polsko-radzieckich”, t. 1, oprac. A. Zatorski, Warszawa 1957, s. 22-23.

imperium występowały ugrupowania radykalnie lewicowe – SDKPiL oraz PPS-Lewica.³⁶

W tej sytuacji zwołany do Piotrogradu w czerwcu (7-22) Zjazd Wojskowych Polaków podzielił się. Większość, która wyłoniła swe władze w postaci Naczelnego Polskiego Komitetu Wojskowego (Naczelny z Władysławem Raczkiewiczem jako prezesem), opowiedziała się za stworzeniem odrębnej i nierozdzielnej polskiej siły zbrojnej. Miała ona być użyta na froncie austriacko-niemieckim, w żadnym zaś wypadku w jakiegokolwiek akcji wewnętrznej w Rosji. W tym duchu Zjazd wystosował apel do władz rosyjskich. Mniejszość delegatów, związana z lewicą, w tym zdeorientowani przedstawiciele POW i PPS-Frakcji, opuściła Zjazd i na własnym, tzw. I Zjeździe Wojskowych Polaków (Lewicy) zaprotestowała przeciwko tworzeniu samodzielnej polskiej siły zbrojnej w Rosji, jako działaniu sprzecznemu ze stanowiskiem Kraju i „naturalnego sprzymierzeńca sprawy polskiej – rewolucyjnej demokracji rosyjskiej”.³⁷ Przejściowo przyłączyli się do nich delegaci skrajnej lewicy, którzy równolegle powołali w Piotrogradzie „Polski Wojskowy Klub Rewolucyjny”. Po stronie większości opowiadającej się za tworzeniem polskiego wojska w Rosji znaleźli się jego przyszli główni organizatorzy: związany z Narodową Demokracją generał Józef Dowbór-Muśnicki, a także pułkownik Lucjan Żeligowski. W grupce „Klubu Rewolucyjnego” znalazł się natomiast m.in. późniejszy dowódca „Polskiej Armii Czerwonej”, chorąży Roman Łągwa. Polityczna i wojskowa akcja wysłanników Piłsudskiego, którzy mieli zmienić dotychczasową orientację POW w Rosji, choć będzie skierowana w stronę wsparcia działań podjętych przez Naczelny, będzie w punkcie swego startu ulokowana faktycznie między owymi dwoma biegunami.

36. Zob. m.in. H. Bagiński, „Wojsko Polskie na Wschodzie...” s. 115-120; L. Grosfeld, „Polskie formacje...”, s. 30-38; por. S. Grabski, dz. cyt., t. 1, s.297-299, t.2, s. 15-19.

37. Zob. tekst rezolucji Zjazdu Wojskowych Polaków w Piotrogradzie w: M. Seyda, „Polska na przełomie dziejów”, t. 2, Poznań 1936, s. 148-149; tekst rezolucji I-szego Zjazdu Wojskowych Polaków (Lewicy) w: W. Szczesny, „Kwestia Wojska Polskiego w Rosji w 1917 r.”, Warszawa 1936, s. 179.

Sprawę budowy polskiego wojska, wysuniętą przez piotrogrodzki Zjazd Wojskowych, zahamowało nieprzychylnie nastawienie nowego ministra spraw wojskowych Rządu Tymczasowego, Aleksandra Kiereńskiego (od 5 do 19 maja). Wkrótce drugi, i ostatni, premier Rządu Tymczasowego, podejmował wówczas rozpaczliwe próby zmobilizowania armii rosyjskiej do jeszcze jednego wysiłku na froncie i wydzielanie jednostek na zasadzie narodowej uważał za szkodliwe dla jedności i dyscypliny wojska. Nie ukrywał także, jak widzi dopuszczalne granice politycznych ambicji Polaków. W jednym ze swych zagrzewających do walki przemówień, 30 maja w Odessie, zaapelował wprost o odbicie z rąk wroga odwiecznie rosyjskich miast: Wilna i Kowna – co naturalnie nie pozostało niezauważone.³⁸

Zabiegi polityków narodowej demokracji, naciskających poprzez swe wpływy w gabinetach mocarstw zachodnich na wymuszenie na rządzie rosyjskim zgody na formowanie rzeczywistej polskiej siły zbrojnej na froncie wschodnim, a z drugiej strony uznanie sensowności tej propozycji przez część zde gustowanej postawą własnych żołnierzy generalicji rosyjskiej, przeważały ostatecznie, doprowadzając do wydania w końcu lipca decyzji gen. Ławra Kornilowa, nowego naczelnego wodza armii rosyjskiej, który zalecił dowódcy frontu zachodniego, gen. Antonowi Denikinowi stworzenie odrębnego korpusu polskiego. Na czele korpusu postawiony został gen. Józef Dowbór-Muśnicki.³⁹

Czynnikiem, który także wpłynął ostatecznie na wydanie zgody przez rosyjskie naczelne dowództwo na polski korpus była próba przeprowadzenia puczu podjęta przez bolszewików w początkach lipca. Walka wewnętrzna w ramach rewolucji rosyjskiej wchodziła w decydującą fazę. Oddanie naczelnej komendy nad wojskiem generałowi Kornilowowi, uprzednio dowódcy Frontu Południowo-Zachodniego, zdecydowanemu

38. Zob. polemikę polskiego *Dziennika Piotrogrodzkiego*, cytowaną w: „Z Dokumentów Chwili”, XI., 28 VI 1917, s. 5.

39. Zob. m.in. J. Dowbór-Muśnicki, „Krótki szkic do historii I-go Polskiego Korpusu”, t. 1 (wyd. 2), Warszawa 1919, s. 64-66; H. Bagiński, dz. cyt., s. 124; M. Wrzosek, „Polskie Korpusy Wojskowe w Rosji w latach 1917-1918”, Warszawa 1969; L. Grosfeld, „Polskie reakcyjne...”, s. 39-41.

zwolennikowi przywrócenia dyscypliny w armii i rozprawienia się z groźbą kolejnej próby bolszewickiego przewrotu, miało być ostatnią szansą powstrzymania rozkładu państwa i wojska. Inicjatorem tej nominacji był komisarz polityczny Frontu Południowo-Zachodniego, Borys Sawinkow, sam mianowany na przełomie lipca i sierpnia faktycznym kierownikiem Ministerstwa Spraw Wojskowych. Słynny dawniej bojowic terrorystycznej organizacji socjalistów-rewolucjonistów próbował odgrywać rolę pośrednika między nowym premierem, Aleksandrem Kiereńskim a Korniłowem, by ocalić Rosję przed bolszewikami. Kiereński, reprezentujący niebolszewicką lewicę, pragnął „bronić zdobyczy rewolucji” przed groźbą powrotu „carskiej reakcji”, ale zarazem chciał również uchronić państwo przed zamachem przygotowywanym niemal otwarcie przez bolszewików. Korniłow mógł wykonać skutecznie drugą część tego zadania, gdy jednak w końcu sierpnia rozpoczął przygotowania do jego wypełnienia, wydając rozkazy do koncentracji zaufanych oddziałów wokół Piotrogradu, został potraktowany przez Kiereńskiego jako buntownik, organizator „reakcyjnego” puczu wojskowego. Korniłow został aresztowany i wraz z grupą około trzydziestu swoich zwolenników, najwybitniejszych dowódców czynnej jeszcze armii rosyjskiej, osadzony w twierdzy w Bychowie. Droga do sukcesu kolejnego puczu bolszewików była otwarta.⁴⁰

Organizujący się dopiero I Korpus Polski Dowbora-Muśnickiego nie mógł odegrać w wydarzeniach z końca sierpnia żadnego udziału. Zgodnie z założeniami towarzyszącymi zgodzie na jego formowanie miał jednak odrywać rolę stabilizującą na zapleczu Frontu Zachodniego. W tej roli właśnie jednostkom Korpusu powierzona została straż nad dawną twierdzą pograniczną Rzeczypospolitej w Bychowie, gdzie uwięziony został Korniłow i oskarżeni o sprzyjanie mu generałowie. Znaleźli się tu m.in. Anton Denikin, Iwan Romanowski, Siergiej Markow, Aleksander Łukomski, Abraham

40. Zob. m.in. R. Pipes, „The Russian Revolution”, New York 1990, s. 439-464 (Pipes podważa ugruntowaną w komunistycznej historiografii tezę o istnieniu „spisku Korniłowa”, planowo przygotowującego obalenie Rządu Tymczasowego); K. Wędziągłowski, „Pamiętniki”, Warszawa 1989, s. 124-149.

Dragomirow – w niedalekiej przyszłości mieli oni tworzyć kościec dowództwa „białych” armii, które rzucą wyzwanie zwycięskim bolszewikom. Polskie oddziały uchroniły ich przed samosądem żołnierskich sowietów, wystawiając wzmocnione warty z karabinami maszynowymi, gdy tylko przechodziły w pobliżu eszelony zdemoralizowanych jednostek rosyjskich. „Stosunek Polaków do więźniów bychowskich był prawdziwie rycerski” – notował po latach Denikin, a jego biograf zwraca uwagę na duchowy dramat, jaki Denikin i jego towarzysze niedoli musieli przechodzić, gdy uświadamiali sobie, że przed śmiertelną groźbą ze strony rosyjskiego żołnierza strzegą ich „inorodcy” – Polacy. Gdy po zwycięstwie bolszewików w Piotrogradzie nad rosyjskimi generałami w Bychowie zawisło niebezpieczeństwo rychłej egzekucji, oficerowie 1 Korpusu Polskiego umożliwili ucieczkę pięciu pozostającym wciąż w Bychowie generałom (Korniłowowi, Denikinowi, Łukomskiemu, Romanowskiemu i Markowowi). Denikin otrzymał nawet od Polaków na drogę fałszywe papiery na nazwisko Aleksander Dąbrowski, zastępca szefa oddziału opatrunkowego I dywizji strzelców Korpusu. Uwolnieni generałowie ruszyli nad Don, gdzie organizował się pierwszy ośrodek zbrojnego oporu Rosjan przeciw bolszewikom.⁴¹

Sprawa tzw. puczu Korniłowa i jej bezpośrednie konsekwencje postawiły Polaków po raz pierwszy w obliczu fizycznej wręcz konieczności ustosunkowania się do konfliktu „dwóch Rosji”, które ochrzczono szybko dwoma kolorami: czerwonym i białym. Do konfliktu tego wciągani byli sami żołnierze tworzących się jednostek polskich. O ile Muśnickiemu udawało się utrzymać względną dyscyplinę w skoncentrowanych na Białorusi głównych oddziałach Korpusu, o tyle właśnie w związku ze sprawą Korniłowa ujawnił się bunt 17-tysięcznego pułku zapasowego rozlokowanego w Biełgorodzie na Ukrainie. Jego sowietyzacja nastąpiła ostatecznie 12 września. Wchodząc w orbitę wpływów Moskiewskiej Rady Delegatów Robotniczych i Żołnierskich, zyskał wkrótce po

41. Zob. m.in. D. Lechowicz, „Biełyje protiwo krasnyh. Sud’ba generała Antona Denikina”, Moskwa 1992, s. 138-146; L. Grosfeld, „Polskie reakcyjne...”, s. 64-65.

przewrocie bolszewickim miano „I Polskiego Rewolucyjnego Pułku”. W grudniu 1917 roku żołnierze tego właśnie pułku podjęli próbę zablokowania uwolnionego gen. Kornilowa, który wraz ze swymi towarzyszami z Bychowa, pod ochroną wiernego oddziału tekińców przejeżdżał koleją przez Biełgorod nad Don. Choć blokada okazała się nieskuteczna, zrewolucjonizowani żołnierze polscy zasłużyli na pochwałę bolszewickich *Izwestii* za wykazaną odwagę w walce z „reakcją”.⁴²

Przewrót dokonany przez bolszewików 7 listopada w Piotrogradzie i gwałtowny upadek władzy Rządu Tymczasowego postawiły na porządku dziennym pytanie, czy obszar politycznego manewru dla polskiej akcji niepodległościowej w Rosji (i wobec Rosji) skurczył się istotnie odtąd do taktycznego przynajmniej wyboru wyłącznie między „czerwonymi” i „białymi”, bolszewikami – i anty-bolszewikami, rewolucją i kontrewolucją? Pierwsze miesiące po przewrocie zdawały się potwierdzać istnienie takiej wyraźnej alternatywy. Przeprowadzone już pod władzą bolszewików listopadowe wybory do Zgromadzenia Ustawodawczego wykazały co prawda zdecydowaną przewagę politycznej sympatii Rosjan do partii socjalistów-rewolucjonistów, na którą padło blisko 18 milionów głosów, to jest przeszło 40% ogółu oddanych, podczas gdy na bolszewików 10 milionów (24%), zaś w głównych miastach Rosji w wyborczej walce równorzędnymi wobec bolszewików rywalami okazali się konstytucyjni demokraci (ponad 26% głosów w Piotrogradzie i ponad 36% w Moskwie). Kadetów, uznanych za politycznie najniebezpieczniejszych, bolszewicy wyeliminowali z legalnego życia publicznego już 28 listopada, bez cienia protestu ze strony pozostałych, niebolszewickich partii lewicowych. Bierność tych ostatnich potwierdził zdecydowanie los samego Zgromadzenia Ustawodawczego, które zebrało się 5 stycznia i wkrótce po wyborze swego przewodniczącego – partnera rozmów z Piłsudskim i Jodką z 1914 roku, lidera eserów Wiktora Czernowa – zostało bez żadnego oporu zebranych rozwiązane pod naciskiem uzbrojonych bolszewików. W obawie przed sprowokowaniem wojny domowej, w której mogłoby dojść

42. Zob. DiM, t. 1, s. 184-185 (tekst artykułów *Izwestii*).

do zwycięstwa „reakcji”, większość eserowców i mniejsze-
wików wybrała w pierwszych miesiącach po zwycięstwie partii
Lenina bierność⁴³. Taktyczny sojusz bolszewików zawarty z
lewicowymi eserowcami i przejściowa ugoda z anarchistami,
trwające do wiosny 1918 roku, wzmacniały wrażenie, że
bolszewicy nie mają na lewicy poważnego wroga.

Zdecydowaną walkę z nowym reżimem ogłosili od po-
czątku generałowie, byli więźniowie Bychowa, którzy dołą-
czyli do pierwszego ośrodka zorganizowanego oporu przeciw
bolszewikom, jaki skupił się nad Donem, na apel atamana
kozaków dońskich Aleksego Kaledina. Tam, w Nowoczerkas-
ku, generał Michaił Aleksiejew, były szef sztabu generalnego
i naczelny wódz, zawiązał ze zbiegłych nad Don oficerów,
junkrów i studentów organizację wojskową, która w grudniu
przyjęła nazwę Armii Ochotniczej. Do niej jeszcze w tym
samym miesiącu dołączyli generałowie Korniłow, Denikin,
Łukomski, Romanowski, i Markow. Aleksiejew przyjął na
siebie polityczną reprezentację Armii, Korniłow objął ko-
mendę nad wojskiem, ataman Kaledin zachował zwierzchność
nad Obwodem Wojska Dońskiego. Kozacy Kaledina i nie
przekraczająca 4 tysięcy żołnierzy Armia Ochotnicza – to na
progu 1918 roku były główne, jeżeli nie całe siły antybol-
szewickiej Rosji.⁴⁴

Mimo odwołań samego Kaledina i Aleksiejewa do hasel
obrony obalonego przez bolszewików koalicyjnego Rządu
Tymczasowego, w zebranej nad Donem grupie carskich gene-
rałów, doświadczonych w większości osobiście przez niezde-
cydowanie tegoż Rządu w walce z bolszewickim zagrożeniem,
nietrudno było dojrzeć nastawienie nie tylko antybolsze-
wickie, ale antyrewolucyjne. Kwestią otwartą stawała się ich
gotowość do potwierdzenia tych elementarnych ustępstw,
które Rosja republikańska uczyniła wcześniej w stosunku do
nierosyjskich narodów imperium i ich niepodległościowych
(jak w przypadku Polski), bądź autonomicznych dążeń. Jasne

43. Zob. R. Pipes, dz. cyt., s. 537-565.

44. Zob. R. Wojna, „W ogniu rosyjskiej wojny wewnętrznej 1918-
1920”, Warszawa 1975, s. 28-36; R. Pipes, „Russia under the Bolshevik
Regime”, New York 1993, s. 15-23.

było także, że żadnych dalszych ustępstw w tej materii nie można się było w kręgu rosyjskich patriotów z Armii Ochotniczej spodziewać.

Ta kwestia najżywotniej dotyczyła Polski. W ramach koncepcji politycznej kręgu Piłsudskiego tu właśnie – w wyciągnięciu spod panowania Rosji narodów jej zachodnich okrain, od Finlandii po Kaukaz, z Ukrainą jako centralnym ogniwem tego pasa – znajdował się klucz do zabezpieczenia polskiej niepodległości.⁴⁵ Tu był zasadniczy sprawdzian możliwości ułożenia stosunków z Rosją.

Władza bolszewików rozpoczynała swą propagandową działalność od „gwarancji wszystkim narodom zamieszkującym Rosję rzeczywistego prawa do samookreślenia”, wzmocnionych w tydzień później, 15 listopada, Deklaracją Praw Narodów Rosji. Realizacją tych praw miał się zająć specjalnie powołany w tym celu Ludowy Komisariat d/s Narodowości – pod kierunkiem podpisanego obok Lenina pod Deklaracją Josifa Wissarionowicza Stalina. Warto dodać, że wówczas mało komu znany poza własną partią Gruzin, pamiętany przez socjalistów polskich tylko z okresu jego pobytu w Krakowie w 1912 roku, nie budził żadnych złowrogich skojarzeń.

Naprzód, główny organ socjalistów związanych z akcją niepodległościową, powitał więc pucz bolszewicki niemal entuzjastycznym artykułem wstępnym pod tytułem „Lenin”. „My, Polacy – głosił wstępniak w *Naprzód* z 14 listopada – mamy jeszcze jeden powód do sympatyzowania z Leninem, bo oto spośród wszystkich terazniejszych stronnictw rosyjskich jedynie stronnictwo Lenina, czyli partia bolszewików, stoi bezwarunkowo i szczerze, bez żadnych zastrzeżeń i po-

45. Zob. przypominającą w tym momencie główne założenia polityki federacyjnej obozu Piłsudskiego publikację L. Wasilewskiego: „O wschodnią granicę państwa polskiego”, Warszawa 1917; por. także, K. Grünberg, „Polskie koncepcje federalistyczne 1864-1918”, Warszawa 1971, s. 267-269; B. Stoczewska, „Litwa, Białoruś, Ukraina w myśli politycznej Leona Wasilewskiego”, Kraków 1998, s. 103-112 (autorka zwraca uwagę na przewagę stanowiska inkorporcjonistycznego w publicystyce Wasilewskiego czasu I wojny – aż do rewolucji lutowej, która pozwoliła w swych konsekwencjach odnowić nadzieje na możliwość realizowania idei federacyjnej).

drywek, na stanowisku niepodległości Polski”.⁴⁶ Bardziej doświadczony od redaktorów *Naprzód* we wcześniejszych kontaktach z bolszewikami, Piłsudski był w niemieckim więzieniu. Leon Wasilewski, główny specjalista w tej dziedzinie, odstawiający wcześniej wielokrotnie na łamach prasy PPS i w odrębnych broszurach zdecydowanie centralistyczne i „wszechrosyjskie” stanowisko partii Lenina w sprawach narodowościowych, koncentrował w tym momencie swoją uwagę na poszukiwaniu kontaktów z przedstawicielami ententofilskich grup politycznych Słowian monarchii habsburskiej.

W takiej sytuacji PPS-Frakcja w Rosji, faktycznie wciąż odcięta od stałego kontaktu z ośrodkiem decyzyjnym akcji niepodległościowej w kraju, na swej II konferencji, która obradowała w Kijowie między 10 i 15 listopada, opowiedziała się po stronie bolszewików. Jeden z autorów tej decyzji, Jan Kwapiński, tak tłumaczył jej motywy: „W sprawie przewrotu [bolszewickiego – AN] stwierdzono, że przewrót został dokonany przez partie rosyjskie (bolszewicy, lewi eserzy i anarchiści), że w chwili obecnej, kiedy mamy fakt przewrotu dokonany, nie chcemy się solidaryzować z kontrrewolucją, tym bardziej, że w sprawach narodowościowych Rada Komisarzy Ludowych proklamowała uroczyste prawo stanowienia o sobie podbitych narodów”⁴⁷. 14 grudnia przedstawiciele PPS-Frakcji weszli, obok działaczy SDKPiL oraz PPS-Lewicy do Rady powołanego przez Stalina w ramach Komisariatu d/s Narodowości odrębnego Komisariatu Polskiego, kierowanego przez Juliana Leszczyńskiego-Leńskiego.⁴⁸

Zanim praktycznie sprawdzić można było istotne założenia polityki bolszewików w dziedzinie prawa narodów do samostanowienia, a w szczególności w stosunku do niepodległej Polski, zanim także pojawi się perspektywa lewicowej, nie „kontrrewolucyjnej” i nie neoimperialnej alternatywy wobec ich panowania w Rosji, praktycznie najważniejszym

46. Lenin, *Naprzód*, nr 62 z 14 XI 1917, s. 1.

47. J. Kwapiński, „Moje wspomnienia 1904-1939”, Paryż 1965, s. 117; por. J. Holzer, „Polska Partia Socjalistyczna w latach 1917-1919”, Warszawa 1962.

48. Zob. DiM, t. 1, s. 182-183 i 202-203; W. Sukiennicki, dz. cyt., s. 460-462.

testem intencji nowych władz w Piotrogradzie i Moskwie stała się dla polskiego obozu niepodległościowego sprawa polskich formacji wojskowych w Rosji.

Kryzys w tej dziedzinie dojrzał nieuchronnie, z chwilą, gdy Trocki przystąpił do ostatecznej demobilizacji starej armii i organizowania od podstaw nowej, całkowicie pewnej, poddanej ścisłej kontroli politycznej Armii Czerwonej. Uprzedzając zbliżające się rozbrojenie i „demokratyzację” swego Korpusu, gen. Dowbór-Muśnicki 24 stycznia przestrzegł bolszewicką kwaterą główną, że gotów jest stawić zbrojny opór. W odpowiedzi bolszewicki naczelny wódz Mikołaj Krylenko wyjął spod prawa Dowbora i wszystkich jego oficerów, którzy nie oddadzą broni. Na przełomie stycznia i lutego 1918 roku rozpoczęła się faktyczna walka zbrojna między wojskiem polskim i sowieckim. (Nie zapobiegła jej misja mediacyjna, wysłana przez Polski Komisarjat – z udziałem m.in. Romana Łągwy, Józefa Unszlichta i Kazimierza Pużaka.) Zgodnie z wydanym przez Dowbora rozkazem z 30 stycznia oddziały Korpusu zajęły miasto i twierdzę Bobrujsk, węzeł kolejowy w Rohaczewie, a także Orszę – co mogło odciąć główną kwaterę sowieckiego naczelnego dowództwa w Mohylowie od Moskwy i Piotrogradu. Ściągnięte w krytycznej sytuacji przez bolszewików oddziały łotewskich strzelców Joachima Vacetisa 13 lutego zatrzymały postępy polskich jednostek pod Mohylowem.⁴⁹

Cztery dni później sytuację militarną i polityczną na całym wschodzie Europy zmieniło wznowienie ofensywy niemiecko-austriackiej, która była rezultatem ryzykownej taktyki Trockiego – „ani wojna, ani pokój” – w trwających od grudnia rokowaniach bolszewików z państwami centralnymi w Brześciu. Niemcy i ich sprowadzony do roli satelity austriacki sojusznik nie tylko zajęli bez oporu cały obszar przedrozbiorowej Rzeczypospolitej, ale wcześniej już politycznie potwierdzili otwarcie swoją wolę całkowitego podporządkowania sobie tego ogromnego obszaru. Zawarty 9 lutego w Brześciu układ państw centralnych z reprezentującą

49. Zob. W. Sukiennicki, dz. cyt., s. 462-470; L. Grosfeld, „Polskie reakcyjne...”, s. 74-75; M. Wrzosek, dz. cyt.

Ukrainę Centralną Radą poprzez odstąpienie nowemu państwu ukraińskiemu Chełmszczyzny (wykrojonej z Królestwa Polskiego) przekreślał ostatecznie możliwość pogodzenia polskiej orientacji niepodległościowej z polityką Niemiec i Austro-Węgier. Upadały także nadzieje na satysfakcjonujące Polaków austro-polskie rozwiązanie. Polityczna funkcja stworzonej pod patronatem Niemiec wielkiej Ukrainy miała w ramach projektu *Mittleuropy* ostrze wymierzone nie tylko przeciw nadmiernym zdaniem niemieckich sztabowców apetytom Polaków, ale przede wszystkim przeciw odrodzeniu potęgi rosyjskiej, która mogłaby zagrozić niemieckiej dominacji nad Europą Środkową i Wschodnią.

Podpisując 3 marca drugi traktat podyktowany przez państwa centralne w Brześciu, bolszewicy znaleźli się niemal w takim samym stopniu na łasce i niełasce niemieckich generałów, jak politycy mniejszych narodów *Mittleuropy*, aspirujących do znalezienia własnego miejsca w nowym porządku geostrategicznym europejskiego Wschodu. Stali się przymusowymi sojusznikami Niemiec, jedynymi w Rosji, którzy byli gotowi zaakceptować warunki pokoju spychającego dawne imperium do stanu przypominającego Rzeszę niemiecką po pokoju westfalskim. Jako sojusznik Niemiec *de facto*, Rosja pod rządami bolszewików wypadła ostatecznie z obozu Ententy. Mocarstwa zachodnie, dopóki trwała wojna z Niemcami, były zainteresowane odtworzeniem frontu wschodniego lub bodaj przeciwdziałaniem możliwemu oddaniu do dyspozycji państw centralnych zgromadzonego w portach północnej i południowej Rosji materiału wojennego. W marcu, od lądowania kilkusetosobowego kontyngentu brytyjsko-francuskiego w Murmańsku rozpoczęły się praktyczne próby zablokowania przez aliantów zachodnich dostępu Niemców (w tym wypadku także Finów) do strategicznych portów, które dawały Entencie dostęp do Rosji. Narodowe jednostki wojskowe – jak czeskie czy polskie – pozostające na terenie Rosji bolszewickiej i pragnące dorzucić swój wysiłek zbrojny do walki mocarstw zachodnich przeciw państwom centralnym, musiały teraz szukać bezpośredniego wsparcia Ententy bądź drogi ewakuacji z Rosji.

Przeciwko bolszewikom, którzy zdawali się przyjmować

na siebie rolę marionetek w rękach niemieckich strategów, mobilizowała się mocniej patriotyczna opinia Rosjan, sprzyjając rozwojowi podziemnej opozycji. W nowej sytuacji mogła ona także liczyć na zainteresowanie, a nawet pomoc – bodaj materialną – ze strony mocarstw zachodnich. Z drugiej strony, zwolennicy restauracji monarchii w Rosji mogli teraz stawiać na porozumienie z nowymi – zdawało się – panami sytuacji, z kuzynem zdetronizowanego Mikołaja, cesarzem Wilhelmem i jego polityczno-wojskowym otoczeniem, które po ostatecznym zwycięstwie mogło obrzydzić sobie bolszewickich sojuszników. Historia Europy Wschodniej po raz kolejny od 1914 roku przyspieszała swój bieg, mnożąc możliwe scenariusze dalszego swego rozwoju.

W tak zmieniający się polityczny kontekst miały wpisać się pierwsze efektywne misje skierowane do Rosji z obozu stworzonego przez Piłsudskiego. Rokowania pokojowe bolszewicko-niemieckie, a potem *Pax Germanica*, ułatwiły praktycznie komunikację między Polską centralną a odciętymi wcześniej przez front obszarami wschodu. Pierwszy konkretny pomysł misji narodził się już w początkach stycznia 1918 roku w czasie spotkania Tadeusza Hołówki z Januszem Jędrzejewiczem w Warszawie. Hołówko uzyskał na swą wyprawę na wschód pełnomocnictwa CKR PPS-Frakcji (od Jędrzeja Moraczewskiego) oraz Komendy Naczelnej POW (od Edwarda Śmigłego-Rydza, który podobnie jak Moraczewski, reprezentował także ścisłe kierownictwo Konwentu Organizacji A). Główne zadanie, jakie otrzymał Hołówko, dotyczyło formujących się po stronie rosyjskiej oddziałów polskich, które należało maksymalnie wzmocnić, a zarazem uzyskać w nich wpływy polityczne dla odciętego dotąd od nich obozu piłsudczykowski. Nie mniej ważne zadanie polegało na zapewnieniu zdecydowanie antyniemieckiej orientacji tego wojska i przekonanie do niej polityków PPS-Frakcji i działaczy POW, wciąż stojących na gruncie lojalności wobec Rady Regencyjnej.

Wykorzystując jednocześnie swoją w tym względzie przewagę ideologiczną, by tak rzec, nad rywalami z narodowej demokracji, zmierzającymi do podporządkowania sobie oddziałów polskich w Rosji, miał Hołówko wejść w kontakt

z rządem bolszewickim, by spróbować uzgodnić z nim tworzenie antyniemieckiej armii polskiej, pod kontrolą polityczną nie „reakcjonistów”, lecz uznających władzę Lenina w Rosji polskich socjalistów. Do pomocy Hołówce w kwestiach techniczno-wojskowych Śmigły dodał Przemysława Barthele de Weydenthała, byłego szefa sztabu III Brygady Legionów.⁵⁰

Znaczenie misji Hołówki wydawało się wzrastać jeszcze, gdy z 15 na 16 lutego w proteście przeciw podpisaniu przez państwa centralne krzywdzącego Polskę traktatu brzeskiego z Ukrainą oddziały dawnej II Brygady, a w owym momencie Polskiego Korpusu Posiłkowego, pod dowództwem Józefa Hallera, przeszły pod Rarańczą przez front na stronę rosyjską. Haller spotkał tutaj formujący się od grudnia 1917 roku II Korpus Polski, który powstawał z żołnierzy polskich służących na froncie rumuńskim rosyjskiej armii. Podpisanie 5 marca preliminarium traktatu pokojowego Rumunii z państwami centralnymi zmusiło połączone z Hallerczykami oddziały II Korpusu do ewakuowania się z Besarabii na Ukrainę – poza zasięg kontroli Niemiec i Austro-Węgier. Skoncentrowany ostatecznie pod Humanem, a następnie Kaniowem, II Korpus przeszedł w końcu marca pod komendę Hallera, który zastąpił dogłębnie zrusyfikowanego generała W. Stankiewicza (ten ostatni przeszedł wkrótce na służbę do Armii Ochotniczej pod rozkazy gen. Antona Denikina).⁵¹

Naturalny kierunek działania Hołówki wytyczał także III Korpus Polski, również formowany od grudnia 1917 roku. Organizowany pod dowództwem gen. Eugeniusza Henninga de Michaelisa w centralnej Ukrainie, wszedł początkowo w konflikt z Ukraińską Centralną Radą, zażegnany przejściowo wobec wspólnego niebezpieczeństwa ze strony nacierających na Kijów wojsk bolszewickich. Jednostki III Korpusu stacjonujące w Kijowie wzięły w pierwszych dniach lutego udział w walkach z nacierającymi na miasto bolszewikami, po czym

50. Zob. T. Hołówko, „Przez dwa fronty. Ze wspomnień emisariusza politycznego z 1918 roku. Z Warszawy do Kijowa”, Warszawa 1931, s. 13-29; por. I. Werschler, dz. cyt., s. 71-74; T. Nałęcz, „POW...”, s. 156-158.

51. Zob. m.in. S. Aksamitek, „Generał Józef Haller. Zarys biografii politycznej”, Katowice 1989, s. 77-89. H. Bagiński, dz. cyt., s. 355-360 i 483-484; W. Sukiennicki, dz. cyt., s. 756-758.

wycofały się do Żytomierza, a następnie do Starokonstantynowa i Antonin, gdzie zastała je ofensywa austriacko-niemiecka.

Ani w II Korpusie u Hallera, ani w III u Henninga de Michaelisa nie udało się uzyskać zgody na ich polityczne podporządkowanie planom POW. Również misja Hołówki jako rzeczownika polskich oddziałów wojskowych u miejscowych władz sowieckich nie przyniosła trwałego powodzenia. Wobec ofensywy niemiecko-austriackiej myśl o tworzeniu polskiej armii odpowiadającej założeniom Konwentu Organizacji A i Komendy POW trzeba było przenieść na teren dalej odsunięty poza zasięg państw centralnych. Hołówko, poparty przez swego ambitnego „doradcę wojskowego”, pułkownika Bartę, uznał z początkiem marca, że należy udać się bezpośrednio do Moskwy, dokąd przenieśli swą stolicę bolszewicy, by spróbować uzyskać zgodę ich rządu „na tworzenie armii polskiej gdzieś nad Wołgą”.⁵²

Mimo, iż Hołówko dotarł do Moskwy dopiero w pierwszych dniach kwietnia, już po ratyfikowaniu drugiego traktatu brzeskiego, nie zrezygnował z przekonania przywódców bolszewickich do swego planu, wychodząc z założenia, że zbrojny konflikt Rosji sowieckiej z Niemcami może być w każdej chwili wznowiony i zdyscyplinowane oddziały polskie, pod socjalistyczną kontrolą ideową, będą przydatne w takim wypadku także Leninowi i Trockiemu. Hołówko, korzystając z pomocy towarzyszy z PPS-Frakcji, współpracujących z Komisarjatem Polskim, spotkał się istotnie i z Leninem, i z Trockim, jak również ze stojącym na czele Komisarjatu Spraw Zagranicznych Georgijem Cziczerinem, a także z Nikołajem Murałowem, ówczesnym dowódcą moskiewskiego okręgu wojskowego. Gotów do współpracy wojskowej Murałow odesłał Hołówkę do Trockiego po decyzję polityczną, Trocki był jednak nastawiony do polskich „socjal-patriotów” zdecydowanie negatywnie. Dobijającego się o audiencję Hołówkę, któremu pomagał w tych staraniach Kazimierz Pużak, Trocki próbował odprawić przez sekretarkę, która zakomunikowała im, iż „Tow. Trocki nie może was przyjąć, gdyż nie wie, co

52. T. Hołówko, „Przez dwa fronty...”, s. 235.

to jest PPS”.⁵³ Dzięki legitymacji urzędnika Komisariatu Polskiego, jaką dysponował Pużak, obaj Polacy mogli dostać się jednak przed oblicze Trockiego. Ten wszakże nie pozostawił złudzeń, iż polskie formacje wojskowe, nawet jeśli nie mają charakteru otwarcie kontrrewolucyjnego, są zbyt słabe, by w perspektywie jego wielkich planów budowy Armii Czerwonej mieć jakiegokolwiek znaczenie dla bolszewików: „*Eto mielocz*”. W odpowiedzi zaś na pytanie, dlaczego w takim razie też przecież nie nazbyt liczne oddziały łotewskich strzelców cieszą się pełnym jego poparciem, reprezentanci CKR PPS-Frakcji usłyszeli zasadnicze stwierdzenie – „Łotysze, to naród chłopów, a łotewska SD była z nami zawsze w sojuszu, nie była separatystyczna, jak PPS, dążyła i dąży do federacji z Rosją sowiecką”.⁵⁴ Wizyta u Lenina nie przyniosła, rzecz jasna, zmiany tego stanowiska.⁵⁵ W maju Hołówko wrócił do Warszawy. Jego misja i wpisana w nią pierwsza próba nawiązania taktycznego przynajmniej porozumienia z bolszewickim rządem Rosji ze strony obozu Piłsudskiego skończyła się niepowodzeniem.

Charakterystyczne, że w instrukcji dla Hołówki, przygotowywanej jeszcze w styczniu 1918 roku, nie było najmniejszej wzmianki o możliwości porozumiewania się z ugrupowaniami rosyjskimi opozycyjnymi w stosunku do bolszewików lub bodaj rozpoznania ich stosunku do sprawy polskiej. Kolejna misja, skierowana przez Komendę POW i Konwent Organizacji A do Rosji miesiąc później, uwzględniała już tę możliwość. Główny emisariusz, Bogusław Miedziński, tak wspominał główne założenia politycznego mandatu, jakiego

53. K. Pużak, „Z moich wspomnień o Trockim”, *Robotnik* nr 1 z 1 I 1920 r., por. P. Wandycz „Czy Hołówko rozmawiał z Leninem i Trockim w 1918 roku?”, w: tenże, „Polska a zagranica”, Paryż 1986, s. 146-150; J. Holzer, dz. cyt., s. 115-116.

54. Tamże.

55. Spotkanie z Leninem opisał po latach K. Pużak w artykule „Z pobytu II-giej Brygady w Rosji (garść wspomnień)”, *Kronika Ruchu Rewolucyjnego w Polsce*, nr 4, X-XII 1938, s. 249-250; spotkanie z Czicherinem poświęcone dyskusji nad przyczynami pokoju brzeskiego, zrelacjonował sam Hołówko w artykule „O nowe podstawy społeczne”, *Rząd i Wojsko*, nr 7 z 15 III 1920 r., s. 5; por. I. Werschler, dz. cyt., s. 75-76; P. Wandycz, dz. cyt., s. 149.

w podziemnej kwaterze Komendy Naczelnej POW na Wawelu udzielił mu Edward Śmigły-Rydz: „Zadaniem moim było skoordynowanie pracy grup i stronnictw Obozu Niepodległościowego na wschodzie, ze stanowiskiem zajęтым przez nas w kraju. Jednocześnie zaś miałem zorientować się dokładnie w sytuacji powstałej na terenie imperium rosyjskiego, zbadać stosunek różnych grup rewolucyjnych rosyjskich do sprawy polskiej, przede wszystkim zaś zorientować się co do możliwości jakiegokolwiek współpracy między nami a bolszewikami, jeśli chodzi o przeciwstawianie się Niemcom. Mieliśmy bardzo niewiele wiadomości o tym, co się naprawdę dzieje na wschodzie, jaki jest rzeczywisty układ sił i jakie są perspektywy opanowania sytuacji przez trzy walczące ze sobą odłamy: bolszewików, przeciwstawiających się im socjalistów i współdziałających z nimi demokratów, wreszcie reakcjonistów, zmierzających do restauracji caratu”.⁵⁶

Wydaje się, że Miedziński mógł *ex post* nałożyć doświadczenia ze swej misji na treść jej pierwotnych założeń. W lutym 1918 roku nie były znane grupy socjalistyczne czy – szerzej mówiąc – lewicowej proveniencji, stawiające opór bolszewikom. Miedziński jako młody oficer POW, dopuszczony już w 1917 roku do najbliższej współpracy z Piłsudskim, był przez niego wtajemniczony w przedwojenne kontakty Komendanta z eserowcami. Szansa bezpośredniego nawiązania do tych wspomnień pojawiła się dopiero wiosną 1918 roku, gdy Miedziński wraz z dwoma innymi emisariuszami POW – kpt. Leopoldem Lisem-Kulą i ppor. Tadeuszem Schaetzelem dotarł do Kijowa.

Na fali protestu przeciw upokarzającemu pokojowi brzeskiemu krzepła w tym czasie polityczna opozycja antybolszewicka. Jednym z jej głównych organizatorów okazał się dawny znajomy – Borys Sawinkow, który po upadku Rządu Tymczasowego pospieszył nad Don, gdzie został przyjęty do tworzonej przez gen. Aleksiejewa Rady Politycznej Armii Ochotniczej. W tej samej Radzie znalazł się polski przyjaciel

56. B. Miedziński, „Wspomnienia”, cz. 5, *Zeszyty Historyczne*, z. 37, Paryż 1976, s. 74; tenże, „Wspomnienia”, cz. 4, *Zeszyty Historyczne*, z. 36, Paryż 1976, s. 186-187.

Sawinkowa, podobnie jak on, były komisarz polityczny armii Rządu Tymczasowego, Karol Wędziagolski. Sawinkow miał odpowiadać za propagandę zagraniczną sprawy „dobrowolców”; Wędziagolski za kwestie narodowościowe. Obaj nie darzeni zaufaniem przez carskich generałów, zostali wkrótce – w styczniu 1918 roku – wysłani znad Donu. Sawinkow miał skontaktować się z grupkami antybolszewickiej opozycji organizującej się w Moskwie. Wędziagolski mianowany został zastępcą przedstawiciela dyplomatycznego Armii Ochotniczej przy rządzie Centralnej Rady Ukraińskiej w Kijowie (szefem tej misji był Igor Demidow, były wiceminister w Rządzie Tymczasowym).⁵⁷ W Moskwie, już w ostatniej fazie rokowań brzeskich, Sawinkow przystąpił do montowania na własną rękę – bez ścisłego podporządkowania Armii Ochotniczej – nowej organizacji antybolszewickiej: Związku Obrony Ojczyzny i Wolności. Odrzucał w niej polityczne podziały na prawicę i lewicę, wykluczając tylko współpracę ze zdeklarowanymi monarchistami. Wydatnie wsparty finansowo w kwietniu przez francuską ambasadę, a także przez Tomasza Masaryka, który zjawił się w Moskwie, by negocjować z bolszewikami ewakuację Legionu Czeskiego, Związek Obrony stał się szybko najpoważniejszą podziemną organizacją antybolszewicką, rozciągającą swoją sieć od Moskwy do Kazania, Piotrogradu, Czelabińska i Kijowa.⁵⁸

Wędziagolski był eksponentem Związku w stolicy Ukrainy i on też stał się pośrednikiem w nawiązaniu stosunków między organizacją Sawinkowa a wysłannikami obozu Piłsudskiego. Sam skontaktował się z przybyłymi do naddnieprzańskiej stolicy oficerami POW za pośrednictwem dr Władysława Günthera, polskiego działacza demokratycznego z Kijowa, i wkrótce został zaprzysiężony jako członek piłsudczykowskiej konspiracji.⁵⁹ Bogusław Miedziński, mianowany Komendan-

57. Zob. K. Wędziagolski, „Pamiętniki”, Warszawa 1989, s. 252-263; R. B. Spence, „Boris Savinkov – Renegade on the Left”, Boulder-New York 1991, s. 183-185.

58. Zob. R. B. Spence, dz. cyt. s. 191-195.

59. Zob. W. Günther, „Pióropusz i szpada. Wspomnienia ze służby zagranicznej”, Paryż 1963, s. 18; K. Wędziagolski, dz. cyt., s. 279.; B. Wieniawa Długoszowski, „Wymarsz i inne wspomnienia”, oprac. R. Loth, Warszawa 1992, s. 194.

tem obejmującej całą Ukrainę, a wkrótce także i Rosję KN III POW, informował w raporcie z 10 maja swego zwierzchnika – Śmigłego-Rydza – o interesującym kontakcie: „Zadzierzgnąłem bardzo ciekawe stosunki z Rosjanami, tymi, których H. [ołówko] znaleźć nie mógł. ‘Związek obrony ojczyzny i wolności’ istnieje jednak, posiada stanowczo b. znaczne wpływy i siły. Kierownictwo znajduje się w Moskwie. H.[ołówko] go nie znalazł, gdyż jest bardzo zakonspirowane, oni zaś go nie zaczepiali, bo zajmował stanowisko przychylnie dla bolszewików, co z innych względów musiał robić.” Na podstawie wiadomości uzyskanych od Wędzigołskiego, Miedziński rekonstruował charakter Związku, przedstawionego mu jako całość, obejmującą akcję Armii Ochotniczej nad Donem i konspirację Sawinkowa. „Sojuz był początkowo reakcyjną robotą paczki generałów i kontrrewolucjonistów rosyjskich, operujących na południu. Jednak pod presją Anglików i Amerykan (!), którzy żądali od reakcjonistów demokratyzacji ruchu, celem pociągnięcia do niego inteligencji i zrażonych bolszewizmem sfer demokratycznych i od tego uzależniali poparcie materialne ruchu – oraz na skutek ostrego zerwania z bolszewikami s.d. mienszewików, ci ostatni wraz z kadetami weszli do ‘Związku’, nadali mu charakter demokratyczny, pociągnęli do organizacji szerokie sfery oficerstwa i rozpoczęli przygotowania do przewrotu – mającego na celu obalenie bolszewików, zaprowadzenie przez nowy tymczasowy rząd prawnych stosunków – odrzucenia haniebnego traktatu brzeskiego i wojnę z państw. [ami] centr. [alnymi]. [...] ‘Związek’ jest, rzecz prosta, bardzo przychylnie usposobiony dla Wojska Polskiego, szczególnie dla II Korpusu [Hallera – AN]. Liczyli oni bardzo na te siły, przypuszczając, że przeszedłszy na terytorium Rosji powiększą siły zdolne do oporu wobec Niemców, a przez to samo wzmocnią podstawy nowopowstałego drogą przewrotu rządu”.⁶⁰

Dla realizatorów koncepcji Piłsudskiego najważniejsze praktycznie pozostawało wciąż zadanie utrzymania stworzonego w Rosji wojska polskiego w dyspozycji zbliżającej się akcji niepodległościowej. Wymagała tego rozważana poważnie

60. Cyt. za: L. Grosfeld, „Polskie reakcyjne...”; s. 144-145.

wiosną i latem 1918 roku – w przewidywaniu niekonkluzywnego zakończenia wojny – idea wzbudzenia powstania skierowanego przeciw Austrii, jako słabszemu ogniwu łańcucha państw centralnych. Miarą użyteczności rosyjskiego partnera w takiej koncepcji była jego gotowość i zdolność do współdziałania z zagrożonymi rozbrojeniem przez Niemców jednostkami polskimi, bądź zapewnienia im przynajmniej spokojnej drogi ewakuacji. Z chwilą, gdy okazało się, że bolszewicy, nastawieni na ratującą ich skórę współpracę z Niemcami, absolutnie się do takiej roli nie nadają, uwagę i nadzieje Komendy POW na wschodzie musiała naturalnie przyciągnąć umacniająca się rosyjska opozycja antybolszewicka. Jej, tak mocno podkreślana w raporcie Miedzińskiego, „demokratyczna orientacja” miała charakter nie tylko swego rodzaju ideologicznego pomostu, ułatwiającego komunikację z lewicowym w swej genezie polskim ruchem niepodległościowym, ale także miała tworzyć zabezpieczenie przed zwrotem w kierunku sojuszu z Kaiserem.

Informator Miedzińskiego uświadomił mu siłę orientacji proniemieckiej wśród konserwatywnej, nie tylko monarchicznej, lecz także związanej z prawym skrzydłem konstytucyjnych demokratów opozycji antybolszewickiej w Rosji. Miedziński miał okazję przekonać się o tym osobiście dzięki zaaranżowanej przez Wędziagolskiego w Kijowie, 26 czerwca, rozmowie z przywódcą kadetów, pierwszym ministrem spraw zagranicznych w Rządzie Tymczasowym, Pawłem Milukowem. W rozmowie ze strony rosyjskiej brał udział również Igor Demidow (spotkanie odbywało się w jego mieszkaniu, na kijowskich Lipkach), a z polskiej, obok Wędziagolskiego i Miedzińskiego, także nowi emisariusze Konwentu Organizacji A i POW: Andrzej Strug oraz Michał Sokolnicki.⁶¹

61. K. Wędziagolski w swoich spisywanych po kilkudziesięciu latach wspomnieniach – „Boris Savinkov. Portrait of a Terrorist” (Clifton 1988, s. 112-113) oraz „Pamiętniki” (dz. cyt., s. 283-284) – stwierdza, że zaaranżował nie jedno a dwa tego rodzaju rosyjsko-polskie spotkania w Kijowie. Mieli w nich uczestniczyć, obok wymienionych wyżej, także Fiodor Rodiczew i książę Grigorij Trubiecki, zaś z Polaków także Bolesław Wieniawa Długoszowski oraz Tadeusz Schaetzel (przysłani w końcu kwietnia 1918 r. do Kijowa nowi emisariusze POW). Wieniawa w swoich barwnych,

Milukow, w przewidywaniu rosnącej interwencji mocarstw Ententy, dążących do odtworzenia frontu wschodniego, zakładał wznowienie ofensywy niemieckiej i obalenie bolszewików siłami niemieckiego żołnierza. Wówczas i dzięki temu – stwierdzał – będzie można odtworzyć cesarstwo rosyjskie. W odpowiedzi na pytanie o to, jak na wznowionej w ten sposób współpracy niemiecko-rosyjskiej wyjdzie Polska, Milukow starał się zapewnić swoich polskich rozmówców, iż Rosjanie, po zrobieniu porządku we własnym domu, potraktują niemieckiego sojusznika instrumentalnie i nie poświęcą dla niego Polski. Polacy wyrazili wątpliwość, czy raz użyta, niemiecka „drabinka”, po której kadeci chcieli powrócić do władzy, da się tak łatwo odłożyć... Rosyjski polityk natomiast stanowczo stwierdził, że polskie jednostki wojskowe nie powinny powstawać na rosyjskiej ziemi, ale powinny być ewakuowane czym prędzej do Francji. Do współpracy z Polską odradzającą się Rosja była w tym momencie – zdaniem Milukowa – nie gotowa: „patriotyzmu w Rosji jeszcze nie ma, nie ma zrozumienia najazdu, raczej [jest] częściowa chęć oswobodzenia od nieładu”. Dopiero Rosja „wyzwolona od nieładu” – a więc znów mocarstwowa – byłaby gotowa do układania się z Polakami. Spotkanie delegatów POW z reprezentowanymi przez

szczegółowych i znacznie bardziej „na świeżo” spisanych wspomnieniach z misji na Ukrainie i w Rosji wiosną i latem 1918 roku nie mówi nic o owych spotkaniach, choć wzmiankuje kontakt z Wędziagolskim (w momencie rozmowy z Milukowem, Wieniawa był już zresztą w Moskwie). Jedynym pewnym dokumentem pozostaje w tej sytuacji protokół spotkania z Milukowem z 26 VI 1918, przechowywany w IJP w Nowym Jorku w Archiwum Michała Mościckiego – nr 308. W oparciu o ten protokół streszczam tok rozmowy. Por. także B. Miedziński, „Wspomnienia”, cz. 5. s. 115. Warto dodać, że już nieco wcześniej w Moskwie tajne spotkanie z przedstawicielami prawego, monarchistycznego skrzydła antybolszewickiej opozycji organizowała miejscowa elita narodowej demokracji i realistów (ze strony rosyjskiej brali w nim udział m.in. Aleksandr Kriwoszejn, Piotr Struwe, ks. Grigorij Trubiecki – spotkanie, które odbyło się w końcu marca, miało charakter informacyjny) – zob. W. Glinka, „Pamiętnik z Wielkiej Wojny”, t. 4, Warszawa 1931, s. 40-41. O sile proniemieckiej orientacji w kręgach antybolszewickiej opozycji prawicowej – od sfer urzędniczych związanych ściśle z caratem, aż do konstytucyjnych demokratów – informował szczegółowo obóz Piłsudskiego anonimowy raport POW z Rosji z czerwca 1918 r. – IJP w Nowym Jorku, Archiwum M. Mościckiego, t. 5, nr 321.

Milukowa kręgami zorientowanej na Niemcy opozycji antybolszewickiej podsumować mógłby na tym etapie jedynie „protokół rozbieżności”, nie zaś jakakolwiek polityczna umowa.

Dla piłsudczyków, planujących zbrojne wystąpienie przeciw okupującym ziemie polskie mocarstwom centralnym w zbliżającej się nieuchronnie końcowej, rozstrzygającej fazie wojny⁶², partnerem nie mógł być Milukow, mógł być natomiast przygotowujący w tym czasie powstanie przeciwko bolszewikom Sawinkow. Tylko do czasu jednak – dopóki zdawał się reprezentować realną siłę mogącą wpłynąć na bieg wypadków na wschodzie. Skierowany przez Konwent Organizacji A na Ukrainę i do Rosji Bolesław Wieniawa Długoszowski, dzięki uzyskanym uprzednio w Kijowie listom polecającym Wędziagolskiego, spotkał się 22 czerwca w Moskwie z Sawinkowem. „Dogadaliśmy się bardzo prędko – wspominał Wieniawa. – Jego zdecydowana antyniemiecka postawa i lojalność w zobowiązaniach, zaciągniętych przez Rosję w stosunku do wojennych sprzymierzeńców, stała w zupełnej zgodności z naszymi przeciwko Niemcom i Austrii poczynaniami, przy czym jego dokładna nadto znajomość działalności Komendanta Piłsudskiego, rozwijanej za przedwojennych czasów wśród rewolucji rosyjskiej wpłynęła bardzo dodatnio na stosunek Sawinkowa do przedstawianej przez mnie sprawy”⁶³. Sprawa, którą przedstawiał Wieniawa, nie dotyczyła już jednak propozycji antybolszewickiej współpracy POW i organizacji Sawinkowa – gdyż ta ostatnia była już w znacznym stopniu rozbita przeprowadzonymi 29 maja przez CzK aresztowaniami członków Związku Obrony Ojczyzny i Wolności. Przygotowane przez Sawinkowa powstanie na środkowym Powołżu, z centrum w Jarosławiu, wkrótce także okazało swoją bezsilność wobec zorganizowanego „czerwonego terroru” (wśród jego sprawnych narzędzi znalazł się znów

62. Por. T. Nałęcz, „Polska Organizacja...”, s. 152-155.

63. B. Wieniawa Długoszowski, „Z moich przepraw na Ukrainie i w Rosji Sowieckiej”, w: tenże, dz. cyt., s. 199 (pierwodruk tego tekstu ukazał się w *Głosie Prawdy*, nr 313 z 11 XI 1928 r.); por. J.M. Majchrowski, „Ulubieniec Cezara – Bolesław Wieniawa-Długoszowski. Zarys biografii”, Wrocław 1990, s. 104-105.

także oddział polski – wzmocniony przez Chińczyków i Koreańczyków batalion Rewolucyjnego Czerwonego Pułku Warszawskiego, przez trzy tygodnie lipca brutalnie pacyfikujący Jarosław).⁶⁴

3. Polskie wojsko na wschodzie i rosyjska wojna domowa

Wystąpienie Sawinkowa było wszakże jednym tylko z elementów krwawego kalejdoskopu, w jakim zaczęły mieszać się i zderzać między sobą dramatyczne zdarzenia i zwroty sytuacji w Rosji latem 1918 roku. Rozpocząła się wojna domowa w pełnej skali. Jeszcze w końcu maja przeciwko władzy sowieckiej na Syberii Zachodniej, Powołżu i Uralu wystąpił Korpus Czechosłowacki, rozlokowany wzdłuż głównej magistrali kolejowej łączącej Rosję Europejską z Dalekim Wschodem. Skupieni w Korpusie byli jeńcy z armii austro-węgierskiej, pragnący ewakuować się przez Władywostok do Francji, by tam walczyć o sprawę wyzwolenia Czechosłowacji, odpowiedzieli czynnie na próbę zablokowania im drogi i rozbrojenia przez Armię Czerwoną. 27 maja zajęli Czelabińsk, 8 czerwca Samarę. W tymże dniu w Samarze grupa socjalistów-rewolucjonistów, delegatów do rozpędzonego przez bolszewików Zgromadzenia Ustawodawczego, powołała pod przewodnictwem Wiktora Czernowa Komitet Członków Zgromadzenia (Komucz), ogłaszający się jedynym legalnym rządem Rosji. 4 lipca organizacja eserowska opanowała Ufę. Eserowcy także dominowali początkowo w Tymczasowym Rządzie Syberii, który z początkiem lipca swą stolicę ustanowił w Omsku. Tarczą i mieczem dwóch nowych ośrodków politycznych był Korpus Czechosłowacki. Przyjęty pod rozkazy Rady Najwyższej Ententy w Paryżu, kontynuował on swój zdobywczy marsz, którego celem ostatecznym miało być reaktywowanie frontu wschodniego przeciwko Niemcom.

64. Zob. R.B. Spence, dz. cyt., s. 200-210; J. Podsiadło, „W szeregach Rewolucyjnego Pułku Czerwonej Warszawy”, *Z Pola Walki*, Warszawa 1958, nr 1, s. 152-154.; W. Sukiennicki, „Przyczyny i początek wojny polsko-sowieckiej 1919-1921”, cz. 1, Bellona, Londyn 1963, Rok XLV, z. 1-2, s. 230.

W czerwcu opanował m.in. Krasnojarsk i Władywostok, w lipcu m.in. Symbirsk i Jekaterynburg, 7 sierpnia – Kazań. Z prowadzonych w Ufie rokowań między ośrodkami w Samarze i Omsku wynikł wreszcie kompromis, którego symbolem stał się powołany 23 września i uznany przez obydwie „stolice” Dyrektoriat, występujący odtąd jako ogólnorosyjski rząd tymczasowy. Na północy Rosji Europejskiej wyrósł w tym czasie jeden jeszcze regionalny antybolszewicki rząd – w Archangielsku, opanowanym 2 sierpnia przez desant alianckiego korpusu ekspedycyjnego, dowodzony przez brytyjskiego generała Frederica Poole’a. Zgodnie z instrukcjami Rady Najwyższej Ententy alianckie oddziały miały utrzymać drugi najważniejszy, obok zajętego już pięć miesięcy wcześniej Murmańska, port dający dostęp Zachodowi do Rosji, nawiązać kontakt z Korpusem Czechosłowackim, wreszcie podjąć próbę odtworzenia proalianckiej armii na froncie wschodnim. Z końcem sierpnia ekspedycyjne siły alianckie zaangażowane w Murmańsku i Archangielsku liczyły już blisko 24 tysiące żołnierzy. Pod ich patronatem wojskowym uformowany został najpierw Zarząd, a następnie Tymczasowy Rząd Obwodu Północnego, na którego czele stanął ludowy socjalista Mikołaj Czajkowski. Bolszewicy tracili kontrolę nad ogromnymi obszarami byłego imperium, gdzie jako nowy rywal w walce o władzę nad Rosją, obok trzymających się nad Donem „białych” generałów, wystąpili eserowcy, wsparci przez część kadetów i inne drobniejsze organizacje, zdecydowane na walkę z bolszewikami.⁶⁵

Panowanie bolszewików było także zagrożone od zachodu. Gdy 6 lipca ich dotychczasowi (i jedyni) koalicjanci –

65. Zob. m.in. W. Maksakow, A. Turunow, „Chronika graždanskoj wojny w Sibiri, 1917-1918”, Moskwa 1926, s. 76-144; „Interwencija na siewiero-zapadzie Rossiji 1917-1920 gg”, red. W. A. Szyszkin, St-Petersburg 1995, s. 187-190; R. Ullman, „Intervention and the War”, Princeton 1961, s. 240-242; G. Kennan, „The Decision to Intervene”, Princeton 1958, s. 391-404; R. Pipes, „Russia under the Bolshhevik Regime”, New York 1993, s. 23-26 i 30-31; tenże, „The Russian Revolution”, New York 1990, s. 624-631, 656-658; R. Wojna, „Z drugiego okresu wojny domowej w Rosji marzec-listopad 1918 r.” „Studia z Dziejów ZSRR i Europy Środkowej”, t. VI, 1970; tenże, „W ogniu rosyjskiej wojny wewnętrznej 1918-1920”, Warszawa 1975, s. 53-65, 73-78.

lewicowi eserzy – dokonali udanego zamachu na niemieckiego posła w Moskwie, Wilhelma von Mirbacha, nad Leninem zawisła najpoważniejsza z dotychczasowych groźba utraty władzy. Nie wiązała się ona z samą próbą rewolty lewicowych eserów, którym udało się w tymże dniu przejściowo aresztować nawet szefa Czeki, Feliksa Dzierżyńskiego – ich polityczne niezdecydowanie i nieudolność działania umożliwiły bolszewikom szybkie przywrócenie kontroli nad Moskwą. Prawdziwa groźba polegała na możliwości zmiany polityki wschodniej zwycięskich na tym odcinku Niemiec. Zamordowanie posła Rzeszy, widocznie rosnący opór wewnętrzny wobec władzy bolszewickiej (powstanie Sawinkowa w Jarosławiu, zapoczątkowane także 6 lipca, było jednym z ważniejszych sygnałów tego zjawiska), wreszcie prowadzone już wcześniej tajne rozmowy sondażowe *chargé d'affair* poselstwa niemieckiego w Moskwie, Kurta Riezlera, z przedstawicielami prawicowej opozycji antybolszewickiej – wszystko to razem kumulowało się w perspektywie spełnienia planów, rozsnuwanych w czerwcu w Kijowie przez Milukowa. Cesarz Wilhelm II z obrzydzeniem patrzył na swoich wschodnich sojuszników i szczerze pragnął pozbyć się ich przy nadarzącej się okazji, zastępując ich proniemiecką ekipą rosyjskich monarchistów. Jeszcze 6 sierpnia generał Erich von Ludendorff wyrażał gotowość skierowania 6-7 dywizji na Petersburg, w celu wsparcia nowego, antybolszewickiego rządu w Rosji. Widoczne niepowodzenie ostatniej wielkiej ofensywy na froncie zachodnim przeważało dopiero w końcu sierpnia szale niemieckiej polityki wobec Lenina – uznano w nim najpewniejszego mimo wszystko gwaranta tego wszystkiego, co dawał Niemcom traktat brzeski, a przede wszystkim: (względnego bodaj) spokoju na froncie wschodnim.⁶⁶

Kto wyjdzie zwycięsko z rozpalającej się latem 1918 roku wojny wewnętrznej w Rosji, w jakim stopniu zdecydują o jej wyniku czynniki zewnętrzne – Ententa bądź Niemcy – tego wciąż nie można było jeszcze przesądzić. Polska konspiracja

66. Zob. m.in. „Germany and the Revolution in Russia, 1915-1918”, red. Z. A. B. Zeman, London 1958, s. 130-138; R. Pipes, „The Russian Revolution”, s. 615-624, 631-668; W. Sukiennicki, „East Central Europe...”, t. 2, s. 778-790.

niepodległościowa, która zerwała współpracę z Niemcami, mogła szukać na terenie Rosji porozumienia już tylko z siłami politycznymi i wojskowymi kontynuującymi współpracę z Ententą. Jednak wobec ich rozbitcia, braku scentralizowanej organizacji i jednolitej struktury dowodzenia, a także wobec decydującego w tym okresie ich uzależnienia od finansowej, materiałowej i wręcz wojskowej pomocy przedstawicieli Ententy, rozproszone ośrodki antybolszewickiej i antyniemieckiej zarazem Rosji nie mogły stać się istotnym, samodzielnym partnerem dla formacji politycznej Konwentu Organizacji A. I odwrotnie – latem 1918 roku przedstawiciele obozu Piłsudskiego na wschodzie nie mieli rzeczywistych atutów, które uczyniłyby ich szczególnie ważnymi partnerami dla antybolszewickiej Rosji.

Inaczej niż Czesi, Polacy nie zachowali do lata tego roku własnej, liczącej się siły zbrojnej na wschodzie. Położone w zasięgu działania armii niemieckiej i strategicznych planów nowego niemieckiego „porządku” na wschodnich kresach dawnej Rzeczypospolitej, polskie Korpusy zostały w ciągu maja i czerwca praktycznie rozbite. Dowódca rozlokowanego w Bobrujsku I Korpusu, gen. Józef Dowbór-Muśnicki, przyjął 21 maja ultimatum otaczających go wojsk niemieckich. Korpus został rozbrojony, a jego żołnierze zdemobilizowani. Próba zorganizowania przewrotu w Korpusie i pociągnięcia go do walki z Niemcami przez emisariuszy POW – Barthela de Weydenthala, Leopolda Lisa-Kulę i Ignacego Matuszewskiego – spaliła na panewce.⁶⁷ Wobec groźby rozbrojenia przez niemieckie wojska okupacyjne na Ukrainie, dowódca II Korpusu, Józef Haller już wcześniej, w początkach kwietnia skierował do Moskwy delegację z udziałem

67. Swoją decyzję poddania się Niemcom i rezygnacji z planów przebijania się na wschód Dowbór współcześnie tłumaczył obawą przed wystawieniem swoich oddziałów na „bolszewicką gangrenę”. *Ex post*, w swoich wspomnieniach, dowódca I Korpusu starał się sugerować, że porzucił myśl o przebijaniu się ku istniejącym nad Donem oddziałom antybolszewickiej Rosji, gdyż nie chciał walczyć z carskimi generałami o *jedyną, niedzielimą Rosję* (zob. J. Dowbór-Muśnicki, „Krótki szkic o historii I-go Polskiego Korpusu, cz. III, Warszawa 1919, s. 22, tenże, „Moje wspomnienia”, Warszawa 1935, s. 236; por. H. Bagiński, dz. cyt., s. 303-321; W. Sukiennicki, „East-Central Europe...”, t. 2, s. 750-753, 763-765.

m.in. majora Waleriana Czumy, majora Bronisława Nakoniecznikoff-Klukowskiego i podporucznika Mieczysława Birnbauma, która miała spróbować uzyskać zgodę władz bolszewickich na przejście Korpusu na kontrolowany przez nie teren. Ich rozmowy z przedstawicielami KC bolszewickiej partii, Jurijem Stiekwowem i Jakowem Swierdłowem, nie przyniosły jednak żadnego rezultatu. Przyparty przez Niemców pod Kaniowem do Dniepru Korpus Hallera stoczył z nimi 11 maja kilkugodzinną bitwę, która zakończyła żywot tej formacji.⁶⁸ Resztki rozlokowanego w okolicach Antonin i Winnicy III Korpusu, atakowanego przez ukraińskie chłopstwo, przeorganizowanego następnie w tzw. lekką brygadę pod dowództwem płk. Juliusza Rómmla, zostały rozbrojone przez oddziały węgierskie 9 czerwca.⁶⁹

Próby wyciągnięcia z tej katastrofy i chaosu rosyjskiej wojny domowej liczącej się wobec Ententy i własnych planów powstańczych siły wojskowej koncentrowały się odtąd wokół zbiegłych po bitwie pod Kaniowem na drugą stronę Dniepru 1500-2000 żołnierzy II Korpusu, rozwijającej się szybko – zwłaszcza na Ukrainie – konspiracji POW, wreszcie Polaków z obozów jenieckich na Syberii, latem 1918 roku znajdujący się już poza zasięgiem władzy bolszewików. Nowi emisariusze Konwentu Organizacji A i Komendy POW, skierowani do Rosji i na Ukrainę w maju i czerwcu – Michał Sokolnicki, Andrzej Strug i Hołówko (ponownie), a także wysłani już wcześniej Wieniawa i Miedziński – mieli wszystkimi sposobami zabiegać o odtworzenie polskiej siły zbrojnej na wscho-

68. Zob. m.in. H. Bagiński, dz. cyt., s. 367-377; S. Aksamitek, dz. cyt., s. 92-99; M. Wrzosek, „Polskie korpusy...”, s. 315-321; K. Pużak (jeden z rozmówców delegacji II Korpusu w Moskwie), „Z pobytu II Brygady w Rosji”, w: „Kronika Ruchu Rewolucyjnego”, t. IV, nr 4 (X-XII) 1938; W. Sukiennicki, „East-Central Europe...”, t. 2, s. 756-761; A. Peplowski, dz. cyt., s. 26. W końcu kwietnia rozmowy w sprawie umożliwienia Korpusowi Hallera przejścia za kordon bolszewicki (w celu dalszej ewakuacji w stronę wojsk Ententy) prowadził także lider wciąż bardzo aktywnej na terenie Rosji Narodowej Demokracji, Stanisław Grabski: zrazu w Moskwie, a następnie w Charkowie – z dowódcą wojsk sowieckich na Ukrainie Władimirem Antonowem-Owsiejenką (zob. S. Grabski, dz. cyt., t. 2, s. 42-46).

69. Zob. H. Bagiński, dz. cyt. s. 389-401; W. Sukiennicki, „East-Central Europe...”, t. 2, s. 761-763.

dzie, uzyskanie nad nią jak największych politycznych wpływów. Inaczej jednak niż w momencie kierowania pierwszej, styczniowo-lutowej misji Hołówki – nie liczone teraz na jakąkolwiek umowę z bolszewikami; nie szukano także trwalszego politycznego porozumienia z rozproszonymi siłami antybolszewickiej Rosji. Właściwym partnerem, którego gorączkowo poszukiwali na wschodzie wysłannicy POW, byli przedstawiciele Ententy, z którymi obóz Piłsudskiego (jako związany do 1917 roku z państwami centralnymi) nie miał dotąd kontaktu. Wystąpienie w roli organizatora i politycznego patrona (lub, w najgorszym razie, współpatrona – obok narodowej demokracji) wojska polskiego na wschodzie – miało nie tylko służyć mglistym jeszcze powstańczym planom POW, ale także miało stać się ważnym atutem do uzyskania akceptacji ze strony mocarstw zachodnich.⁷⁰

By nie uzależniać się całkowicie od pośrednictwa endecji w poszukiwaniu pierwszych kontaktów z reprezentantami Ententy pozostającymi w Rosji, emisariusze POW korzystali także z wyrobionych już „kanałów” rosyjskiego podziemia antybolszewickiego. Tego rodzaju „kanału” dostarczył Wieniawie w czerwcu 1918 roku Sawinkow, który skontaktował go z przebywającymi wciąż w Moskwie przedstawicielami wojskowymi Ententy.⁷¹ Przez porozumienie z nimi prowadziła

70. Na temat założeń nowej misji POW i Konwentu A na wschód pisze najobszerniej Michał Sokolnicki w swoich niedokończonych notatkach – „Podróż ze Strugiem do Moskwy, czerwiec – sierpień 1918” – IJP w Nowym Jorku, Archiwum M. Sokolnickiego, t. 29 B, s. 1-7. zob. także: B. Wieniawa-Długoszowski, dz. cyt., s. 185-199; B. Miedziński, „Wspomnienia”, cz. 5, s. 116-118; S. Grabski, dz. cyt., t. 2, s. 57; I. Werschler, dz. cyt., s. 76-77; J. M. Majchrowski, dz. cyt., s. 102-105; T. Nałęcz, „Polska Organizacja...”, s. 162-165; L. Grosfeld, „Polskie reakcyjne...”, s. 151-154.

71. B. Wieniawa-Długoszowski, dz. cyt., s. 200. Wieniawa wkrótce po swoich rozmowach z Sawinkowem, a następnie z szefem francuskiej misji wojskowej gen. Lavergne, został aresztowany przez CzK. Pozostał w więzieniu na Tagance do 20 września. W sprawie jego uwolnienia apelował do Lenina Ignacy Daszyński, a do Juliana Leszczyńskiego Adam Pragier. W czasie uwięzienia Wieniawy Lenin miał rzekomo zwracać się do niego – za pośrednictwem zastępcy Stalina w Komisariacie do spraw Narodowości, Stanisława Pestkowskiego – z propozycją „narad nad wywołaniem rewolucji w Polsce” (zob. J. M. Majchrowski, dz. cyt., s. 107. Por. A. Pragier, „Czas przeszły dokonany”, Londyn 1966, s. 105-106).

droga na Murmań, skąd polscy żołnierze mogli ewakuować się na Zachód, bądź pozostając na miejscu przydać się sprawie odbudowy frontu wschodniego, której sprzyjać miała ekspedycja aliancka gen. Poole'a. Drugi kierunek możliwej koncentracji oddziałów polskich wyznaczał łatwiejszy znacznie do osiągnięcia z Ukrainy rejon Donu, gdzie trzymała się Armia Ochotnicza generałów Aleksiejewa i Denikina. Trzeci, rezerwowy niejako, stanowiła Syberia.

Dla zorganizowanej przez Narodową Demokrację w Moskwie Rady Polskiej Zjednoczenia Międzypartyjnego, głównego partnera-rywala dla POW w dziele odbudowy jednostek polskich na wschodzie, zdecydowanie bliższy był kierunek murmański, gdyż oznaczał on najkrótszą drogę ewakuacji do Francji, pod pełną kontrolę Komitetu Narodowego Polskiego Romana Dmowskiego, do pełnej dyspozycji Ententy. Dla przedstawicieli obozu Piłsudskiego bardziej kuszący wydawać się mógł rejon koncentracji nad Donem, na Kubaniu – stąd było bliżej do Polski, bliżej do pomysłu kierowanego przez POW wyzwolenczego powstania. „Nie mogłem pogodzić się z myślą tworzenia formacji wojskowej polskiej nad lodowym oceanem, lub okupowania przez żołnierzy polskich wybrzeży Morza Białego” – pisał Michał Sokolnicki, główny w Rosji i na Ukrainie negocjator polityczny Konwentu A i POW latem i jesienią 1918 roku.⁷²

Oba nurty polskiej akcji niepodległościowej rywalizowały o względy Józefa Hallera, który po bitwie pod Kaniowem błyskawicznie wylansowany został na męża opatrnościowego polskiego wojska na wschodzie. Ten zaś skierował z Kijowa swojego wysłannika, pułkownika Józefa Zajęca – do gen. Aleksiejewa nad Don, sam jednak, po zawarciu 15 czerwca porozumienia w Moskwie z RPZM, udał się w suflowanym przez nią kierunku: do gen. Poole'a – do Murmańska. Zgodnie z umową podpisaną przez Hallera dwa tygodnie później z dowództwem wojsk alianckich w Murmańsku, koncentracja polskich żołnierzy na tym terenie miała być tylko etapem na

72. M. Sokolnicki, „Podróż ze Strugiem do Moskwy...”, IJP w Nowym Jorku, Archiwum M. Mościckiego, t. 29 B, s. 11; stanowisko RPZM przypomina S. Grabski – dz. cyt., t. 2, s. 45.

drodze do Francji, do armii polskiej tworzonej pod egidą Komitetu Narodowego Polskiego. Do czasu wyjazdu oddziały polskie miały walczyć razem z aliantami na froncie wschodnim przeciw Niemcom. Rozkazy Hallera wydane już w Murmańsku podkreślały konieczność wstrzymania się od jakiegokolwiek ingerencji w rosyjską wojnę domową. Wbrew intencjom miejscowego dowództwa alianckiego, które chciało wykorzystać Polaków do działań zaczepnych przeciw bolszewikom, „murmańscy” istotnie nie wzięli w 1918 roku udziału w tego rodzaju akcjach. Z punktu widzenia władzy sowieckiej jednak przez sam fakt dołączenia do „interwentów” stali się śmiertelnymi wrogami. 26 lipca komisarz wojny rządu bolszewickiego, Lew Trocki, wydał rozkaz nakazujący rozstrzelać bez sądu każdego Polaka schwytanego na próbie przedzierania się do rejonu koncentracji na Murmanii. Wraz z wprowadzonym oficjalnie 5 tygodni później „czerwonym terrorem”, rozkaz Trockiego stał się skutecznym hamulcem rozwoju formacji polskich na dalekiej północy. Pierwszy, 160-osobowy oddziałek, zorganizowany w Koli, przeniesiony został jesienią do Archangielska. Łącznie z oddziałem tworzonym w Murmańsku, stan liczebny formacji polskich w tym rejonie nie przekroczył do grudnia 1918 roku 300 osób.⁷³

Pójście w drugim kierunku – nad Don – najrozsądniejsze ze względów logistycznych, wymagało taktyczno-organizacyjnego bodaj porozumienia z trzymającymi ten przyróżek niezależności od Niemców i od bolszewików zarazem „białymi” generałami. Przedstawiciele POW, po uzgodnieniu w końcu czerwca nowego kompromisu z działaczami narodowej demokracji i hallerczykami w Kijowie, nie mogli wyjąć

73. Zob. m.in. H. Bagiński, dz. cyt., s. 445 (tekst umowy „murmańskiej” J. Hallera z 29 VI 1918); A. Juzwenko, „Polska a ‘biała’ Rosja (od listopada 1918 do kwietnia 1920 r.)”, Wrocław 1973, s. 52-54 – tu m.in. świadectwa napiętych stosunków między Polakami a rosyjskimi formacjami i władzami w Murmańsku; L. Grosfeld, „Polskie reakcyjne...”, s. 160-165; S. Aksamitek, dz. cyt., s. 101-108; o poważnym zaangażowaniu także POW w akcję werbunkową na rzecz wojska polskiego na Murmanii dają świadectwo m.in. wspomnienia działacza Komendy Naczelnej III – H. Józewskiego: „Zamiast pamiętnika”, *Zeszyty Historyczne*, nr 59, Paryż 1982, s. 17. Warto dodać, że do Polski „murmańscy” zostali ostatecznie ewakuowani dopiero w grudniu, gdy Wielka Brytania porzuciła sprawę walki z bolszewicką Rosją.

kwestii ratowania polskiego wojska z politycznego kontekstu. Racje praktyczne zderzały się tutaj wyraźnie z zasadniczym zagadnieniem wizji stosunków politycznych między Polską i Rosją, ciśnienia ich tradycji i pytań o ich kształt w przyszłości, po zbliżającym się wyzwoleniu kraju. Ten konflikt będzie odtąd stałą cechą charakterystyczną relacji między „białą”, walczącą z bolszewikami Rosją a polityką polską – nie tylko zresztą w tej jej wersji, jaką realizował obóz Piłsudskiego. Napór okoliczności chwili, dyktujących potrzebę nawiązania współpracy w obliczu wspólnego wroga – w 1918 roku stanowili go nie tylko, i nie przede wszystkim jeszcze (przynajmniej dla Polaków) bolszewicy, ale Niemcy, państwa centralne – nie był w stanie nigdy wymazać pytania o możliwą polityczną cenę i konsekwencje takiej współpracy: dla Rosji i dla Polski. Pytanie o cenę i konsekwencje braku takiej współpracy na ogół pozostawało w cieniu.

Jak skorzystać z dogodnej bazy do formowania własnych oddziałów na terenie zajmowanym przez armię gen. Aleksiejewa i zarazem zachować ich pełną niezależność od Rosjan? Jak nie uwikłać się w rosyjską wojnę domową – po stronie niedawnych carskich generałów, których polityczne plany pozostawały niesprecyzowane, a polityczna wyobraźnia zdawała się zamrożona w imperialnych schematach sprzed 1917 roku? Nad tymi pytaniami zastanawiali się nie tylko piłsudczycy. Zdominowana przez narodową demokrację Rada Polska Zjednoczenia Międzypartyjnego podkreślała stale konieczność niemieszania się w wewnętrzną wojnę Rosji, widząc w takiej postawie szansę wydostania z Rosji jak największej części żołnierzy-Polaków na Zachód. RPZM nieufnie odnosiła się zatem do inicjowanych przez kijowskie kręgi narodowej demokracji pierwszych projektów tworzenia oddziałów polskich przy armii gen. Aleksiejewa. „Rada międzypartyjna i lewica – pisał przedstawiciel narodowych demokratów z Kijowa – nie zaakceptowały naszej akcji dońskiej w obawie, że staniemy się znowu składową armii rosyjskiej”⁷⁴. Swoje próby

74. Cyt. za: A. Juzwenko, „Polska a ‘biała’ Rosja...”, s. 36. Stanowisko RPZM w sprawie potrzeby zachowania neutralności w rosyjskiej wojnie wewnętrznej wyrażone jest w liście do KNP w Paryżu z 15 VIII 1918 – zob. DiM, t. 1, s. 448-451.

porozumienia z gen. Aleksiejewem za pośrednictwem skierowanego doń płk. J. Zająca, Józef Haller skwitował w swoich pamiętnikach stwierdzeniem, że „kontakty z tymi kończącymi się przeżytkami wojska rosyjsko-carskiego” były skazane na niepowodzenie ze względu na wyrażaną rzekomo przez Aleksiejewa stanowczą niechęć uznania odrębności wojska polskiego i jego imperialne deklaracje o *jedynoj, niedielimoj* Rosji, matce wszystkich Słowian. W raporcie dla KNP w Paryżu, składanym w sierpniu, Haller stwierdzał, że „Don ze względu na niejasne stanowisko gen. Aleksiejewa w stosunku do idei niepodległościowej tworzącej się armii polskiej nie może być uważany za odpowiedni teren organizacji wojsk polskich” i powinien być traktowany wyłącznie jako chwilowy, etapowy rzecz można, punkt koncentracji Polaków z Armii Ochotniczej oraz Kaukazu i Turkiestanu.⁷⁵ Zgoła odmienna w szczegółach była relacja Michała Sokolnickiego, przedstawiciela obozu szczególnie nieufnie przecież nastawionego do „rosyjsko-carskich przeżytków”. Podkreślał on życzliwe nastawienie samego gen. Aleksiejewa do sprawy formowania polskich oddziałów na kontrolowanym przez Armię Ochotniczą terenie, a także jego ogólnie polonofilską orientację. Śmierć Aleksiejewa w początkach października 1918 roku i przejście zwierzchnictwa nad Armią Ochotniczą przez gen. Denikina miało dopiero być czynnikiem zmieniającym na niekorzyść perspektywy polsko-rosyjskiej współpracy nad Donem. Inni emisariusze POW sugerowali natomiast jeszcze w końcu czerwca, że zdecydowanie proaliantcka postawa Aleksiejewa może zostać podważona przez silną wśród oficerów-monarchistów orientację proniemiecką, której głównym rzecznikiem miał być ataman Krasnow. Współpracujący z POW Wędziagolski uspokajał z kolei, że nastawienie Denikina wobec Niemców jest i pozostanie nieugięte.⁷⁶

Niezależnie od różnic w ocenie politycznych postaw po-

75. Zob. J. Haller, „Pamiętniki z wyborem dokumentów i zdjęć”, Londyn 1964, s. 159; DiM, t. 1, s. 465-466 (raport Hallera dla KNP).

76. Zob. M. Sokolnicki, „Podróż ze Strugiem...”, s. 11-12.; Raport [K. Wolskiego] z Moskwy z 26 VI 1918, IJP w Nowym Jorku, Archiwum M. Mościckiego, t. 5, nr 311; „W Rosji” [raport K. Wędziagolskiego z 6 VII 1918], IJP w Nowym Jorku, Archiwum M. Mościckiego, t. 5, nr 322.

szczególnych dowódców sił antybolszewickiej Rosji znad Donu i Kubania, we wszystkich istotnych dla tworzenia polskich formacji wojskowych nurtach opinii – od narodowej demokracji po piłsudczyków – przeważała w stosunku do „białej” Rosji jak najdalej posunięta nieufność. Zwrócenie się nad Don było w tej perspektywie raczej przejściową, podyktowaną względami geografii i taktyki potrzebą, nie zaś koncepcją zawierającą jakąkolwiek szerszą ideę polityczną. Większość świadectw z okresu już zawiązanej współpracy organizacyjnej z Aleksiejewem i Denikinem nad Donem potwierdzają, że i z drugiej strony było podobnie: Rosjanie patrzyli na Polaków z równą nieufnością, pomieszaną z pełnym niezrozumieniem dla ich niepodległościowych aspiracji, a zwłaszcza dla ich terytorialnego zasięgu.⁷⁷

Do rozpoczęcia owej współpracy doprowadziły praktycznie działania Organizacji Werbunkowo-Agitacyjnej utworzonej pod komendą podpułkownika Leona Bobickiego w Kijowie, dzięki porozumieniu środowisk hallerczyków, narodowych demokratów i peowiaków (w imieniu wszystkich tych środowisk działania OW-A nadzorować miał polityczny Komitet Naczelny). 24 sierpnia, po trwających od czerwca rozmowach z Polakami, gen. Aleksiejew zatwierdził etat oddziału polskiego przy Armii Ochotniczej, wskazując na miejsce jego stacjonowania Stanicę Paszkowską. W październiku na Kubań przybył gen. Lucjan Żeligowski, który w zastępstwie Hallera (ten objął już wówczas we Francji komendę nad tworzoną pod egidą KNP Armią Polską) przejął dowodzenie nad organizowanymi tutaj oddziałami Polaków, które uzyskały miano 4. Dywizji Strzelców (faktyczny stan tej formacji nie przekroczył do grudnia 1918 roku 2000 ludzi).⁷⁸

77. Zob. m.in. A. Juzwenko, „Polska a ‘biała’ Rosja...”, s. 56-59; Z. Oplustil, „Polskie formacje wschodnie (1918-1919)”, Warszawa 1922, s. 206.

78. Zob. m.in. H. Bagiński, dz. cyt., s. 430-432, 490-491; Z. Oplustil, dz. cyt., s. 195-199. L. Grosfeld, „Polskie reakcyjne...”, s. 165-177; A. Deruga, „Polityka wschodnia Polski wobec ziem Litwy, Białorusi i Ukrainy (1918-1919)”, Warszawa 1969, s. 191-222; A. Juzwenko, „Polska a ‘biała’ Rosja...”, s. 55-56; na temat utworzenia OW-A oraz Komitetu Naczelnego oraz ich działalności zob. także: T. Nałęcz, „Polska Organizacja...”, s. 188-190.

Zawołże i Syberia, kontrolowane na strategicznych szlakach przez Korpus Czechosłowacki i wojska alianckie, wydawały się terenem mniej „kontrowersyjnym” politycznie dla formowania jednostek polskich. Antybolszewickie ośrodki władzy rosyjskiej były tu zorientowane bardziej lewicowo, odcinając się stanowczo od carskiej przeszłości imperium, a zarazem nie posiadały same realnej siły wojskowej. 9 sierpnia, na spotkaniu środowisk hallerczyków, narodowych demokratów i peowiaków, na którym postanowiono powołać Organizację Werbunkowo-Agitacyjną, zdecydowano także, że główną bazą dla odbudowy jednostek wojska polskiego na wschodzie będzie właśnie Syberia. Koncentracja żołnierzy polskich nad Donem i na Kubaniu miała mieć charakter przejściowy. Organizację wojska na Syberii przejął utworzony w Czelabińsku Polski Komitet Wojenny. Komendę przejął przybyły w sierpniu na Syberię wysłannik Hallera, podpułkownik Walerian Czuma. Do grudnia 1918 roku stan formowanej przez niego 5. Dywizji Strzelców przekroczył 8000 ludzi.⁷⁹

Odległość dzieląca oddziały polskie na Syberii od kraju, ich odcięcie od Zachodu przez obszar Rosji europejskiej zajmowany przez bolszewików przesądzało mimo wszystko o większym politycznym znaczeniu 4. Dywizji powstającej pod bokiem armii Denikina – szczególnie z punktu widzenia POW i jej powstańczych planów. W obydwu regionach zarysowały się podobne tendencje w nowym, niezmiernie ważnym dla przyszłości stosunków między Polską i odłamami antybolszewickiej Rosji układzie, którego trzecim, uprzywilejowanym przez swe polityczne znaczenie i materialne możliwości elementem byli alianci zachodni. Bezpośredni kontakt i umowy organizacyjno-finansowe z ich przedstawicielami na wschodzie miały być dla strony polskiej istotnym sposobem zagwarantowania sobie niezależności od „białych” Rosjan. W szczególności dotyczyło to naturalnie naddońskiego obszaru koncentracji, ze względu na względną (przynajmniej w stosunku do wielkości nowotworzonych jednostek polskich) siłę rosyjskich

79. Zob. m.in. H. Bagiński, dz. cyt., s. 430-432, 449-550; R. Dyboski, „Siedem lat w Rosji i na Syberii”, Warszawa 1922, s. 107-129; A. Juzwenko, „Polska a ‘biała’ Rosja...”, s. 39-52.

formacji na tym terenie. Wysłannicy Konwentu A rozpoczęli w końcu września rozmowy w Jassach (gdzie znajdowały się przedstawicielstwa państw Ententy przy ówczesnej siedzibie rządu pokonanej chwilowo przez Niemców Rumunii) z urzędnikami poselstwa francuskiego. Kontynuując rozmowy z konsulami alianckimi, zainicjowane już latem w Moskwie przez Sokolnickiego i Struga, przedstawiciele POW chcieli zaprezentować swój obóz jako liczącą się siłę polityczną w Polsce, gotową już do współpracy wojskowej (najpierw wywiadowczo-dywersyjnej, następnie poprzez wywołanie powstania na zapleczu armii niemieckiej i austro-węgierskiej na Ukrainie). Równoległe delegat RPZM uzyskał od przedstawicieli Francji w Jassach poważne sumy (dwa miliony rubli) na opłacenie koncentracji wojskowych nad Donem. Szef Organizacji Werbunkowo-Agitacyjnej, ppłk L. Bobicki podkreślał stale konieczność utrzymania finansowej niezależności tworzonych oddziałów polskich od Rosjan Denikina. Wobec braku wystarczających funduszy własnych, rozwiązaniem tymczasowo najkorzystniejszym wydawało się po prostu przejście na żołd Ententy – za cenę podporządkowania się jej dowództwu operacyjnemu.⁸⁰

We wszystkich ośrodkach formowania wojsk polskich na Wschodzie, nacisk miejscowych przedstawicieli władz wojskowych lub politycznych mocarstw Ententy (Wielkiej Brytanii – na północy Rosji, Francji – na południu; Francuzów, Brytyjczyków i Amerykanów – na Syberii) szedł jednak wyraźnie w kierunku przeciwnym do intencji polskich: ku bardziej stanowczemu zaangażowaniu jednostek polskich w rosyjskiej wojnie wewnętrznej, przeciw bolszewikom. Żeligowski musiał ulec takiej presji już w październiku, wysyłając na front pod Stawropolem świeżo sformowane oddziały, by „łatały” obronę Denikina przed ofensywą Armii Czerwonej. Także od października do walk z bolszewikami rzucony został 1. pułk

80. Zob. m.in. S. Biegański, „Polska wobec Europy Południowo-Wschodniej na przełomie 1918/1919”, *Niepodległość*, t. 10 (po wznowieniu), Londyn-Nowy Jork 1976, s. 53-60 (tu najlepsze omówienie planów powstańczych POW na obszarze Galicji i Ukrainy z końcem lata i jesienią 1918 roku); M. Sokolnicki urywa niestety swoją relację („Podróż ze Strugiem do Moskwy...”, IJP, Archiwum Sokolnickiego 29B) przed rozpoczęciem rozmów politycznych w Moskwie; T. Nałęcz, „Polska Organizacja...”, s. 189-191; A. Juzwenko, „Polska a ‘biała’ Rosja...”, s. 36-39.

strzelców syberyjskiej dywizji Czumy. Dla przeciwstawienia się chaotycznemu, nie spójnemu przemyślaną wizją polskiej racji politycznej we wschodnim zawirowaniu, wykorzystywaniu własnych, szczupłych sił wojskowych, potrzebne było porozumienie głównych obozów, dawniej sprzecznych orientacji: narodowych demokratów i piłsudczyków, konkurujących o patronat nad dywizjami Żeligowskiego i Czumy. Kolejny, po utworzeniu OW-A, krok ku takiemu porozumieniu, udało się postawić w trakcie rozmów przedstawicieli obu obozów (RPZM – m.in. z Jerzym Zdziechowskim – i Konwentu A – z Michałem Sokolnickim) w Jekaterynodarze. 21 października podpisali oni umowę, na mocy której miał powołany zostać wreszcie wspólny Komitet Naczelny, nie podlegający KNP w Paryżu, zdający się natomiast na pośrednictwo tego ostatniego w stosunkach z Ententą. Istotą umowy było formalne uznanie przez lewicę niepodległościową potrzeby organizowania i utrzymywania wojsk polskich na Wschodzie i – z drugiej strony – dopuszczenie jej przez narodową demokrację do współdecydowania o tym wojsku.⁸¹

Między nurtem piłsudczykowski a narodowo-demokratycznym utrzymała się jednak, również po zawarciu umowy, charakterystyczna i dla całego późniejszego okresu wielkiej rozgrywki na Wschodzie różnica orientacji we wspomnianym trójkącie: Polska, Rosja (strony jej wojny domowej), Ententa (mocarstwa zachodnie). Na posiedzeniu Komitetu Naczelnego w Jekaterynodarze, 27 października, Sokolnicki jako przedstawiciel Konwentu A, skrytykował dalsze pozostawianie oddziałów polskich nad Donem: „Strategiczne położenie armii Denikina [streszczał 10 dni później swe wywody Sokolnicki – AN] wciąż nieokreślone i niezdecydowane, bez nadziei ofensywy w większym stylu, a z możliwością ogarnięcia przez ruch bolszewickiej politycznie – dawna to, reakcyjna Rosja, w innym wprawdzie do nas stosunku, przez to jednak wcale nie dająca nam gwarancji, ani powodu do specjalnego pomagania”. W odpowiedzi delegat RPZM, Feliks Raczkow-

81. Zob. m.in. M. Sokolnicki, „Podróż do Jass w jesieni 1918 roku”, *Niepodległość*, nr 10 (po wznowieniu), Londyn-Nowy Jork 1976, s. 25-27; Z. Oplustil, dz. cyt., s. 183.

ski, radził zaczekać do spodziewanego lądowania Anglików nad Morzem Czarnym.⁸²

Gdy kończyła się wojna z Niemcami, a u schyłku października, gdy z bloku państw centralnych odpadła już Turcja, Bułgaria i praktycznie również Austro-Węgry, było to wreszcie jasne – wówczas dalsza aktywność polityczno-militarna mocarstw Ententy na terenie Rosji nie mogła już być związana z projektami ożywienia frontu wschodniego. Mogła oznaczać już tylko zaangażowanie w wojnie domowej Rosji – przeciw bolszewikom. Liderzy Narodowej Demokracji szansy sukcesu polityki polskiej – także na wschodzie – upatrywali nieodmiennie w ścisłym jej skorelowaniu z planami zachodnich, zwycięskich mocarstw. Polska nie miała, naturalnie, wyrzekać się własnych celów wobec Rosji, w kwestii ukształtowania swojej granicy wschodniej, ale winna zrobić wszystko co możliwe, by realizować je w zgodzie z Ententą, zabiegając o kompromis z kierunkami jej polityki wobec Rosji. Dmowski, niezwykle aktywny w politycznych gabinetach Londynu, Waszyngtonu i Paryża ostatnich miesięcy wojny, zdawał sobie sprawę, że po jej zakończeniu pojawi się w nich na jednym z pierwszych miejsc problem Rosji i związana z nim perspektywa interwencji na rzecz odrodzenia jej państwowości na konstytucyjnych, liberalnych podstawach. Już na posiedzeniu KNP, 27 maja 1918, stwierdzał: „W naszym interesie leży zachęcanie aliantów do czynnej interwencji w Rosji celem współdziałania z politykami rosyjskimi w zorganizowaniu tam porządku, bo sama Rosja... rady sobie nie da.”⁸³ Przywódca narodowej demokracji na terenie Rosji, Stanisław Grabski, który dołączył do Dmowskiego w Londynie w sierpniu, próbował już wówczas przekonywać urzędników brytyjskiego Ministerstwa Wojny do szerszej interwencji, w której poważne siły anglo-francusko-amerykańskie (łącznie kilkanaście dywizji), zostałyby zasilone polskimi oddziałami ochotniczymi – co zapewniłoby Polsce wpływ na rozstrzygnięcia dotyczące Rosji, jego zdaniem również niezdolnej do

82. M. Sokolnicki, „Podróż do Jass...”, s. 27. Oryginalny rękopis raportu Sokolnickiego z 7 listopada 1918 r. znajduje się w jego Archiwum (29 A, k. 2), IJP w Nowym Jorku.

83. Protokoły posiedzeń KNP, 27 maja 1918, DiM, t. 1, s. 414.

samodzielnego wyjścia z kryzysu wewnętrznego.⁸⁴ 19 października Dmowski telegrafował z Waszyngtonu do KNP, że „wobec beznadziejności położenia w Rosji jedyną bezpieczną bazą operacyjną dla aliantów na wschód od Niemiec jest Polska”. Zgodny z tym rozumowaniem memoriał KNP (z 12 X) do głównodowodzącego siłami koalicji, marszałka Ferdynanda Focha, przedstawiał projekt przejścia wojsk Ententy z frontu rumuńskiego i bułgarskiego do Polski i obsadzenia wraz z odrodzonym wojskiem polskim linii od Kamieńca Podolskiego, przez Brześć Litewski po Kowno. Z tej linii mogłaby zostać wyprowadzona akcja militarna sojuszników w Rosji.⁸⁵

Narodowi demokraci chcieli zatem z rozstrzygnięciami na Wschodzie „czekać na Anglików” (czy może raczej – ze względu na ich mocniejsze zakotwiczenie w Paryżu – na Francuzów). Ludzie politycznej szkoły Piłsudskiego, choć reprezentowali na progu niepodległości zbyt małą siłę na arenie międzynarodowej, by myśleć o pełnej niezależności swoich akcji na Wschodzie, choć po kilkuletniej współpracy z państwami centralnymi musieli teraz usilnie odrabiać stracony grunt w kontaktach z Ententą, jednak czekać na Anglików czy Francuzów, na ich projekty rozciągnięcia politycznego wężła rosyjskiego kryzysu – nie chcieli. O tej różnicy decydowała nie tyle podkreślana często przez piłsudczyków ich wola utrzymania samodzielności w działaniu, w polskiej akcji politycznej na Wschodzie, ale także – a może przede wszystkim – przekonanie, że ich wizja celów owej akcji, w najogólniejszym nawet zarysie, jest rozbieżna z intencjami polityków zachodnich. Obok Polski, Rosji – podzielonej w wojnie domowej, Ententy – jako istotnego czynnika zewnętrznego, który po wyeliminowaniu Niemiec mógł wpływać na rozwój sytuacji na terenie byłego imperium Romanowów – w zakres tworzonej przez obóz Piłsudskiego wizji ułożenia

84. S. Grabski, dz. cyt., t. 2, s. 71-72.

85. Cytat z waszyngtońskiego telegramu Dmowskiego do Maurycego Zamoyskiego, z 19 X, podaję za niezwykle wartościowym materiałowem i znakomitym w warstwie interpretacyjnej artykułem A. Juzwenki, „Próby ustalenia polityki Polski wobec Rosji na przełomie 1918 i 1919 roku”, *Przegląd Historyczny*, t. LXIV, 1973, z. 2, s. 340.

stosunków politycznych na Wschodzie wchodził jeszcze jeden element: nierosyjskie narody imperium.

O tym, że u schyłku wojny światowej punkt widzenia przedstawicieli mocarstw zachodnich owego elementu nie obejmuje, nie zakłada również samodzielnego znaczenia Polski w dalszej, strategicznej rozgrywce na Wschodzie i redukuje jej wymiar praktycznie do relacji Ententa (mocarstwa zachodnie) – Rosja, mógł się przekonać Sokolnicki w czasie swych kolejnych kontaktów z przedstawicielami francuskiej misji w Jassach. Usłyszał od nich wyraźną przestrożę, by Polacy lub Ukraińcy nie wyobrażali sobie, że będą mieli prawo decydować o swoich granicach. Co więcej, prowadzący z Sokolnickim rozmowy konsul Emile Hennaux nie pozostawił złudzeń: „Francja traktuje Ukrainę jako część, mającą być restytuowaną Rosji; do Ukrainy należy wybór drogi: czy poparcia w tym Francji, czy przeszkadzania, czy neutralności z dodatkiem okupacji przez koalicyjne bagnety”.⁸⁶

Dmowski, którego cele stanowiły niepodległość i uzyskanie „dobrej granicy wschodniej”, mógł liczyć na wytargowanie od Ententy – i odbudowanej przez nią Rosji – kompromisu owe cele spełniającego. Chciał gromadzić atuty, które poprawiłyby pozycję Polski w walce o kształt takiego kompromisu. Armia polska na Wschodzie, jej istotny udział w ewentualnej interwencji alianckiej w Rosji, mogłaby być jednym z nich. Dla piłsudczyków, którzy z wielkiej wojny i rewolucji w Rosji mogli wydobyć realną szansę wymarzonej przebudowy wschodu Europy – z niepodległą Ukrainą jako kluczowym tej przebudowy elementem – trudne do przyjęcia byłoby nie tylko uzależnienie od „białych” generałów znad Donu, ale także od przewidywanych projektów Ententy odnośnie przyszłości Rosji.

Gdy Niemcy musiały uznać swoją klęskę na froncie zachodnim, a wraz z nią – w całej wojnie, walka o kształt europejskiego Wschodu wchodziła dopiero w decydującą fazę. W wyczerpanej już wojną i rozbitej przez rewolucję 1917 roku Rosji trwała wojna domowa. Wielka fantazja polityczna krę-

86. M. Sokolnicki, „Podróż do Jass...”, s. 32 i 34 (raport z rozmów w Kiszyniowie, 7 XI, i w Jassach – 8 XI 1918).

gu Piłsudskiego zyskiwała szansę praktycznego sprawdzianu. Okres I wojny światowej, a zwłaszcza ostatnich jej 20 miesięcy – od czasu załamania caratu do schyłku niemieckich snów o *Pax Germanica* – przyniósł pierwsze niespodzianki, doświadczenia, problemy i dylematy związane z próbami wykorzystania owej szansy. Moskwa i Piotrogród pozostawały jesienią 1918 roku pod kontrolą bolszewików, w których cztery lata wcześniej nikt bodaj nie widział potencjalnych panów rosyjskiej spuścizny państwowej. Upatrywani przez Piłsudskiego w tej roli socjaliści-rewolucjoniści uzyskali co prawda przyczółki do walki o władzę nad Rosją – na jej dalekich, północnych i wschodnich obszarach. Jednak zdobyli je nie tyle własnym wysiłkiem, ile dzięki siłom zewnętrznym: buntowi Czechosłowaków i pierwszym ekspedycjom alianckim do portów północy Rosji i wschodniej Syberii. Sami okazali się, przynajmniej w swym głównym, reprezentowanym przez Wiktora Czernowa nurcie, stosunkowo najbardziej niezdecydowani i niekonsekwentni w prowadzeniu wojny z bolszewikami. Sformowane z ich udziałem rządy na Syberii bardziej były zajęte wewnętrznymi sporami i sparaliżowane obawami przed możliwością restauracji carskiego reżimu, aniżeli stworzeniem skutecznych, administracyjnych i wojskowych narzędzi do stawienia czoła bolszewikom i zastąpienia ich władzy w skali całej Rosji.⁸⁷ Bardziej zdeterminowani w walce okazali się zbiegli nad Don generałowie. Oni jednak – jak słusznie oceniał to Sokolnicki w Jekaterynodarze – reprezentowali niewątpliwie dawną, przedrewolucyjną Rosję, najmniej skora do wyrzeczenia się imperialnego dziedzictwa. Nie mieli też jeszcze własnej, wyraźnej reprezentacji politycznej. Jesienią 1918 roku ich położenie strategiczne, choć poprawione nieco po zdobyciu portu w Noworosyjsku, nie rokowało długiego przetrwania: jedna ofensywa Armii Czerwonej mogła ich zmieść do Morza Czarnego. Utrzymać mogło ich dopiero materiałowe co najmniej wsparcie ze strony mocarstw zachodnich.

Jak długo potrwać może jeszcze wojna o władzę nad Rosją? Kto z niej może wyjść zwycięsko? Jaki program i jaki

87. Zob. m.in. R. Pipes, „Russia under the Bolshevik...”, s. 39-41; B. Spence, dz. cyt., s. 218-221.

rozmach polityki zewnętrznej ujawnią bolszewicy po zrzuceniu zależności od cesarskich Niemiec? Jaka będzie zdolność poszczególnych pretendentów do roli nowych jednoczycieli Rosji do przyjęcia kompromisu z polskim programem niepodległościowym na Wschodzie – a raczej z poszczególnymi jego wariantami, jakie wyłaniały się u schyłku I wojny w najważniejszych formacjach politycznych Polski? Czy alianci zachodni istotnie zdecydują się na antybolszewicką interwencję w szerszej skali? I jaka w ich planach wobec Wschodu będzie rola dla Polski? Z kim zatem kontynuować polską grę o nowy kształt Europy Wschodniej? Pytania, do odpowiedzi na które końcowe miesiące wojny światowej przyniosły już pewien materiał, miały w listopadzie 1918 roku charakter wciąż otwarty. W istocie można jednak mówić raczej o kontynuacji, aniżeli o początku – i refleksji wokół owych pytań, i prób praktycznego przygotowania do odpowiedzi na nie.

Obóz polityczny wytworzony wokół Piłsudskiego zyskał już pierwsze doświadczenia w kontaktach z bolszewikami u władzy – zdecydowanie negatywne, a jednak nie przekreślające możliwości ich ponowienia w zmienionej sytuacji, gdy również piłsudczycy będą reprezentowali centrum suwerennej władzy państwowej. Wysiłki na rzecz tworzenia polskiego wojska na Wschodzie narzuciły niejako konieczność porozumiewania się z różnymi (w sensie geograficznej i politycznej rozpiętości) ośrodkami antybolszewickiej Rosji. I one nie przyniosły żadnej trwałej, politycznej umowy. Nie była do niej zresztą zdolna ani strona polska, ani rosyjska. Warto uświadomić sobie, że nie było jeszcze wszak jednej polskiej władzy państwowej, ani jednej „białej” Rosji w pełni uznanych na arenie międzynarodowej i nawzajem siebie uznających.

Siły polskie jednak były wciągane w rosyjską wojnę domową. Zrazu w sposób całkowicie żywiołowy, wynikający po prostu z faktu, że co najmniej od czasu zawarcia pokoju brzeskiego z Niemcami bolszewicy nie znali już pojęcia neutralności. Kto nie był z nimi – ten był przeciw nim.⁸⁸ W miarę

88. Zob. uwagi J. Kirchmajera (w polemice z J. Grosfeldem): „O polskich ‘reakcyjnych formacjach’ po raz drugi”, *Wojskowy Przegląd Historyczny*, 1959, z. 4, s. 340.

zblizania się do końca wojny z Niemcami rósł z drugiej strony, jak już wspomnieliśmy, nacisk Ententy, by Polacy w toczącej się w Rosji wojnie nie pozostawali neutralni, ale dołączyli do zestawu narzędzi, którymi mocarstwa zachodnie mogłyby się posłużyć w swojej polityce „rosyjskiej”. Z chwilą odzyskania przez Polskę niepodległości, nawet gdy obejmowała ona początkowo tylko teren Kongresówki i Galicji zachodniej, powstawał od razu problem skoordynowania jej polityki wobec konfliktu w Rosji. Nie chodziło już odtąd o wykorzystanie pojedynczych, liczonych w setki żołnierzy, oddziałów, ale o stawianie na kartę interesów całego, odradzającego się państwa. Potrzebne było pilne zdefiniowanie i konsekwentne dążenie do zabezpieczenia owych interesów na wschodzie w tak płynnym układzie, jaki tworzyły zmienne koleje rosyjskiej wojny domowej, pojawiające się obok niej aspiracje niepodległościowe nierosyjskich narodów imperium, wreszcie meandry polityki Ententy wobec Rosji.

Powracający 10 listopada z magdeburgskiego więzienia Piłsudski zdawał się być gotowy do tego zadania jak żaden inny polski polityk. Tę gotowość dawały mu nie tylko przemyślenia i doświadczenia związane z jego wcześniejszym, 25-letnim zaangażowaniem w sprawę walki z rosyjskim imperium. Czasem szczególnie efektywnego przygotowania do roli, jaką przyszło mu spełniać w ciągu kolejnych dwóch lat, u steru polskiej państwowości, był właśnie okres I wojny światowej. Wszystkie polityczne sondy i kontakty, wyprawiane z jego obozu w kierunku podzielonej Rosji; POW – cały zbudowany mechanizm pozyskiwania informacji z tego ogromnego obszaru (w warunkach bolszewickiego terroru, wojny domowej i „kontrterroru”); wreszcie nowi, sprawdzeni w tak trudnej sytuacji współpracownicy wschodnich planów Komendanta – tacy jak Bogusław Miedziński, Ignacy Matuszewski, Tadeusz Hołówko czy Karol Wędziagolski: to były atuty, które dawały Piłsudskiemu przewagę w rozpoznaniu tego, co działo się na terenie byłego imperium Romanowów i zarazem szansę efektywnego i przemyślanego wpływu na ostateczne rozstrzygnięcie jego losów.

Andrzej NOWAK

Grzegorz MAZUR

POLITYKA SOWIECKA
NA „ZACHODNIEJ UKRAINIE” 1939-1941
(zarys problematyki)

Agresja sowiecka na polskie Kresy Wschodnie 17 IX 1939 r. zapoczątkowała nowy okres w życiu ludności tych ziem. Małopolska Wschodnia i Wołyń – jako tzw. Zachodnia Ukraina – w latach 1939-1941 znalazły się pod okupacją sowiecką. Już w ramach przygotowań do agresji na Polskę 8 IX 1939 r. Ławrentij Beria wydał rozkaz nr 001064, nakazujący komisarzom ludowym NKWD Białoruskiej SSR Ławrentijowi Canawie i Ukraińskiej SSR Iwanowi Sierowowi zorganizowanie odpowiednich grup operacyjnych NKWD, których celem miało być m.in. uwięzienie „najbardziej reakcyjnych” przedstawicieli administracji polskiej, ugrupowań politycznych, pracowników i agentury polskiego Oddziału II Sztabu Głównego oraz oficerów służby czynnej i rezerwy. Na Zachodniej Ukrainie grupy te przystąpiły do pracy już 18 IX 1939 r., po wkroczeniu do Tarnopola. Wynikiem ich działalności było aresztowanie – do 10 XII 1939 r. – 1.057 oficerów, licznych pracowników administracji, policji oraz wywiadu i kontrwywiadu. Był to zaledwie początek, a te grupy operacyjne stały się podstawą zorganizowania na świeżo zdobytych terenach szeroko rozbudowanego aparatu represji.

Jednym z pierwszych posunięć władzy sowieckiej było

rozpoczęcie przygotowań do wyborów do Zgromadzenia Ludowego Zachodniej Ukrainy. W dniu 3 i 5 X 1939 r. Rada Wojenna Frontu Ukraińskiego, który opanował te tereny, tworzyła w drodze nominacji organy administracji lokalnej. Powołane zostały tzw. zarządy tymczasowe w województwach, zarząd tymczasowy miasta Lwowa, powiatowe zarządy tymczasowe oraz wiejskie komitety. Na czele zarządów tymczasowych stali dotychczasowi pracownicy KC WKP(b) Ukrainy: w województwie lwowskim Nikołaj Maćko, stanisławowskim – Michaił W. Grulenko i Iwan S. Gruszecki, wołyńskim – Wasilij A. Begma, tarnopolskim – Leonid S. Griszczuk. Zaznaczyć trzeba, iż większość członków tych zarządów przybyła z ZSSR, miejscowej ludności nie znali i nie rozumieli. Celem agresorów było zlikwidowanie wszelkich istniejących do tej pory instytucji i organizacji, jako wytworzonych w „państwie burżuazyjnym”, zdezintegrowanie i rozbitcie dotychczasowej społeczności, wszelkich jej struktur politycznych, społecznych i gospodarczych oraz na jej miejsce stworzenie nowej, sowieckiej, funkcjonującej w myśl założeń komunistycznej doktryny. Nowo wcielone ziemie miały zostać pod każdym względem w pełni zintegrowane z ZSSR¹.

W dniu 6 X 1939 r. Rada Wojenna powołała do życia 17-osobowy komitet organizacyjny wyborów, a w dniu następnym wydała uchwałę o ich przeprowadzeniu. Według założeń władz jeden delegat miał zostać wybrany na 5 tys.

1. R. Głukowski, „Rozkaz Berii nr 001064. NKWD przeciwko ludności polskiej na Kresach”, *Rzeczpospolita*, 1997, nr 220; I. Biłas, „Represyjno-karalna systema w Ukraini 1917-1953”, Kyjiv 1994, t. I, s. 117; M. Kuczerepa, W. Wisyn, „Władza sowiecka na Wołyniu 1939-1941, w: „Zbrodnie NKWD na obszarze województw wschodnich Rzeczypospolitej Polskiej”. Materiały I Międzynarodowej Konferencji Naukowej. Koszalin, 14 grudnia 1995, pod red. B. Polaka, Koszalin 1995, s. 32; G. Mazur, „Pokucie w latach Drugiej Wojny Światowej. Położenie ludności, polityka okupantów, działalność podziemia”, Kraków 1994, s. 29-30; tegoż, „Z dziejów sowietyzacji tzw. Zachodniej Ukrainy 1939-1941”, *Studia Rzeszowskie*, t. III – 1996, s. 67-68; „W czterdziestym nas matko na Sybir zesłali... Polska a Rosja 1939-1942”, wybór i oprac. J.T. Gross, I. Grudzińska-Gross, Londyn 1983, s. 19-20, 28-33; C. Łuczak, „Ziemie Wschodnie Drugiej Rzeczypospolitej pod panowaniem radzieckim (1939-1941 i 1944-1945)”, *Biuletyn Głównej Komisji Badania Zbrodni Przeciw Narodowi Polskiemu – Instytutu Pamięci Narodowej*, t. XXXIV, 1992, s. 43.

ludzi. W przygotowaniach do wyborów wzięło udział na Zachodniej Ukrainie ponad 10 tys. przybyłych z ZSSR agitatorów, a w pracach komisji wyborczych – 7.350 przybyłych stamtąd pracowników, na ogólną liczbę ponad 49 tys. ich członków. W warunkach terroru i oszustw wyborczych odbyły się one w dniu 22 X 1939 r.² Według oficjalnych danych sowieckich w wyborach udział wzięło 4.443,9 tys. ludzi, tj. 92,83% uprawnionych. Według ocen agend rządu polskiego na obczyźnie, pod względem składu narodowościowego zarówno tego Zgromadzenia, jak i tymczasowych zarządów, obok przybyszów z ZSSR, całkowicie obcych ludności miejscowej, dominowali w nim Ukraińcy, do tego wcześniej nikomu nieznani. Zarazem jednak miały miejsce liczne wystąpienia nacjonalistów ukraińskich, programowo przeciwnych włączeniu Zachodniej Ukrainy do ZSSR. Na przykład w powiatach Podhajce i Brzeżany Organizacja Ukraińskich Nacjonalistów (OUN) dokonała 13 poważnych akcji wymierzonych przeciwko władzy sowieckiej, były też przypadki wywieszania narodowej flagi ukraińskiej. Przeciwko wyborom występowali też Polacy, aczkolwiek o tyle słabiej, że w odróżnieniu od Ukraińców, którzy od lat posiadali własną konspiracyjną organizację właśnie w postaci OUN, musieli zorganizować dopiero swoje podziemie.

Zgromadzenie Ludowe Zachodniej Ukrainy obradowało we Lwowie w dniach 26-27 X 1939 r. Uchwaliło ono ustanowienie władzy sowieckiej na całym terytorium Zachodniej Ukrainy, wystosowanie próśby do Rady Najwyższej ZSSR o wyrażenie zgody na wejście tych ziem w skład Związku Sowieckiego. W dniu 1 XI 1939 r. Prezydium Rady Najwyższej

2. Archiwum Akt Nowych (AAN), Oddz. VI: sygn. 202/III-203, k. 161; Instytut Polski i Muzeum im. gen. W. Sikorskiego w Londynie (IPMS): sygn. A 9 III 1/38; I. Biłas, t. I, s. 117; W.W. Kasjuchnicz, „Narodni zbory u Lwowi – znamienna podija w istorii ukraińskiego narodu”, Visnyk Lwivskiego Uniwersytetu. Seria Istoryczna, 1989, t. 25, s. 9; „Istorija mist i seł Ukrajinśkoji RSR w dwadcati szesti tomach”, t. IX: „Iwano-Frankiwska obłast”, Kyjiw 1974, s. 31; J.T. Gross, „Wybory (I)”, *Aneks*, 1987, nr 45, s. 129; G. Mazur, „Z dziejów”, s. 68. Skład komitetu organizacyjnego wyborów, a także wiele szczegółowych informacji o kwestiach administracyjnych podaje W. Bonusiak, „Unifikacja Galicji Wschodniej i Wołyńia z ZSRR (1939-1941)”, *Studia Rzeszowskie*, 1996, t. III, s. 54.

ZSSR wyraziło zgodę, zaś 15 XI Prezydium Rady Najwyższej USSR przyjęło nowo nabyte ziemie – tzw. Ukrainę Zachodnią – w skład USSR³. Na terenach tych wprowadzono sowiecki podział administracyjny na następujące obwody: lwowski, tarnopolski, drohobycki, stanisławowski, rówieński i wołyński. W dniu 4 XII 1939 r. Prezydium Rady Najwyższej ZSSR zatwierdziło uchwałę o organizacji tych obwodów, które dzieliły się na rejony. W początkach lutego 1940 r. budowa nowej administracji została zakończona.

Oprócz struktur administracji sowieckiej powstały partyjne i komsomolskie: 1 X 1939 r. Biuro Polityczne KC WKP(b) zdecydowało o powstaniu komunistycznych organizacji w Zachodniej Ukrainie i Zachodniej Białorusi, a 4 X 1939 r. wyznaczyło pełnomocników pracy partyjnej w poszczególnych, nowo tworzonych obwodach. W dniu 9 XII 1939 r. KC WKP(b) Ukrainy zatwierdził skład biur komitetów obwodowych partii w nowych obwodach, a Prezydium Rady Najwyższej USSR skład obwodowych komitetów wykonawczych, rad miejskich i wiejskich oraz innych organów administracji. Następnie 20 XII 1939 r. Biuro Polityczne KC WKP(b) Ukrainy zdecydowało wysłać 495 komunistów do pracy w charakterze rejonowych sekretarzy partii w świeżo powstałych obwodach. W połowie 1941 r. istniało ponad 3 tys. podstawowych organizacji, skupiających 37 tys. członków i kandydatów partii komunistycznej. Ich skład narodowościowy przedstawiał się następująco: Ukraińcy – 63,1%, Rosjanie – 19,1%, Żydzi – 13,4%, inne narodowości – 4,4%. Oznacza to, że przede wszystkim Polacy nie byli dopuszczani i nie chcieli sami brać udziału w działalności partii komunistycznej. Z drugiej strony władze sowieckie nie żywiły nadmiernego zaufania do byłych członków KPP i przyjmowano ich do partii komunistycznej niechętnie i z oporami. W po-

3. AAN, Oddz. VI: sygn. 202/II-50, k. 214; IPMS: A. 9 III 2c/61; „Istorija mist”, t. IX, s. 31; G. Mazur, „Z dziejów”, s. 68; C. Łuczak, s. 42; W.W. Kasjuchnicz, s. 9. Obszernie o wyborach pisze J.T. Gross, „Wybory” (I), s. 129-160; „Wybory” (II), *Aneks*, 1987, nr 46-47, s. 171-210; A. Sudoł, „Początki sowietyzacji Kresów Wschodnich Drugiej Rzeczypospolitej (jesień 1939 roku). Wybrane problemy polityczne i organizacyjne”, Bydgoszcz-Toruń 1997, 103-106, tamże bardzo obszernie o Zgromadzeniach Ludowych.

czątkach 1940 r. NKWD nawet aresztowało kilka osób ze środowiska komunistycznego we Lwowie, zaś pierwszych polskich komunistów do WKP(b) zaczęto przyjmować dopiero w niecały rok później, a jako pierwszą Wandę Wasilewską, o czym lwowski *Czerwony Sztandar* doniósł 17 I 1941 r. Dużą grupą członków partii byli przybysze z ZSSR (głównie Ukraińcy i Rosjanie) stanowiący 1/5 członków partii na tym terenie. Na dzień 1 VI 1941 r. w obwodzie stanisławowskim było 4.584 członków partii, w wołyńskim 4.482, a w tarnopolskim w kwietniu 1940 r. – 2.512. W samym Lwowie w kwietniu 1940 r. było 1.550 członków i 632 kandydatów WKP(b). W praktyce zajmowali oni wszelkie stanowiska kierownicze. Podjęto również tworzenie sowieckich związków zawodowych, a Sekretariat KC WKP(b) w początkach października 1939 r. wysłał w tym celu na Zachodnią Ukrainę grupę pracowników sowieckich związków zawodowych, na czele której stał P.G. Moskatow, sekretarz Sowieckiego Centralnego Związku Związków Zawodowych. Ich liczebność w początkach 1940 r. osiągnęła 27.487 członków. Z powodów patriotycznych nikła była liczebność młodzieży polskiej w Komsomole, co irytowało władze sowieckie i nawet znalazło odbicie na łamach *Prawdy* z 22 XII 1940 r.⁴

W dniu 24 III 1940 r. przeprowadzono kolejne wybory, tym razem do Rady Najwyższej ZSSR, Rady Najwyższej USSR oraz rad niższych szczebli. Poprzedzone one zostały olbrzymich rozmiarów kampanią propagandową, do której znów skierowano tysiące aktywistów, specjalnie przysłanych w tym celu z głębi ZSSR. Kolejne wybory, tym razem do obwodowych, rejonowych, miejskich i wiejskich rad delegatów miały miejsce 15 XII 1940 r. Wyższe stanowiska w administracji obejmowali ludzie przybyli z ZSSR, większość

4. G. Mazur, „Kresy Wschodnie 1939-1941”, *Zdanie*, 1989, s. 74; tegoż, „Pokucie”, s. 30-31; A. Sudoł, s. 126; M. Kuczerepa, W. Wisyn, s. 36, 48; C. Łuczak, s. 43, 50; „Istorija mist”, t. XII: „Lwowska obłast”, Kyjiw 1968, s. 76, t. XVII: „Rowenska obłast”, Kyjiw 1973, s. 42, t. XIX: „Ternopilśka obłast”, Kyjiw 1973, s. 47-48; „Istorija Lwowa”, Kyjiw 1984, s. 231, 233; S.G. Filippow, „Diejatelnost’ organow WKP(b) w zapadnych obłastach Ukrainy i Bieforusii w 1939-1941 gg.”, w: „Istoriczeskije sborniki ‘Memoriała’, wypusk 1: Represii protiv Polakow i polskich grażdian”, Moskwa 1997, s. 45-46, 62.

pozostałych objęli Żydzi i Ukraińcy. Szybko zresztą okazało się, że nowej władzy sprzyjał szczególnie lumpenproletariat żydowski, a wrogo doń nastawiona była inteligencja i bogaci Żydzi. Jedynie sporadycznie na znaczących stanowiskach – ale i tak w skali raczej prowincjonalnej – znajdowali się Polacy i to zazwyczaj dawni członkowie KPP. W literaturze sowieckiej znajdujemy wzmianki o wysunięciu na kierownicze stanowiska w administracji, gospodarce, związkach zawodowych tysięcy ludzi spośród miejscowych mieszkańców⁵. Faktycznie odgrywali oni jednak podrzędną rolę. Niechęć miejscowej ludności, i to bez względu na różnice narodowościowe, budzili funkcjonariusze sowieccy, którzy objęli wiele istotnych stanowisk. Razili i wywoływali wręcz uczucie pogardy z racji swej niekompetencji, prymitywizmu, głupoty i skorumpowania. Obie społeczności, miejscowa (zwłaszcza zaś Polacy) i urzędników, wojskowych oraz funkcjonariuszy sowieckich, żyły obok siebie, dzieliła je silna wrogość i nieprzebyta przepaść. Miały miejsce ataki na przybyłych i miejscowych aktywistów, zarówno ze strony podziemia polskiego, jak i ukraińskiego; głośną akcją był nieudany zamach na Wandę Wasilewską 26 IV 1940 r., w rezultacie czego zginął jej mąż, Marian Bogatko⁶.

Władze sowieckie kokietowały polskich obywateli narodowości ukraińskiej, aby pozyskać ich dla swoich celów. Jednocześnie starano się możliwie szeroko rozpropagować i uwiarygodnić wersję, iż było to wyzwolenie Zachodniej Ukrainy spod „polskiego ucisku”. Stwierdzenie takie obowiązywało przez całe dziesięciolecia w historiografii sowieckiej. W sporządzonej przez polskie władze emigracyjne analizie polityki narodowościowej władz sowieckich możemy przeczytać, iż

5. IPMS: sygn. A XII 24/40, A 9 III 2a/18, 51, A 9 III 2c/61: „Istorija mist”, t. IX, s. 28-33, 86, 179, 249, 404, 524, 574, 638-639; „Sowietskaja Ukraina w gody Wielikoj Otieczestwiennoj Wojny 1941-1945. Dokumenty i materiały”, Kijew 1985, t. I, s. 37; J.T. Gross, „Wybory (II)”, s. 172; „Istorija Ukrajinskoj RSR”, Kyjiw 1977, t. VI, s. 510; A. Sudoł, s. 221-223; G. Mazur, „Z dziejów”, s. 70; tegoż, „Pokucie”, s. 44.

6. IPMS: A 9 V/8d; J. Zamojski, „Miejsca postoj”, W-wa 1989, s. 45; „Pogranicnyje wojska SSSR 1939 – 1 juń 1941. Sbornik dokumentow i matieriałow”, Moskwa 1970, s. 416; A. Sudoł, s. 117-118.

„w opisach krzywd, jakie masy ukraińskie ponosiły od władz polskich, akcentowano aspekt narodowościowy przed klasowym”⁷. Charakterystyczne było tworzenie w polityce i propagandzie stereotypu: Polak – przedstawiciel klas posiadających, bezlitośnie i okrutnie wyzyskujący ukraińskiego i białoruskiego chłopca i robotnika. Przy tak zwulgaryzowanym podejściu klasowym pomijano wszelkie nie pasujące do tego modelu fakty. Usiłowano także – często niestety z powodzeniem – wygrywać antagonizm polsko-ukraiński⁸. Dlatego też właśnie Ukraińcom, jako „naturalnym sojusznikom”, powierzano różne kierownicze stanowiska, dyskwalifikując przy tym często polskich komunistów, którzy jako członkowie rozwiązanej KPP należeli do partii „opanowanej przez prowokatorów”. Nie zważano przy tym na fakt, że w ten sposób promuje się ukraińskich nacjonalistów, skrzętnie ukrywających swoją wrogość do ZSSR⁹.

Istotną metodą jak najszybszego zintegrowania nowo zajętych ziem z resztą Związku Sowieckiego było przeprowadzenie tzw. paszportyzacji. Władze sowieckie nie uznawały państwa i rządu polskiego, więc ich mieszkańcy nie mogli posiadać obywatelstwa nieistniejącego państwa. Stąd też Prezydium Rady Najwyższej ZSSR wydało 29 XI 1939 r. dekret, mocą którego wszyscy stali mieszkańcy tych ziem oraz znajdujący się tam uchodźcy z Polski centralnej otrzymali obywatelstwo sowieckie. Pociągnęło to za sobą wydanie im sowieckich dokumentów tożsamości (tzw. paszportów) i 30 XII 1939 r. rząd sowiecki wydał postanowienie o przeprowadzenie paszportyzacji na terenie Zachodniej Ukrainy, a 5 II 1940 r. analogicznej treści zarządzenie wydało NKWD ZSSR, realizujące tę operację. Mieszkańcy tych terenów często otrzymywali je jednak z adnotacjami ograniczającymi uprawnienia posiadane przez dotychczasowych obywateli ZSSR; na przykład uniemożliwiający zamieszkanie w odległości 100 km od większego miasta lub granicy państwowej, co dotknęło wielu z nich. Cała ta sprawa stworzyła zresztą administracji sowieckiej mnóstwo możliwości szykanowania ludności.

7. IPMS: A 9 V/8d.

8. IPMS: A 9 III 2a/30, A 9 V/8d; J.T. Gross, „Wywózki do Rosji”, *Aneks*, 1988, nr 51-52, s. 47.

9. W. Gomułka, „Pamiętniki”, W-wa 1994, t. II, s. 51.

Nieprzyjęcie obywatelstwa groziło aresztowaniem i deportowaniem. Konsekwencją przyznania mieszkańcom sowieckiego obywatelstwa było następnie rozciągnięcie na nich obowiązku służby wojskowej w Armii Czerwonej i przeprowadzenie poboru do niej. Akcja paszportyzacji nie została jednak zakończona do agresji niemieckiej 22 VI 1941 r¹⁰.

Olbrzymią rolę odgrywał aparat NKWD. Bardzo szybko zaczęto organizować więzienia: powstały cztery we Lwowie, trzy w Równem, po jednym we Włodzimierzu Wołyńskim, Łucku, Kowlu, Dubnie, Ostrogu, Drohobyczu, Przemyślu, Samborze, Stryju, Złoczowie, Czortkowie, Stanisławowie, Kołomyi, Tarnopolu. Potem zbudowano następne, w innych miejscowościach. W poszczególnych obwodach zarządami NKWD kierowali: w stanisławowskim – kpt. Michajłow, lwowskim – kpt. Krasnow, a po nim kpt. Diatłow, tarnopolskim – Wadis, drohobyckim – st. lejtn./kpt. Zaczepa, wołyńskim – Czerwinskij i Biełocerkowski, równieńskim – Zubow, a od marca 1941 r. st. lejtn. Wasilij Mastickij. W skład aparatu NKWD oprócz organów bezpieczeństwa, milicji i jednostek wojsk wewnętrznych wchodziły też wojska pogranicza, także używane do prowadzenia represji wobec miejscowej ludności oraz zwalczania jej oporu. We Lwowie znajdował się też zarząd wojsk pogranicza Zachodniego Okręgu, przemianowany 14 VIII 1940 r. na zarząd wojsk pogranicza USSR. Szczegóły dotyczące całej struktury organizacyjnej aparatu represji, obsady personalnej dowództw i spełnianej przezeń roli wymagają dalszych badań¹¹. Po podziale 3 II 1941 r. NKWD na

10. I. Biłas, t. I, s. 123: W.S. Parsadanowa, „Dieportacya nasilenija iz Zapadnoj Ukrainy i Zapadnoj Biełarussii w 1939-1941 gg.”, „Nowaja i Nowiejszaja Istorija”, 1989, nr 2, s. 30; C. Łuczak, s. 43; G. Mazur, „Kresy”; tegoż, „Z dziejów”, s. 72-73; A. Głowacki, „Sytuacja prawna obywateli polskich w ZSRR w latach 1939-1945”, w: „Położenie ludności polskiej na terytorium ZSRR i wschodnich ziemiach II Rzeczypospolitej w czasie II wojny światowej”, Toruń 1990, s. 32-33; J.T. Gross, „Wywózki”, s. 51-53; C. Madajczyk, R. Torzecki, „Świat kultury i nauki Lwowa (1936-1941), w: „Każń profesorów lwowskich lipiec 1941. Studia oraz relacje i dokumenty zebrane i opracowane przez Z. Alberta”, Wrocław 1989, s. 25.

11. I. Biłas, t. I, s. 118-119, 127, 145-146, t. II, s. 154-155, 228; M. Kuczerepa, W. Wisyn, s. 36, 47-48; S.G. Filippow, s. 65; „Organy gosudarstwiennoj biezapasnosti SSSR w Wielikoj Otieczestwiennoj Wojnie. Sbornik dokumentow”, Moskwa 1995, t. I, kn. 1, s. 242-243, 253, kn. 2, s. 120.

dwa piony organów bezpieczeństwa, NKWD i NKGB, stanowisko szefa NKGB Ukrainy objął Paweł Mieszik¹². Znaną są dokładne liczby osób aresztowanych przez NKWD na Zachodniej Ukrainie: w 1939 r. było to 5.406 Polaków, 2.779 Ukraińców i 1.439 Żydów; w 1940 r. 15.518 Polaków, 15.024 Ukraińców i 10.924 Żydów, wreszcie w styczniu i lutym 1941 r. 525 Polaków, 2.179 Ukraińców i 332 Żydów¹³.

Natychmiast po zajęciu nowych ziem sowieckie wojska pogranicza zaczęły obsadzać granicę z Niemcami, Rumunią i z Węgrami. Wprowadzono trzy strefy pograniczne: 7,5-kilometrową, 500-metrową i 4-metrową, dostosowując ochronę pogranicza do dotychczasowych zasad stosowanych w ZSSR. Wysiedlono z nich posiadaczy tzw. paszportów tymczasowych, którymi byli przede wszystkim Polacy (miejscowi i przybyli tu uchodźcy) i nakazano im przenieść się przynajmniej 30 km od granicy. Jednocześnie deportowano w głąb ZSSR dotychczasowych mieszkańców terenów przygranicznych. Z terenów Pokucia i Podola dokonano 28 VI 1940 r. agresji przeciwko Rumunii, zajmując Bukowinę¹⁴.

Ofiarą represji ze strony władz sowieckich padali aktywniejsi działacze polityczni i społeczni, niezależnie od wyznawanej opcji politycznej (poza grupkami komunistów) i narodowości. Przede wszystkim dotknęło to polskich urzędników, działaczy państwowych i samorządowych itp. Już zaraz po agresji 17 IX 1939 r. we Lwowie, Tarnopolu, Stanisławowie i innych miejscowościach miały miejsce masowe aresztowania byłych wojskowych, strażników granicznych i nauczycieli, gajowych i leśniczych, działaczy społecznych i urzędników polskiej administracji; ogarnęły też one ich rodziny. Więzienia w

12. „Organy”, t. I, kn. 2, s. 85, 227.

13. O.A. Gorłanow, A.B. Rogiński, „Ob arestach w zapadnych obłastach Biełorussii i Ukrainy w 1939-1941 gg.”, w: „Istoriczeskije sborniki ‘Memoriała’”, wydanie 1: Represii protiv Polakow i polskich grażdian”, Moskwa 1997, s. 88, 97-113, tamże szczegółowe informacje o represjach.

14. Studium Polski Podziemnej w Londynie (SPP): sygn. 2.3.6.3.1; IPMS: A 9 III.2a/30; „Deportacii. Zachidni zemli Ukraini kinca 30-ch – początku 50-ch r.r. Dokumenty, materiały, spohady u trioch tomach”. T.I: 1939-1945 r.r., Lwów 1996, s. 71; W. Bonusiak, „Kto zabił profesorów lwowskich?”, Rzeszów 1989, s. 11-12; G. Mazur, „Pokucie”, s. 32; „Istorija Ukrainśkoji”, t. VI, s. 505.

Horodence, Skolem i Nadwórnie zostały zamienione na obozy schwytanych przy przekraczaniu granicy rumuńskiej i węgierskiej Polaków, udających się do Wojska Polskiego we Francji. Wielu więźniów z tych obozów deportowano w głąb ZSSR, osadzając ich w łagrach. Zostały zlikwidowane wszelkie działające do tej pory instytucje i organizacje polityczne, społeczne, gospodarcze, kulturalne, naukowe, a nawet oświatowe i gimnastyczne. Pomijając już polskie, dla przykładu podam fakt likwidacji „Masłosojuzu”, organizacyjno-technicznego i handlowego centrum rolniczej spółdzielczości ukraińskiej. Za czasów II Rzeczypospolitej świetnie on prosperował. W dniu 1 I 1940 r. dokonano reorganizacji tych spółdzielni, a następnie w 1941 r. na ich bazie utworzono „Masłoprom”, będący już typowym dla sowieckiej gospodarki przedsiębiorstwem. Zlikwidowano działające w Polsce i posiadające wielkie zasługi dla rozwoju ukraińskiej nauki Naukowe Towarzystwo im. T. Szewczenki, które nie zostało – mimo starań jego czołowych działaczy – włączone w skład Akademii Nauk USSR i uległo likwidacji, a także tak zasłużone instytucje, jak „Proświta”, „Silśkyj hospodar” i wiele innych. Ich miejsce zajęły wyłącznie państwowe instytucje sowieckie. Wśród ofiar represji znaleźli się czołowi działacze najważniejszej w II Rzeczypospolitej partii ukraińskiej, Ukraińskiego Narodowo-Demokratycznego Zjednoczenia (UNDO), wśród nich m.in. zastępca przewodniczącego UNDO w latach 1936-1939 Dymitr Lewyćkyj (aresztowany we Lwowie 1 X 1939 r.), jeden z głównych twórców spółdzielczości ukraińskiej, senator i członek władz UNDO Stanisław Łućkyj (aresztowany 2 X 1939 r.). Cele władz sowieckich – przyłączenie tych terenów do USSR – były zarazem całkowicie sprzeczne z celami konspiracyjnej OUN, której członkowie zaczęli zapełniać sowieckie więzienia. Potraktowali oni zjednoczenie wszystkich ziem zamieszkałych przez Ukraińców w ramach USSR w 1939 r. jako klęskę narodową; uznali też, że wszystkie przejawy narodowego ukraińskiego życia zamarły z chwilą nadejścia wojsk i władz sowieckich. Spora ich grupa, licząca ok. 20 tys. ludzi, zbiegła na tereny okupowane przez Niemców¹⁵.

15. R. Torzecki, „Kwestia ukraińska w polityce III Rzeszy (1933-1945)”, W-wa 1972, s. 193-194; G. Mazur, „Z dziejów”, s. 71.

OUN w dalszym ciągu kontynuowała swoją działalność i – jak wynika z dyrektywy dowództwa sowieckich wojsk pogranicza z 26 XI 1940 r. – stwierdzono, że spośród „kontrrewolucyjnego podziemia szczególnie aktywnością odznacza się OUN”¹⁶. W końcu 1940 r. aresztowano 59 członków Krajowej Egzekutywy OUN, których w styczniu 1941 r. skazano we Lwowie na karę śmierci. Takich przypadków było więcej¹⁷. Tylko w kwietniu i maju 1941 r. aresztowano – według danych NKWD – 1.865 aktywnych członków OUN. Przy prowadzonych przeciwko nim operacjach dochodziło do zbrojnych starć i zdobywano wiele sztuk broni. W okresie od 1 I do 15 VI 1941 r. w ich trakcie zginęło 13 i zostało rannych 30 pracowników operacyjnych NKWD. Najsilniejsze grupy OUN – według ocen NKWD – były w obwodach tarnopolskim i wołyńskim¹⁸.

Represje zastosowano wobec podziemia ukraińskiego – historycy ukraińscy obliczają liczbę Ukraińców rozstrzelanych przez NKWD w Małopolsce Wschodniej i na Wołyniu na ponad 20 tys., z tego większość członków OUN. W więzieniach znaleźli się zresztą wcześniejsi ideowi przeciwnicy spośród samych Ukraińców: członkowie OUN, UNDO i KPZU¹⁹. Mimo tych represji miała miejsce w dalszym ciągu rozbudowa siatki organizacyjnej OUN i kadr przyszłych oddziałów partyzanckich. Prowadzono samoobronę w oczekiwaniu na wybuch wojny niemiecko-sowieckiej. Nic dziwnego, że w tej sytuacji 14 V 1941 r. KC WKP(b) i rząd ZSSR wydały, w związku z nasileniem terroru ze strony OUN wymierzonego w przedstawicieli władzy sowieckiej, postanowienie o likwidacji „kontrrewolucyjnych organizacji” w zachodnich obwodach Ukrainy²⁰.

Radzieckie organa bezpieczeństwa szybko zaczęły rozprawić się z tworzącym się polskim podziemiem. Już w końcu

16. „Pograniczyje wojska SSSR 1939 – 1 juń 1941”, s. 346.

17. T. A. Olszański, „Historia Ukrainy XX w.”, W-wa b.d.w., s. 169.

18. „Organy”, t. I, kn. 2, s. 234-235.

19. IPMS: A.10-4/1; „Ukraine during World War II. History and Its Aftermath. A Symposium”, Edmonton 1986, s. 10-11; A. Chojnowski, „Ukraina”, W-wa 1997, s. 135; „W borotbi”, s. 16; G. Mazur, „Pokucie”, s. 35.

20. „Organy”, t. I, kn. s. 139-140.

września 1939 r. gen. Marian Żegota-Januszajtis utworzył we Lwowie Polską Organizację Walki o Wolność (POWW). Następnie powstały tam struktury Służby Zwycięstwu Polski (SZP) i Związku Walki Zbrojnej (ZWZ), przy czym ten ostatni szybko rozpadł się na dwie organizacje, używające tej samej nazwy; w historiografii używane są określenia ZWZ-1 i ZWZ-2. Na czele ZWZ-1 stali kolejno: płk Władysław Żebrowski, od połowy grudnia 1939 r. do kwietnia 1940 r., kiedy to w niewyjaśnionych do tej pory okolicznościach zaginął przy przekraczaniu granicy, ppłk Władysław Kotarski (jako p.o.), aresztowany 20 IV 1940 r. i ppłk Emil Macieliński (od kwietnia 1940 do września 1941 r., zastrzelony 17 XII 1941 r. w Warszawie pod zarzutem współpracy z NKWD; trzeba wspomnieć, że obecnie niektórzy badacze kwestionują słuszność wydanego nań wyroku). Natomiast ZWZ-2 kierowali kolejno: ppłk dypl. Jan Maksymilian Sokołowski (do około marca 1940 r.), mjr Zygmunt Dobrowolski (do października 1940 r.), ppłk dypl. Adam Paszkowski (do aresztowania w kwietniu 1941 r.) i ppłk Tadeusz Słoniewski. W walce z polskim podziemiem NKWD odniosło szereg sukcesów – m.in. w kwietniu 1940 r. aresztowani zostali stojący na czele ZWZ-1: kpt. Antoni Berowski, ppłk Karol Jan Dziekanowski, ppłk Władysław Kotarski, mjr Roman Lewicki i mjr Piotr Marciniak. Niektórzy z nich (ppłk W. Kotarski) w wyniku zastosowanych tortur załamali się i złożyli obszerne zeznania, stanowiące potem istotne źródło wiedzy operacyjnej dla NKWD. Zostali oni skazani na śmierć i rozstrzelani 24 II 1941 r.²¹ W dniu 15 III 1940 r. z Paryża wyjechał emisariusz do Lwowa, ppłk dypl. Stanisław Pstrokoński. Dotarł on do Lwowa około 15 V 1940 r., a 21 lub 22 VI 1940 r. został aresztowany przez NKWD. O stopniu rozpracowania polskiego podziemia świadczy fakt, że NKWD podążało za nim od samego Paryża. Badacz problematyki, Jerzy Węgiński, podejrzewa, że być może agentem

21. Centralne Archiwum Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i Administracji (CA MSWiA): U/I/5,6,7/F; J. Węgiński, „Lwów pod okupacją sowiecką 1939-1941”, W-wa 1991, s. 342-350, 378; G. Mazur, J. Węgiński, „Konspiracja lwowska 1939-1944. Słownik biograficzny”, Katowice 1997, s. 27, 61, 99-100, 109-110, 120-121.

NKWD w Paryżu był zastępca Komendanta Głównego ZWZ w Paryżu, gen. Gustaw Paszkiewicz, który zaraz po powrocie do kraju w 1945 r. objął wysokie stanowiska w wojsku i brał aktywny udział w walce z antykomunistycznym podziemiem. Sprawa ta wymaga dalszych badań, z uwzględnieniem najnowszych publikacji rosyjskich i akt z archiwów w Moskwie i na Ukrainie.

Następnie w obu organizacjach ZWZ NKWD zręcznie ulokowało swoich agentów: szefem wywiadu ZWZ-1 od około września 1940 r. był agent NKWD, kpt. Edward Metzger, zaś szefem wywiadu w ZWZ-2 inny agent NKWD, por. Edward Gola. Obaj zostali zastrzeleni z wyroku sądu konspiracyjnego w Warszawie w grudniu 1941 r. Inne sukcesy w walce z podziemiem NKWD odnotowało na Wołyniu, gdzie wiosną 1940 r. aresztowano komendanta Okręgu Wołyń, płk. Tadeusza Majewskiego oraz wiele innych osób. Wypęć tę spowodował adiutant Majewskiego, por. Bolesław Zymon, który potem trafił zresztą do Warszawy i brał udział w przygotowaniach do przejścia płk. Leopolda Okulickiego do Lwowa. L. Okulicki miał tam objąć komendę okupacji sowieckiej ZWZ. W takiej sytuacji nie dziwi fakt, że został on aresztowany we Lwowie w nocy 21/22 I 1941 r. Natomiast spośród aresztowanych na Wołyniu osób, w listopadzie 1940 r. 13 skazano na karę śmierci, a 22 na długoletnie kary więzienia²². W każdym razie w opracowaniu dotyczącym „nacjonalistycznych grup”, w tym i polskich, sporządzonym 31 V 1941 r. przez zastępcę naczelnika 3 Zarządu NKGB ZSSR, Iwana Szeweliewa, stwierdzono: „na przestrzeni 1940 r. polskie antysowieckie powstańcze formacje, powstałe lub zjednoczone w Związek Walki Zbrojnej, zostały wykryte i rozgromione prawie we wszystkich zachodnich obwodach USRR i BSR, a także Litewskiej SRR”²³. O ile można się nie zgodzić w pełni z tą opinią (podając choćby za przykład organizację „Wierni Polsce” we Lwowie, której udało się prze-

22. M. Kuczerepa, W. Wisyn, s. 52; A. Przesmycki, „Ostatni komendant. Generał Leopold Okulicki”, Lublin 1990, s. 43, 47; J. Węgiński, „Lwów”, s. 137, 347-350, 378-379.

23. „Organy”, t. I, kn. 2, s. 172.

trwać), to trzeba jednak stwierdzić, że w bardzo poważnym stopniu sowieckim organom bezpieczeństwa udało się je sparaliżować, a sukcesy NKWD w walce z polskim podziemiem były bezdyskusyjne²⁴. Losy polskiego podziemia na tych terenach pod okupacją sowiecką – jest to ogromne, odrębne zagadnienie – wymagają dalszych dokładnych badań i współpracy polskich i ukraińskich badaczy.

Na terenie Zachodniej Ukrainy zostały przeprowadzone deportacje ludności, w czterech wielotysięcznych falach. Z opublikowanych ostatnio dokumentów wynika, że już 5 XII 1939 r. Biuro Polityczne KC WKP(b) i rząd ZSSR przyjęły uchwałę o wysiedleniu, a 29 XII 1939 r. Rada Komisarzy Ludowych ZSSR zatwierdziła instrukcję NKWD ZSSR o trybie przesiedlenia „polskich osadników” z zachodnich obwodów Białorusi i Ukrainy. Kierownictwo operacji powierzono zastępcy Berii, Wsiewołodowi Mierkułowowi, natomiast w poszczególnych republikach sprawowali je tamtejsi ludowi komisarze NKWD – na Ukrainie I. Sierow (pełniący także funkcję zastępcy ludowego komisarza NKWD ZSSR). Zarówno na szczeblu obwodu, jak i poszczególnych rejonów zostały zorganizowane słynne „trójki”, rozpatrujące sprawy deportowanych; na ich czele stali naczelnicy NKWD w poszczególnych obwodach. Niżej, na szczeblu powiatów (rejonów) i gmin działały też „trójki” NKWD, a w ich skład wchodził miejscowi sekretarze partii. Kwalifikowały one ludzi do wywózki. Kierownictwo NKWD wychodziło z założenia, że jeden funkcjonariusz może w ciągu dnia (choć, gwoli ścisłości, na ogół akcja miała miejsce w nocy) aresztować 2 ludzi i odpowiednio do liczebności osób przewidzianych do deportacji wyznaczyły potrzebną do jej przeprowadzenia liczbę ludzi. Do pomocy wyznaczono też pracowników miejscowych administracyjnych i partyjnych organów. Na rejonowe komitety partii i organy administracji nałożono odpowiedzialność za przygotowanie i przeprowadzenie operacji.

Zdarzały się też przypadki, że lokalne rady wiejskie, obsadzone przez Ukraińców nieprzychylnie nastawionych do miejscowych Polaków, miały znaczny udział w przygotowaniu

24. „Organy”, t. I, kn. 2, s. 172.

list wywozowych. Nacjonaliści ukraińscy starali się bowiem pozbyć z tych ziem Polaków, wykorzystując sowiecką wrogość do nich. Wobec dotychczasowych szacunków co do liczby deportowanych, zawartych w literaturze emigracyjnej, trzeba podać najbardziej chyba wiarygodne dane, oparte na udostępnionej ostatnio dokumentacji Wojsk Konwojowych NKWD oraz opublikowanych dokumentów NKWD Ukrainy. Wynika z nich, że już 1 II 1940 r. wyruszyły pierwsze transporty deportowanych, ale masowa akcja miała miejsce w nocy 9/10 II 1940 r. Dla przeprowadzenia owej deportacji w obwodzie lwowskim przewidziano zaangażowanie 4.900 ludzi, a w obwodzie Drohobycz wzięło w niej udział 6.155 ludzi. Jak wynika z raportu, który 13 II 1940 r. szef NKWD Ukrainy Iwan Sierow przesłał Ł. Berii, rezultaty całej akcji były następujące: z obwodu wołyńskiego – 8.858 ludzi, drohobyckiego – 10.593 ludzi, tarnopolskiego – 31.640 ludzi, rówieńskiego – 7.922 ludzi, stanisławowskiego – 9.083 ludzi, lwowskiego – 20.966 ludzi. Łącznie 89.062 osób. Następnie w nocy 12/13 IV 1940 r. deportowano łącznie z Zachodniej Białorusi i Zachodniej Ukrainy 61.092 (lub 60.667) ludzi. Kolejna deportacja miała miejsce w nocy 28/29 VI 1940 r., w jej wyniku wywieziono z Zachodniej Ukrainy 52.617 ludzi. Wreszcie 14 V 1941 r. Biuro Polityczne KC WKP(b) i rząd ZSSR podjęły uchwałę o przeprowadzeniu „oczyszczenia” obszarów nadgranicznych. W dniu 21 V 1941 r. Beria podpisał decyzję o dalszych wysiedleniach z terenu Zachodniej Ukrainy, a już następnego dnia ruszyły pierwsze transporty. W maju i czerwcu tego roku zesłano 9.595 (lub 12.371 – rozbieżność w źródłach) osób z Zachodniej Ukrainy. Jeśli chodzi o skład narodowościowy zesłańców, to dominowali Polacy, liczbę których oszacować można na około 200 tys., Żydów było około 70 tys., 25 tys. Ukraińców, 20 tys. Białorusinów i kilka tysięcy Niemców, Litwinów, Rosjan i Czechów. Strach przed deportacjami spowodował, że mieszkańcy tych terenów mieli zawsze przygotowane i spakowane niezbędne rzeczy do zabrania z sobą na zesłanie²⁵.

25. I. Biłas, t. I, s. 153-154, t. II, s. 129-138, 222; „Litopys nieskorienoj Ukrainy. Dokumenty, materiały, spohady”, Lwów 1993, t. I,

Delegat Obszaru Lwowskiego ZWZ na konferencji w Belgradzie w dniach 29 V – 2 VI 1940 r. określił politykę sowiecką, a przede wszystkim deportacje, jako „planową i konsekwentną eksterminację elementu polskiego”, po czym mówił o niej w sposób następujący: „Polityka eksterminacyjna sowietów zwraca się zresztą również przeciwko nacjonalistom ukraińskim i żydowskim; ściga jednak przede wszystkim Polaków”²⁶. Omawiając tę kwestię trzeba podkreślić, że kryterium zaliczenia przez władze sowieckie do grupy deportowanych nie była narodowość, ale ewentualny stosunek do nowego reżimu; deportowano tych, którzy mogli być czy też byli jego przeciwnikami. Inna sprawa, że wedle sowieckich stereotypów byli to głównie Polacy, jako naród „panów” i ciemiężycieli²⁷.

Na Zachodniej Ukrainie jako urzędowe wprowadzono języki ukraiński i rosyjski. Nastąpiła ukrajinizacja życia publicznego, władz lokalnych, wszelkiego rodzaju biur i urzędów, szkolnictwa, nazw miejscowości i ulic. Kuriozalnym wręcz przykładem była zmiana nazwy wsi Polska Wola w powiecie Tłumacz na Wola Radziecka. W języku ukraińskim były nawet szyldy i urzędowe wywieszki. Pogłębiło to niechęć Polaków do Ukraińców, których – słusznie lub nie – uważano za inicjatorów tych posunięć. Jeśli już trzeba było wspomnieć o Polsce, to obowiązkowo ze słowem „była” (*bywszaja*). W szkolnictwie wprowadzono obok ukraińskiego język rosyjski jako obowiązkowy, mimo że Rosjan na tym terenie – poza

s. 26-31; „Deportacji”, s. 55-61, 64-70, 79, 89-91; „Życie codzienne polskich zesłańców w ZSRR w latach 1940-1946”. Studia, pod red. S. Ciesielskiego, Wrocław 1997, s. 12-17, 22-26, 29, 31; A. Gurjanow, „Cztery deportacje 1940-1941”, *Karta*, 1994, nr 12, s. 130-136; G. Mazur, „Pokucie”, s. 39; tegoż, „Uchodźcy polscy na Litwie w świetle dokumentów NKWD i NKGB (1940-1941)”, *Biuletyn Głównej Komisji Badania Zbrodni Przeciw Narodowi Polskiemu – Instytutu Pamięci Narodowej*, t. XXXVI, 1993, s. 92; S.G. Filippow, s. 53. Zob. też szereg ważnych szczegółów w: A.E. Gurjanow, „Polskije specprieresieljency w SSSR w 1940-1941 gg.”, w: „Istoriczeskije sborniki ‘Memoriała’”, wydanie 1: *Repressii protiv Polakow i polskich grażdanz*, Moskwa 1997, s. 114-136; tegoż, „Masztaby deportacji naseljenia w głub’ SSSR w maju i junie 1941 g.”, w: „Istoriczeskije sborniki ‘Memoriała’”, s. 137-175.

26. SPP: sygn. 2.2.2.1.

27. C. Madajczyk, R. Torzecki, s. 25-26.

tymi, którzy dopiero teraz przybyli – w ogóle nie było²⁸.

W styczniu 1940 r. wprowadzono sowiecki ustrój szkolny: 10-letnią szkołę średnią oraz zmiany w programach. Przesunięto nacisk na przedmioty matematyczno-przyrodnicze, przy bardzo silnym nastawieniu materialistycznym. Obowiązkowo wprowadzono naukę języka ukraińskiego i rosyjskiego, a ponadto naukę „stalinowskiej konstytucji”. We wszystkich przedmiotach humanistycznych, a szczególnie w literaturze, nacisk położony został na utwory o charakterze ludowym i rewolucyjnym. Zaczęły dominować szkoły rosyjskie i ukraińskie, jedynie we Lwowie była większa ilość podstawowych i średnich szkół z polskim językiem wykładowym. Sowieckie władze szkolne przysyłały na skalę masową nauczycieli ze wschodniej Ukrainy, aby zastąpili dotychczasowych, zarażonych „burżuazyjną ideologią” (np. na Wołyń skierowano ich 1.800). W miarę możliwości szkoły zaopatrywano w podręczniki sprowadzone z ZSSR. W szkołach tworzono organizacje komsomolskie oraz działali sowieccy komisarze. Pozbawiono je polskiego charakteru, na przykład na miejsce historii Polski wprowadzono historię Rosji i ZSSR. Podręczniki, i tak mające bardzo niski poziom, były przesycone komunistyczną propagandą. Postanowieniem Prezydium Rady Najwyższej USSR z 8 I 1940 r. przemianowano Uniwersytet Jana Kazimierza na imienia Iwana Franki, zreorganizowano inne uczelnie oraz wyodrębniono z niego samodzielne instytuty naukowe (np. Instytut Medyczny). Utworzono w nich mające głównie charakter indoktrynacyjny katedry, historii ZSSR i marksizmu-leninizmu. Na mocy postanowienia KC KP(b) Ukrainy z 16 X 1939 r. pierwszym rektorem uniwersytetu po „zjednoczeniu Ukrainy” został prof. Mychajło I. Marczenko, pracujący do tej pory w Instytucie Historii Akademii Nauk USSR, natomiast rektorem Politechniki Lwowskiej M.P. Sadowski. Utrzymała się jednak we Lwowie polska elita intelektualna, na uniwersytecie wykładali w dalszym ciągu polscy uczeni, a wśród

28. IPMS: A 9 V/8d, A 9 III 2a/18, A 9 III 2c/61, Kol. 138/253; J. Zamojski, s. 44-45; „Sprawa ukraińska”, *Zeszyty Historyczne* (Paryż), 1985, z. 71, s. 131-132.

studentów było wielu Polaków. Jednak w pierwszych miesiącach władzy sowieckiej także na uniwersytecie dawał się zauważyć ostry kurs antypolski, m.in. zaznaczający się poprzez zakazy używania polskiego języka przez wykładowców²⁹.

Polski Lwów ponosił również ciężkie straty kulturalne. Częściowo rozkradziono, a częściowo wywieziono do ZSSR Bibliotekę Baworowskich ze Lwowa. Miała też miejsce kradzież dzieł sztuki, m.in. szereg eksponatów z Muzeum Dzieduszyckich wywieziono do Ermitażu. Trwała komasacja i reorganizacja muzeów, a liczne depozyty prywatne, składane przed wojną we lwowskich muzeach, polecono wpisać do ksiąg inwentarzowych jako własność tych ostatnich. Wreszcie należy wspomnieć o aresztowaniach, które dotknęły środowisko kulturalne Lwowa. W styczniu 1940 r. objęły one m.in. Władysława Broniewskiego, Szymona Lewina, Teodora Parnickiego, Tadeusza Peipera, Anatola Sterna, Aleksandra Wata, a później także część profesury uniwersytetu, m.in. prof. Stanisława Głabińskiego³⁰.

Trzeba zaznaczyć, że nowe władze prowadziły intensywną akcję indoktrynacyjno-propagandową; w szkołach powszechnych i średnich, w zakładach pracy, organizowano liczne wiece i mityngi, wydawano prasę w potężnych nakładach oraz rozliczne ulotki. Na miejsce czytelnicy ukraińskiej „Proświty” organizowano ośrodki sowieckiej kultury, w których na przykład wyświetlano propagandowe filmy, sławiące potęgę sowieckiego oręża i ukazujące w świetlany sposób kołchozowe

29. IPMS: A 9 III 2a/18, 30, A 9 III 2c/61, A XII 24/40; AAN, Odz. VI: 202/III-122, k. 67-70; C. Madejczyk, R. Torzecki, s. 26-28; C. Łuczak, s. 53; O.S. Rublow, J.A. Czerczenko, s. 194-196; I.O. Gliczow, „Wdoskonalennja roboty zagalnooswitnoj szkoły Lwiwszcziny za roki radjanskoj władzi”, Visnyk Lwiwskiego Uniwersytetu. Seria Istoryczna, 1989, t. 25, s. 73; S. Piekut, „Pod krwawym niebem. Z Polski do Rosji Stalina”, Londyn 1986, s. 7-13; J. Zamojski, s. 44; M. Kuczerepa, W. Wisyn, s. 38; A. Cieślakowa, „Prasa okupowanego Lwowa”, W-wa 1997, s. 51, 54-55 i nast., tamże szereg cennych szczegółów o Ossolineum, teatrach lwowskich, życiu literackim itp.

30. C. Madajczyk, R. Torzecki, s. 29-30; G. Mazur, „Kilka zdań o konsekwencjach radzieckiej agresji w 1939 roku”, w: „Bitwy Września 1939 roku”. Materiały z VI seminarium historyków polskich działań obronnych 1939 r. Koszalin, 10-11 listopada 1989 r. Cz. 1. „W obronie Kresów Wschodnich”, Koszalin 1993, s. 178-179.

rolnictwo, na którego polach miały pracować setki traktorów i kombajnów. W trakcie tych kampanii propagandowych zohydzano dotychczasowe państwo polskie i wychwalano „szczęśliwą” teraźniejszość, nie zważając na zadającą kłam temu wszystkiemu rzeczywistość. Wyjątkowo antypolski charakter miały takie filmy jak „Suworow” i „Wiatr od wschodu” (ten ostatni o wydarzeniach z września 1939 r., według scenariusza Wandy Wasilewskiej)³¹.

Istnieje też jednak inny aspekt tego zagadnienia. Mianowicie nowe władze rozpoczęły akcję likwidowania istniejącego analfabetyzmu. Podkreślić trzeba, że zjawisko to miało na tych terenach bardzo poważne rozmiary: według danych statystycznych z 1931 r. w poszczególnych województwach nie umiało czytać i pisać: 23,1% mieszkańców lwowskiego, 36,6% stanisławowskiego, 29,8% tarnopolskiego i 47,8% wołyńskiego. Uruchomiono w tym celu wiele szkół podstawowych i średnich oraz wieczorowych różnych stopni, przeznaczonych dla młodzieży pracującej, a także różne kursy. Na Wołyniu 1 IV 1940 r. powstała pierwsza w jego historii wyższa szkoła – instytut nauczycielski w Łucku. Spowodowane to było rosnącymi potrzebami, jeśli chodziło o kadry ideowego w komunistycznym duchu miejscowego nauczycielstwa. Szkoły zostały tak zorganizowane, aby objąć możliwie największy procent dzieci, dając im naukę w języku narodowym, a w treści komunistyczną. Stąd też uległa gwałtownemu zwiększeniu ilość szkół ukraińskich i żydowskich, stosownie do liczby dzieci ukraińskich i żydowskich oraz nauczycieli narodowości żydowskiej i ukraińskiej (np. w obwodzie Drohobycz w kwietniu 1940 r. było 568 nauczycieli-Żydów, podczas gdy przed wybuchem wojny było ich tylko 15). Ale przede wszystkim w oświacie, nauce i sztuce prowadzono intensywną sowietyzację i rusyfikację, co było głównym celem władz sowieckich³².

Uruchomiono gazety obwodowe, we Lwowie była nią

31. J. Zamojski, s. 49; I.O. Gliczow, s. 73-74; „Istorija mist”, t. XII, s. 12.

32. G. Mazur, „Z dziejów”, s. 76-77; A. Żukowski, O. Subtelnyj, „Narys istoriji Ukrajiny”, Lwów 1991, s. 118; Mały Rocznik Statystyczny 1939, s. 29; M. Kuczerepa, W. Wisnyk, s. 39; S.G. Filippow, s. 67.

Wilna Ukraina, początkowo organ Tymczasowego Zarządu m. Lwowa, a następnie komitetów partyjnych we Lwowie. W dniu 23 IX 1939 r. ukazał się pierwszy numer stanisławowskiej gazety *Radjańska Ukraina*, a 3 X 1939 r. w Tarnopolu dziennik *Wilne żytja*, zaś w Drohobyczu wydawano *Bilszowicką Prawdę*. Powstały też liczne gazety rejonowe, wydawane w języku ukraińskim. W języku polskim ukazywał się we Lwowie od 27 IX 1939 r. *Czerwony Sztandar*, redagowany kolejno przez I. Mańkowskiego, J. Markiewicza, ponownie I. Mańkowskiego i E. Radeckiego. Był to typowy organ sowieckiej propagandy, zawierający wiele antypolskich tekstów. W Tarnopolu od 23 V 1941 r. wydawana była *Prawda Bolszewicka*. Ponadto ukazywał się redagowany przez W. Wasilewską we Lwowie miesięcznik społeczno-literacki *Nowe Widnokregi* oraz *Almanach Literacki*. Te dwa ostatnie pisma zamieszczały utwory literackie polskich i sowieckich pisarzy i kronikę wydarzeń. Z biegiem czasu próbowano dość niezdarnie kokietować Polaków. Stalin 3 VII 1940 r. wysłał telegram do sekretarza lwowskiego komitetu obwodowego partii Griszczuka (z kopią do sekretarzy KC WKP(b) Ukrainy N.S. Chruszczowa i M.A. Burmistienki), w którym poddał krytyce wrogi stosunek tamtejszych władz do polskiej ludności. Najbardziej dobitnym przykładem były jednak obchody 85 rocznicy śmierci Adama Mickiewicza we Lwowie 25 XI 1940 r. Można przypuszczać, że ich przyczyną była rosnąca świadomość zbliżania się nieuchronnego konfliktu z Niemcami oraz niepowodzenia polityki pozyskiwania sobie Ukraińców. Nie miały jednak te wydarzenia dalszych konsekwencji, dalszego pozyskiwania i gestów pod adresem Polaków, a miejscowe organy NKWD kontynuowały dotychczasową politykę. Kultura polska była wtedy pozbawiona, możliwości swego naturalnego rozwoju³³.

33. R. Torzecki, „Polacy i Ukraińcy. Sprawa ukraińska w czasie II wojny światowej na terenie II Rzeczypospolitej”, W-wa 1993, s. 39; L. Podhorodecki, „Dzieje Lwowa”, W-wa 1993, s. 215; G. Mazur, „Pokucie”, s. 39-41; tegoż, „Kilka zdań”, s. 178-179, tegoż, „Z dziejów”, 76-77; C. Łuczak, s. 52; C. Madajczyk, R. Torzecki, s. 32-33; S.G. Filippow, s. 55-56; A. Cieślukowa, ss. 33-34, 103-105, 112-114, tamże szczegółowo o lwowskiej prasie lat 1939-1941, wymienia też ona tytuły innych gazet, głównie ukazujących się w języku ukraińskim pism rejonowych.

Rozciągnięto na istniejące na Kresach kościoły, sowieckie przepisy regulujące prawną sytuację związków wyznaniowych. Sprowadzały się one do oddzielenia kościołów od państwa, zniesienia dotacji państwowych dla związków wyznaniowych, zlaicyzowanie szkolnictwa, przejęcia majątku kościelnego, zniesienie świąt kościelnych, zakaz „propagandy religijnej” i wolności szerzenia „naukowego ateizmu”. Wprowadzono różne drobne utrudnienia i ograniczenia, jeśli chodzi o odprawianie nabożeństw w otwartych kościołach, choć istotnego zakazu nie było. Już jesienią 1939 r. władze sowieckie we wszystkich szkołach Zachodniej Ukrainy zabroniły przeprowadzania modlitwy i usunięto krzyże ze szkolnych klas. Wprowadzono zakaz nauczania religii, czasem odbywało się ono konspiracyjnie w kościołach oraz domach zaufanych parafian. Intensywną propagandę antyreligijną w szkołach prowadzili sowieccy funkcjonariusze oświatowi, choć była ona bardzo prymitywna. Jednocześnie trwała likwidacja wszelkich możliwości działania kościołów, na przykład przez likwidację drukarni i wydawnictw kościelnych, szkół, szpitali i innych placówek znajdujących się pod zarządem związków wyznaniowych, skonfiskowano mienie nie służące bezpośrednio kultowi religijnemu. Na kościoły nałożono olbrzymie podatki, do wysokości 9 tys. rubli. Wobec niemożności ich płacenia dochodziło do stopniowego zamykania kościołów i seminariów duchownych. Wśród zamordowanych i deportowanych znaleźli się duchowni różnych wyznań. Tworzone przez władze rady wiejskie występowały przeciw Kościołowi rzymskokatolickiemu, przeznaczając jego budynki na inne cele. Nieco inny los spotkał silną na Wołyniu cerkiew prawosławną – 28 X 1940 r. przeszła pod jurysdykcję moskiewskiego Patriarchatu³⁴.

34. M. Kuczerepa, W. Wisyn, s. 41-42; G. Mazur, „Pokucie”, s. 41-43; C. Łuczak, s. 54-55; J. Sziling, „Kościół katolicki na wschodnich ziemiach II Rzeczypospolitej w latach 1939-1941”, w: „Położenie”, s. 121-124; „Martirologia ukraińskich cerkew u czotyrioch tomach”. T. I: „Ukrajinińska Prawosławna Cerkwa. Dokumenty, materiali, christianskij samwydaw Ukrainy”, Toronto-Baltimore 1987, s. 617-629; T.II: „Ukrajinińska Katołyćka Cerkwa. Dokumenty, materiali, christianskij samwydaw Ukrainy”, Toronto-Baltimore 1985, s. 207-208; „Życie religijne w Polsce pod okupacją 1939-1945. Metropolie wileńska i lwowska, zakony”, pod red. Z. Zielińskiego, Katowice 1992, s. 113-114, 117.

Wkraczających na ziemie polskie sowieckich żołnierzy, a potem przyjezdnych funkcjonariuszy nowej władzy, opanowały szaf zakupów; w sklepach w dużej obfitości znajdowały się niedostępne w ZSSR towary. Zakupy były ułatwione przez zrównanie kursu rubla i złotego. Bardzo szybko zabrakło więc towarów w sklepach, ponadto zjawisko to zrujnowało miejscową ludność. Następnie zaczęto wywozić do ZSSR całe fabryki i zawartość magazynów. Wszystkie konta bankowe i oszczędnościowe zostały zablokowane. W dniu 24 XII 1939 r. unieważniono złoty polski bez prawa do pełnej wymiany, co wywołało gwałtowną spekulację z jednej strony, a zubożenie ludności z drugiej. Wymianą objęto kwotę tylko do 300 zł na osobę, po kursie 1:1, co spowodowało utratę wszystkich oszczędności. Przed sklepami formowały się długie kolejki oczekujących na dostawę dosłownie wszystkich artykułów. Natomiast uruchomiono różnego rodzaju fabryki, które w wyniku braku opłacalności produkcji bądź kryzysu gospodarczego pierwszej połowy lat 30-tych były jeszcze zamknięte, a ich produkcję kierowano przede wszystkim na rynek sowiecki, jedynie drobny jej ułamek rzucając na rynek miejscowy dla zaspokojenia potrzeb ludności³⁵.

Nowa władza podjęła zgodną z komunistyczną ideologią przebudowę struktury gospodarczej kraju. Już Zgromadzenie Ludowe we Lwowie podjęło decyzję o nacjonalizacji banków i przemysłu oraz likwidacji wielkiej własności ziemskiej, decydując o rozparcelowaniu ponad 1 mln ha ziemi. Biuro Polityczne KC WKP(b) już 3 XII 1939 r. rozpatrzyło problem nacjonalizacji przedsiębiorstw na terenie Zachodniej Ukrainy. W wyniku parcelacji ogółem w obwodzie stanisławowskim rozdzielono 178,6 tys. ha ziemi między 47 tysięcy chłopów bezrolnych i małorolnych, w obwodzie lwowskim i drohobyckim 230 tys. ha ziemi, ponad 12.600 koni, 26.448 krów; w tarnopolskim – 200 tys. ha ziemi, 11.229 koni, 11.062 krów, w rówieńskim – 105 tys. ha ziemi. W pierw-

35. AAN, Oddz. VI: 202/V-7, k. 59; IPMS: Kol. 138/253, B I 109/H, A 9 III 2a/30, A 9 III 2a/30a, A.10.4/1, A XII 24/40; G. Mazur, „Kresy”, s. 75-76; tegoż, „Z dziejów”, s. 78-79; „W czterdziestym”, s. 26-28; C. Łuczak, s. 48-49; L. Podhorodecki, s. 210, 213, 218; J. Zamojski, s. 48; S.G. Filippow, s. 49; R. Torzecki, „Polacy”, s. 76.

szej kolejności zlikwidowano istniejące gospodarstwa polskich osadników, uważając ich za klasowego oraz narodowego wroga miejscowej ludności ukraińskiej i deportując ich na samym początku w głąb ZSSR³⁶.

Ustanowiono następujące normy posiadania ziemi: 5 ha koło centrów przemysłowych, 7 ha w innych miejscowościach, 10 ha w górach, tworząc w ten sposób niewielkie i ekonomicznie słabe gospodarstwa. Znane są rezultaty reformy rolnej na Wołyniu: ogółem skonfiskowano kościołom, obszarnikom i osadnikom 297,2 tys. ha ziemi, z czego 153.136 ha ziemi otrzymało 59.770 gospodarstw, którym dodatkowo przekazano m.in. 3.852 koni, 6.631 krów, 2.608 świń. Posunięcia te nie ułatwiły jednak życia miejscowym rolnikom, bowiem wyznaczono im tak wysokie kontyngenty dostaw artykułów rolnych, że nie byli w stanie wywiązać się z nich. Ponadto ograniczono im możliwość sprzedaży produktów rolnych, jak również nie zwolniono ich – na co liczyli – od ciężarów podatkowych. Do tego jeszcze dołączyły się częste rekwizycje własności rolników, na przykład w okolicach Rohatyna zabierano z inwentarza wszystko ponad jednego konia i krowę, w tym też maszyny rolnicze. Był to wstęp do późniejszej akcji kolektywizacyjnej, rychło bowiem zaczęto głosić tezę o „wyższości własności społecznej nad prywatną”³⁷.

W dniu 19 II 1940 r. zagadnienie „O organizowaniu sowchozów w zachodnich obwodach USSR” zostało rozpatrzone przez Biuro Polityczne KC WKP(b), które zatwierdziło odpowiednie decyzje rządu. W ten sposób na dawnych ziemiach – przede wszystkim obszarniczych – tworzono rolnicze przedsiębiorstwa stanowiące własność państwową. Początkowo nie podejmowano kwestii kołchozów, choć pierwsze zaczęły powstawać już wiosną 1940 r. Do końca 1940 r. – 295, które obejmowały 24.749 gospodarstw. W obwodzie

36. IPMS: A 9 III 2c/61; J.T. Gross, „Revolution from Abroad. The Soviet Conquest of Poland's Ukraine and Western Belorussia”, Princeton 1988, s. 66; G. Mazur, „Kresy”, s. 76; tegoż, „Z dziejów”, s. 79-80; W.S. Parsadanowa, s. 28; „Istorija mist”, t. IX, s. 33, 186, 232, 328, 363, 390, 549, 555, 590, 597; t. XII, s. 31, t. XVII, s. 43, t. XIX, s. 46; S.G. Filippow, s. 62.

37. IPMS: B I 109/H, A XII 24/40, Kol. 138/253, A 9 III 2a/18; G. Mazur, „Kresy”, s. 76; I. Kuczerepa, W. Wisyn, s. 43; C. Łuczak, s. 48.

Wołyn do października 1940 r. zorganizowano 148 kołchozów, w skład których weszło tylko 4% wszystkich gospodarstw. Na dzień 1 VI 1941 r. w obwodzie lwowskim było 631 kołchozów, obejmujących 31.910 gospodarstw, w obwodzie tarnopolskim 529 kołchozów, które obejmowały 46.525 gospodarstw (tzn. 14,8% wszystkich) i 183.856 ha ziemi (18% użytków rolnych). W obwodzie Równe na 10 IV 1941 r. było 465 kołchozów, które obejmowały ponad 28 tys. gospodarstw. Wiosną 1941 r. na całej Ukrainie Zachodniej działało już 2.589 kołchozów, jednoczących 13% gospodarstw chłopskich. Przy tworzeniu kołchozów, stosowano te same metody przymusu, które tak skutecznie wypróbowano w ZSSR 10 lat wcześniej.

Organizowanie kołchozów skutecznie w tym czasie przyczyniało się do wzrostu wśród chłopskich mas – bez względu na narodowość – nienawiści do nowej władzy. Znanym sowieckim wzorem rozpoczęto bowiem dzielenie ich na biedniaków, średniaków i kułaków. Przysyłano agitatorów i pracowników aparatu partyjnego, zaczęły się mityngi, obietniczki i groźby, nakładano olbrzymie kontyngenty i podatki na opornych. Zostało to przerwane przez atak niemiecki na ZSSR 22 VI 1941 r., kołchozy przestały wtedy istnieć. Chłopi podzielili też ziemię należącą do sowchozów i już w lecie 1941 r. gospodarowali na niej. Władze sowieckie powróciły do realizacji procesu kolektywizacji dopiero po zakończeniu wojny³⁸.

W takiej sytuacji handel między miastem a wsią, i jednym i drugim niezmiernie zbiedniałym, zmienił się w wymienny. Następnie upaństwowiono również sklepy, domy, cukrownie, gorzelnie, tartaki, kopalnie oraz wszelkiego rodzaju inne przedsiębiorstwa, nawet kawiarnie, cukiernie i restauracje; nad nimi kierownictwo obejmowali przybysze z ZSSR. Do tego doszła fatalna organizacja działalności gospodarczej, dzięki której produkcja w ogóle zaczęła się załamywać. W pracach historyków sowieckich znajdujemy informacje o sa-

38. G. Mazur, „Z dziejów”, s. 80-81; W. Serczyk, „Historia Ukrainy”, Wrocław 1979, s. 417; Almanach, t. II, s. 682-683, 712-713; „The Soviet Takeover of the Polish Eastern Provinces, 1939-1941”, ed. by K. Sword, Londyn 1991, s. 90-91, 246-247; S.G. Filippow, s. 64-65.

botażu i ukrywaniu towarów ze strony właścicieli sklepów, do stycznia 1940 r. istniał zresztą tylko handel prywatny. Rozpoczęto z nim walkę i do połowy 1940 r. handel państwowy i spółdzielczy całkowicie wyparł handel prywatny. Do likwidowania prywatnej własności stosowano również metodę obciążania olbrzymimi podatkami prywatnych kamienic, warsztatów rzemieślniczych itp. Przy tej okazji dochodziło do tak kuriozalnych wręcz przypadków, jak znacjonalizowanie w obwodzie lwowskim... 1-pokojowego mieszkania. Miał też wtedy miejsce rabunek mienia miejscowej ludności, łącznie z instrumentami dentystycznymi lub pościelą³⁹. Cała więc polityka gospodarcza nowych władz zaczęła wpędzać ludność w nędzę, a całe miejscowości podupadać. Co ciekawe, nawet na konferencjach partyjnych zaczęły pojawiać się z tej przyczyny krytyczne głosy: jeden z uczestników I Wołyńskiej Obwodowej Konferencji Partyjnej w kwietniu 1940 r., Szapował, zadał retoryczne pytanie: „Dlaczego za Polaków codziennie polewali ulice, miotełkami podmiatali, a teraz niczego nie ma?”⁴⁰. Trzeba przy tym pamiętać, że w II Rzeczypospolitej Kresy Wschodnie stanowiły tzw. „Polskę B”, zacofaną gospodarczo i cywilizacyjnie.

Istotną częścią polityki gospodarczej władz sowieckich było integrowanie tych terenów z gospodarczym organizmem ZSSR. W komunikacji kolejowej przebudowano tory na szerokie. Już w listopadzie 1939 r. przemysł naftowy całkowicie znacjonalizowano, tworząc trust „Ukrnieftkombinat” z siedzibą we Lwowie. Jego kierownictwo objęli przybysze z ZSSR. W porównaniu z wydobyciem przedwojennym, z ostatnich miesięcy przed wybuchem wojny, jedynie eksploatacja gazu ziemnego była większa. Wiosną 1941 r. ukończono budowę gazociągu na linii Daszawa-Lwów, zwiększając w ten sposób dopływ gazu ziemnego do Lwowa. Według ustaleń polskiego wywiadu, produkcja ropy naftowej w 1940 r. wynosiła 94% produkcji z 1938 r., mimo eksploatacji prawie wszystkich szybów i wywiercenia wielu nowych, a przyczyną

39. IPMS: A 9 III 2a/18, A XII 24/40, A.10-4/2; „Istorija Ukrainskoj”, t. VI, s. 511; „Istorija mist”, t. IX, s. 179; S.G. Filippow, s. 63.

40. S.G. Filippow, s. 52.

niskiego poziomu wydobycia była fatalna organizacja produkcji, zły materiał techniczny oraz niewykształcony personel techniczny. W tym ostatnim przypadku odnotować trzeba zastępowanie na każdym kroku fachowego personelu polskiego ludźmi bez żadnego przygotowania teoretycznego i praktycznego. Produkowana ropa naftowa była wywożona do Niemiec⁴¹.

Sowiecka polityka pozyskiwania sobie Ukraińców poniosła generalnie rzecz biorąc fiasko. Nie oznaczało to co prawda uniknięcia konfliktu polsko-ukraińskiego, który teraz jakby przygaśł (w raporcie z Budapesztu z dnia 23 III 1940 r. czytamy: „Wspólna nienawiść do bolszewików powoduje dalsze zbliżenie między Ukraińcami a Polakami, jednakże o jakiegokolwiek konkretnej współpracy nie może być jeszcze mowy”)⁴². W innym dokumencie, z 2 XII 1940 r., znajdujemy z kolei wzmiankę, jakoby masy ukraińskie „wzdychały” do dawnych polskich rządów, ich nastroje zdecydowanie zmieniły się na korzyść Polski, zaś inteligencja z kręgów przedwojennego UNDO i ściganego przez władze sowieckie OUN przejawiała „chęć do współpracy z Polakami”⁴³. Co ciekawe, potwierdzenie tego znajdujemy też w piśmie gen. P. Mieszika z 10 IV 1941 r., który pisał, że OUN, przygotowując się do wystąpienia zbrojnego, „nawiązuje kontakt z innymi kontrrewolucyjnymi ukraińskimi i polskimi nacjonalistycznymi organizacjami (...)”⁴⁴. Nie sposób stwierdzić, na ile te informacje odpowiadają stanowi faktycznemu, wydaje się bowiem, iż mimo wrogiego stosunku Ukraińców do władzy sowieckiej droga do wzajemnej współpracy w walce z ZSSR była jeszcze bardzo daleka.

W grudniu 1940 r. odbyło się plenum KC KP(b) Ukrainy, na którym wiele uwagi poświęcono problematyce zachodnich obwodów Ukrainy. Podjęto wtedy uchwałę o intensyfikacji organizowania kołchozów oraz stwierdzono, że należy

41. IPMS: A 9 III 2a/30, A 9 III 2a/30a, A 9 III 1/13, Kol. 138/253; AAN, Oddz. VI: 202/V-5, k. 1-2, 203/III-16, k. 355-357, 203/III-62, k. 30; „Istorija Ukrainskoj”, t. VI, s. 511.

42. IPMS: A.10-4/2.

43. SPP: 3.19.1; zob. też: R. Torzecki, „Polacy”, s. 82.

44. „Organy”, t. I, kn.2, s. 87.

„(...) zobowiązać organizacje partyjne zachodnich obwodów do wyraźnego polepszenia jakości kierownictwa partyjnego sprawą oświaty ludowej, (...) bezlitośnie demaskując i karcząc nacjonalistów ukraińskich, polskich i żydowskich, którzy gdzieindziej wkradali się do pracy pedagogicznej w niektórych szkołach i wyższych zakładach naukowych”⁴⁵. Postawienie tych spraw na tak wysokim forum było jeszcze jednym dowodem narastania głuchego oporu wśród ludności tych obwodów, bez względu już na narodowość.

Uderzenie wojsk niemieckich na ZSSR rozpoczęło nowy okres w dziejach Kresów Wschodnich. Błyskawicznie zajęły one te tereny, a funkcjonariusze sowieckiego aparatu administracyjnego, partyjnego oraz aparatu terroru, pospiesznie uciekali na wschód. Ci ostatni nie zawsze mogli zabrać z sobą swoich więźniów; w takich przypadkach na ogół ich mordowali. Jak wynika z zachowanych sowieckich raportów, do 5 VII 1941 r. w więzieniach obwodu lwowskiego rozstrzelano 2.464 ludzi, w więzieniach w Samborze i Stryju – 1.101 ludzi, Łucku – około 2 tys. ludzi, Kowlu – 194 ludzi, Czortkowie – 123 ludzi, Dubnie – 260 ludzi, Tarnopolu – 560 ludzi, Stanisławowie – 1000 ludzi. Są to oczywiście dane niepełne. Przede wszystkim ofiarami tych masowych morderstw padli polscy i ukraińscy więźniowie polityczni. Ogółem w takich okolicznościach w Małopolsce Wschodniej zginęło około 15 tys. osób. Miały też miejsce przypadki atakowania przez oddziały OUN więzień, m.in. we Lwowie i w Brzeżanach⁴⁶.

Polityka władz sowieckich na tzw. Zachodniej Ukrainie charakteryzowała się przyspieszoną sowietyzacją i unifikacją świeżo zajętych terenów z ZSSR. Wprowadzano sowieckie porządki we wszystkich dziedzinach, prowadząc politykę wymierzoną swym ostrzem w miejscową ludność polską, ukraińską i żydowską, aresztując jej czołowych działaczy i niszcząc ich organizacje. Pojawiły się w takiej sytuacji symptomy odłożenia na bok starych konfliktów politycznych i powstawa-

45. IPMS: A.10-4/2.

46. I. Biłas, t. II, s. 237-238, 242-243, 267-268, 272-273; G. Mazur, „Pokucie”, Wiele informacji zawartych w doniesieniach prasowych na ten temat z lata 1941 r. zostało ostatnio przedrukowanych w pracy „Litopys nieskorienoj Ukrainy”, t. I, s. 33-197.

nia zwykłej międzyludzkiej solidarności. Polityka sowiecka była całkowicie sprzeczna z dążeniami narodów zamieszkujących tzw. Zachodnią Ukrainę: polskiego, któremu odebrała własne państwo i który zaczęła niszczyć deportacjami i masowymi aresztowaniami; ukraińskiego, którego położenie materialne dramatycznie pogorszyło się, istniejące organizacje zostały zniszczone, zaś ambicje stworzenia własnego niepodległego państwa odsunęły się w ten sposób w daleką przyszłość; wreszcie żydowskiego, który też nie skorzystał w ostatecznym rachunku na pojawieniu się sowieckiej władzy, niszczącej jego elity, dorobek i organizacje społeczne. Można stwierdzić, że o ile pierwszy cel władz sowieckich: zniszczenie dotychczasowych struktur społecznych na Zachodniej Ukrainie został osiągnięty, to nie udało się całkowicie osiągnąć drugiego – nie zdążono w pełni zbudować tam sowieckiego systemu, nastąpiło to dopiero po wojnie. Na razie przeszkodziła temu agresja niemiecka 22 VI 1941 r. Ale zarówno Polacy, jak i Ukraińcy, podejmowali próby oporu i walki z tą władzą. Spowodowało to zresztą eksplozję antysowieckich nastrojów w chwili niemieckiej agresji, zwłaszcza wśród Ukraińców. Stalinowski totalitaryzm był bowiem zagrożeniem dla całego społeczeństwa zachodniej Ukrainy.

Grzegorz MAZUR

Jerzy Witold SOLECKI

UNIA, WŁASNOŚĆ, SPRAWIEDLIWOŚĆ*

„Oskara i bagaż – wolno nam było zabrać pięćdziesiąt funtów na osobę – załadowano na dwukołową przyczepę, która chodziła na gumach. (...) Pan Matzerath wyjechał z Gdańska, który w tym momencie nosił już polską nazwę, dwunastego czerwca tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego, mniej więcej o jedenastej przed południem. Towarzyszyła mu wdowa Maria Matzerath. Poza tym w wagonie miały się znajdować jeszcze trzydzieści dwie osoby, między nimi cztery franciszkanki w habitach i młoda dziewczyna, która podróżowała z rodzicami, dziadkami i chorym wujem, który prócz swojej rodziny wiózł na zachód raka żołądka, dużo mówił i zaraz po odjeździe podał się za starego socjaldemokratę.

(...) Jazda do Gdyni, która przez cztery i pół roku nazywała się Gotenhafen, przebiegła spokojnie. Dwie kobiety z Oliwy, kilkoro dzieci i jeden starszy pan z Wrzeszcza płakali do samego Sopotu, podczas gdy zakonnice zajęły się modlitwą.

W Gdyni pociąg miał pięć godzin postoju. Do wagonu wprowadzono jeszcze dwie kobiety z sześciorgiem dzieci. Socjaldemokrata sprzed wojny domagał się specjalnego traktowania. Ale polski oficer, który prowadził transport, spoliczkował go gdy nie chciał zrobić miejsca, i oświadczył

* Artykuł p. Soleckiego traktujemy jako dyskusyjny. (Redakcja)

płynną niemiecką, że nie wie, co to znaczy socjaldemokrata. W czasie wojny musiał przebywać w różnych miejscowościach Niemiec, ale takiego słówka nigdy nie słyszał. Chory na żołądek socjaldemokrata nie zdążył już objaśnić polskiemu oficerowi sensu, istoty i historii Socjaldemokratycznej Partii Niemiec, ponieważ oficer opuścił wagon, zasunął drzwi i zarygłował od zewnątrz.

(...) Wszyscy ludzie siedzieli albo leżeli na słomie. Gdy późnym popołudniem pociąg ruszył, parę kobiet zawołało: Jedziemy z powrotem do Gdańska! Ale to była pomyłka. Pociąg został tylko przetoczony na inny tor i pojechał potem na zachód w kierunku Słupska. Podróż do Słupska trwała (...) cztery dni, bo pociąg raz po raz przystawał w szczerym polu zatrzymywany przez dawnych partyzantów i zgraje polskich wyrostków. Intruzi otwierali przesuwane drzwi wagonu, wpuszczali do środka trochę świeżego powietrza i wraz ze zużyтым powietrzem zabierali z wagonu część podróznego bagażu. Zawsze ilekroć opanowywali wagon pana Matzeratha, podnosiły się cztery zakonnice i trzymały w górze swoje cztery krzyże zawieszane na habitach. Cztery krucyfiksy robiły na chłopakach wielkie wrażenie. Żegnali się znakiem krzyża, zanim wyrzucali na nasyp plecaki i walizki podróźnych.

Gdy socjaldemokrata podsunął chłopakom papier, na którym władze polskie w Gdańsku potwierdziły, że od dziewięćset trzydziestego siódmego był opłacającym składki członkiem partii socjaldemokratycznej, oni się nie przeżegnali, lecz wyrwali mu papier z ręki, chwycili jego dwie walizki i plecak jego żony; także ów piękny płaszcz zimowy w dużą kratę, na którym leżał socjaldemokrata, wyniesiono na świeże pomorskie powietrze.

Mimo to pan Matzerath stwierdził, że chłopcy zrobili na nim korzystne wrażenie dzięki swemu zdyscyplinowaniu. Przypisuje to wpływowi ich przywódcy, który mimo młodego wieku był już podobno w siedemnastym roku życia indywidualnością (...) Gdy ów (...) młody człowiek chciał wyrwać i wyrwał w końcu plecak z rąk pani Matzerath, pan Matzerath w ostatniej chwili wyciągnął z plecaka leżący szczęśliwie na wierzchu album rodzinny. Z początku szef bandy już miał się rozgniewać. Ale gdy [pan Matzerath] otworzył album i po-

kazał chłopakowi fotografię swojej babki Koljaickowej, tamten wypuścił z rąk plecak pani Marii, pomyślawszy pewnie o własnej babce, zsalutował przykładając dwa palce do czapki, powiedział w stronę rodziny Matzerathów po polsku: – Do widzenia! – i zamiast plecaka Matzerathów, zabierając walizkę innych podróżnych, opuścił ze swoimi ludźmi wagon.

(...) Pociąg przystawał, bo znów chcieli złożyć wizytę partyzanci albo młodociani rabusie (...) na krótko przed Słupskiem transport został po raz nie wiadomo który zatrzymany, bo przyszła z wizytą większa zgraja wyrostków. Ponieważ bagażu już prawie nie było, chłopaki zaczęły ściągać z podróżnych ubrania. Jako ludzie rozsądni ograniczyli się do wierzchniej odzieży panów. Tego jednak nie mógł zrozumieć socjaldemokrata, uważał bowiem, że z obszernych habitów zakonnicy zręczny krawiec uszyłby kilka doskonałych garniturów. Socjaldemokrata, jak oznajmił wszem i wobec, był ateistą, natomiast młodzi rabusie, nie oznajmiając tego wszem i wobec, wierzyli w Kościół, poza którym nie ma zbawienia, i chcieli nie obfitej wełny zakonnicy, lecz jednorzędowego, zawierającego lekką domieszkę drewna garnituru ateisty... Ten jednak nie chciał zdjąć marynarki, kamizelki i spodni, tylko opowiadał o swojej krótkiej, lecz efektownej karierze socjaldemokratycznego rozklejacza plakatów i gdy nie przerwał opowiadania, gdy próbował stawiać opór przy rozbieraniu, dawnym wehrmachtowskim saperskim butem dostał kopniaka w brzuch.

Socjaldemokrata zwymiotował obficie, długotrwanie, na koniec plując krwią. Nie zważał przy tym wcale na swoje ubranie i chłopaki przestały się interesować pobrudzonym materiałem, który przecież można było uratować oddając do pralni chemicznej. Zrezygnowali z wierzchniej odzieży męskiej, za to z pani Marii Matzerath ściągnęły jasnoniebieską bluzkę ze sztucznego jedwabiu, a z młodej dziewczyny (...) wełniany blezer. Potem zasunęły drzwi wagonu, ale nie całkiem, i pociąg ruszył, a tymczasem zaczęło się konanie socjaldemokraty.

Dwa, trzy kilometry przed Słupskiem transport skierowano na bocznice, gdzie pozostał przez noc, która była gwiaździsta, ale jak na czerwiec chłodna.

Tej nocy – jak mówi pan Matzerath – nieprzyzwoicie i głośno bluźniąc Bogu, wzywając klasę robotniczą do walki, w ostatnich słowach – jak to się słyszy w filmach – wołając: niech żyje wolność, wreszcie wymiotując tak, że cały wagon zdrętwiał z przerażenia, zmarł ów socjaldemokrata, który zbyt było przywiązany do swojego jednorzędowego ubrania.

Potem żadnego krzyku (...). W wagonie zrobiło się i pozostało cicho. Tylko pani Maria szczekała zębami, bo zmarła bez bluzki, a ostatnią pozostałą bieliznę włożyła synowi Kurtowi i panu Oskarowi. Nad ranem dwie rezolutne zakonnice spostrzegły szansę, jaką dawały niedomknięte drzwi, uprzątnęły wagon i wyrzuciły na nasyp kolejowy przemoczoną słomę, kał dzieci i dorosłych, a także rzygowiny socjaldemokraty.

W Słupsku polscy oficerowie przeprowadzili inspekcję pociągu. Równocześnie rozdawano ciepłą zupę i napój zbliżony do kawy słodowej. Zwłoki w wagonie pana Matzeratha skonfiskowano ze względu na niebezpieczeństwo epidemii, kazano zabrać je sanitariuszom na desce pomostu... Za wstawiennictwem zakonnicy jakiś oficer pozwolił jeszcze krewnym na krótką modlitwę. Wolno też było zdjąć umarłemu buty, skarpetki i ubrania (...) później zwłoki na desce przykryto workami po cemente...

Jazda ze Słupska do Szczecina trwała dwa dni. Co prawda dość często zdarzały się jeszcze przymusowe postoje i powoli powszedniejsze wizyty owych uzbrojonych w spadochroniarskie noże i pistolety maszynowe wyrostków, ale te wizyty trwały coraz krócej, bo podróżnym nic już nie można było zabrać (...) za Szczecinem transport przejął tymczasowy niemiecki personel kolejowy.”

Taki oto opis „transferu ludności niemieckiej z ziem polskich” można znaleźć w „Błaszonym bębenku” Günтера Grassa, zdeklarowanego przyjaciela Polski, którego twórczość, tak silnie związana z ojczystym Gdańskiem, zawiera silny komponent autobiograficzny. Z dwu pierwszych polskich wydań książki cenzura usunęła ten fragment. Znalazł się on jednak w nieocenzurowanym już wydaniu trzecim (Wydaw-

nictwo Morskie, Gdańsk, 1991, przekład S. Błaut) i daje świadectwo prawdzie. Jeśli dziś, w dniach tragedii Kosowa, ktokolwiek chciałby w nim widzieć jedynie odległe od rzeczywistości literackie przetworzenie traumatycznych wspomnień, niech sięgnie do również już na naszym rynku obecnych, naukowo opracowanych materiałów pamiętnikarskich i innych tytułów literatury *non fiction*. Znajdzie w nich potwierdzenie tego literackiego obrazu. Piszącemu te słowa zdarzyło się w ostatnim czasie spotkać żyjącego od wielu lat poza Polską człowieka, który jako młodzieniec znalazł się w milicji i przeprowadzał wysiedlanie ludności niemieckiej z Dolnego Śląska. W jego relacji, pozbawionej cienia zrozumienia nieludzkiego charakteru podejmowanych działań, znalazłem potwierdzenie owych pięćdziesięciu funtów bagażu na osobę, które wolno było wysiedlanym zabierać, z tym tylko, że ów dzielny milicjant kazał być schodzić wysiedlanym do piwnicy i wypełniać połowę tego kontyngentu... węglem. Czynił to w poczuciu spełniania sprawiedliwej odpłaty za cierpienia polskiego narodu w czasie długich lat okupacji, którą sam spędził zresztą częściowo w pomocniczych formacjach Wehrmachtu... To przeświadczenie, że wypędzenie było sprawiedliwą odpłatą za krzywdy wyrządzone Polsce przez hitlerowskie Niemcy, jest żywe do dziś. Tak jakby krzywda wyrządzona niemieckiej rodzinie, naprawiała krzywdę rodziny polskiej. Jakby wypędzenie Niemców z ich małych ojczyzn, było uzasadnione wcześniejszym wypędzeniem Polaków z ziem, na których żyli od wieków. Jakby jakakolwiek krzywda mogła być uzasadniona inną krzywdą i mogła cokolwiek wynagrodzić.

Wybitny historyk, badacz dziejów Europy Środkowej, profesor Jerzy Kłoczowski przypomniał niedawno na łamach *Gazety Wyborczej*:

„Narodowy komunizm rozbudzał w interesie ZSRR pomniejsze narodowe nacjonalizmy: czeski, polski, rumuński, węgierski. Chodziło o to, abyśmy nienawidzili wszystkich dookoła: Niemców, Czechów, Ukraińców, Litwinów. Wtedy można też było zwracać się o pomoc do wujka Józefa. Po prostu stara zasada *divide et impera* – dziel i rządź. Ta ideo-

logia dawała uzasadnienie dla olbrzymiej czystki etnicznej, jakiej ofiarą stał się naród polski po 1945 roku. Bo to, co się działo po przesunięciu całego państwa i narodu na zachód, to we współczesnych kategoriach zwykła czystka techniczna. A co gorsza myśmy sami w swojej głupocie w takich czystkach pomagali, na przykład wobec Niemców, Ukraińców, Łemków i Bojków.”

Z kolei Stanisław Lem, wielki myśliciel i pisarz, jeden z najprzenikliwszych umysłów naszej epoki, następująco uzupełnia tę myśl:

„Po dziesięciu latach wolności można już sobie powiedzieć jedno: dobry towarzysz Stalin przepchał Polskę trzysta kilometrów na zachód nie dlatego, że nas szalenie kochał, tylko dlatego, że chciał mieć lepszy przyczółek do napadu na Europę Zachodnią. To jest rzeczywisty powód, dla którego mamy tak zwane ‘ziemie odzyskane’. Przykra prawda, ale prawda. – Kołakowski kiedyś napisał, że prawda jest naczelną wartością naszej kultury śródziemnomorskiej, chrześcijańskiej, europejskiej. I tak jest – przed prawdą nie ma ucieczki. Trzeba było aż pięćdziesięciu lat, by wiadomości o zyskach z holokaustu, w których uczestniczyła cała niemal Europa, bo nie tylko Niemcy, ale i na przykład Szwajcaria czy Szwecja, wypłynęły jak oliwa”. (*Tygodnik Powszechny – Kontrapunkt* z 27.12.1998).

Żeby już skończyć z cytatami, przypomnijmy, że Władysław Bartoszewski zwykł mawiać, iż prawda nie leży pośrodku, lecz tam, gdzie leży... Od siebie dodam, że jeśli prawdą jest, iż hitlerowskie Niemcy dokonywały zbrodni holokaustu na Żydach za to tylko, że byli Żydami, to prawdą również jest, że nieludzkie postępowanie, gwałty, łamanie prawa, a nawet i zbrodnie zabójstwa dotknęły wypędzonych po wojnie Niemców za to tylko, że byli Niemcami.

Wraz z owym od dawna zasiedlonym przez Polaków i stanowiącym integralną część Polski „przyczółkiem napadu na Europę”, na którym dopiero obecnie rozmontowuje się wmiernie na zachód, a niepotrzebne już instalacje wojsko-

we, wchodzimy do NATO i liczymy na wejście do Unii Europejskiej.

„Upiorne roszczenia”

Podjęcia dialogu na temat polsko-niemieckiego współżycia w Unii Europejskiej po przeżyciach i Polaków, i Niemców w czasie i bezpośrednio po drugiej wojnie światowej – nie ułatwiają wzajemne zarzuty i wypominanie, bezspornych przecież, wzajem wyrządzonych krzywd. Nie ułatwia tego zadania w szczególności niemiecki Związek Wypędzonych (BdV), którego działacze od czasu do czasu starają się dostarczać amunicję przeciwnikom posunięcia sprawy naprzód. Znany politolog prof. Marcin Król nazwał ich postulaty „upioornymi roszczeniami”, polemizowano z nimi również na tych łamach, więc tylko parę najświeższych przykładów.

Oto pisemko owego Związku *Deutscher Ostdienst* zamieszcza na początku tego roku mapkę z czasów zimnej wojny. Mapka ta, nie wiadomo dlaczego nazwana „Mapą niemieckich terenów państwowych” stwierdza za naszą wschodnią granicą istnienie... Związku Sowieckiego, ponadto łączy nieprzerwaną linią nasze granice wschodnie powojenne z naszymi granicami zachodnimi i północnymi przedwojennymi, rysując kształt takiej Polski, jaka nigdy nie istniała i nie istnieje, zaznacza wreszcie obecne zachodnie i północne granice Polski – w odróżnieniu od pozostałych – linią przerywaną, jakby chcąc podkreślić ich jakiś szczególny charakter. Została ona najwidoczniej wyciągnięta z lamusa, zapewne specjalnie na okazję powitania nas w NATO. Dawniej takie wysoki bywały powodem rozdzierania szat i rzucania gromkich oskarżeń o fałszowanie map, a zatem i rzeczywistości. Czy dziś wystarczy z politowaniem pokiwać głową nad wieczną aktualnością sentencji głoszącej, iż dwie tylko rzeczy nie mają granic: miłosierdzie Boskie i ludzka głupota?

Oto przewodnicząca tego Związku p. Erika Steinbach w przemówieniu wygłoszonym 11 marca z jednej strony z uznaniem odnotowuje apel *Kultury* o podjęciu dialogu z Wypę-

dzonymi, wspomina o tym, że również Polacy zaznali wypędzenia z dawnych Ziemi Wschodnich Rzeczypospolitej i deklaruje gotowość podjęcia owego dialogu, w tym samym jednak przemówieniu dostrzega w postawie takich krajów jak Czechy czy Polska „maksymalizm i szowinizm” i postuluje, aby rząd federalny przy przyjmowaniu tych krajów do Unii skorzystał wobec nich z prawa weta, jeśli przyjęte przez nie rozwiązania nie zadowolą wysiedlonych. Zapomina jedynie dodać, że rząd niemiecki ani tego zrobić nie może, ani nie chce. Nie może, ponieważ sprawy te należą do zakresu suwerenności każdego z owych państw (o czym za chwilę), a nie chce, ponieważ historyczne korzyści i Niemiec, i Europy, i Polski oraz Czech z osiągniętej jedności – będą bez porównania większe, niż oczekiwania regulacji wszelkich spraw szczegółowych. W tym samym przemówieniu p. Steinbach przyznaje, że również w Niemczech, a mianowicie na terenie byłej NRD istnieje wielka ilość nieuregulowanych roszczeń majątkowych.

Otwarty problem, którego ponoć nie ma

Niemiecki Związek Wypędzonych (BdV) stara się więc wykorzystać okres starań Polski i Czech o akces do Unii Europejskiej dla podjęcia z nową siłą walki o dwa fundamentalne prawa: prawo do powrotu i prawo własności. Związek ten jest dostatecznie silny, aby w toku procesu akcyjnego nieustannie przypominać o „trupie w polskiej szafie”, o którym strona polska twierdzi, że nie istnieje. Będzie to niewątpliwie czynić nadal, wykorzystując wszelkie możliwości działań na forum Europy i jej unijnych organów parlamentarnych, sądowniczych i wszelkich innych. Ma w tej sprawie poparcie kilkunastu milionów ludzi wysiedlonych lub zbiegłych – obojętnie: przed sprawiedliwością, zemstą, grozą wojny... i ich potomków, ma przychyłność niemal całego narodu niemieckiego, z czym muszą się liczyć politycy, a będzie wkrótce miała zainteresowanie i zrozumienie opinii publicznej, a zatem i polityków Unii, owej Europy, która łatwo zapomniała o pewnych „ubocznych” skutkach Poczdamu, fir-

mowanego przecież nie przez Polskę, lecz przez zwycięskie mocarstwa – w tym dwa czołowe kraje Unii – Wielką Brytanię i Francję...

Przez lata można było na Zachodzie z dezynwolturą powtarzać, że działo się to gdzieś daleko, „w Polsce, czyli nigdzie”, gdzieś za żelazną kurtyną, w nierealnym i niereformowalnym świecie komunizmu... Ale oto kurtyna się podniosła, powstaje nowa Europa, Polska w powojennym kształcie jest jednym z jej trwałych fundamentów, żyją jednakże również ofiary gigantycznych przesunięć geopolitycznych i ich potomkowie, i nie zamierzają rezygnować ze swoich praw.

Jest coś głęboko niemoralnego – a przez to niebezpiecznego – w sytuacji, kiedy rządy dwu wielkich państw, zmierzających do powiązania się, już nie sojuszem, lecz ścisłymi więzami unii międzypaństwowej, o jednym i tym samym problemie głoszą – jedno: że nie istnieje, drugie: że jest otwarty. Tylko jedno z tych twierdzeń może być prawdziwe, jako że nie może być otwarty problem, który nie istnieje i nie może nie istnieć problem, który jest otwarty. Mamy więc do czynienia z lekko schizofreniczną interpretacją doniosłego problemu historyczno-prawno-politycznego, czego nie można uznać za sytuację normalną i rokującą pozytywne perspektywy. Raczej przeciwnie.

Rząd Republiki Federalnej Niemiec deklaruje wprawdzie, iż nie zamierza stawiać jakichkolwiek warunków wstępnych przy przyjmowaniu Polski do Unii. Jednakże ten sam rząd RFN konsekwentnie, w traktatach i wypowiedziach publicznych, uznaje problemy majątkowe za otwarte. *Nota bene* – nasze kraje nie zawarły dotychczas umowy indemnizacyjnej. Jak więc na przykład ma wyglądać przyszła polska ustawa repywatyzacyjna, żeby była zgodna z ogólnie przyjętymi i obowiązującymi w Unii Europejskiej normami prawnymi? – Oto jeden z istotnych problemów.

Niemcy uznały w traktatach granice z Polską za nienaruszalne. Również będący wynikiem ich ustalenia proces wysiedleń ludności wszyscy uznają za nieodwracalny.

Jak jednak traktować powoływanie się na ówczesne polskie ustawodawstwo na szczeblu dekretów rządu tymczasowego, który obejmował władztwo nad nieruchomościami ponie-

mieckimi, jako mieniem... opuszczonym. Zgodnie z tamtą logiką – najpierw należało człowieka wysiedlić, potem uznać jego mienie za opuszczone, a więc niczyje, a więc państwowe – i w ten sposób tworzyć stan prawny. Czy ta logika może nadal być podstawą aktów prawnych w zakresie prawa własności w Polsce szykującej się do wejścia do Unii?

Nieodwracalność zmian granicznych i wysiedleń

Terytorium Rzeczypospolitej Polskiej przesunięte zostało na zachód decyzją zwycięskich mocarstw bez pytania o zgodę rządu polskiego, którego zresztą właściwie wówczas nie było. Mocarstwa te potwierdziły prawomocność swych decyzji terytorialnych, a Polska i Niemcy przyjęły je do wiadomości w „Traktacie 2+4”, zawartym przez oba ówczesne państwa niemieckie z USA, Wielką Brytanią, Związkiem Sowieckim i Polską. Oba nasze państwa – i Polska i Niemcy – wyszły z wojny ze zmniejszonymi terytoriami, ale stanu tego w wyobraźalnej przyszłości nie da się już zmienić. Rzeczpospolita za parę lat ma się spotkać z Niemcami w Unii Europejskiej, gdzie granice przybiorą zupełnie inny charakter, obrona będzie wspólna, a o konflikcie zbrojnym między jej członkami w ogóle mowy być nie może. Granica, wytyczona pod presją Stalina na wschodzie Polski, stanie się – przynajmniej na jakiś, zapewne długi, czas – granicą Unii.

Na ziemiach wschodnich Rzeszy Niemieckiej, na podstawie ogólnych i dość nieprecyzyjnych ustaleń w Poczdamie, przeprowadzono oparte na zasadzie etnicznej wysiedlanie ludności niemieckiej. Rozmiary, zakres, terminy i charakter wysiedleń określone były przez sterowane z Moskwy rządy polskie i przyjmowane do „zatwierdzającej wiadomości” przez władze okupacyjne zwycięskich mocarstw w Niemczech. Na tereny opuszczane przez Niemców przywożono – na analogicznych zasadach i w analogicznych warunkach – ludność polską, wysiedlaną ze wschodnich ziem Rzeczypospolitej. Oba te procesy nosiły charakter czystek etnicznych. Totalna konfiskata mienia, przymusowe wysiedlanie, odmowa prawa powrotu – tak przeprowadzony „transfer” ludności nie mieści

się w żadnych normach prawa obowiązującego nie tylko dzisiaj, ale i wówczas, i to zarówno polskiego, jak i międzynarodowego. Formalnie rzecz biorąc, w Polsce obowiązywała wówczas konstytucja sprzed wojny, z którą jaskrawo sprzeczne były dekrety rządu tymczasowego w omawianej sprawie. Wysiedleni Niemcy i ich potomkowie uważają się – moim zdaniem w pełni zasadnie – za jedną z największych grup ofiar hitleryzmu, która wszystkim co miała, zapłaciła za obłędne plany panowania Niemiec nad światem. Zapewne nie oni jedni, ale kiepska to dla nich pociecha.

I cóż dalej?

Model współżycia w Unii

Oto przed nami realna perspektywa wejścia do Unii Europejskiej. Celem nadrzędnym działania rządu powinno być dobro Najjaśniejszej Rzeczypospolitej. Nie wszystko jednak, co z pozoru wydaje się być gospodarską troską, dobru temu służy. Środkiem najskuteczniej zapewniającym owego dobra pomnożenie – jest możliwie szybka i pełna integracja ze strukturami europejskimi – NATO i Unią Europejską. Oznacza to nie tylko włączenie w obieg gospodarczy znacznie wyżej niż my rozwiniętego Zachodu, a co za tym idzie napływ wielkich pieniędzy i skokowy wzrost poziomu życia nas wszystkich, ale także pełne przyjęcie i stosowanie zasad demokracji, praw człowieka, sprawiedliwości. Wobec wszystkich: „tutejszych” i obcokrajowców. Także Niemców.

Sprawę trzeba przy tym widzieć w perspektywie historycznej: to nie tylko dla nas, żyjących tu i teraz otwiera się szansa. Na pokolenia, a może na zawsze Polska przestanie być wystawiana na przeciągi historii. Zwracają na to uwagę najświatlejsze umysły naszej epoki. Mają szansę spełnić się marzenia i zaowocować ofiara tylu Polaków: od Przedmurza, przez 3 Maja i wszystkie powstania, łącznie z Warszawskim...

Jeśli tak, to powinniśmy być zainteresowani w skracaniu, ba – wręcz unikaniu – wszelkich okresów przejściowych, wyjątków i ograniczeń. Obliczono na przykład, że Polacy z jednych tylko Siemiatycz, zatrudnieni (na czarno!) w Brukseli,

przesyłają do kraju... 200 milionów dolarów rocznie, podczas kiedy utracone sumy „PHARE-owskie” nie sięgały 40 milionów! Spróbujmy wyobrazić sobie sumy, które są do zarobienia (po wejściu do Unii – legalnie!) w pozostałych krajach wspólnoty i w przedsiębiorstwach, które wraz z Unią przyjdą do nas. W nie najmniejszej zapewne mierze – niemieckich. Kto tu więc przed kim powinien się „zamykać”!?

Jeśli chcemy jak najszybciej osiągnąć szansę swobodnego zatrudniania się Polaków w całej Unii (a przede wszystkim w Niemczech...), to nie możemy równocześnie zamykać możliwości zakupu ziemi, osiedlania się, inwestowania, zakładania organizacji – i tak dalej. I to – dla kogokolwiek. Również dla Wysziedlonych i ich potomków.

Jestem głęboko przekonany, że problem Niemców, którzy część naszych ziem uważają za również swoją ojczyznę, nie tylko nie musi być zagrożeniem dla naszego wejścia do Unii i harmonijnego w niej współżycia, ale wręcz przeciwnie – może być wielką szansą na szybki awans gospodarczy i cywilizacyjny tych ziem, i wzrost dobrobytu wszystkich ich mieszkańców. Trzeba tylko do niego odważnie i twórczo podejść.

Na pewno jednak nie w tym kierunku, jaki zapowiada rząd. Ostatnio bowiem pojawiły się wiadomości na temat zamierzeń w sprawie wprowadzenia kolejnych utrudnień w zakupie ziemi przez obcokrajowców oraz ograniczenia ewentualnej reprivatyzacji do obywateli polskich. Wiadomości te jedna z warszawskich gazet zatytułowała: „Nie damy ziemi Niemcom”. Zamierzenia te oznaczają nic innego, jak próbę zamknięcia się w oblężonej twierdzy, co nie jest, niestety, krokiem w dobrym kierunku na drodze do Unii Europejskiej. Ziemia jest towarem i należy wchodząc w XXI wiek przestać ją traktować w sposób mistyczny, w duchu germańskiego hasła „Blut und Boden”, a zacząć w niej widzieć towar, to znaczy dobrze i umiejętnie sprzedawać, każdemu kto będzie chciał kupić. Na naszych oczach powstaje społeczeństwo planetarne, mamy szansę i zamiar wejść do Unii, a nie jesteśmy w stanie wyzwolić się ze stereotypu „twierdzą nam będzie każdy próg”.

Nie demonizujemy lecz róbmy coś!

Po prostu trzeba więc zacząć rozmawiać na temat tego, co można zrobić w tej kwestii. Przede wszystkim zło należy uznać za zło, powiedzieć to publicznie i wyciągnąć rękę do tych, którym je wyrządziliśmy. Problem w tym, że takie słowa i taki gest pociągną za sobą konieczność kroków w dziedzinie materialnej, ponieważ inaczej pozostaną pustymi.

Ze strony oficjalnej nie ma wciąż oznak gotowości do podjęcia rzeczowego dialogu. Opinia publiczna niepokoi się jego brakiem, równocześnie formułowane są, niedoskonałe zapewne, pomysły jakichś rozwiązań. Swojego czasu wysunąłem (*Rzeczpospolita* z 27 kwietnia br.) projekt uruchomienia przez Polskę, Niemcy i Unię wspólnego funduszu, z którego można by finansować projekty, mające na celu zadośćuczynienie wysiedlonym; Janusz A., Majcherek w tejże *Rzeczpospolitej* (11 lipca br.) postuluje stworzenie „możliwości rewindykacji mienia ruchomego (ale tylko ruchomego!) obywateli niemieckich, odebranego im, ukradzionego, czy zagubionego w trakcie wysiedleń” i zarazem „ścigania sprawców gwałtów czy zbrodni dokonywanych na wypędzonych”: Adam Krzemiński w dyskusji na łamach *Gazety Wyborczej* (18 lipca br.) stwierdza: „Rozwiązać ten węzeł gordyjski można tylko symbolicznie, w porozumieniu międzyrządowym, i w dialogu z wypędzonymi. Można by np. z części polskich długów utworzyć fundację polsko-niemiecką (na wzór Fundacji Współpracy Polsko-Niemieckiej) która by finansowała remonty niemieckich pałaców, dworców, kościołów”. Ważki głos podniosła ostatnio redakcja miesięcznika *Kultura*. Podkreślając, że oba nasze narody przeżyły tragedię wypędzeń ze stron rodzinnych, *Kultura* postuluje podjęcie dialogu wypędzonych z wypędzonymi. Rzecz w tym, aby dialog ten nie ograniczał się do wymiany traumatycznych wspomnień, lecz koncentrował się na poszukiwaniu realistycznych rozwiązań.

Zamykanie oczu na rzeczywistość jest najgorszą z możliwych polityk. Rządy polskie nie raz w historii zaprzepaściły szansę ułożenia stosunków z sąsiadami. Czy nigdy nie

odrzućmy porzekadła, którego powstanie potrafimy doskonale uzasadnić, które jednak przecież nie może być wieczne!? Czyż nie zmienimy zdania, że „nigdy, jak świat światem, Niemiec (również wypędzony...) Polakowi nie będzie bratem”, co nie Niemcy wymyślili, ale zdążyli sobie już dawno przetłumaczyć: „Solange die Welt Welt wird sein, wird der Deutsche dem Polen kein Bruder sein”.

I ma tak pozostać nawet w Unii?

Jestem zdania, że wobec realnej i nieodległej historycznie perspektywy spotkania się obu naszych narodów w Unii Europejskiej – nawiązanie dialogu z reprezentantami Wypędzonych i osiągnięcie porozumienia, w tym także w dziedzinie materialnej, jest konieczne i leży przede wszystkim w interesie Polski, ale także Unii Europejskiej, Niemiec i samych zainteresowanych. Płynące z wejścia do Unii historyczne korzyści w zakresie bezpieczeństwa przyszłych pokoleń oraz ustrojowej i gospodarczej współpracy obu narodów – będą tak ogromne, że tylko brak wyobraźni może usprawiedliwiać niechęć do podjęcia trudu nad usunięciem tego reliktu wojny i przedmiotu sporu, jakim są niezaspokojone oczekiwania Wypędzonych. Zarówno polska jak i niemiecka opinia publiczna powinny domagać się od swoich rządów przezwyciężenia sprzeczności, jaka występuje w oficjalnych stanowiskach obu państw wobec problemu byłych majątków niemieckich w Polsce. Wszyscy zdajemy sobie sprawę z tego co wielokroć podkreślał przedwcześnie zmarły pionier pojednania polsko-niemieckiego, Jan Józef Lipski: „Te krzywdy ludzkie, powiedzmy otwarcie, są dziś niemożliwe do naprawienia”. Jeśli jednak niemożliwe jest pełne naprawienie krzywd, nie można ograniczać się jedynie do słów z jednej strony współczucia, a z drugiej potępienia nieludzkich skutków nieludzkiej wojny. Szukać trzeba także możliwości realnego zadośćuczynienia i zaprojektowania współżycia. A możliwości takie z całą pewnością istnieją.

Wejście Polski, która już dziś jest jednym z najważniejszych partnerów gospodarczych RFN, do Unii Europejskiej, oznaczać będzie również dla Niemiec wielkie korzyści materialne. Popieranie projektów, mających na celu definitywne zakończenie rozmów o roszczeniach, powinno

być funkcją tego rozwoju i tych obopólnych korzyści. Potężne niemieckie i międzynarodowe firmy inwestujące na tych ziemiach mogłyby włączyć do swych programów działania i ten problem. Trzeba dokładnie zewidencjonować wszelkie – bardzo zresztą liczne – przykłady dotychczasowej współpracy dawnych i nowych mieszkańców terenów niegdyś niemieckich, a dziś polskich, najróżniejsze formy obecności, inwestycji, odbudowy materialnych pamiątek i budowy wspólnej przyszłości, trzeba je upowszechnić i wyciągnąć z nich jak najdalej idące wnioski. Te ziemie już stają się pomostem i terenem zbliżenia, a ta ich funkcja może tylko rosnąć z pożytkiem dla Polski, Niemiec i Europy. Ze wszech miar pożyteczne byłoby zbadanie rozmiaru problemu. Można by przykładowo wybrać jedną konkretną gminę polską na dawnych terenach niemieckich i wezwać dawnych jej mieszkańców do zadeklarowania się – czy chcieliby, a jeśli tak, to w jakiej formie, nawiązać współpracę z jej obecnymi gospodarzami, czy chcieliby w niej zamieszkać, posiadać domy letniskowe, inwestować... Wyniki takiej ankiety byłyby ważne nie tylko dla tej jednej gminy. Brak konkretyzacji postulatów powoduje z jednej strony zarzut instrumentalnego traktowania Wypędzonych przez odwoływanie się do nich wtedy, kiedy chodzi o ich głosy w wyborach, a z drugiej – budzi wątpliwości – czy celem jest istotnie osiągnięcie trwałego porozumienia i ostateczne wygaszenie resentymentów. Podjęcie takich działań wymaga ze strony Wypędzonych nie tylko prawnego – co w imieniu narodu niemieckiego zrobił Bundestag – ale i psychicznego, uczuciowego – uznania suwerenności polskiej nad ziemiami dawniej niemieckimi i wyciągnięcia konsekwencji z tego faktu do końca. Zwalczając też trzeba występujące po obu stronach nacjonalistyczne ekstrema, które mogą tylko szkodzić, nie wnosząc nic konstruktywnego.

Głos zza oceanu

Izba Reprezentantów Kongresu USA przyjęła jeszcze przed wybuchem wojny o Kosowo rezolucję, nad którą we

własnym interesie nie powinniśmy przejść do porządku dziennego. Rezolucja Nr 562 wzywa wszystkie kraje wschodniej i środkowej Europy do naprawienia krzywd, wynikłych z wywłaszczeń w czasach komunizmu i narodowego socjalizmu, przy czym zajmuje się wszystkimi rodzajami własności: własnością ziemską, majątkiem osobistym i należącym do przedsiębiorstw, znajdującym się w chwili wydziedziczenia zarówno w posiadaniu osób fizycznych i prawnych, jak i wspólnot.

Rezolucja głosi, że reżymy totalitarne, w tej liczbie dyktatury faszystowskie i komunistyczne, spowodowały niezmiernie krzywdy i cierpienia i trudne do wyobrażenia sobie straty, nie tylko naruszając wszelkie prawa ludzkie, ale także niszcząc siłę duchową ludzi.

Reżymy te, pozbawiając ludzi ich własności bez odszkodowania z powodów religijnych, etnicznych, narodowych, pochodzenia społecznego czy działalności wobec nich opozycyjnej, spowodowały bezmiar cierpień, zaś niektóre osoby i wspólnoty pozbawione były własności bez jakiegokolwiek odszkodowania dwukrotnie – najpierw przez narodowych socjalistów, potem przez komunistów.

Kościół, meczety i inne obiekty kultu religijnego, a także szpitale, szkoły, sierocińce, znajdujące się w posiadaniu wspólnot religijnych, zostały zniszczone i skonfiskowane po to, by zniszczyć siły duchowe i lojalność ludzi i wspólnot religijnych. Przymusowi uchodźcy z krajów komunistycznych oprócz bezprawnego pozbawienia własności, niejednokrotnie zmuszeni byli bądź z mocy zarządzeń, bądź po to, by chronić przed represjami ze strony panujących w ich krajach komunistów siebie i pozostałe w kraju rodziny, do rezygnacji z posiadanego obywatelstwa.

Kraje członkowskie Organizacji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie (OBWE), przystępując do tej organizacji zobowiązały się do pełnego poszanowania i otoczenia ochroną wszelkich form własności, jak i do przestrzegania prawa do bezzwłocznego, uczciwego i efektywnego odszkodowania w przypadku sprzecznego z prawem przejścia prywatnej własności na cele publiczne.

Wiele krajów środkowej i wschodniej Europy, Kaukazu

i Azji Centralnej, które znajdują się w trakcie przechodzenia od komunizmu do demokracji, rozpoczęło właśnie podejmowanie niełatwych prób naprawienia skutków bezprawia byłych państw totalitarnych. Liczne kraje środkowej i wschodniej Europy przyjęły ustawy, które przewidują zwrot nielegalnie lub sprzecznie z prawem przejętych w posiadanie, znacjonalizowanych, zarekwirowanych lub w jakiegokolwiek innej formie wydziedziczonych własności.

Prawne lub administracyjne ograniczenia, stwierdzające, że wnioskodawcy muszą być mieszkańcami lub obywatelami kraju, od którego domagają się zwrotu lub odszkodowania za bezprawnie zabraną własność – są samowolne, dyskryminujące i sprzeczne z prawem międzynarodowym – czytamy w rezolucji. Zasady państwa prawa i normy demokracji wymagają, aby kroki podejmowane przez rządy i inne władze administracyjne opierały się na ustawach przyjętych przez parlamenty lub inne ciała ustawodawcze, przy czym ustawy te muszą być zgodne z międzynarodowo uznanymi prawami człowieka.

„W związku z tym postanowiono, że Izba Reprezentantów:

1. wita z uznaniem starania wielu krajów poprzednio totalitarnych, które podjęły trud rozwiązania skomplikowanego i trudnego problemu statusu bezprawnie wydziedziczonych własności;

2. wzywa państwa, które tego jeszcze nie uczyniły, do zwrócenia prawowitym właścicielom bezprawnie odebranej własności lub, jeśli zwrot jest niemożliwy – do bezzwłocznego wypłacenia słusznego i prawnie skutecznego odszkodowania, w zgodzie z zasadami sprawiedliwości i w sposób, który uznać będzie można za uzasadniony, powszechnie zrozumiały i *fair*;

3. wzywa do zwrotu bezprawnie zabranych posiadłości wspólnot religijnych;

4. Chorwację, Republikę Czeską, Łotwę, Litwę, Słowację i pozostałe państwa, których ustawy albo zarządzenia, zwrot lub wypłatę odszkodowania za bezprawnie przejęte majątki ograniczają do obywateli lub osób zamieszkałych w danym kraju, wzywa do zniesienia tych ograniczeń oraz

5. wzywa byłe państwa totalitarne do przyjęcia i sku-

tecznego wprowadzenia w życie ustaw, które przewidywać będą zwrot lub wypłatę odszkodowania za bezprawnie przejęte majątki.”

Rezolucja Izby Reprezentantów USA wyjątkowo precyzyjnie odnosi się do sytuacji w Polsce, jednym z ostatnich europejskich krajów, nie posiadających jeszcze ustawy, która stawiałaby czoło skutkom działań dwóch totalitaryzmów – faszystowskiego i komunistycznego w zakresie masowego naruszania prawa własności. Co gorsza, dotychczasowe inicjatywy ustawodawcze zawierają akurat te odstępstwa od powszechnego prawa własności, przed którymi przestrzega amerykańska rezolucja. Zamierza się więc przyjąć u nas ustawy, które – co z góry wiadomo – zostaną zakwestionowane przez społeczność międzynarodową, zarówno na płaszczyźnie ONZ, OBWE, jak i Unii Europejskiej.

Panujące wśród naszych decydentów błogie przeświadczenie, że „nic nam w tym zakresie nie grozi”, ponieważ pakiet warunków przyjęcia do Unii nie zawiera sformułowanych *expressis verbis* postulatów w zakresie prawa własności, jest o tyle nieuzasadnione, że unijny dokument „Agenda 2000” z roku 1997 stwierdza jednoznacznie: „Polska musi uzupełnić ustawodawstwo w sprawie odszkodowań lub zwrotu własności dla osób pokrzywdzonych przez narodowych socjalistów i komunistów. Na tym tle nie wytrzymuje również krytyki oficjalna interpretacja listu Genscher-Skubiszewski, uznającego sprawy majątkowe w stosunkach polsko-niemieckich za otwarte, zgodnie z którą list ten oznacza, iż sprawy takie... NIE ISTNIEJĄ!, a taką opinię wyraził na przykład wiceminister spraw zagranicznych w wywiadzie dla *Życia*.

Swojego czasu (latem ubiegłego roku) dwóch dziennikarzy niemal równocześnie wygłosiło na łamach warszawskiej prasy dwie, dokładnie przeciwne opinie na temat perspektyw dla ewentualnych skarg do sądów unijnych ze strony Niemców, pozbawionych własności w wyniku powojennych przesiedleń. Jeden z nich (Polak) twierdził, że skargi takie będą masowo przez sądy Unii rozstrzygane na rzecz skarżących; drugi (Niemiec) – zaklinał się, że skargi takie będą bezwzględnie odrzucane.

Ja nie wiem, jak będą wyrokować unijne sądy po przystąpieniu Polski do Unii i znalezieniu się we „wspólnej przestrzeni prawnej”. Ostatnio właśnie na marginesie interwencji NATO w Kosowie wybitny polski prawnik stwierdził, iż jest ona legalna, ponieważ NATO występuje w obronie masowo przez reżym Miłoszewicza naruszanych praw człowieka. Od kiedy jednak obowiązuje ta zasada? Czy da się ją zastosować do przeszłości bez wyrządzenia nowego bezmiaru krzywd? Nie wiem. Jestem jedynie zdania, że trzeba jak najszybciej podjąć dyskusję o problemach skutków pozbawiania własności WSZYSTKICH grup ludności przez dwa totalitaryzmy, panujące na ziemiach Polski w jej obecnym kształcie. Dyskusję nie tylko na forum parlamentu, ale i z udziałem opinii publicznej. I samych zainteresowanych.

Z fazy dialogów prowadzonych z oddali przejść trzeba do fazy powoływania wspólnych grup parlamentarnych, samorządowych, dziennikarskich, kościelnych, do tworzenia wspólnych instytucji, fundacji, wydawnictw, publikacji i wszelkich innych działań, poświęconych obecnemu i przyszłemu awansowi ziem, na których przyszły na świat miliony zarówno spośród nas, jak i spośród nich.

Jerzy Witold SOLECKI

DOKUMENTY

Tomasz MIANOWICZ

MNIEJSZE ZŁO. TAKTYKA PZPR W 1989 R.

Kiedy 31 sierpnia 1989 r. sekretarz KC SED odpowiedzialny za sprawy międzynarodowe, Hermann Axen, spotkał się z Józefem Czyrkim (który jeszcze miesiąc wcześniej pełnił analogiczną funkcję w KC PZPR), obie bratnie partie znajdowały się już w schyłkowej fazie sprawowania władzy politycznej. Fala wyjazdów z NRD osiągnęła rozmiary masowe, równocześnie mnożyły się wystąpienia ruchów obywatelskich na rzecz reform systemu politycznego. Reakcje SED były nerwowe i niekonsekwentne: z jednej strony partia sięgała do środków policyjnych i zaostrzenia przepisów administracyjnych, nie zdecydowała się jednak na zastosowanie masowych represji. Honecker, wyraźnie niechętny „pierestrojce”, tracił systematycznie poparcie Moskwy, słabła również jego pozycja w kierownictwie własnej partii.

Zmiany polityczne w Polsce zaszły już o wiele dalej: przeprowadzone w myśl zasad ustalonych w Magdalence i w czasie rozmów przy „okrągłym stole” wybory, zakończyły się niespodziewanie wyraźną przegraną PZPR. Porażka partii miała – poza wymiarem czysto rachunkowym – znaczenie dla planów strategicznych dotychczasowych władz. Podczas gdy rezultaty negocjacji „okrągłego stołu” odpowiadały założeniom PZPR, wyniki wyborów w czerwcu 1989 r. były zasko-

zeniem i mogły utrudnić ustalony uprzednio wybór generała Jaruzelskiego na stanowisko prezydenta państwa.

Do planów partii i trudności w ich realizacji, gość z Warszawy nawiązuje w rozmowie z Axenem (Czyrek przyjechał do Berlina Wschodniego na obchody rocznicy wybuchu II wojny światowej). „Spotkanie naszych czołowych reprezentantów”, o którym wspomina polski minister – to wizyta przyjaźni, jaką Jaruzelski złożył w NRD 22 maja 1989 r. To właśnie wówczas szef PZPR szczegółowo wyjaśnił Honeckerowi taktykę, jaką kierowała się polska partia, decydując się na podjęcie rozmów „okrągłego stołu”. Inicjatywa ta, spowodowana trudną sytuacją gospodarczą, miała na celu zrzuć na „Solidarność” części odpowiedzialności i zmniejszenie napięć w kraju, poprzez wprowadzenie kontrolowanego przez partię pluralizmu. Idea nawiązywała do podejmowanych już w 1981 r. prób kompromisu z umiarkowanym skrzydłem „Solidarności”. Zasadnicza różnica polegała na tym, że w 1988 r. partii udało się – w przeciwieństwie do roku 1981 – dokonać rozłam w „Solidarności” i wyeliminować z gry politycznej radykalnie antykomunistyczne środowiska¹. Równocześnie „eksperyment polski” odbywał się w ramach strategicznych reform socjalizmu, przy czym PRL traktowano w Moskwie jako swego rodzaju „laboratorium”.

Czyrek w rozmowie z Axenem przeceniał nieco osiągnięcia PZPR, być może nie chcąc przyznać się do porażki politycznej, która pod koniec sierpnia 1989 r. zaznaczała się coraz wyraźniej. Otóż wyboru Jaruzelskiego na prezydenta nie osiągnięto, jak to przedstawił polski minister – „w twardej walce”, lecz w myśl poufnych ustaleń pomiędzy Stanisławem Cioskiem a Bronisławem Geremekiem. Uzgodniono, że Jaruzelski przejdzie kilkoma głosami a minimalna przewaga jednego głosu w momencie wyboru, była wynikiem błędu

1. Por. Niederschrift über das Gespräch des Genossen Erich Honecker, Generalsekretär des ZK der SED und Vorsitzender des Staatsrates der DDR, mit Genossen Wojciech Jaruzelski, Erster Sekretär des ZK der PVAP und Vorsitzender des Staatsrates der VR Polen, am 22. Mai 1989. Stiftung Archiv der Parteien und Massenorganisationen der DDR im Bundesarchiv [dalej: SAPMO-BArch], DY 30; J IV 960.

rachunkowego strony solidarnościowej². Po „zdradzie” ZSL i SD stało się jednak jasne, że umowy „Okrągłego stołu” nie uda się zrealizować w myśl planów partii.

Nieścista jest również wypowiedź Czyrka, który – wymieniając polityczne „aktywa” PZPR – podkreślił bezprecedensową rzekomo gotowość sił związanych z katolicyzmem do zawarcia koalicji z komunistami. Już 3 lutego 1952 roku Stanisław Stomma i Jerzy Turowicz ogłosili w *Tygodniku Powszechnym* programowy artykuł, w którym wypowiedzieli się na rzecz współpracy katolików z partią. Tytuł artykułu – „Eksperyment polski” – stał się sformułowaniem często używanym dla określenia zmian politycznych przeprowadzonych w 1988 r.

Relacja Czyrka umożliwia również korekty ustaleń innych autorów, którzy nie opierali się na źródłach archiwalnych. Kanadyjski historyk Jacques Lévesque twierdzi, że oddanie PZPR resortów spraw wewnętrznych i obrony było propozycją Lecha Wałęsy³. Natomiast Czyrek wyjaśnia, że żądania w tej sprawie przedstawił Jaruzelski w rozmowie z Mazowieckim.

Na temat samej kandydatury Tadeusza Mazowieckiego pojawiały się różne opinie. Miał on być zaproponowany przez sowieckiego ambasadora w Warszawie Browikowa. Sam generał Jaruzelski wyjaśnił w jednym z wywiadów, jakie względy przemawiały za odrzuceniem innych kandydatów strony solidarnościowej – Jacka Kuronia i Bronisława Geremka⁴.

Czyrek określa akceptację kandydatury Mazowieckiego jako „mniejsze zło”. Już samo sformułowanie przywołuje analogię pomiędzy końcową fazą komunizmu w Polsce a rokiem 1981. Także wówczas alternatywą dla władz był stan wojenny albo porozumienie z konstruktywną opozycją. Podobnie w 1988 r., gdy partia decydowała się na negocjacje z wybranymi przedstawicielami „Solidarności”, gotowe były

2. Por. „Wędzidła opatrności. Ze Stanisławem Cioskiem rozmawia Dariusz Wilczak”. *Rzeczpospolita*, 14-15.12.1996.

3. Por. 1989. „La fin d’un empire. L’URSS et la libération de l’Europe de l’Est”. Paris 1995, s. 160.

4. Por. „Człowiek na drugim brzegu?” *Najwyższy Czas*, 3.10.1998.

plany wprowadzenia stanu wyjątkowego⁵. W roku 1981 „mniejszym złem” było ogłoszenie stanu wojennego.

Prezentowany dokument pochodzi z archiwów SED. Trudno nie docenić historycznej wagi archiwalnych zasobów NRD, z niewielkimi wyjątkami dostępnymi badaczom. Tymczasem dokumenty te wywołują w Polsce raczej ograniczone zainteresowanie, choć z drugiej strony lata 80-te cały czas są przedmiotem burzliwych polemik. Materiały z archiwów SED dotyczące końcowej fazy komunizmu znane są dotychczas w Polsce jedynie z sumarycznych z konieczności omówień prasowych⁶. Celowe wydawałoby się podjęcie systematycznej edycji tych źródeł w polskim tłumaczeniu.

Notatka Axena z rozmowy z Czyrkiem opatrzona jest parafą Günthera Mittaga, który zastępował wówczas chorego Honeckera i przekazał dokument, sklasyfikowany jako tajny, członkom i kandydatom politbiura SED.

Tomasz MIANOWICZ

NOTATKA

z nieoficjalnej rozmowy członka Biura Politycznego i sekretarza KC SED towarzysza Hermanna Axena z członkiem KC PZPR, ministrem stanu przy urzędzie Prezydenta PRL, towarzyszem Józefem Czyrkiem, dn. 31.8.1989⁷.

Rozmowa doszła do skutku na życzenie obu stron. Odbyła się w cztery osoby. Trwała 1 i 3/4 godziny.

(...)

5. Por. L. Kowalski: „Stan wyjątkowy – okrągły stół”. *Arka* (1993), nr 44/45, s. 13-28.

6. Por. K. Grzybowska, M. Rybiński: „Socjalizm jak niepodległość”. *Rzeczpospolita*, 24-25.6.1995 oraz: „Pokój brzeski”. *Rzeczpospolita*, 1-2.7.1995.

7. SAPMO-BArch, DY 30: IV 2/2.035/47.

Berlin, 1.9.1989

Towarzysz Józef Czyrek:

Przed wszystkim chciałbym podkreślić wdzięczność towarzysza W. Jaruzelskiego, towarzysza Rakowskiego za „wspañiałą, przykłądną postawę” SED i NRD w ciągu tygodni i miesięcy od spotkania naszych czołowych reprezentantów. Towarzysz Jaruzelski prosił, aby powiedzieć towarzyszowi E. Honeckerowi, że ta postawa NRD, także praca waszych środków przekazu w odniesieniu do Polski Ludowej są wielką, trudną do przecenienia pomocą dla PZPR i dla Polski Ludowej.

Towarzysz Jaruzelski przekazuje swą głęboką wdzięczność. Gratulacje towarzysza Stopha dla nowo powołanego premiera Mazowieckiego były w ogóle pierwszymi gratulacjami z zagranicy. Mazowiecki był pozytywnie zaskoczony i podkreślił to z wdzięcznością na jednej z międzynarodowych konferencji prasowych.

Walka o socjalizm trwa w nowych, zmienionych warunkach. Obecnie dla PZPR i wszystkich sił prosocjalistycznych centralne miejsce zajmują bardziej metody polityczne niż administracyjne. Nie można ulegać iluzji: to będzie długa, trudna i twarda walka.

Rezultaty rozmów Okrągłego Stołu były zgodne z taktyką, którą towarzysz Jaruzelski wyjaśnił w maju towarzyszowi Honeckerowi. Jednakże termin wyborów a przede wszystkim raptowne pogorszenie się sytuacji gospodarczej zostały wykorzystane przez ekstremalne siły w „Solidarności”, aby walkę wyborczą przeciwko PZPR prowadzić demagogicznie i stosując wiele strajków. Dlatego kompromis zawarty przy Okrągłym Stole nie wykazał jeszcze w pełni swego znaczenia.

Jednakże osiągnięto w twardej walce to, że towarzysz Jaruzelski został wybrany prezydentem państwa. To ważne. Kiszczakowi nie udało się jednak utworzyć rządu, ponieważ kierownictwo Stronnictwa Ludowego i Stronnictwa Demokratycznego dopuściło się zdrady i przeszło do „koalicji” z Wałęsą. Zaskoczyło to kierownictwo partii i rządu.

Dlaczego nasze kierownictwo zgodziło się na kandydaturę Mazowieckiego na premiera?

Nie była to łatwa decyzja.

Dlaczego nie zastosowaliśmy wszystkich środków, włącznie z metodami właściwymi kryzysowi politycznemu, kryzysowi państwa?

Dlaczego uszanowaliśmy zasady gry pluralizmu parlamentarnego?

Były ku temu trzy powody:

1. Sytuacja ekonomiczna rozwija się w tak skomplikowany sposób, że PZPR w sytuacji kryzysu państwa i związanych z nim politycznych, administracyjnych i wszelkich innych konfliktów odizolowałaby się w jeszcze większym stopniu od klasy robotniczej i od ludu, niż wykazały to wyniki wyborów.

2. Opozycja oskarżyłaby PZPR o lekceważenie demokratycznych zasad gry, o pogwałcenie jakiegokolwiek demokracji, o wyłączne dążenie do władzy. Charakter PZPR jako postępowej, narodowej i patriotycznej siły zostałby w pełni zaciemniony.

3. Izolacja doprowadziłaby do otwartej konfrontacji, która uniemożliwiłaby utworzenie rządu koalicyjnego wszystkich reprezentowanych w Sejmie partii. W ten sposób PZPR straciłaby wszelką możliwość wpływu i kierowania rozwojem sytuacji.

Decyzję naszą ułatwił fakt, że T. Mazowiecki znany jest nam nie jako ekstremista, lecz jako polityk realistyczny, zaufany człowiek Kościoła katolickiego. Wielokrotnie występował przeciwko konfrontacyjnym zapędom skrajnie antysocjalistycznych kół „Solidarności”. Mazowiecki jest w większym stopniu eksponentem papieża, niż kardynała Glempa.

Wewnętrzne rachuby kierownictwa PZPR wyglądały następująco:

Gdybyśmy byli w stanie szybko poprawić położenie gospodarcze, utrzymalibyśmy kierownictwo rządu przy użyciu wszelkich środków. Ponieważ jednak sytuację ekonomiczną można skonsolidować jedynie stopniowo w dłuższym

przedziale czasu, na rząd kierowany przez PZPR spadłaby wina i odpowiedzialność wobec społeczeństwa; w trakcie dalszej konfrontacji w kraju PZPR zostałaby ostatecznie wyparta jako władza państwowa, co umożliwiłoby samodzielne rządy opozycji.

Wybraliśmy mniejsze zło i zmuszamy teraz opozycję poprzez udział w rządzie i kierowanie nim do natychmiastowego przejścia odpowiedzialności za wszystko.

Po tym jak przywódcy „Solidarności”, Stronnictwa Ludowego i Demokratycznego postanowili utworzyć koalicję, towarzysz Jaruzelski przeprowadził z 3 przywódcami najpierw indywidualnie a potem zbiorowo bardzo poważne, twarde rozmowy bez ogródek. Oświadczył, że jest gotów zaproponować Mazowieckiego jako kandydata na premiera, ale jedynie pod warunkiem jednoznacznej zgody 3 partii na trzy następujące zasady:

1. Socjalistyczny porządek społeczny w Polsce nie będzie zmieniony. Zmiany są możliwe w metodach systemu politycznego i ekonomicznego, ale tylko w ramach socjalizmu.

W Polsce nie ma powrotu do kapitalizmu.

2. Przynależność Polski Ludowej do wspólnoty socjalistycznej, przyjaźń i sojusz z ZSRR, polityczny i obronny sojusz Układu Warszawskiego są nienaruszalne i będą kontynuowane. Bez żadnych zastrzeżeń.

3. Rząd musi się składać proporcjonalnie ze wszystkich reprezentowanych w Sejmie sił, musi tworzyć szeroką koalicję. Nie bez udziału PZPR i nie przeciwko PZPR, która posiada 38 procent posłów w Sejmie.

Mazowiecki, Malinowski (Stronnictwo Ludowe), Józwiak (Stronnictwo Demokratyczne) zaakceptowali to. T. Mazowiecki podkreślił w pierwszym oficjalnym wystąpieniu w Sejmie:

– przynależność do Układu Warszawskiego, przyjaźń i sojusz ze Związkiem Radzieckim i wszystkimi krajami socjalistycznymi

– szeroką koalicję wszystkich sił reprezentowanych w Sejmie

– nie powiedział ani słowa o zachowaniu socjalistycznego porządku społecznego, ale również ani słowa o jakichkolwiek zmianach socjalistycznego porządku społecznego.

Jeżeli nawet to wszystko miałyby być jedynie taktyką (choćby kręgi wokół Mazowieckiego oceniają wewnętrzny i zewnętrzny układ sił dość realistycznie), pozostaje faktem i ma znaczenie, że tę deklarację T. Mazowiecki złożył w Sejmie przed polską i międzynarodową opinią publiczną.

Poza tym po raz pierwszy w historii Polski Ludowej siły opozycyjne związane z klerem katolickim, które zawsze istniały od 1944/45, wypowiedziały się oficjalnie na rzecz szerokiej koalicji przy udziale komunistów, na rzecz sojuszu ze Związkiem Radzieckim i na rzecz Układu Warszawskiego. W ten sposób wiodące siły opozycji przyjęły zobowiązanie wobec narodu.

To powszechne uznanie zasad wymaganych przez towarzysza Jaruzelskiego pokazuje, że kompromis zawarty przy Okrągłym Stole nadal obowiązuje. Decydujące jest praktyczne zastosowanie tych zasad w tworzeniu rządu i w jego polityce. Nie ma wątpliwości, że przy każdym problemie rozgorzeje bardzo ostra walka.

30.8. prezydent Jaruzelski przeprowadził nieoficjalną rozmowę z T. Mazowieckim. Jej rezultaty:

Mazowiecki zgodził się, że PZPR wyznaczy wicepremiera. Zaakceptował na to stanowisko towarzysza Kiszczaka. Ma on być odpowiedzialny w prezydium rządu za wszystkie sprawy wewnętrzne i zewnętrzne bezpieczeństwa. Ponadto ustalono, że PZPR wyznaczy ministra obrony i ministra spraw wewnętrznych. Nie osiągnięto porozumienia w sprawie zdecydowanego żądania Jaruzelskiego, aby towarzysz Olechowski pozostał w rządzie jako minister spraw zagranicznych. Mazowiecki po [początkowym] oporze zasygnalizował zrozumienie. Mazowiecki zaproponował oddanie PZPR jednego z resortów gospodarczych a mianowicie Ministerstwa Finansów. Przewidziany na to stanowisko towarzysz Baka jest przeciwny. Chcemy zatem stanowiska prezesa Narodowego Banku Polskiego. Ta funkcja łączy się z większym zakresem kompetencji i obejmuje odpowiedzialność nie tylko wobec

rządu, lecz również bezpośrednio wobec prezydenta i prezydium Sejmu. Również wobec tej propozycji Mazowiecki wyraził zrozumienie. PZPR wyznaczy być może również ministra transportu. Nie jest to jednak jeszcze jasne.

Mazowiecki oświadczył towarzyszowi Jaruzelskiemu, że bez poparcia prezydenta nie może wykonać swych zadań. Jest on [Mazowiecki] gotów do lojalnej współpracy.

Najostrzejszy konflikt dotyczy kierownictwa państwowych środków przekazu. W tej sprawie prezydent walczył jak lew. Stanowiska są nadal bardzo rozbieżne. Jednakże Mazowiecki nie odrzucił definitywnie pewnych wariantów rozwiązań zaproponowanych przez PZPR.

Sytuacja w PZPR:

Po wyborze prezydenta państwa nastroje w PZPR umocniły się. Niepowodzenie kandydatury towarzysza Kiszczaka i powołanie Mazowieckiego zadziałały jednak jak szok i nadal tak działają w całym aktywie partii. Istnieją zarzuty, że zgoda większości frakcji sejmowej PZPR na kandydaturę Mazowieckiego jest praktycznie zdradą. Kierownictwu jest bardzo trudno, teraz, w środku walki i [procesu] tworzenia rządu, publicznie, bez ogródek wyrazić swoje poglądy. Powinno to nastąpić po utworzeniu rządu i wygłoszeniu *exposé* rządowego przez Mazowieckiego. Od razu w dniu *exposé* rządowego w Sejmie ma się odbyć plenum KC, na którym wszystko zostanie wyjaśnione. PZPR oświadczy, które punkty programu rządowego potwierdza, a które nie. Plenum podejmie prawdopodobnie również uchwałę w sprawie przygotowania zjazdu partii w 1990 r.

Partia musi w większym stopniu niż poprzednio akcentować swoją rolę jako awangarda klasy robotniczej, postępowej inteligencji, młodzieży. Trudno jest zwiększyć wpływ partii wśród chłopów. Tam opozycja umocniła już swą pozycję i ma silne organizacje. Partia musi nauczyć się wykonać trudne zadanie połączenia w dalszej polityce dwóch elementów:

a) uczestniczyć we władzy i być partnerem koalicyjnym w interesie ludu i socjalizmu:

b) walka przeciwko wszystkim akcjom i ruchom antysocjalistycznym.

Ważne jest, że pomimo silnego szoku dla członków partii liczba wystąpień z partii nie wzrasta.

Nie ma także wystąpień z OPZZ.

Przedstawiciele opozycji są w tej chwili w euforii. Jednak w szeregach kadr kierowniczych narasta otrzeźwienie. Na przykład Wałęsa musiał otwarcie przyznać, że organizacje „Solidarności” w zakładach pracy rozwijają się bardzo powoli. Nie ma tak masowego napływu do „Solidarności” jak [w latach] 1980/81. Wielu robotników i związkowców zajmuje pozycję wyczekującą.

W „Solidarności” zwiększa się zróżnicowanie.

Istnieją trzy grupy:

- Koła chrześcijańsko-katolickie. One dominują.
- Mniej wyznaniowo zorientowani, liberalni i socjaldemokratyczni, reformistyczni zwolennicy [„Solidarności”].
- Skrajnie antysocjalistyczna grupa „Solidarności”, która jest przeciwna Okrągowi Stołowi i szerokiej koalicji i która zawzięcie zwalcza deklarację Mazowieckiego w sprawie sojuszu ze Związkiem Radzieckim i Układu Warszawskiego. Ta grupa jest słabsza w Sejmie, ale silna w Senacie.

W Stronnictwie Ludowym jest wiele uczciwych, prosocjalistycznych sił. Równocześnie jednak wśród większości występują wahania i sympatie dla „Solidarności”.

Stronnictwo Demokratyczne popiera polityczne stanowisko „Solidarności” i w przyszłości rozplynie się w szeregach „Solidarności”.

Aby wykorzystać te różnice potrzeba konkretnych zadań i znacznej politycznej aktywności, wierności zasadom i elastyczności PZPR.

Podsumowując: kierownictwo PZPR zdaje sobie sprawę, że polski „kompromis historyczny” kryje w sobie wiele nie-

bezpieczeństw. Na razie rośnie ruch antysocjalistyczny a motywacja antysocjalistyczna działa i jest podsycana. Walka przeciwko PZPR trwa. Nie zawieramy tak po prostu pokoju ani [nie ogłaszamy] pojednania. Nadal rzeczowa współpraca w interesie narodu a [zarazem] zdecydowana, wielostronna walka polityczno-ideologiczna przeciwko siłom kontrrewolucyjnym, antysocjalistycznym.

Nie będzie to łatwe, tego nie wypróbowała dotychczas żadna partia w socjalizmie. Jednak osiągnięcia socjalizmu nie zostały stracone. Te osiągnięcia to:

- Prezydent ze swymi szerokimi uprawnieniami i ze swym autorytetem.
- Partia, która musi ponownie przejść do ofensywy.
- Armia i bezpieczeństwo.
- Stanowiska we władzach państwowych centralnego i lokalnego szczebla.
- 7 milionów członków OPZZ.
- Pozycja PZPR w środkach przekazu.
- Pozycja PZPR w służbie dyplomatycznej.

Prezydent jest w stanie blokować i neutralizować działania antysocjalistyczne, ataki ze strony „Solidarności” i innych [sił]. Ale tylko wówczas, gdy będzie aktywnie popierany przez PZPR, przez związki zawodowe i – w dalszym ciągu – przez znaczną część władz państwowych.

Przeciwnik chce nas osłabić. Jednakże przejmując po raz pierwszy konkretną odpowiedzialność w trosce o codzienne życie społeczeństwa, może bardziej wyraźnie niż kiedykolwiek przedtem pokazać swe słabe strony.

Co do spekulacji na temat znacznej pomocy gospodarczej Zachodu, to prezydent Bush dał do zrozumienia, że coś zostanie uczynione dla Mazowieckiego, ale nawet w przybliżeniu nie będzie to tak wielka pomoc ze strony USA, jak w czasach planu Marshalla. USA chcą zmusić Mazowieckiego, aby uczynił szybsze i bardziej energiczne kroki na rzecz kapitalizmu w Polsce. Niektórzy z rozsądniejszych przywódców „Solidarności” wyrażają zaniepokojenie względnie rozczarowanie.

Co się tyczy spekulacji związanych z RFN, to rząd Kohla obiecuje pomoc dla Mazowieckiego a chce wywołać wrażenie wielkiej pomocy. To było celem misji Blüma i Raua. Dzisiaj, 31.8., Kohl zadzwonił do Mazowieckiego i werbalnie mówił o pomocy. Konkretnie rozmowy na ten temat mają się odbyć po 15.9., tj. po utworzeniu rządu i po rządowym *exposé*. Kohl zażądał, aby Mazowiecki osobiście nadzorował te rozmowy. Kohl chce jeszcze w 1989 r. złożyć wizytę w PRL. Należy poczekać na to wszystko. Kierownictwo PZPR sądzi, że rząd Kohla na użytek zewnętrzny prowadzi intensywną propagandę, ale w istocie stosuje podobną do USA taktykę: wysokie kredyty i pomoc tylko w wypadku dalszego znacznego demontażu socjalizmu i wprowadzenia metod kapitalistycznych, przede wszystkim w gospodarce i w środkach przekazu. Kohl obiecał, że poprze w Klubie Paryskim życzenia Polski.

Towarzysz Jaruzelski i towarzysz Rakowski, kierownictwo partii uważają, że Zachód nie jest przekonany o trwałym charakterze obecnego rozwoju wydarzeń i za pomocą polityki kija i marchewki, obietnic i nacisków, „taktyki salami” chce zlikwidować coraz więcej osiągnąć socjalizmu i rozwijać kapitalizm.

(...)

Autor dziękuje Warszawskiej Fundacji Kultury Niezależnej oraz Fundacji Pomocy Literaturze i Nauce Polskiej (Paryż) za pomoc w pokryciu kosztów kwerendy archiwalnej.

WSPOMNIENIA

Anna RUDZIŃSKA

MÓJ KOR. CZERWIEC 1976 – STYCZEŃ 1980

Jak wiadomo, wszystko zaczęło się na dobre 24 czerwca 1976 na posiedzeniu Sejmu, na którym Jaroszewicz oznajmił o podniesieniu cen i konsultacjach społecznych na ten temat. Tego wieczora były imieniny Janka Lipskiego, jak zwykle w tych spokojniejszych latach gierkowskich odwiedzane bardzo licznie. Pamiętam tłumy w dwóch dużych pokojach Janków, wspaniałe jedzenie, jak u nich zwykle, umęczoną Marutę i Janka, który kategorycznie zamknął radio i nie pozwolił nam na żadne słuchanie sprawozdań z Sejmu. Toteż następny dzień rano, piątek, był dla mnie pewnym zaskoczeniem. Rano słuchałam jak zwykle dziennika i tam już było o nowych cenach. Ponieważ była mowa o cukrze, więc po drodze do biura, zobaczywszy niewielki ogonek w sklepie, stanęłam w nim i nabyłam chyba dwa kilo cukru. Po drodze, na wielkim podwórzu przed moim miejscem pracy, robotnicy kopali coś na wielkiej koparce i usłyszałam słowa, wypowiedziane bardzo smutnym głosem: – I powiedział „Aby Polska rosła w siłę i ludzie żyli dostatniej...”.

W biurze zastałam oprócz pani Majewskiej, prof. Jerzego Piotrowskiego, naczelnego redaktora naszego pisma *Praca i zabezpieczenie społeczne* i straszliwą awanturę. Po pierwsze spóźniłam się istotnie chyba o 10 minut. Po drugie, z cenzury nadeszła wiadomość, że w piśmie jest jakaś interwencja, a ja

nic o tym nie wiem, bo redaktor techniczny dowiedział się o tym po trzeciej poprzedniego dnia, kiedy mnie już nie było. A pani Majewska bała się interwencji cenzury, znacznie bardziej niż diabeł święconej wody. Usiłowałam się jakoś tłumaczyć, ale było to zupełnie bezskuteczne i właściwie bezużyteczne, bo redaktor techniczny, znaleziony w końcu, oświadczył, że wszyscy konsultują nowe ceny, on nic nie pamięta i w ogóle nic teraz nie załatwi. Pani Majewska oświadczyła, że całą noc nie spała ze zdenerwowania, na co ja powiedziałam dość niegrzecznie, że nie tylko ona w Polsce nie spała, i to z poważniejszych powodów. W rezultacie przy całym dalszym zamęcie panującym w kraju, nic nigdy z tej interwencji cenzury nie wyszło. Ja w każdym razie postanowiłam twardo, że przejdę na emeryturę jak tylko to będzie możliwe, tzn. od 1 października 1976, co dotychczas uważam za jedną z najszcześniejszych decyzji w moim życiu. Zgłosiłam to do odpowiedniej władzy personalnej w biurze i zaczęłam zbieranie koniecznych dokumentów, co też i doprowadziło mnie szczęśliwie do emerytury w zaplanowanym terminie.

Tego dnia moja przyszła synowa, narzeczona Jasia, miała jechać na praktykę do NRD gdzieś w okolicach Berlina. Po powrocie do domu dowiedziałam się, że żaden pociąg w tym kierunku nie odjechał, i w końcu pod wieczór kolejarze puścili czekający międzynarodowy pociąg z Moskwy przez rozdzielnię towarową Odolany na północ od Warszawy Gdańskiej. Wieczorem, jak wiadomo, Jaroszewicz odwołał podwyżkę, ale ruch w kraju był ogromny i wszystko tak się zaczęło.

Opowiadał mi mój brat dość dowcipnie, jak w południe tegoż 25 czerwca zameldowało się do Gierka dwóch panów w czarnych ubraniach – minister energetyki i minister komunikacji – i oświadczyli: pierwszy, że pobór mocy spadł do 10%, co oznacza, że stoją wszystkie fabryki, a drugi, że Warszawa jest odcięta od zachodu i południa i koleje stoją. Był to Ursus i Radom.

Zaczęły nadchodzić przerażające informacje o represjach, szczególnie w tych dwóch ośrodkach. Potem okazało się, że było ich znacznie więcej, ale te sprawy znam tylko z komuni-

katów KOR, więc nie mam co o nich pisać. Natomiast chciałabym tu wspomnieć, że jedną z pierwszych organizacji, która pospieszyła z pomocą wyrzuconym z pracy i prześladowanym robotnikom, było TPD pod kierunkiem Zosi Bardachowej. Zdecydowała ona udzielać tej pomocy, z funduszy przeznaczonych na pomoc rodzinom alkoholików i były to chyba pierwsze pieniądze, jakie na te cele wydatkowano.

W lipcu spędziłam urlop chyba w Pyrach, zajmując się moją wnuczką, a w sierpniu pilnowałam mieszkania Stasiów Mierników i tam zetknęłam się z pierwszymi działaniami przyszłej opozycji, Janek Olszewski pisał mianowicie jakieś duże sprawozdanie z dotychczasowych akcji pomocy i z sytuacji w kraju, i przyszedł do mnie z prośbą o przepisanie go na maszynie. Na razie jednak nic nie wiedziałam ani o akcji ursuskiej ani radomskiej. Dopiero we wrześniu, kiedy już szykowałam się do przejścia na emeryturę, spotkałam mego ciotecznego siostrzeńca, Krzysia Łączyńskiego, który zaproponował mi, abym pojeździła z pomocą do robotników Ursusa. Nawet chętnie zgodziłam się na tę propozycję, ale moje zdrowie stanowczo nie pozwalało mi na długie spacery po wertepach, jakie byłyby konieczne przy takiej pracy. Wobec tego, całym sercem chcąc pomóc, właściwie nic jeszcze nie mogłam zrobić.

I tak nadszedł 23 września 1976 roku. Około 10-tej wieczorem zjawili się u mnie dwóch panów w ciemnych garniturach i krawatach, Janek Lipski i Wojtek Ziemiński i Janek oświadczył: – Haniu, przepisziesz nam coś? Ale uprzedzam, że za to można siedzieć. – Albo to ja tego nie wiem – oświadczyłam spokojnie, siadając do maszyny. Była to jeszcze moja stara pocziwa Olimpia, która brała 10 kopii na przebitkach i rzeczywiście była już wielokrotnie wykorzystywana do podobnych działań. Ułożyłam więc 10 kopii i Janek podyktował mi tekst pierwszego Apelu informującego o powstaniu Komitetu Obrony Robotników, podpisanego przez pierwsze 14 osób założycieli. Chyba już wtedy zdecydowali się oni na pełną jawność i podawali swoje adresy, jako punkty zbierania pomocy i zgłaszania jej potrzeby przez osoby prześladowane. Przepisałam ten apel chyba co najmniej 3 razy po 10 kopii i pozostawiwszy mi jeden egzemplarz do dalszego

przepisywania, Janek i Wojtek zabrali resztę jako „egzemplarze-matki”, które miały być dalej przepisywane już przez inne osoby.

Zaraz 29 IX przyszedł Janek z pierwszym komunikatem KOR i zaczęło się regularne i bardzo częste przepisywanie wszystkiego, co było w tym czasie wydawane przez KOR. Nie pamiętam dat wydania poszczególnych komunikatów, bo nie było to wydawnictwo o określonej częstotliwości, pisało się je, gdy było już potrzeba, gdy było dużo nowych wiadomości i udzielono określonej pomocy. Chcę tu wspomnieć, że Oświadczenia KORu, które również zawsze pisałam, nie są numerowane z bardzo śmiesznego powodu. Po prostu zarówno Janek Lipski, jak i ja zapomnieliśmy, że może to być potrzebne i że wydane właśnie oświadczenie pierwsze wcale nie będzie jedyne i z pewnością powinny one być jakoś numerowane. Ale tak jak jest są tylko datowane i kolejność dat musi wystarczyć do ich zidentyfikowania.

Od 1 października szczęśliwie byłam już na emeryturze i pracowałam tylko na godziny zlecone w Zakładzie Metodologii Badań Socjologicznych Instytutu Socjologii Uniwersytetu Warszawskiego kierowanym przez Stefana Nowaka, co zostawiało mi bardzo dużo czasu i możliwości na pisanie. Wprawdzie miałam także jakieś przepisywania dla Stefana i Zakładu, ale czułam się jeszcze dość silna i mogłam na to wszystko nastarczyć. W każdym razie ten październik i listopad zostały w mojej pamięci głównie jako pasmo przepisywania, układania egzemplarzy z 10 kopii i znów przepisywania pod dyktando lub z mało czytelnych, skomplikowanych tekstów, składających się z małych karteczek, nadsyłanych i przywożonych przez coraz szerzej rozwijających swoją działalność członków i współpracowników KOR.

Bardzo zatrudniał mnie dodatkowo Wojtek Ziemiński, który jak zawsze podnosił najróżniejsze kwestie i często występował przeciw zdaniu kolegów, na razie jednak wszystko szło dobrze, oprócz oczywiście rozlicznych kłopotów z milicją na drogach Ursusa i Radomia.

W dniu 22 listopada miało odbyć się plenarne zebranie członków KOR, których było już ponad 20. Ponieważ mieszkanie Jacka Kuronia było obserwowane i bardzo znane

milicji, zaofiarował się ze swoim lokalem Wojtek Ziemiński i polecił mi podzwonić do kolegów, że zebranie jest u niego.

Rzeczywiście zebrali się tam członkowie KOR, co prawda nie wszyscy, ale byłam tam także, zaangażowana do pomocy w podaniu kawy i w ogóle jako taka siła pomocnicza. Oczywiście SB doskonale się orientowała zarówno w planach KOR, jak i w lokalach, bo niewątpliwie wszystkie nasze telefony były na podsłuchu i ledwie zebranie się zaczęło, po około pół godziny rozległ się dzwonek i za drzwiami ukazało się dwóch mundurowych milicjantów i cywilny ubek, pamiętam, że bardzo źle wyglądający i prawie kompletnie łysy. Oświadczył on, że odbywa się tu nielegalne zebranie, które winno być natychmiast przerwane, a jego uczestnicy wylegitymowani. Wszyscy członkowie KORu, mający jako zasadę stale ogłaszaną legalność swoich działań, odmówili wylegitymowania się, na co ubek oświadczył, że będą musieli udać się wobec tego z nimi na komisariat MO. Mnie, jako nie członkowi KOR, Janek Lipski kazał się wylegitymować i sprzątnąć notatki, porobione na zebraniu, czego niestety w zdenerwowaniu nie usłyszałam i te nieszczęsne notatki zostawiłam na stole. Natomiast pamiętam, że ubecy wcale nie przeszkadzili Jackowi Kuroniowi, który zatelefonował do swojej żony, aby zawiadomiła dalej o kontroli i rozpędzeniu zebrania. Wobec tego ja zatelefonowałam do mojej córki, która z moich półsłówki doskonale zrozumiała co się dzieje, popędziła do mego mieszkania i zabrała z niego wszystkie, jakie znalazła, materiały KORu. A oprócz Komunikatów było tego mnóstwo, bo ciągle przecież pisało się różne listy do Sejmu i najrozmaitszych osobistości w Polsce i zagranicą. Jednakże, gdy się wylegitymowałam, ubecy zabrali całe towarzystwo do samochodów i pojechali, zostawiając mnie na miejscu, skąd też i szybko sobie poszłam. Ubecy okropnie bali się zabierać do komisariatu księdza Zięę, który był już w bardzo podeszłym wieku, a także chętnie byłiby zwolnili z tego obowiązku panią Anielę Steinsbergową, ale wszyscy byli solidarni i do tego komisariatu pojechali. Tam ich wylegitymowano i puszczono. Oni kazali jednak się odwieźć z powrotem do Wojtka, skąd dopiero się rozeszli. Mnie przy legitymowaniu zapytano, gdzie pracuję, więc była to pierwsza większa korzyść z mojej emerytury, że nie oba-

wiałam się wylania z pracy za nielegalną działalność i mogłam spokojnie patrzeć w przyszłość, przynajmniej częściowo.

Ten epizod bynajmniej nie wpłynął na moje pisanie, ale przygotowałam sobie w myśli miejsce na schowanie najważniejszych i najbardziej kompromitujących papierów w razie rewizji i okazało się ono nadzwyczaj korzystne. Rzeczywiście, po dwóch tygodniach od tego zebrania, 8 grudnia o 7.30 rano rozległ się w moim mieszkaniu alarmujący dzwonek. Oczywiście byłam natychmiast pewna, że to rewizja, ale spokojnie podeszłam do drzwi i zapytałam, kto tam. – Woda się leje piętro niżej, proszę otworzyć, trzeba zamknąć – usłyszałam w odpowiedzi. – Proszę przyjść z dozorcą, nikogo nie wpuszczę – oświadczyłam spokojnie, wzięłam przygotowaną, jak codziennie, paczkę z Komunikatami i schowałam ją w zaplanowanym miejscu. Dzwonienie trwało w dalszym ciągu. – Powiedziałam, że bez dozorczy nie wpuszczę – powtórzyłam jeszcze raz. – Tu milicja – usłyszałam. – A, to trzeba było od razu tak mówić – stwierdziłam i otworzyłam drzwi. W drzwiach stała jakaś kobieta, wylegitymowała się jako kapitan Regina Maj i dwóch panów. Byłam w nocnej koszuli i szlafroku i tak już przez cały czas rewizji pozostałam. Okazano mi nakaz na przeszukanie, co ja przyjąłam spokojnie, pewna, że nic szczególnie kompromitującego nie ma. W czasie rewizji okazało się co prawda, że ubeków zainteresowała nawet prebitka z adresem Antoniego Pajdaka i adresem Sejmu PRL w nagłówku, ale na ten temat nie było co mówić.

Na początku kpt. Regina Maj zażądała ode mnie wydania wszystkich posiadanych nielegalnych wydawnictw polskich i zagranicznych i w ogóle takich różnych materiałów. Zaproponowałam jej przeczytanie pamiętnika mojego ciotecznego szwagra, Władysława Fijałkowskiego (400 stron), który przepisywałam i miałam jego jeden egzemplarz. – To bardzo ciekawe, ale to nie to – powiedziała p. Maj. Wobec tego zaproponowałam jej przeczytanie pamiętnika mego brata z Powstania Warszawskiego (200 stron). – Odpowiedź była taka sama. Wreszcie, zrezygnowana, że i tak to znajdują, bo zapomniałam schować, wręczyłam jej leżący na wierzchu, a pożyczony mi przez Wojtka ostatni numer *Aneksu*. O, to to – oświadczyła p. Maj. – Skąd pani to ma? – Przyszło pocztą,

oświadczyłam spokojnie. P. Maj siedziała przy stoliku, a dwaj panowie zaczęli pracować rewizję. Zachowywali się bardzo dobrze, a ponieważ książki u mnie stoją po sam sufit, a mieszkanie jest wysokie, zaproponowałam im drabinkę, żeby łatwiej mogli tam sięgać. Kiedy jeden z nich był już na szczycie drabiny przyniosłam z kuchni ścierkę i zaproponowałam mu, żeby, jak już jest tam na górze, wytarł kurze przed świętami. Zrobił to i oświadczył – no, przynajmniej przydałam się na coś. – Właśnie – stwierdziłam.

Na najwyższej półce w szafie ubecy znaleźli papiery, które uważałam za zaginione, ale zupełnie nie kompromitujące, choć dla mnie bardzo ważne. Ponadto znaleźli jakieś stare listy interwencyjne z 1970-tych lat, teksty pamiętników pani Steinsbergowej „Widziane z ławy obrończej”, które dla niej przepisywałam na maszynie itp.

Wreszcie rewizja się skończyła i kazano mi podpisać protokół. P. Maj czytając go wygłosiła zdanie, że wydałam maszynę do pisania. – O nie – powiedziałam – ja maszyny wcale nie wydałam. Oczywiście, jak ją zabierzecie siłą, to trudno, ale ja tego nie podpiszę. Ja mam 2400 zł emerytury, muszę sobie dorobić przepisywaniem na maszynie. Ten argument wydał się robić wrażenie na ubekach i p. Maj zatelefonowała ode mnie do jakiejś swojej władzy z pytaniem, co ma zrobić. Z odpowiedzi dało się wywnioskować, że pytano ją, czy coś się u mnie znalazło, bo powiedziała – „e nie, starocie jakieś”. Poczem oświadczyła, że pozostawia mi maszynę, ale muszą pobrać próbkę pisma. Rozśmieszyło mnie to, bo moja maszyna przebywała już kiedyś półtora roku w sądzie w czasie mego procesu i po nim, a następnie pobierano z niej próbkę w kwietniu 1968 roku w czasie wydarzeń studenckich. Ale oczywiście jakiś tekst napisałam razem z kopią i wręczyłam ubekom podpisując jednocześnie oświadczenie, że maszyny nie wyrzucę, nie sprzedam i nie zmienię w niej czcionek. Żadnej z tych czynności nie miałam zamiaru wykonywać. (Później tylko, gdy dostałam porządną maszynę elektryczną, na której mogłam pisać bez kaleczenia palców potrzebne 10 kopii, pożyczylam starą Olimpię Ludkowi Dornowi, u którego natychmiast została skonfiskowana w czasie rewizji. Ale to opisałam w innym miejscu).

W trakcie rewizji ubecy poprosili o ugotowanie im kawy, którą ze sobą przynieśli i posłużyli się moim cukrem, który stał na stole, a ja się temu nie sprzeciwiłam, bo po co? Natomiast po kawie i po podpisaniu protokołu rewizji, że wszystko było w porządku, nic nie ukradli i prawie nic nie zabrali (tylko ten nieszczęsny *Aneks*, maszynopisy p. Steinsbergowej i przebitkę z adresem Pajdaka) kazali mi się ubrać i pojechać z nimi do komisariatu na przesłuchanie. P. Maj niepewnie spojrzała na mnie, proponując rewizję osobistą, ale byłam przecież w luźnej koszuli i szlafroku i raczej było wątpliwe, czy mogłam coś większego mieć przy sobie. Wobec tego spokojnie ubrałam się, nie zdołałam tylko nic zjeść, choć mi to proponowano i pojechaliliśmy do komisariatu na ul. Okólną, diabli wiedzą, po co tak daleko na Stegny. Jeszcze przed odjazdem powiedziałam, że muszę dać znać profesorowi Nowakowi, u którego pracuję, że nie przyjdę dziś na uniwersytet i pozwolono mi zadzwonić. Miałam nadzieję, że potrafię dać Stefanowi do zrozumienia co się dzieje i w jakiej jestem sytuacji. Niestety, nie było go w domu i rozmawiałam tylko z jego synem, Andrzejem, któremu usiłowałam dać do zrozumienia, że coś nie jest w porządku, mówiąc do niego niesłychanie ceremonialnie – Panie Andrzeju, może pan będzie łaskaw powiedzieć panu profesorowi (normalnie nigdy bym nie użyła tej formy), że niestety nie będę mogła dziś przyjść na uniwersytet. – Do Andrzeja też w zasadzie mówiłam po imieniu, a tu zmieniałam je na pan. Niestety, Andrzej nie był wychowany w konspiracji i nic a nic nie rozumiał z moich wysiłków. W roku 1982 sądzę, że wiedziałby o co chodzi, gdybym do niego tak dziwacznie przemawiała.

Na ulicę Okólną dojechaliśmy ok. 11-tej i tam p. Maj zaczęła mnie przesłuchiwać w bardzo zimnym i paskudnym raczej pomieszczeniu. Podałam swoje nazwisko, adres, rok urodzenia i na podstawie znanego mi już dobrze par. 166 odmówiłam dalszych zeznań. – To pani sądzi, że zeznania mogą pani zaszkodzić – zdziwił się siedzący obok porucznik. – Nie, odpowiedziałam – ja tak nie sądzę, ale widocznie pan tak sądzi, skoro pan mnie tu przywiózł i każe mi zeznawać nie wiadomo po co i w jakiej sprawie. Koło tej sprawy pojawił się śledczy – oboje już kołowali dość długo, wreszcie

przyznali, że chodzi o KOR. Ponieważ nic dalej na ten temat nie mówiłam, kazali mi podpisać ten pusty protokół i poczekać na korytarzu. Po jakimś czasie ów porucznik zaprosił mnie na pierwsze piętro do bardzo eleganckiego pokoju z pięknym biurkiem i fotelami. Na jednym z nich mnie posadził i zaproponował szczerą i bezpośrednią rozmowę, nie do protokołu, ale tak między nami. Nie miałam najmniejszego zamiaru rozmawiać o czymkolwiek, ale załamalam się, gdy porucznik wygłosił mniej więcej takie zdanie – Widzi pani, ja jestem wychowany przez Polskę Ludową i wszystko jej zawdzięczam. Rozumiem, że wy, inteligencja, nie jesteście zadowoleni i chcielibyście lepiej się orientować w bieżącej sytuacji i polityce. Ale przecież prostym ludziom, robotnikom, nie można powiedzieć prawdy o aktualnej sytuacji. – W tym miejscu nie wytrzymałam i uniosłam się. – Jak to, pan śmie twierdzić, że prostym ludziom, robotnikom, nie można powiedzieć prawdy? Pan obraża polskich robotników, pan obraża naród polski, mówiąc coś takiego.

– Hm... – chrząknął porucznik. – W każdym razie ostrzegam panią, żeby pani nie pisała na maszynie. Niech pani pamięta, że pani szkodzi swoim dzieciom, swojemu synowi, który przez panią nie będzie mógł zająć takiego stanowiska, na jakie by z tytułu swoich zdolności zasługiwał. – Moje dzieci są dorosłe i muszą myśleć same o sobie – powiedziałam z godnością, choć chciało mi się płakać. (Rzeczywiście mój Jaś nigdy nie dochrapał się asystentury w Instytucie Matematyki na UW i pracuje przy komputerze. Natomiast moja córka nawet w okresie „Solidarności” raz tylko dostała paszport i to jednorazowy na rok, a 13 grudnia przyszli ją internować już o 7-ej rano, choć mnie pozostawiono w spokoju. Ale to chyba sprawa moich chorób, dokładnie znanych władzy z pewnych późniejszych wydarzeń).

Na tym nasze rozmowy się zakończyły. Było około 14-tej, kiedy wypadłam z tego komisariatu i jakoś dotarłam do domu, głodna, zmarznięta i uczciwie mówiąc potwornie zdenerwowana. Zadzwoiłam do Janka Lipskiego żeby go zawiadomić o moich przygodach. Wieczorem zadzwonił do mnie Jacek z pretensją, że nie dałam mu znać bezpośrednio,

ale ja uważałam, że najbliższy jest mi Janek i zresztą poinformowanie go najzupełniej wystarczy.

W tym czasie rozpoczęły się rewizje u różnych osób, nie tylko członków KOR, ale np. u Bogusławy Blajfer itp. U mnie święta przeszły dosyć spokojnie, było trochę mniej pisania, ale zaraz po świętach zaczęła się znów robota.

I znowu niemiła wizyta. Zaraz na początku stycznia przepisałam dwa razy po 15 stron Komunikatu KOR, chyba nr 6, a więc było już 20 egzemplarzy w domu i miały być zaraz zabrane. Tymczasem ok. godz. 8-ej rano zadzwonił telefon. – Jesteśmy z Urzędu Bezpieczeństwa i chcielibyśmy przyjść do pani porozmawiać. – Wiedziałam dobrze, że nie powinnam się zgodzić na żadne przychodzenie, tylko żądać oficjalnego wezwania z wymienieniem sprawy, w jakiej zostaję wezwana do prokuratury, ale jednocześnie wiedziałam, że takie wezwanie zostanie dostarczone i ci panowie z odpowiednimi papierami i tak tu przyjdą. Wobec tego dla skrócenia sprawy i zdenerwowania jej towarzyszącego zgodziłam się na tę niemiłą wizytę domową. Zastanawiałam się tylko, czy jeśli się zapowiedzieli, warto niszczyć posiadane egzemplarze Komunikatu, czy też tylko je schować i liczyć, że oni sądzą, że jak jestem uprzedzona, to nie warto robić rewizji, bo i tak zdążę wszystko z domu wyprowadzić zanim przyjdą. Wobec tego, te 20 pracowicie przepisanych egzemplarzy zostawiłam. Przyszło jakichś dwóch ubeków, innych niż za pierwszym razem i nie chcieli się legitymować, powiedzieli, że wystarczy blaszka z wybitym numerem – był to numer 8628, specjalnie starałam się go zapamiętać – i siedzieli chyba ze dwie godziny. Rozmowa nie prowadziła do niczego, bo ja po prostu nie miałam zamiaru rozmawiać i na ich najróżniejsze wystąpienia odpowiadałam, że nie mam nic do powiedzenia. Wobec tego, rzeczywiście bez żadnej rewizji, poszli sobie do diabła. Stwierdziłam tylko później, że przez ten czas mój telefon był wyłączony, bo dzwoniła do mnie w tym czasie wielokrotnie umówiona ze mną na telefon Hela Balicka-Kozłowska i dziwiła się, czemu nie ma żadnego sygnału.

Wkrótce potem miałam jeszcze jedną, już wręcz zabawną wizytę. Oto mój syn, matematyk, dostarczał mi z pracowni komputerowej dosyć dużą ilość zużytych wydruków, potrzeb-

nych nieraz na różne brulionowe pisma moim przyjaciołom, ale raczej legalne. Otóż pewnego przedpołudnia pojawiło się u mnie dwóch mundurowych milicjantów i cywil o rozbieganych oczkach. Jeden z milicjantów, kierownik komisarjatu na Wilczej, do którego należy mój dom, wylegitymował się i powiedział, że sprawdzają, czy w tym mieszkaniu mieszkają tylko osoby w nim zameldowane. Oczywiście był to pretekst, bo przed południem i tak raczej nikogo w domu nie ma, ja byłam przypadkowo. Oto w czasie rozmowy wpadł mój syn, rzucił na tapczan wielką paczkę wydruków i wyleciał biegiem, bo mu się ogromnie spieszyło, nie wiem dlaczego. Tymczasem cywil, który rozglądał się z zaciekawieniem po mieszkaniu, rzucił się na te wydruki pytając co to takiego. Grzecznie objaśniłam go, że to zużyte papiery komputerowe i służą wyłącznie jako papier brulionowy przy obecnych trudnościach papierowych, a przyniósł go mój syn, który pracuje przy komputerze. – To czemu tak od razu uciekł, nawet się nie przywitał i nie pożegnał? – Mój syn pewnie bardzo się spieszył, a te papiery, jak pan chce, może pan sobie zabrać, bo ja dostanę inne i akurat te są mi zupełnie niepotrzebne. – Nie, nie – powiedział cywil i po krótkiej chwili zabrali się we trójkę. Jednak nie wytrzymał i za chwilę wrócił, zaintrygowany tymi papierami. Rozzłościło mnie to, bo zaczął zaglądać do maszyny, która stała na biurczku i w ogóle dopytywać się znów o te papiery. – Niech pan to sobie zabierze i da mi spokój, a jeśli pan chce, proszę – wysypałam wszystko, co miałam w torebce na stół – niech pan sobie ogląda. Na szczęście nic takiego w torebce nie miałam, a mogłam mieć, ale jakoś tym razem było wszystko w porządku. – Nie trzeba, nie, przepraszam, – powiedział ubek – i szczęśliwie poszedł sobie.

Takie były różne sposoby kontrolowania, co się dzieje w domu, bez rewizji, nakazów i aresztowań.

Przez cały czas istnienia i działalności KOR, całym sercem będąc z Jankiem Lipskim i starymi przyjaciółmi z Klubu Krzywego Koła i moimi adwokatami, p. Anielą Steinsbergową i p. Ludwikiem Cohnem, cierpiałam nad nieporozumieniami, które coraz ostrzej zarysowywały się między tą grupą a Wojtkiem Ziemińskim, przyjacielem również od

czasów Krzywego Koła, który robił wiele dobrego w budzeniu patriotycznego ducha w Polsce dzięki swojej namiętnej działalności rocznicowej. W okresie po przyjściu do władzy Gierka wspólnie wystąpiliśmy z listem domagającym się niejako rehabilitacji i wydania dzieł wszystkich Pawła Jasienicy, którego Wojtek wielbił na równi ze mną, a w okresie pewnej posuchy działalności w latach 1971-1975 Wojtek bez ustanku wymyślał jakieś historie, aby nie zasklepić się w małej stabilizacji. Znany był jego „proces piski o traktat ryski”, a potem uporczywe organizowanie obchodów narodowych rocznic, od czego był wybitnym i ogólnie uznanym specjalistą. Jemu też zawdzięczamy tablice pamiątkowe Orłąt Lwowskich w katedrze warszawskiej i na Jasnej Górze, tablicę pamiątkową Marszałka Piłsudskiego w kościele św. Aleksandra na pl. Trzech Krzyży, tablicę pamiątkową czczącą rocznicę powstania Grobu Nieznanego Żołnierza w roku 1925, a także kilka pięknych pogrzebów, np. generała Romana Abrahama, obrońcy Lwowa i współautora wielu listów do różnych światowych organizacji w sprawie niszczenia cmentarza Orłąt we Lwowie w latach 1970-1975. Toteż bardzo mnie zawsze bolały nieporozumienia w łonie KOR między tymi moimi przyjaciółmi i zawsze starałam się łagodzić wszystko, co się dało, w miarę możliwości. Trzeba przyznać, że nie było to łatwe, bo Wojtek ma szczególnie temperament, uwielbiający sprzeciwianie się i sobiepaństwo. Niestety, bardzo wiele ze staropolskiego, szlacheckiego warcholstwa. Janek Lipski to wprawdzie człowiek o bardzo pacyfistycznym usposobieniu, ale bynajmniej nie skłonny do czynienia najmniejszych choćby ustępstw ze swoich przekonań. Ich początkowa wspólna wizyta u mnie nastąpiła na skutek ich wspólnej wizyty u ks. Ziei, który podpisywał im Apel KORu, a później spotykaliśmy się bardzo często przy pisaniu Komunikatów, które dzięki współpracy trzech osób mogły być pisane znacznie szybciej, niż mogłabym to zrobić sama. Wojtek układał przebitki z kalką po 10 kopii i rozkładał gotowe egzemplarze, Janek dyktował, a ja już musiałam tylko jak najszybciej tłuc w maszynę. Oczywiście taka prymitywna praca odbywała się tylko na początku, później przyszło powielanie i inny sposób pisania, ale w zasadzie na początku często przebywaliśmy we trójkę.

Próby rozszerzenia KOR w Komitet Obrony Praw Człowieka i Obywatela, jak pisze Janek Lipski, nie dotyczyły mnie osobiście, bo nie miałam zamiaru przystępować do żadnej oficjalnej organizacji, trochę pewnie ze strachu (głównie szło mi o mojego brata, który wiele wycierpiał już przez moje wyczyny polityczne, a także trochę o dzieci), a także, bo sądziłam i sądziłam wówczas, że moje nazwisko w takich ważnych komitetach nie przyda im jakiegoś specjalnego blasku. Tak piszę, jak naprawdę wówczas myślałam. Ale robić chciałam jak najwięcej i oprócz pisania prowadziłam też skromną zbiórkę składek na KOR, gdyż wiele przychodzących do mnie przyjaciół zostawiało mi przeznaczone np. dla Janka Lipskiego pieniądze, uważając, że tak będzie lepiej, gdyż on i tak do mnie przyjdzie, a oni spotykają się z nim np. tylko oficjalnie w Pałacu Staszica i nieprzyjemnie im dawać mu wtedy na oczach widzów jakieś pieniądze.

Było to w sobotę 26 marca 1977 roku. Około południa wpadli do mnie Wojtek Ziemiński i Bogumił Studziński, którego poprzednio nie znałam i przynieśli do przepisania informację dla prasy o powstaniu Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela z oryginalnymi podpisami założycieli. Listę tę zatrzymałam u siebie i obecnie jest ona przechowywana wraz z mnóstwem innych moich archiwalnych materiałów w Bibliotece Filozoficznej UW. Byłam trochę przerażona tym projektem, ale podpis księdza Zieja uspokoił mnie co do samej sprawy, więc przepisałam rzeczony tekst i dodatkowo nakarmiłam obu panów, którzy wyraźnie byli bardzo głodni i chętnie spożyli coś na prędkę, lecąc natychmiast na konferencję z dziennikarzami zagranicznymi. Jak wiadomo, cała historia była jakby zamachem stanu ze strony Leszka Moczulskiego, z którym współpracował Wojtek, a ksiądz Zieja zgodził się na tekst informacji, ale nie na ogólny sposób załatwienia sprawy i potem oboje z Bogusiem Studzińskim chodziliśmy go przeproszać za nadużycie jego nazwiska. Nie wiem, czy inni koledzy moi i przyjaciele wiedzą o tym naszym wystąpieniu.

Od tej pory działalność dla KORu mimo woli, przez Wojtkę Ziemińskiego, splata się u mnie z pracami dla ROBCiO. Po kilku tygodniach, w Święta Wielkanocne 1977, Boguś Studziński, wyjątkowo dobry i szlachetny człowiek,

jeden z organizatorów Ruchu Obrony, który nigdy nie miał żadnych zatargów z KOREm i z którym, jako jedynym, Janek Lipski twierdził, że zawsze może się z największą łatwością porozumieć, zaprosił kilkunastu organizatorów Ruchu Obrony i mnie do swego domu w Zalesiu, gdzie na świątecznym przyjęciu miały być przyjęte podstawowe założenia działalności Ruchu. Jak już pisałam, nie miałam żadnego zamiaru przyłączać się do tego Ruchu mimo przyjaźni z Wojtkiem i powziętej szczerzej sympatii do Bogusia, ale w zebraniu brałam udział i nawet zabierałam głos. Poznałam tam Leszka Moczulskiego i jego żonę Majkę, która – jak rzadko która kobieta – zrobiła na mnie wyjątkowo fatalne wrażenie. Leszek też był jakiś trudny do oceny, nerwowy, wygłaszał bardzo nacjonalistyczne teorie na temat parcia Niemców na Wschód, do Polski i niezbyt mi się podobał. Był tam także Andrzej Czuma, który jako organizator poprzedniego „Ruchu”, za co siedział dłuższy czas w więzieniu po procesie w latach 70-tych, pierwszy zabrał głos w sprawie programu działania RO. Ku mojemu przerażeniu, jako punkt pierwszy wygłosił konieczność walki o zniesienie prawa do przerywania ciąży w Polsce. Nie jestem zwolenniczką przerywania ciąży, ale w polskich warunkach orientuję się, że dla kobiet, udręczonych pracą, gospodarstwem domowym i tysiącnymi kłopotami, możliwość taka wydaje się często jedynym ratunkiem w ich trudnościach najbardziej osobistych i bardzo to zrazi co najmniej połowę kobiet w Polsce do rozpoczynającej pracę organizacji. Zapytałam więc grzecznie, czy mimo, że nie jestem członkiem RO, mogę zabrać głos w sprawie programu, i ponieważ obecni chętnie się na to zgodzili, błagałam ich wprost, aby tego punktu nie umieszczali na pierwszym miejscu w programie, bo to bez reszty klasyfikuje ich m.in. jako zależnych od Kościoła, a to wcale nie jest w obecnej sytuacji najbardziej pilne i konieczne. Obecni w zasadzie zgodzili się ze mną i dyskutowali dalsze punkty. Zarysowały się już wtedy różnice zdań z Wojtkiem i Czumą. W każdym razie zdecydowano o wydawaniu pisma poza cenzurą, w którego redakcji miał być Wojtek, Czuma, Moczulski i jeszcze ktoś. Potem ten skład się zmieniał, ale Wojtek pracował tam dość długo i miałam dodatkową robotę

z pisaniem na maszynie możliwie jak najpiękniej tekstów *Opinii*, powielanych później, często osobiście przez Wojtkę na ksero różnych rodzajów. Początkowo bywały to nawet wycinaczkowe, tak jak i początki powieleń KORu.

RO zaczął się dopiero rozwijać, a nad KORem zawisły groźne chmury. Po zabójstwie Pyjasa liczne wystąpienia KORu doprowadziły do aresztowań kilkunastu KORowców, w ich liczbie Janka Lipskiego, Jacka Kuronia, Mirka Chojeckiego, Piotra Naimskiego, Antka Macierewicza, Wojtkę Arkuszewskiego. Pod koniec maja rozpoczęła się głodówka protestacyjna w kościele św. Marcina, o której przytoczę wypowiedź ekspedientki ze sklepu na Pięknej. – Proszę pani, oni tam głodują! – ze łzami w oczach. Głodówka ta zrobiła wielkie wrażenie. Opowiadała mi Maryna Zagórska, że podczas mszy w kościele św. Marcina, gdy siedzieli za ołtarzem razem z wysłuchującymi tejże mszy uczestnikami głodówki, biorący w niej udział stary komunista i Żyd, Ozjasz Szechter, ojciec Adama Michnika, gdy ksiądz wygłosił wezwanie o przekazanie sobie znaku pokoju, a ona wyciągnęła do niego rękę, on ją w rękę pocałował. Maryna była bardzo wzruszona, bo stary Ozjasz przecież nigdy nie brał udziału w nabożeństwach i w ogóle nie znał sposobów zachowania się na mszy.

Przez moją maszynę przechodziły różne listy i wezwania, ale było tego tyle, że nie przypominę sobie, nie mając tu żadnych materiałów, oprócz książki Janka Lipskiego, co mianowicie pisałam. W każdym razie walka była w pełni. O uwolnienie Janka Lipskiego, jako ciężko chorego na serce, zabiegał cały świat i nawet Jarosław Iwaszkiewicz występował podobno w tej sprawie. W rezultacie Janka puszczono wcześniej niż innych. Jak został wypuszczony Janek, zapewne opíše on bezpośrednio w swoich pamiętnikach, chcę tu również opowiedzieć, jak to się według jego rozmowy ze mną odbyło. Oto w połowie czerwca rozeszła się wiadomość, że Janek zmarł na serce w więzieniu na Mokotowie. Wiadomość tę podał na zebraniu redakcyjnym *Polityki* jej naczelny redaktor, Mieczysław Rakowski i natychmiast rozeszła się lotem błyskawicy po Warszawie. Jan Tomasz Lipski, syn Janka, gdy do niego to dotarło, przede wszystkim zatelefonował

do miejsca pracy matki, do PWN i poprosił jej koleżanki, aby nie wzywały jej do żadnych telefonów i ukrywały przed nią tę wiadomość, dopóki on wszystkiego nie sprawdzi. Poczem poszedł do więzienia na Rakowiecką i przedarłszy się do naczelnika więzienia, co wcale nie było łatwe, kategorycznie zażądał okazania mu ojca, żywego lub umarłego. Naczelnik wściekł się na taką interwencję i oświadczył, że Jan Józef Lipski nie tylko nie umarł, ale jeszcze tego samego dnia będzie zwolniony z więzienia i kazał synowi czekać na ulicy przed więzieniem. Do mnie zatelefonował w tej sprawie Wojtek Ziemiński, który choć bardzo skłócony już z kolegami z powodu działalności w RO, wobec aresztowanych był zawsze niezwykle lojalny i wszelkie na ten temat pomówienia są nieprawdziwe i krzywdzące. Zadzwoił on mianowicie, że Jan Józef Lipski ma w ciągu godziny wyjść, i żeby szukała naszego adwokata, Jana Olszewskiego, aby mu tę wiadomość przekazać. Zatelefonowałam natychmiast do Jana i – zdarzyło mi się to chyba tylko raz w życiu – natychmiast na ten telefon odpowiedział. Normalnie do jego mieszkania można było się dodzwonić po długich wysiłkach dopiero gdzieś około 2-jej w nocy, bo przed tym nigdy tam nie przychodził. A to było wczesne popołudnie. Jan ucieszył się oczywiście okropnie i pobiegł na Rakowiecką, gdzie rzeczywiście niebawem wyszedł Jan Józef na wolność. A jak to się odbyło, opowiadał mi potem z humorem. Oto wezwał go naczelnik więzienia i siedząc naprzeciwko niego zaczął jakąś bzdurną dyskusję o tym, że człowiek bardzo przejęty może się ciężko rozchorować i że przejąć można się jakąś wiadomością itp. Janek mówił – ja sobie myślałam przez ten czas, rany Boskie, co się stało, ojciec mój umarł, ciotka umarła, co to może być. Tymczasem naczelnik, który może słyszał, że wielka radość może spowodować równie niebezpieczny wstrząs jak smutek, w końcu wykrztusił: – Niech pan się bardzo nie przejmie, może pan zaraz wyjść z więzienia. – Była to oczywiście wielka radość, ale niczym zdrowiu Janka ta wiadomość nie zagrażała. Zaraz tego dnia wieczorem pobiegłam do Lipskich, gdzie zastałam już innych przyjaciół, niezmiernie uradowanych, ale jeszcze nie całkowicie usatysfakcjonowanych, gdyż reszta przecież siedziała jeszcze w więzieniu.

Jednym z tekstów, które dobrze pamiętam, był list prof. Lipińskiego do trzech szefów partii komunistycznych na Zachodzie, Berlinguera, Carillo i Marchais. List ten po napisaniu po polsku trzeba było przetłumaczyć możliwie jak najlepiej i pierwsze tłumaczenie p. Steinsbergowej nie było wystarczająco eleganckie. Wobec tego, jego poprawianiem zajął się u kogoś ze swoich znajomych Jakub Karpiński, który przyniósł mi potem ten tekst do trzykrotnego pięknego przepisania. Było to uczciwie powiedziawszy niesłychanie męczące, bo był wieczór, a tekst musiał być gotowy na ósmą rano. Pisałam więc bardzo długo, a akurat była u mnie wtedy z wizytą dawna przyjaciółka rodziny Helena Wieleżyńska, jeszcze z lat lwowskich. Halusia przerażona lichością mojej maszyny i widząc stosy przepisywanych przeze mnie materiałów, przez te kilka dni (akurat było ich nawet jak na te czasy wyjątkowo dużo) zorganizowała dla mnie pieniądze na zakupienie porządnej maszyny elektrycznej, które rzeczywiście po jakimś czasie dostałam i maszynę, choć nie w najlepszym gatunku, bo takiej w Warszawie nie można było dostać, kupiłam. Od tej pory było już łatwiej i nie pękały mi palce od tłuczenia 10 kopii. Kuba Karpiński, zawsze znany ze spóźniania się, w szczególności nie znoszący rannego wstawania, ten jedyny raz w moich wspomnieniach stał przed moimi drzwiami dokładnie o umówionej godzinie 8-ej rano. Teksty też były gotowe.

Przez ten cały czas odbywały się, szczególnie pod koniec czerwca i początek lipca pertraktacje KORu, tzn. głównie Janka Lipskiego, z Wojtkiem, aby jako działacz RO zdeklarował się i wystąpił z KORu. Natomiast Wojtek, który zawsze miał skłonności do warcholstwa, nie chciał za nic w świecie się na to zgodzić i tak odbywały się u mnie te rozmowy między panami, których działalność, choć może nie zawsze, na pewno była pożyteczna i dużo przynosiła dla różnych celów w Polsce. Wojtek bardzo szanował Janka, choć później nieco zraził się do niego, gdy Janek zbliżył się przede wszystkim z Jackiem Kuroniem, którego Wojtek zawsze nie cierpiał za zniszczenie w pewnym okresie działalności Jacka, dawnego harcerstwa polskiego. Natomiast Janek stale wzdychał do mnie – Żeby ten Wojtek zajął się tylko rocznicami narodo-

wymi i nabożeństwami, bo jego działalność w tym zakresie jest tak świetna i bardzo pożyteczna. Ale Wojtek miał się za wielkiego polityka, a jednocześnie jego popędliwość powodowała kłótnie ze wszystkimi kolejno współpracownikami. Nie pokłócił się do końca tylko ze mną, Janem Olszewskim, do którego zawsze zwracał się z zaufaniem o radę w swoich wystąpieniach i z Bogusławem Studzińskim, który ma wyjątkowy charakter i z którym prawie niepodobna się pokłócić. Z drugiej strony Wojtkowi przypięto etykietkę antysemitę, co w naszym środowisku było straszliwie kompromitujące, choć Wojtek zawsze z największym szacunkiem odnosił się do takich działaczy, jak p. Steinsbergowa czy inni Żydzi z tego pokolenia. Ponieważ jednak zawsze miał niewyparzony język, niejednokrotnie w rozmowach, i to z ludźmi zupełnie obcymi i nie zasługującymi na zaufanie wymykały mu się różne niepolityczne uwagi. Dla sprawiedliwości trzeba wspomnieć, że Wojtek w okresie marca 1968 występował w swoim miejscu pracy w obronie wyrzucanych kolegów żydowskiego pochodzenia i nigdy nie poniżył się do jakiegokolwiek współpracy z oficjalnym rządowym antysemityzmem. W każdym razie w tym okresie lipca 1977 z KORu wystąpić oficjalnie nie chciał i koniec. Powiedziała mi, gdy proszona o to przez Janka Lipskiego serdecznie go namawiałam, że w żadnym razie nie odejdzie od kolegów, którzy siedzą w więzieniu i jak ich wypuszczą to natychmiast z KORu wystąpi. Jak wiadomo, rząd wymyślił wtedy specjalną amnestię, aby wypuścić resztę skazanych robotników i uczestników KORu, siedzących na Mokotwie i w rezultacie 23 lipca wszyscy w olbrzymiej ilości znaleźliśmy się u Janka Lipskiego, zamiast na jego imieninach 24 VI i cieszyliśmy się spotkaniem z uwolnionymi kolegami. Tym razem wyjątkowo Maruta nic nie przygotowała, bo żony, narzeczone i przyjaciółki uwięzionych przyniosły różne pyszne rzeczy, przygotowywane do paczek do więzienia i wszystko to było na przyjęciu spożyte ze smakiem, bo już wtedy zaczynały się trudności z mięsem i rzadko widywało się naraz tyle dobrych wędlin i pieczeni. Pamiętam najlepiej Mirka Chojeckiego z olbrzymią rudą brodą i włosami, jak wpadł dosyć późno po odwiedzeniu rodziny i całował po kolei panie, stojące mu na drodze. Mnie także.

Sprawa Wojtka była już zadrażniona w najwyższym stopniu. Mecenas Cohn przyniósł mi do wpisania do kolejnego Komunikatu KORu notatkę, że „Koledzy z KORu dziękują Wojciechowi Ziębińskiemu za dotychczasową współpracę i zawiadamiają, że w związku z jego działalnością w Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela przestaje on być członkiem KORu” – nie ukazała się w tej postaci i myślę, że Wojtek nie wie o niej, gdyż oczywiście nie pisałam nic na ten temat, gdy Wojtek przyniósł mi podobne oświadczenie od siebie, że w związku z przejściem do ROPCiO występuje z KORu, ale to było jego oświadczenie i przez niego podpisane, a nie będące faktycznym wyrzuceniem przez kolegów z KORu. Tekst tej notatki mec. Cohna schowałam i znajduje się on prawdopodobnie w archiwum doc. Jerzego Jasińskiego, który gdzieś te różne papiery ode mnie otrzymywane przechowuje. W ogóle z tymi materiałami archiwalnymi ciągle są jakieś kłopoty. Na szczęście w czasie rewizji 8 grudnia nie miałam moich najcenniejszych materiałów z pogrzebu Pawła Jasienicy. Mam tam wszystkie przemówienia nad grobem, nawet niewyłoszone z powodu sprzeciwu rodziny przemówienie Melchiora Wańkowicza, który wręczył mi osobiście ten tekst po pogrzebie. Ogromne takie dwie teczki, także z fotografiami z pogrzebu, były w Pyrach u Krysi Konopnickiej, nadzwyczaj dobrze schowane na przygórkach strychowych, gdzie trzeba by chyba kompanii ubeków, aby wszystko, co tam się znajdowało przejrzeć i skontrolować. M.in. zostały tam przechowane ogromne materiały archiwalne p. Jana Wolskiego, naszego przyjaciela z Klubu Krzywego Koła, który pozostawił wszystko Wojtkowi, a Wojtek te kilka walizek papierów i jakieś swoje materiały zawiózł ze mną do Pyr. Potem je odebrałam i leżały bardzo długo u mnie, ale na szczęście wtedy już nikt niczego u mnie nie szukał. Na koniec wykonawcy testamentu profesora Wolskiego, Jan Józef Lipski, Jan Olszewski i Wojciech Ziemiński zgodzili się na moją propozycję i materiały wylądowały w Bibliotece Filozoficznej UW, gdzie na razie są chyba bezpieczne i może zostaną opracowane zgodnie z wolą i pozostawionymi na to funduszami przez prof. Wolskiego. Ale to taka dygresja, żebym na przyszłość nie zapomniała o tym drobiazgu napisać.

W tym czasie, tzn. w r. 1977 chyba, umierała wdowa po profesorze Wolskim, leżąc w szpitalu w Skierniewicach. Ponieważ pp. Wolscy, którymi opiekowały się córki Wojtka, obiecali zapisać jednej z nich swoje własnościowe mieszkanie spółdzielcze, nie mając w Polsce żadnej bliskiej rodziny, na prośbę Wojtka wielokrotnie jeździłam do Skierniewic do p. Wolskiej i skłoniłam ją do napisania własnoręcznego testamentu na rzecz Teresy Ziemińskiej, która była już zaręczona i potrzebowała mieszkania. Do tej pory mieszkał w tym mieszkaniu mój Jaś. Niewiele to ma wspólnego z KORem, chyba tylko to, że mimo ideologicznych sporów, moi przyjaciele jak najzgodniej pracowali ze sobą w takich różnych życiowych sprawach. A ja byłam bardzo zadowolona, że mogą się u mnie wszyscy spotkać i szczerze przy herbacie porozmawiać. Przez pewien czas przychodził do mnie również p. Moczulski i jego adherenci, szczególnie pewna p. Nina (?) z Gdańska, która jednak nie podobała mi się tak dalece, że w końcu jakoś dałam im do zrozumienia, że ich wizyty są niepożądane i jakoś się odczepili. Natomiast pojawili się u mnie działacze wolnych związków zawodowych, p. Kazimierz Świtoń, który nawet przybywał z synem lub córką, p. Kościuczek ze Śląska i jeszcze któryś z tych działaczy, który chyba później został zmuszony do wyjazdu do RFN. Akurat dostałam na Gwiazdkę od moich dzieci najprostszy, ale z lampą błyskową, aparat fotograficzny i wszystkie te osoby zdejmowałam na tle mojego kilimu, żeby było na pewno wiadomo, że to u mnie. Mam te zdjęcia, Janka Lipskiego, Zdzicha Szpakowskiego, który bardzo często wtedy się pojawiał, Bogusia Studzińskiego, Antka Macierewicza, no i całej mojej rodziny i kilku znajomych, np. Andrzeja Nowaka. Zdjęcia są raczej kiepskie, ale wyjątkowo miłe dla mnie jako pamiątka tych czasów.

Roboty było coraz więcej. Zaczęło się pisanie do wydawnictw, nie tylko do NOWej. Pamiętam, że przepisywałam pierwszy zeszyt historii PRL Natalii N. (podobno to był Moczulski) na woskówkach. Przepisywałam także – jako inauguracja maszyny elektrycznej – tekst dużej broszury o Katyniu, a ponieważ nie umiałam jeszcze dobrze na tej maszynie pisać, tekst ten przepisałam wyjątkowo brzydtko. Później

jedna odbitka dotarła do RWE gdzie ze wzruszeniem mówiono, jaki to on jest biedny, pisany pewnie w ukryciu na kilku maszynach i dlatego taki brzydki i nieraz nieczytelny. Niestety, to wszystko było tylko moją winą z powodu nieobeznania jeszcze z maszyną. Powinnam była cały tekst przepisać porządnie drugi raz, ale na to naprawdę nie miałam wtedy siły i czasu. Jedna robota goniła drugą. Nie wiem, czy p. Kazimierz Brandys dowiedział się kiedykolwiek, że przepisywałam również w 10 egzemplarzach tekst jego książki „Nierzeczywistość”, który przyjaciele zamówili u mnie płacąc tym razem za przepisywanie, jako że książki wydawane wtedy w obiegu poza cenzurą zaczęto już sprzedawać, nie tylko przyjmując dobrowolne datki na cele KORu za wydawnictwa. Zresztą Komunikat został wtedy przyczepiony do *Biuletynu Informacyjnego*, którym zajmowały się inne osoby i ja już przepisywałam tylko doraźnie potrzebne KORowi materiały, jakieś odezwy Towarzystwa Kursów Naukowych, różne stale występujące listy do różnych władz no i najpierw notorycznie *Opinię* dla Wojtka, potem różne ulotne pisma, ukazujące się w różnych prowincjonalnych miejscowościach; także pierwszy numer wzywający do powstania Wolnych Związków Zawodowych, sprokurowany przez Zdzicha Szpakowskiego itp.

Ofiarność dla działań KORu była od początku zdumiewająco duża. Muszę tu wspomnieć o wzruszającej wizycie u mnie naszej byłej gosposi, Gieni Makowskiej z Pułtuska, która przyjechała na parę dni i widząc moją pracę i słysząc bezustanne rozmowy o nędzy wyrzuconych z pracy i prześladowanych robotników wręczyła mi na ten cel 500 zł. Trzeba zaznaczyć, że zarówno Gienia, jak i jej mąż, zdun, byli już na emeryturach i mieli w Pułtusku mały domek z ogródkiem, z którego kwiaty w lecie można było sprzedawać, a na utrzymaniu staruszka ojca i staruszkę matkę. Gienia pochodziła spod Lwowa, jej rodzina była częściowo wywieziona w 1940 roku do Kazachstanu, a matka pozostała na wsi. Raz nawet udało nam się przesłać jej paczkę od Gieni przez kolegę, który jechał na wycieczkę do Moskwy i wysłał tę paczkę z Moskwy, bo inaczej, jak wiadomo, cło było tak duże, że nikt w ZSSR nie mógł takiej paczki zagranicznej

odebrać. Pamiętam także, jak na początku KORu poszłam z Apelem i pierwszym chyba Komunikatem do prof. Jana Szczepańskiego, który wtedy urzędował w PAN, gdzie sekretarka zamówiła mnie na audiencję. Gdy opowiedziałam mu o tych wszystkich działaniach – cokolwiek można by zarzucać prof. Szczepańskiemu, donosicielem nigdy nie był i można było rozmawiać z nim z pełnym bezpieczeństwem – wręczył mi 1000 zł na pomoc dla robotników. Prosił wtedy, aby tego faktu nie rozpowszechniać, ale tutaj myślę, że warto to dla pamięci zapisać. Prof. Szczepański w ogóle miał z pewnością różne źródła otrzymywania wydawnictw tzw. „drugiego obiegu”, ale chętnie przyjmował je również ode mnie. Pamiętam straszliwą awanturę wtedy, gdy wydana została „Czarna Księga Cenzury”, z dokumentów wywiezionych przez jednego z jej pracowników do Szwecji (był to Tomasz Strzyżewski). Zaniósłam ją profesorowi, a znacznie już później Czarną Księgę nieprawości milicji i służby bezpieczeństwa w Polsce. Wtedy profesor był już członkiem Rady Państwa i dokumenty te nosiłam do Rady Państwa na Wiejską; przyznam się, że serdecznie tym ubawiona. Oto profesor, który zawsze częstował mnie kawą, przejrzał przy mnie tę Księgę nieprawości milicji i powiedział – E, wiesz, to nie jest nic tak nadzwyczajnego. O, księga cenzury, to było coś rzeczywiście bezprzykładnego. Ale nieprawości milicji – na całym świecie wszystkie policje działają podobnie. Zobacz, mam tu *l'Express* paryski z zeszłego tygodnia i popatrz, co tu wypisują o postępowaniu policji francuskiej. – Trzeba przyznać, że ten przykład wyjątkowo się prof. nie udał, bo zaraz mu wpadłam w słowo. – Tak, oczywiście, przeczytałeś w *l'Express*. Ale to oficjalne pismo, wychodzące oficjalnie we Francji, a ta nasza księga przecież jest nielegalna. – Muszę przyznać, że profesor na to już nic nie odpowiedział. Jak wiadomo, postępowanie prof. Szczepańskiego w późniejszym okresie, a w szczególności wypowiedź, że jak się zlikwiduje nielegalne wydawnictwa, to będzie dość papieru na książki szkolne, bardzo nas do niego zniechęciła. Wobec tego przestałam nosić mu nasze materiały i już właściwie straciłam z nim od tej pory wszelki kontakt. Nie był zresztą nigdy szczególnie częsty, mimo, że profesor Szczepański, osobiście

człowiek ogromnie miły i uroczy, zawsze traktował mnie życzliwie i serdecznie. (Tu przypomniało mi się coś, co warto zapisać, mimo, że odnosi się do czasów dużo wcześniejszych. Oto pewnego lutowego dnia roku 1964 spotkałam w Pałacu Staszica, gdzie wtedy pracowałam w Polskim Towarzystwie Socjologicznym, Janka Lipskiego. Właśnie wchodząc w drzwi sekretariatu prof. Szczepańskiego, który wtedy był dyrektorem Instytutu Filozofii i Socjologii PAN, a Janek pracował w Instytucie Badań Literackich na tym samym piętrze, podobnie jak i ja. Otóż Janek po wyjściu z gabinetu profesora pokazał mi słynny później list 34-ech, ze wszystkimi 34-oma podpisami. Pamiętam doskonale, jak on wyglądał, bo ponieważ profesor Szczepański podpisał go ostatni – u dołu z prawej strony – a Janek zaraz później zaniósł ten list do Cyrankiewicza, byłam chyba ostatnią osobą, która widziała ten list w oryginale ze wszystkimi 34-oma podpisami. List był niedługi, około pół strony maszynopisu na bardzo starej, wyraźnie zniszczonej maszynie – była to chyba maszyna, która była gdzieś na przechowaniu, nieznaną milicji, pokazywała mi taką, chyba właśnie tę, później p. Steinsbergowa. Ja tego listu nie pisałam – moja sprawa była wtedy jeszcze dość żywo w pamięci, a maszyna dobrze znana władzom. Otóż kiedy później zrobiła się koło tego listu wielka awantura, gdy dotarł on do RWE, prof. Szczepański raz w życiu zrobił wymówki o nabranie go na podpis, Jankowi i akurat mnie, gdyż stałam obok, choć z przykrością muszę przyznać, że oprócz moralnej akceptacji, w akcji tej nie miałam najmniejszego udziału. Natomiast zostałam dodatkowo zwymyślana przez Zygmunta Mycielskiego, zaprzyjaźnionego kompozytora, że nie dotarłam do niego z tym listem (on znowu wierzył, że jestem w tym zorientowana, bo on chciałby być tam podpisany i wtedy byłby to list 35-ju).

Ale wracając do lat 70-tych, muszę jeszcze przypomnieć, że ogromnie rozwijała się w tym czasie pozacenzuralna działalność wydawnicza. Ponieważ mieszkam w centrum, powstał u mnie dodatkowy i nieobowiązujący punkt sprzedaży wychodzących książek i czasopism, przy czym tych, które ludzie by chcieli kupować było zawsze za mało, a niektóre zostawały, nie mając popytu. Książki i broszury

dostarczała do mnie głównie Dolly Korewa, niezmiernie ofiarnie taszcząc ciężkie torby pełne książek. Potem dzwoniłam do kilku stałych odbiorców, że ucieszyłabym się, gdyby mnie odwiedzili i tak szedł ten handel. Ceny na książkach zaczęto drukować znacznie później i z tego powodu czasem były one nierówne od różnych dostawców. Najgorzej wyszłam na kontaktach z niejakim Janem Nelkenem, który również dostarczał mi przez jakiś czas książki. Ostrzegano mnie przed nim, że to zwyczajny posmykacz – zamiast użyć bardziej adekwatnego wyrażenia złodziej, ale nie chciało mi się w to wierzyć. Z plotek opowiadano mi również jakieś okropne historie o rzuceniu żony, złym traktowaniu jej itp., ale w takie rzeczy nie bardzo wierzyłam, bo młodzież często jest bardzo stronnicza w tych sprawach, a opowiadały mi to dziewczęta. Tymczasem p. Nelken wzięwszy ode mnie raz 50 dolarów, które chciał zmienić Wojtek Ziemiński, dał mi znać, że został okradziony i tych pieniędzy nie może mi zwrócić. 50 dolarów to było wtedy 6000 zł, suma dla mnie dość duża, ale oddałam te pieniądze Wojtkowi nic nie mówiąc, bo to były przecież na jakiś cel i przyznałam się do tej straty chyba dobrze po kilku latach. W każdym razie p. Nelkena pozbyłam się z domu radykalnie, sam się już więcej nie pokazał, co mnie w gruncie rzeczy cieszyło. Poza tym ludzie zbierający i przekazujący pieniądze byli wedle moich obserwacji i doświadczeń zasadniczo uczciwi, choć czasem lekkomyślni. Z tego powodu była wielka i przykra sprawa w ROPCiO, gdzie zawsze skłonny do popędliwego działania Wojtek zarzucał kolegom, szczególnie Andrzejowi Czumie, że za społeczne pieniądze podobno kupił sobie samochód. Zapisuję to dla pamięci, może ktoś kiedyś rozplącze tę sprawę, bo mnie wydaje się ona zdecydowanie niewyjaśniona.

Jeżeli ludzie walczący w opozycji i tracący z tego powodu środki do życia, jakąś część zbieranych pieniędzy przeznaczali dla siebie, wydawało mi się to uzasadnione. Wielu z nich poprzednio wiele ze swoich skromnych zarobków dołożyło do swoich działań, a wielu miało rodziny i musieli przecież coś jeść. Niewątpliwie jakaś pomoc im się należała. Niektórzy – np. Mirek Chojecki – po wyrzuceniu z pracy zarabiali jakimiś pracami fizycznymi, szczególnie malowaniem mieszkań, ale

na dłuższą metę to przecież było niemożliwe. Później były na to niewątpliwie przeznaczone jakieś określone fundusze, bo gdzieś w połowie 1979 roku, kiedy bardzo chorowałam i moja sytuacja była raczej trudna, Janek Lipski przyszedł i powiedział mi, że postanowiono dopłacać mi do mojej emerytury 2000 zł miesięcznie (moja państwowa wynosiła wtedy 3.400 zł) i że jest to wprawdzie niewiele, ale zawsze będzie to jakaś pomoc. Rzeczywiście, przez cały rok 1982, kiedy pielęgnowałam moją umierającą matkę i naprawdę nie mogłam dorabiać do emerytury nawet na uniwersytecie, jak poprzednio, pomoc ta była dla mnie bardzo cenna. Ostatnie pieniądze dostałam w końcu listopada 1981 roku.

Ponieważ od początku wszystkie moje działania były nastawione na prowadzenie do zgody i utrzymywanie przyjaźni nawiązanych jeszcze dawnymi laty, w Klubie Krzywego Koła, bardzo martwiłam się różnymi zatargami, o których obszernie pisze Janek Lipski w swojej książce. Zawsze jednak odnosiłam się z całą życzliwością i przyjaźnią do wszystkich członków i współpracowników KORu, ROPCiO i innych grup politycznych. Nie chciałam tylko mieć do czynienia z ugrupowaniem Moczulskiego, którego nie znosili koledzy z KORu, a Wojtek, początkowo współpracując z nim, również szybko się z nim pokłócił. Natomiast pojawiać się zaczęli chłopi, przyprowadzani przez Bogusia Studzińskiego i różni biedacy, przyjeżdżający np. do Warszawy z prośbą o interwencje w ich sprawach w Biurze Interwencyjnym KORu. Biuro to prowadzili Zosia i Zbyszek Romaszewscy, w ścisłej i życzliwej współpracy z Bogusiem Studzińskim. Ten wyjątkowy człowiek nie tylko, że wydawał prawie zupełnie samodzielnie pismo dla rolników *Gospodarz*, ale jeździł po całej Polsce – na szczęście miał do tego upoważnienie ze swojej pracy – i pomagał dziesiątkom różnych prześladowanych, pisząc im odwołania, w czym mu czasem pomagałam, karmiąc ich, nocując u siebie w domu itp. Pamiętam sprawę jednego szczególnie uporczywego interesanta z Koszalina, który z powodu zabrania mu trzypokojowego mieszkania w Koszalinie – na miejsce którego, jako człowiekowi samotnemu, dano kawalerkę – zakoczował w Prezydium Rady Ministrów, obładowany wszelkimi możliwymi i niemożliwymi dokumentami,

stwierdzającymi jego uprawnienia i zasługi. Trzeba przyznać, że do zbierania dokumentów miał szczególne zdolności i nie wiem, czy dużo ludzi w Polsce posiada dokument NKWD zwolnienia z łagru w Workucie celem udania się do polskiego wojska w Sielcach. Na tym oryginale widnieje trójkątna pieczęć, podobno specjalna NKWD i oczywiście całość jest po rosyjsku. Ten osobnik przebywał na zmianę u Bogusia i w Prezydium Rady Ministrów po kilka tygodni i chyba w końcu dobił się załatwienia swego zażalenia.

Zosia i Zbigniew Romaszewscy pojawili się u mnie pewnego wieczora z propozycją przepisania na maszynie do druku raportu madryckiego, przygotowanego przez Komisję Helsińską w Polsce. Oczywiście zgodziłam się i biedna Zosia przesiadywała u mnie przez kilka wieczorów do późnej nocy, dyktując mi ten tekst. Jest on po prostu przerażający, ale jedna z części, mianowicie spis skonfiskowanych w okresie 1976-1979 rozmaitych dóbr od osób działających w opozycji, zawiera miejscami informacje wręcz humorystyczne. Zaczęło się to od dwóch puszek boczków u Mirka Chojeckiego na Boże Narodzenie 1976 roku i dotyczyło np. kilku kg cielęciny, niekiedy ubrań i szczególnie dużej ilości walizek, w których te wszystkie dobra wynoszono od właścicieli. Najwięcej oczywiście było maszyn do pisania, chyba ponad 400. Niektóre z nich wróciły do właścicieli lub zwrócono za nie odszkodowanie (wiem o oddaniu mojej i o odszkodowaniu Zdzisławy Słuchockiej, której zabrano maszynę pana Jana Gawrońskiego, i chciano nawet oddać, ale w stosie maszyn leżących w magazynie SB nie mogła jej znaleźć. Natomiast moją maszynę oddano w największym porządku we wrześniu 1982!

Anna RUDZIŃSKA

Maciej BERNHARDT

BYŁEM PRZYMUSOWYM OCHOTNIKIEM

W końcu roku 1950 i początku 1951 powołano na przeszkolenie wojskowe wielu studentów ostatniego roku studiów oraz dyplomantów i świeżo upieczonych absolwentów przede wszystkim politechnik i akademii medycznych, a w mniejszej liczbie także innych uczelni wyższych (m.in. Wydziałów Prawa uniwersytetów). Niemal wszyscy zostali następnie zatrzymani w wojsku jako oficerowie zawodowi. Był to czas wojny w Korei i przymusowym ochotnikom oficjalnie podano do wiadomości, że z wojska mogą wyjść albo przez szpital, albo przez prokuraturę.

Byłem jednym z nich. Zamieszczony poniżej tekst zawiera fragmenty mego pamiętnika dotyczące tego okresu.



Wczesną wiosną 1950 roku otrzymałem wezwanie do stawienia się na wojskową komisję lekarską. Zdziwiło mnie to bardzo. Miałem AK-owską przeszłość, bardzo nielubianą przez władzę ludową, przekroczyłem 27 lat i obowiązek służby wojskowej już mnie nie dotyczył. Uważałem, że to biurokratyczna formalność: gdzieś, ktoś, czegoś nie dopatrzył i urzędaszy muszą coś tam w swoje rubryki popisywać.

Z mojego roku studiów podobne wezwania dostało jeszcze kilku kolegów. Nie mogliśmy jednak dostrzec żadnej prawidłowości tych wezwań. Dotyczyły one różnych roczników, zarówno tych co w wojsku nie służyli, jak i tych co byli na froncie, aktywistów młodzieżowych i nielicznych partyjnych, jak i zatwardziałych bezpartyjnych, żonatych i kawalerów itd. Żadnej logiki tych wezwań nie można było się doszukać. Przy tym wielu kolegów, będących w identycznej sytuacji formalnej, wezwań takich nie otrzymało.

Komisja lekarska odbyła się według najlepszych wzorów opisywanych przez Haszka w „Dzielnym wojaku Szwejku”.

Zważono, zmierzono, kilka banalnych pytań o przebyte choroby, prześwietlenie płuc i gotowe. Wszystko to razem załatwiał sympatyczny starszy pan w cywilu i o wyraźnie cywilnych manierach. Do pomocy miał dwóch podoficerów. Żeby było śmieszniej komisja ta działała w lokalu Izby adwokackiej w Alejach Ujazdowskich w Warszawie.

W domu mój Ojciec (lekarz) zainteresował się papierkiem, jaki otrzymałem od komisji. Z jego lakonicznej treści wynikało, że jestem zdrow jak ryba. Pod tym pieczętka i podpis lekarza. Ojciec stwierdził „znam to nazwisko” i zaczął mnie wypytywać w jakim wieku był ten lekarz, a jak wyglądał itd. i na koniec stwierdził ze zdziwieniem: „No tak, to ja go znam, ale to przecież jest ginekolog ...”



W połowie września wszyscy moi koledzy, którzy wcześniej niż ja byli wzywani na komisję lekarską, dostali powołania na trzymiesięczne przeszkolenie wojskowe. W kilka dni później ja dostałem wezwanie, aby stawić się do departamentu kadr MON. Przyjął mnie tam starszy, mocno zaciągający z rosyjska pułkownik. Zadawał mi mnóstwo pytań, wypełniałem jakąś ankietę, pisałem życiorys. Trwało to co najmniej ze dwie godziny. Jedno z pytań w ankiecie dotyczyło mego stanu cywilnego. Nie wiedziałem co odpowiedzieć, gdyż brałem ślub kościelny, który w tym czasie prawnie nie miał żadnego znaczenia. Zapytałem więc pułkownika co mam napisać. Usłyszałem, że „nas to nic nie obchodzi; ważny jest tylko ślub cywilny, a w wojsku trzeba mieć zezwolenie na zawarcie ślubu”. Napisałem więc, że jestem kawalerem.

Mój rozmówca długo wypytywał mnie co robiłem podczas okupacji. Zgodnie z przyjętą w styczniu 1945 roku wersją (tzw. „legendą”), odpowiedziałem, że nie brałem udziału w żadnej konspiracyjnej robocie. Mój Ojciec był ciężko chory na serce i strasznie się o mnie bał. Ja też nie byłem zbyt odważny i nie pociągała mnie żadna konspiracja. Pracowałem i uczyłem się. Robiłem maturę na kompletach i byłem uczniem szkoły technicznej. Jak wybuchło Powstanie, to zgłosiłem się na ochotnika. Nie mogłem przecież siedzieć w piwnicy.

Nie wiem, czy mi uwierzył. Wiedziałem jednak, że trudno byłoby mi udowodnić udział w konspiracji. Wszyscy moi koledzy, z którymi bezpośrednio byłem związany w konspiracji, zginęli podczas Powstania Warszawskiego (oprócz jednego, którego byłem pewien – przyjął analogiczną legendę). Oczywiście wielu miało informacje z drugiej ręki lub domyślało się prawdy, ale praktycznie nikt nie mógł podać konkretnych dowodów o moim udziale w AK przed Powstaniem.

Po powrocie do domu postanowiliśmy z żoną jak najprędzej wziąć ślub cywilny. Z rozmowy w departamencie kadr MON wynikało, że prawdopodobnie czeka mnie powołanie do wojska na trzymiesięczne przeszkolenie. Trzeba więc załatwić tę formalność. Liczyłem przy tym, że „bardzo złe pochodzenie społeczne” mojej żony być może uchroni mnie od zaszczytu służby w wojsku ludowym.

Któregoś dnia, pod koniec listopada, dowiedziałem się, że rano, zaraz po moim wyjściu z domu, zjawił się żołnierz z komendy rejonowej (nie jestem pewien czy tak się to wówczas nazywało) z wezwaniem do stawienia się w szkole oficerskiej w Pile w dniu 1 grudnia. Na 3 grudnia miałem wyznaczony egzamin dyplomowy na Politechnice Warszawskiej.

W komendzie rejonowej nie chcieli ze mną rozmawiać o przesunięciu terminu zgłoszenia do Piły o 3 dni. Dowiedziałem się, w mało uprzejmej formie, że powołanie do wojska to rzecz święta i nie ma nad czym dyskutować.

Zapamiętałem nazwisko pułkownika, który mnie „przeypywał” w departamencie kadr. Nadspodziewanie łatwo dostałem się do niego. Pamiętał mnie. Wyjaśniłem o co chodzi. „W zasadzie nie zmieniamy decyzji komend rejonowych, ale tu sprawa niecodzienna. Tylko trzy dni i zamiast obywatela Bernhardta przyjmujemy magistra inżyniera Bernhardta. Poczekamy, opłaca się nam poczekać trzy dni. A i wy będziecie spokojniejsi. Zaraz każę przygotować odpowiednie pismo. Musicie iść jeszcze raz do komendy, bo to ich sprawa. Załatwią was tam jak trzeba”. Podziękowałem i poleciałem biegiem do komendy.

Na przywitanie usłyszałem „już wam raz mówiliśmy, że

nie ma mowy o zmianie terminu powołania; po co znów tu przyszłście?”. Pismo z departamentu kadr zrobiło niesamowite wrażenie, jakby po komendzie przeleciał huragan. Czegoś takiego jeszcze tu nie było. W dodatku od mojej poprzedniej bytności minęło nie więcej niż kilka godzin. W tak krótkim czasie tyle załatwił. Musi mieć nie lada plecy. Zostałem obsłużony niesłychanie uprzejmie, sprawnie i szybko; życzo mi powodzenia i radzono jak najlepiej dojechać do Piły. Wprost sielanka.

Piła, niewielkie miasto powiatowe, tuż za dawną granicą polsko-niemiecką, było bardzo zniszczone. W śródmieściu ocalały dosłownie pojedyncze domy. Charakterystyczne jednak, że koszary i budynki wojskowe były nieuszkodzone. Jak się później dowiedziałem od mego szwagra (Kazimierza Szepetyckiego), który walczył w tych stronach w styczniu 1945 roku i przechodził przez Piłę zaraz po jej wyzwoleniu, miasto podczas działań wojennych ucierpiało stosunkowo niewiele. Zostało w znacznej części spalone dopiero po wyszabrowaniu przez Armię Czerwoną.

Oficerska Szkoła Samochodowa mieściła się w starych, ponemieckich koszarach, na przedmieściu. Zostałem dołączony do kilkunastu kolegów, przybyłych 3 dni wcześniej. Razem tworzyliśmy grupę szkoleniową, którą opiekował się major. W Szkole była także znacznie większa grupa, przybyła tu na przeszkolenie dwa miesiące wcześniej. Podobno istnienie naszej, nader skromnej liczebnie grupki, spowodowane było jakimś bałaganem organizacyjnym. Powinniśmy być powołani wcześniej i szkolić się razem z wcześniej przybyłymi kolegami.

Wszyscy kursanci – tak nas tam nazywano – „mojej grupy” byli studentami ostatnich lat studiów. Głównie wydziałów mechanicznych Politechniki Warszawskiej i Łódzkiej oraz Szkoły Wawelberga. W „starszej” grupie było kilku kolegów z mego wydziału: z mego i młodszego roku studiów. Byłem jedynym magistrem inżynierem. Wszyscy pozostali byli jeszcze studentami i to na ogół studiów inżynierskich (pierwszego stopnia). Wydaje mi się, że w grupie „starszej” też wszyscy byli jeszcze studentami. Nie jestem jednak tego pewien, gdyż byliśmy razem w szkole zbyt krótko, aby się dobrze poznać.

Status nasz w Szkole był nieco dziwny. Byliśmy oficerami bez stopnia. Było coś takiego w owym czasie dla powołanych do wojska po studiach wyższych (a jak widać na naszym przykładzie, po nieukończonych studiach także) i nie mających przeszkolenia wojskowego. Traktowani byliśmy poprawnie. Budziliśmy raczej w kadrze szkoły zainteresowanie, co to za dziwne uczone cudaki. Nasi poprzednicy mieli pod tym względem dużo gorzej. „Opiekował się” nimi początkowo podoficer zawodowy, który postanowił nauczyć tych „lalusiów” co to jest wojsko. Przeliczył się jednak, bo w grupie byli „towarzysze skierowani przez partię do służby wojskowej”, a także wtyczki służb specjalnych. Podoficera z hukiem przeniesiono ze Szkoły do jednostki liniowej i nasza grupka nie miała już żadnych nadzwyczajnych nieprzyjemności i kłopotów.

W mojej grupie wszyscy traktowali powołanie na przeszkolenie jako przykrość życiową, przez którą trzeba przejść, bo nie można jej ominąć. Nikt z nas nie miał żadnych „ciągot” do wojska. Tylko ja przeszedłem przed wojną przeszkolenie przysposobienia wojskowego oraz dwa lata przeszkolenia AK i doświadczenia bojowe z Powstania Warszawskiego. Pozostali byli na ogół młodsi ode mnie i większość nie miała chyba nigdy w ręku żadnej broni, nie mówiąc już o jej użyciu. Być może maskowali się tak dobrze, że robili takie wrażenie. W tych czasach za udział w AK przy „sprzyjających okolicznościach” można było trafić także na dobre kilka lat do więzienia.

Nasza niewielka grupa zmniejszyła się jeszcze o dwie osoby. Zaraz na początku ubył jeden z kolegów. Okazało się, że podczas wojny był ... Volksdeutchem. Jak twierdził, nigdy tego nie ukrywał, a w komendzie rejonowej powiedzieli mu, że im to nie przeszkadza, a do wojska iść musi, bo jest na ich liście.

Drugi (nazwiskiem Poźniak, imienia nie pamiętam, sympatyczny i inteligentny chłopak) głośno wypowiadał swe opinie o powołaniu go na przeszkolenie, a gdy nasi poprzednicy, po jego zakończeniu, zostali zatrzymani w wojsku, stwierdził oficjalnie, że on w wojsku służyć nie będzie. Wylądował w kompanii karnej, w kopalni węgla. Nigdy

więcej z nim się nie spotkałem. Słyszałem, że udało mu się w końcu wydostać z wojska.

Przyspieszony kurs musztry, regulaminów, broni strzeleckiej itp. nie różnił się specjalnie od tego co zapamiętałem ze szkolnych zajęć przysposobienia wojskowego. Zaskoczyły mnie natomiast doskonałe pomoce do wykładów o technice wojskowej. Kolorowe plansze, przekrojone całe samochody, silniki, skrzynie biegów, karabiny, granaty itd. Wiele tego rodzaju eksponatów było ruchomych. Wykładowcom brakowało głębszej wiedzy technicznej, ale wyjaśniali prawidłowo i bez zarzutu pod względem dydaktycznym.

Przeraziły mnie natomiast zajęcia polityczne. I to nie tylko ze względu na ich „ideologiczny charakter”, ale przede wszystkim – bełkot i poziom wykładowców. Recytowali nauczone na pamięć cytaty z „poradnika agitatora” – było coś takiego w owym czasie: zawierał tłumaczenia z analogicznego „dzieła” dla Armii Czerwonej. Redagowali ten periodyk „intelektualiści” podobni pod względem intelektu do tych co nas „uczyli”.

Nigdy dotychczas nie miałem bezpośrednio styczności z tego rodzaju „twórczością” (pisaną przez duże „TFU”!) i „wiedzą”. Na uczelni, dzięki zaliczeniu większości przedmiotów z pierwszych lat studiów i życzliwości dziekana (gdy formalnie byłem na I i II roku studiów) prof. Płużańskiego, ominął mnie zaszczyt słuchania i zaliczania tej „wiedzy”. Na czwartym roku było jakieś seminarium z filozofii i część jego dotyczyła filozofii marksistowskiej. Zarówno wykładowcy jak i studenci traktowali to z przymrużeniem oka. Zaliczali przedmiot na podstawie „czynnego uczestnictwa” w dyskusji na seminariach. Byłem na niewielu z nich, nigdy nie brałem głosu. Wpis do indeksu otrzymałem jednak bez najmniejszych trudności.

Szczyty głupoty reprezentował w OSSam. pewien oficer polityczny, który zapoznawał nas z „prawdziwą wiedzą”. Nazywaliśmy go „Na wschód od północy”. Na ścianie sali wykładowej wisiała mapa Związku Sowieckiego w ujęciu umożliwiającym pokazanie całego tego wielkiego kraju, a także Europy. Takie odwzorowanie powierzchni kuli ziemskiej na płaszczyźnie spowodowało, że arkusz mapy nie miał

zwykłego kształtu prostokąta, lecz odcinka szerokiego pierścienia, którego prawy koniec znajdował się wyżej od lewego. Syberia znalazła się na nim powyżej centralnej Rosji. Nasz dzielny politruk wygłosił na jednym z pierwszych zajęć następujące zdanie, machając wskaźnikiem po owej mapie: „Na wschód od północy, w południowej części ZSRR powstają wielkie budowle komunizmu”. Z trudem pohamowaliśmy śmiech. Była to nie pierwsza, ale najlepsza „perełka” jego intelektu. Na przerwie któryś z kolegów uprzejmie poprosił go o wyjaśnienie tego zdania, bo nie bardzo je zrozumiał.

„Podobno kończycie studia wyższe, a takiej prostej rzeczy nie rozumiecie. Popatrzcie tylko na mapę. Te budowle komunizmu powstają w tej części ZSRR” – tu wskazał na mapie południowo-wschodnią część Syberii – „Północ na mapie mamy tu u góry, a ten rejon jest na prawo od górnej części mapy, czyli na wschód od północy, a te nowe budowle powstają na południu Syberii, czyli w południowej części ZSRR. Przecież to proste”. Nazywaliśmy go od tej pory: „Na wschód od północy”.

Uczono nas strzelania z karabinu, pistoletu i pistoletu maszynowego, rzutu granatem, posługiwania się mapą, a także kierowania samochodem i ciągnikiem gąsienicowym. Byłem wychowany na karabinie typu Mauser i pistolecie Vis oraz niemieckich i włoskich pistoletach maszynowych poznanych podczas Powstania. Tu dostaliśmy rosyjskie karabiny, pistolety TT i pistolety maszynowe typu „Pepesza”.

Poznałem tę broń podczas ostatnich dni Powstania na Żoliborzu. Rosjanie zrzucali je w nocy z Kukuruźników, owinięte w szmaty i zapakowane do prymitywnych, drewnianych skrzynek. Zrzucali je, podobnie jak amunicję do nich, bez spadochronów. W ten sposób nikt nie mógł im zarzucić, że nie pomagali Powstańcom, a że większość broni była uszkodzona i wymagała naprawy, której w ostatnich dniach walk nie było gdzie przeprowadzić, to już nie ich sprawa. Pogniecioną przy upadku amunicję sortowaliśmy, ale nie mieliśmy możliwości przeprowadzenia dokładnej kontroli jakości. Przepuszczaliśmy naboje, pozornie nieuszkodzone, które jednak powodowały zacięcia broni. Niejednego zacięcie takie kosztowało życie lub ranę.

Podczas pierwszego strzelania z karabinu pokazywano po każdym strzale miejsce trafienia w tarczy. Pierwszy mój strzał ulokowałem w środku dziesiątki. Był to oczywisty przypadek; strzelałem po sześciu latach przerwy i z broni, której dotąd nie znałem i miałem pierwszy raz w rękę. Dziesiątka ta wzbudziła małą sensację wśród kolegów. Prowadzący strzelanie podoficer stwierdził krótko i słusznie, że to przypadek, tak jak trafienie dużej wygranej na loterii. Nieznany mi kapitan, który obserwował zajęcia, zainteresował się jednak gdzie i kiedy nauczyłem się strzelać. Następne cztery pociski „rozgoniłem” więc, na wszelki wypadek, dokładnie po całej tarczy. Nie miałem ochoty na dyskusję (miałem już przed wojną srebrną odznakę strzelecką).

Z pistoletu nie musiałem starać się o kiepskie wyniki. Nigdy dobrze nie strzelałem z krótkiej broni. Z pepeszy strzelałem po raz pierwszy w życiu. W porównaniu do niemieckiego Bergmanna czy włoskiego Baretto, które miałem okazję poznać podczas Powstania, była to broń bardzo prymitywna i mało celna. Jej zaletą była duża pojemność bębnowego magazynka, ale z kolei jego ładowanie było bardzo niewygodne i trwało dużo dłużej niż znanych mi automatów.

Podczas „nauki jazdy”, którą nam wszystkim zaaplikowano, okazało się, że z całej naszej grupki tylko ja jeden miałem prawo jazdy (i to od ponad dziesięciu lat, a zawodowe od pięciu), tym niemniej musiałem, tak jak pozostali, przejść przez cały cykl szkolenia. Mój instruktor chwalił się, że przejechał już ... ponad 2 tysiące kilometrów.

Czas mijał nadspodziewanie szybko. Byliśmy przez cały dzień zajęci w salach wykładowych, w polu, na strzelnicy. Do najnudniejszych należały zajęcia polityczne. Wykładowcy byli tak beznadziejnie ograniczeni, że trudno było wytrzymać przez 45 minut zajęć. Cała ich „wiedza” polegała na opanowaniu kilkudziesięciu sloganów, którymi raczyli nas szczerze, ale bez jakiegokolwiek sensu. Nawet nieliczni partyjni nasi koledzy, mimo usilnych starań, nie byli w stanie ukryć swej dezaprobaty.

Do bardzo słabych należały także zajęcia z taktyki. Wykładowcy umieli tylko operować szablonami pojęciowymi i liczbą luf na kilometr. Szczytem ich wiedzy była umiejętność

nanoszenia sytuacji bojowej na mapę i pisania rozkazu bojowego. Przekazywali nam w mało inteligentny sposób podręcznikowe informacje, opracowane przez biurokratów od spraw wojskowych.

W porównaniu z ich nudnym bełkotem, wykłady na podchorążówce AK, mimo, że też czasami budziły moje wątpliwości, były fajerwerkami intelektu. Natomiast zajęcia techniczne były prowadzone w szkole oficerskiej na ogół zupełnie dobrze, tak pod względem merytorycznym, jak i dydaktycznym. Muszę się przyznać, że dowiedziałem się na nich sporo szczegółów o budowie pojazdów wojskowych, których wcześniej nie znałem. Wśród prowadzących zajęcia wyróżniali się zwłaszcza kpt. Maksymilian Kowalski i kpt. Pagórski (imienia niestety już nie pamiętam), z którymi później zaprzyjaźniłem się, już jako wykładowca tej szkoły.

Natomiast poziom zajęć z eksploatacji pojazdów był bardzo słaby i wyraźnie odbiegał od pozostałych zajęć technicznych. Przekazywano nam instrukcje postępowania opracowane dla analfabetów technicznych. Ważne było co, kiedy i jak należy zrobić. Natomiast sens techniczny wykonywanych czynności był zupełnie nieistotny. Nazywaliśmy je „laniem wody do chłodnicy”, gdy wykładowca eksploatacji poświęcił tej super złożonej czynności dużo czasu i uwagi.

Mieliśmy też sporo zajęć w terenie. Poza musztrą, którą prowadzono jak z poborowymi, reszta była na ogół do wytrzymania. Mieliśmy przynajmniej sporo ruchu na świeżym powietrzu. Po bardzo intensywnym trybie życia w ostatnich kilku miesiącach, pierwsze tygodnie w Pile traktowałem jak pobyt w nie najlepiej wyposażonym i zorganizowanym ośrodku wczasowym. Wysiłek umysłowy żaden, fizyczny – dość duży, ale bez przesady. W sumie pobyt „na przeszkoleniu” w Pile – przynajmniej na początku – stanowił dla mnie bardzo mi potrzebny odpoczynek umysłowy i psychiczny.

Wieczorem po zajęciach byliśmy wszyscy na tyle zmęczeni, że zasypialiśmy natychmiast. W budynkach koszarowych nie przesadzano z ogrzewaniem, temperatura była dość niska. Można było jednak wytrzymać. Listy z domu przychodziły regularnie. Oczywiście były cenzurowane. Tego nawet nie ukrywano przed nami. Niestety, nie zawierały dobrych

wiadomości. Ojciec czuł się źle, coraz trudniej było mu pracować.

Święta Bożego Narodzenia i Nowy Rok spędziliśmy w Pile. Nie puścili nas do domu. Wyjechali nieliczni „bardzo partyjni” z grupy, która rozpoczęła szkolenie przed nami. Widocznie tylko oni zasługiwali na spędzenie religijnych świąt z rodzinami.

Nasze przeszkolenie kończyło się w końcu lutego lub na początku marca. Czas ten mijał szybko, choć ostatnie dni dłużyły się strasznie.

Wreszcie „egzamininy końcowe”, przez które przebrnąłem nadspodziewanie gładko, choć w żaden sposób nie byłem w stanie nauczyć się na pamięć (bo praktycznie tego od nas wymagano) różnych regulaminów.

Pewnego pięknego dnia ustawiono (podobnie jak naszych poprzedników) naszą małą grupkę na placu apelowym szkoły, odczytano nam rozkaz ministra o mianowaniu na stopnie oficerskie oraz powiadomiono, że jesteśmy oficerami zawodowymi. Wprawdzie nikt nie przypominał sobie, abyśmy się o taki zaszczyt ubiegali, ale to był nieistotny drobiazg, o którym dżentelmeni nawet nie wspominają.

Wszyscy moi koledzy, którzy mieli nieukończone studia wyższe (i z reguły pierwszego stopnia – inżynierskie) otrzymali stopnie podporucznika. Ja miałem dyplom magistra inżyniera – otrzymałem ku memu zdumieniu – stopień porucznika.

Koledzy dostali (w ramach troski o człowieka) skierowania do służby w miastach (lub miejscowościach położonych w pobliżu miast), w których studiowali, aby mogli studia dokończyć. Ja jedyny miałem dyplom w kieszeni, więc dostałem przydział do Oficerskiej Szkoły Samochodowej w Pile w charakterze wykładowcy. Dostałem też tydzień (a może aż 10 dni, nie pamiętam) urlopu na załatwienie swych spraw osobistych.

Jeszcze przed promocją dostaliśmy „wyprawę oficerską”: dwa mundury: służbowy i wyjściowy, dwie czapki, płaszcz zimowy, pelerynę, trzewiki, buty z cholewami (zwijającymi się w harmonijkę) bieliznę osobistą i pościelową, ręczniki, pas, torbę oficerską, mapnik itp., dwa wełniane koce, oraz wielką walizę. Chyba także dostaliśmy jakieś niewielkie

pieniądze na „zagospodarowanie się”. Nie jestem już tego pewien.

Dostałem też, jako człowiek żonaty, przydział mieszkania w bloku oficerskim w Pile, ponad kilometr od koszar. Dwa maleńkie pokoiki z kuchnią oraz łazienką. Piec: kuchenny i w łazience były węglowe.

Na razie wróciłem do Piły sam, żona musiała jeszcze jakiś czas zostać w Warszawie. Karierę wykładowcy (i to od razu starszego) rozpocząłem w cyklu technicznym. Jako inżynier mechanik wykładałem początkowo – zgodnie z logiką wojskową – ... elektrotechnikę samochodową. Usiłowałem przekonać moich przełożonych, że jestem inżynierem mechanikiem i dużo lepiej znam się na mechanice niż elektrotechnice, ale nie robiło to na nikim żadnego wrażenia. Umiem przecież wyjaśnić podchorążym jak są zbudowane i jak działają elektryczne urządzenia w samochodzie, więc w czym jest problem.

Do spraw nauczania podchodzono w szkole niesłychanie poważnie. Przed pierwszym moim wykładem musiałem napisać do niego konspekt, który był dyskutowany na zebraniu wszystkich wykładowców cyklu technicznego. W konspekcie trzeba było podać nie tylko kolejno omawiane zagadnienia, ale także treść wypowiedzi, tytuły czy numery plakatów i modeli, na które mam się powoływać, a także w jakiej kolejności będę pokazywać poszczególne elementy na modelach i plakatach. Konspekt po omówieniu podlegał zatwierdzeniu przez kierownika cyklu i dopiero wtedy można było iść na wykład.

Cała ta procedura budziła moje najgłębsze zdziwienie i przerażenie, że będę musiał przygotowywać coś takiego na każdy wykład. A wykładów najczęściej miałem (podobnie jak inni wykładowcy) przez 4 dni w tygodniu „pierwsze sześć, albo pierwsze osiem godzin”. Dwa dni w tygodniu przeznaczone były dla wykładowców cyklu technicznego na nasze szkolenie wojskowe i zawodowe oraz zajęcia sportowe.

Dość prędko zorientowałem się, że ten system przygotowywania konspektów miał swoje uzasadnienie. Tylko w ten sposób można było zapewnić, aby wykładowcy wybrani z tych co to „nie matura lecz chęć szczerą” mogli uczyć tego, o czym dotąd mieli bardzo mgliste pojęcie.

Trafiali się jednak przełożeni „intelektualiści”, którzy uważali, że konspekt to nie tylko pomoc dla wykładowcy, ale także sposób na zajęcie mu czasu, aby nie przychodziły niewłaściwe myśli do głowy. Tak więc niektórzy z tych orłów wymagali oddzielnych konspektów do identycznych wykładów w kilku grupach szkolnych. Oczywiście także ciężkim wykroczeniem było np. skorzystanie z konspektu z ubiegłego roku, choć program i wymagania nie uległy żadnym zmianom. Natomiast po dosłownym przepisaniu zeszłorocznego konspektu otrzymywało się akceptację przełożonego i wtedy było wszystko w porządku. Muszę jednak dodać, że tak skrajna głupota, choć nie trafiała się zupełnie wyjątkowo, nie była też nagminną.

Wprawiłem kiedyś mego przełożonego, zresztą zupełnie przyzwoitego i w miarę rozsądnego faceta, w niemałe zakłopotanie. Miał on właśnie nad sobą „intelektualistę” wymagającego oddzielnych (co nie znaczy o innej treści) konspektów na te same zajęcia prowadzone w kilku grupach kursantów.

Skorzystałem bowiem z uprzejmości zawodowego podoficera pracującego w kancelarii szkoły i napisałem konspekt przez kalkę na maszynie. Konsternacja była ogólna. Po pierwsze, skąd umiem pisać na maszynie i to, jak życzliwi donieśli, znacznie szybciej niż pan plutonowy, który był do tej pory wyrocznią w tych sprawach. Po drugie, czy konspekt może być napisany na maszynie? Wprawdzie żaden regulamin nic na ten temat nie mówi, ale przecież nikt do tej pory nic takiego nie robił. A może to jest działanie politycznie niewłaściwe? No, a już najgorsze to te konspekty napisane przez kalkę. Są niby oddzielne dla każdej grupy, ale wykładowca nie musiał ich przepisywać i nie wiadomo jakie w tej sprawie stanowisko zajmą wyżsi przełożeni.

Ktoś w szkole miał jednak dość oleju w głowie, bo z zapowiadającej się wielkiej afery nic nie wynikło, poza tym, że trzech kolejnych (coraz wyższych) moich przełożonych odbyło ze mną rozmowę, usiłując się dowiedzieć, gdzie nauczyłem się pisać na maszynie. Moja odpowiedź, że we własnym domu, przyjmowana była z niedowierzaniem. Kto w domu trzyma maszynę do pisania? A już najgorsze, że nie można tego sprawdzić. Pan major był niepokieszony, gdy

dowiedział się, że mój dziadek, rejent, zmarł przed moim urodzeniem, a po domu, w którym pozostała jego maszyna do pisania, nie pozostał nawet ślad.

W rezultacie całej tej afery uzyskałem oficjalne zezwolenie na pisanie na kancelaryjnej maszynie. Do dziś nie wiem czy był to odruch rozsądku, czy też chytry pomysł informacji: „złapiemy go w ten sposób co i po co on pisze”.

W dni powszednie byłem tak bardzo zajęty sprawami służbowymi i drobnymi domowymi, z którymi nie bardzo umiałem sobie radzić, że wieczorem, po bardzo skromnej kolacji w kasynie, przychodziłem do domu kompletnie wykończony i natychmiast kładłem się spać. W sobotnie popołudnia i niedziele nie bardzo wiedziałem co ze sobą zrobić. Nie miałem ochoty na nawiązywanie kontaktów towarzyskich, w domu nie miałem początkowo nawet radia, w bibliotece w szkole nie było książek, które miałbym ochotę przeczytać. Do „miasta” nie było po co chodzić. Do kasyna chodziłem tylko na obiady i kolacje. Nie było tam rozrywek, które by mnie interesowały.

Pewnego niedzielnego ranka ubrałem się w mój nowy wyjściowy mundur i pojechałem koleją do Poznania. Nie pamiętam już czy umówiłem się tam z siostrą żony, która wtedy tam pracowała jako nauczycielka w szkole, czy też chciałem po prostu choć na kilka godzin uciec z Piły.

W Poznaniu wszedłem gdzieś w śródmieściu do dość eleganckiej kawiarni. Było w niej niewiele osób. Usiadłem przy wolnym stoliku. Przy sąsiednich z jednej strony siedzieli starsi państwo, z drugiej – kilka młodych osób zajętych wesołą rozmową. Jedni i drudzy ostentacyjnie przenieśli się do dalszych stolików. Nie mieli ochoty siedzieć obok oficera. Rozumiałem ich, ale nie mogę powiedzieć, żeby było mi przyjemnie. Trudno przecież każdemu nieznanemu tłumaczyć w jaki sposób stałem się oficerem Ludowego Wojska.

Wkrótce przyjechała do Piły moja żona. Wreszcie zaczęliśmy mieć w miarę normalny dom. Skończyło się stołowanie w kasynie i gotowanie wody na herbatę na maszynie elektrycznej. Zaczęły się natomiast kłopoty finansowe. Moja pensja oficerska była niemal o połowę mniejsza od tej, którą otrzymywałem w cywilu, a ponadto nie miałem tu żadnych

możliwości dodatkowych zarobków. Postanowiliśmy więc, że żona zacznie pracować. Z pracą nie było wówczas w Pile większych kłopotów. Świadectwo maturalne i umiejętność pisanie na maszynie to były na tym terenie bardzo wysokie kwalifikacje, zaś „niewłaściwe pochodzenie społeczne” wyrównywało na mniej eksponowanych stanowiskach małżeństwo z oficerem.

Bez trudu żona znalazła pracę (nie pamiętam już w jakiej instytucji), ale gdy wydało się, że jest w piątym miesiącu ciąży (choć nie było tego zupełnie po niej widać), nie doszło do sfinalizowania angażu. Szkoda, bo forsy brakowało nam coraz bardziej, a potrzeby mieliśmy ogromne: żadnych mebli, sprzętów domowych, brakowało pościeli, naczyń, ubrania, bielizny i butów dla żony (ja miałem mundury), dosłownie wszystkiego. Pensja z trudem wystarczała na niezbędne codzienne wydatki. Musieliśmy się wciąż liczyć dosłownie z każdym groszem.

Zajęcia w szkole zaczynały się o godzinie ósmej. Trzeba było jednak być wcześniej na treningu strzeleckim. Polegał on na celowaniu przez 15 minut do tarczy i naciskanie spustu niezaladowanego pistoletu. Moim zdaniem taki trening pomagał w utrwalaniu złych nawyków, gdyż nie pozwalał na sprawdzenie prawidłowości postępowania. Myślę jednak, że jego podstawowym celem było zmuszenie kadry do przychodzenia nie na ostatnią chwilę. Cel może i słuszny, tylko szkoda, że tak bezsensownie realizowany.

Stosunki z kolegami wykładowcami układały się zupełnie dobrze. Początkowo większość obawiała się mnie, gdyż zdawała sobie sprawę z braków swego wykształcenia tak ogólnego jak i technicznego. Nie dawałem jednak odczuć im swej wyższości w tej materii i po początkowym „obwąchiwaniu”, wkrótce stosunki ułożyły się zupełnie prawidłowo.

Pamiętam pierwszą próbę zagięcia mnie i udowodnienia, że koledzy wykładowcy, choć bez studiów i dyplomów, to jednak wiedzą więcej ode mnie: Jeden z kolegów zapytał mnie, przy świadkach: „iloma śrubami przykręcona jest głowica w silniku samochodu ZiS 150?” Nie wiem – odpowiedziałem. „No to czego nauczyli was na tej politechnice? Tu każdy słuchacz wie że... – i tu podał liczbę”. – A czy wiecie

dlaczego właśnie tyłoma, a nie jedną więcej lub mniej? – Popatrzyli na mnie ze zdumieniem. Uważali, że udowodnili moją niekompetencję, a tu zamiast przyznać się do porażki stawiam pytania, które nigdy im nie przyszły do głowy. Wygłosiłem więc krótki wykład w bardzo popularnej formie, wykazując, od jak wielu czynników zależy nie tylko ilość tych nieszczęsnych śrub, ale także ich średnica, rozmieszczenie, a nawet rodzaj gwintu. Udało mi się zrobić to w takiej formie, że nikt nie poczuł się dotknięty. Nigdy więcej już nie spotkałem się z podobnymi próbami udowodnienia mi „braków w wykształceniu”. Coraz częściej natomiast zdarzało się, że któryś z kolegów prosił mnie o wyjaśnienie jakiegoś problemu technicznego.

Najgorsze były obowiązkowe zajęcia szkoleniowe dla kadry. Trudno było wysiedzieć na nich słuchając „nauk” zaczerpniętych z klasyków marksizmu lub regulaminów wojskowych. Znalazłem sobie jednak sposób, który pozwalał mi, choć w części, dyskretnie wyłączać się ze słuchania głądzenia wykładowcy. Na ścianach wszystkich sal wykładowych wisiały, wykonane z papieroplastyki, różne mądre sentencje polityczne. Obojętne, w którą stronę skierowało się wzrok, wszędzie napotykało się cytaty z Marksa, Lenina, Stalina lub np. Bieruta czy Rokossowskiego. Wymyślałem więc różne sposoby wróżenia z tych tekstów czy urodzi mi się syn, czy córka. Metoda ulegała ciągłym modyfikacjom i sam proces stawał się coraz bardziej złożony. Pozwalało mi to nieraz przesiedzieć 45 minut zajęć politycznych, lub prasówki (czyli omawiania głębokich myśli o pokojowym działaniu ZSSR i okropnych imperialistach z USA – z aktualnego numeru *Żołnierza Wolności*) w całkowitej nieświadomości co się obok mnie dzieje.

Wynik wróżenia był przy tym nieistotny. Cytatów na ścianach było wiele, metod wróżenia wymyśliłem też sporo, więc zgodnie z zasadami statystyki ostateczny wynik był mało odkrywczy: będę miał albo syna, albo córkę. Jednak sama czynność wróżenia i wymyślania coraz nowych metod pozwalała mi na całkowite wyłączenie się, zachowując jednocześnie minę skupionego, uważnego słuchacza.

Większość kadry byli to ludzie ze wsi lub małych

miasteczek, powołani do wojska w końcowej fazie wojny lub tuż po wojnie, na zachodnich terenach Polski. Przeważająca ich część nie brała udziału w walkach na froncie. Wszyscy (z wyjątkiem młodych dowódców plutonów, wśród których byli członkowie organizacji młodzieżowych) byli członkami PZPR.

Było też kilku repatriantów z Francji (przedwojennych emigrantów lub ich synów), bojowych komunistów. Wszyscy zajmowali jakieś stanowiska w sztabie (myślę, że i w informacji). Mieli zwyczaj rozmawiania między sobą po francusku. Mówili płynnie, ale z kiepskim akcentem. W szkole trochę podkpiwano sobie z tych rozmów, ale oni się tym nie przejmowali. Myślę, że język ten traktowali jako swego rodzaju szyfr, który izolował ich od „maluczkich”.

Pewnego dnia, dwóch z nich przez dłuższy czas rozmawiało po francusku przy mnie. Przygotowywałem konspekt na zajęcia i udawałem, że nie interesuje mnie to zupełnie, ale oczywiście służyłem, bo stali tuż obok mnie. Mówili o rzeczach banalnych, zwykłych sprawach dnia codziennego. Jeden z nich pracował w kadrach i musiał znać moją ankietę personalną, gdzie wyraźnie napisano, że znam biegle ten język. W pewnej chwili, w pół zdania, przeszli na język polski. Nie wiem czy kadrowiec przypomniał sobie nagle moją ankietę, czy też było to działanie celowe, aby zaobserwować moją reakcję. A może doszli oni do wniosku, że znam język znacznie gorzej niż to podałem w ankiecie, czy też, że się bardzo dobrze maskuję.

Sytuacja finansowa moich kolegów była na ogół dobra, pomimo, że ich pensje były niewiele większe od mojej, gdyż w większości przypadków różniły się tylko niewielkim dodatkiem z tytułu wysługi lat. Niemal wszyscy mieli jednak zaplecze wiejskie; dostawali od rodzin paczki z żywnością, na którą ja wydawałem niemal w całości moje pobory. Rewanżowali się swym rodzinom zakupami w wojskowym sklepie, który trudno było uznać za dobrze zaopatrzone, ale było w nim jednak wiele rzeczy zupełnie niedostępnych w sklepach wiejskich i trudno dostępnych w miastach. Wielu dorabiało też zupełnie nieźle na polowaniach. Dostarczali w ten sposób mięso domownikom, a nadwyżki sprzedawali.

Nie podejmuję się opisać w kolejności chronologicznej moich perypetii w Oficerskiej Szkole Samochodowej w Pile. Będą to tylko obrazki, które najsilniej utkwily mi w pamięci.



Większość oficerów młodszych starała się (z niewielkim na ogół skutkiem) unikać służb oficera dyżurnego szkoły lub garnizonu. Pełnienie tej służby było dość męczące i stresujące; Delikwent odpowiadał praktycznie za wszystko, co działo się w szkole lub garnizonie. Do tego nigdy nie mogłem zapamiętać wszystkich komend i czynności oficjalnych, co stwarzało mi dodatkowe kłopoty.

Po kilku tygodniach zacząłem, ku zdumieniu kolegów, chętnie zastępować ich w pełnieniu tych służb. Patrzyli na mnie z niedowierzaniem, a przyczyna była dziecinnie prosta. Oficer dyżurny szkoły miał obowiązek skontrolowania wszystkich posiłków żołnierskich. Jadłem więc śniadanie, obiad i kolację w stołówce, a w kasynie zwracano mi pieniądze za niewykorzystane posiłki. Były to śmiesznie małe sumy, ale w mojej sytuacji – nie do pogardzenia. Oficer dyżurny garnizonu nie miał obowiązku „kontrolni” kuchni, ale mógł z niej korzystać, gdy wymagały tego jego obowiązki, to znaczy nie mógł, z powodów związanych z pełnieniem służby, iść do kasyna w porze wydawania tam posiłków. Większość oficerów dyżurnych garnizonu stołowała się w kuchni żołnierskiej.

Którejś nocy, gdy pełniłem służbę oficera dyżurnego garnizonu, otrzymałem meldunek, że na boczniczy stacji kolejowej w Pile stoi transport wojskowy i pijani żołnierze z tego transportu awanturują się. W Pile znajdował się duży i bardzo rozbudowany węzeł kolejowy. Tory postojowe stacji towarowej zajmowały ogromny teren. W roku 1951 przejeżdżały przez Piłę liczne radzieckie transporty wojskowe. Zdarzały się także transporty polskie, jadące do centralnej Polski w celu demobilizacji. Prawie zawsze wynikały jakieś awantury i oficer dyżurny garnizonu nie mógł narzekać na brak zajęcia.

Wziąłem ze sobą kilku ludzi z patrolu garnizonowego i pojechaliśmy na stację. Dyżurny stacji złożył formalną skargę, że pijani polscy żołnierze wywołali burdę i pobili strażników

kolejowych. Feralny transport stał na torach odległych od budynku stacyjnego co najmniej 500 metrów. Nie można tam było podjechać samochodem. Trzeba było iść na piechotę przez nieoświetlone tory. Wreszcie zobaczyliśmy kilkadziesiąt wagonów towarowych załadowanych samochodami ciężarowymi. Wdrapałem się na pierwszy z nich i zajrzałem do kabiny stojącego na nim samochodu ciężarowego. Spał w niej żołnierz (konwojent?) tak pijany, że nie udało mi się go obudzić. Przeszedłem na sąsiedni wagon i kolejny – sytuacja identyczna. Poszedłem więc wraz z moimi żołnierzkami wzdłuż pociągu szukając dowódcy transportu.

Po przejściu około 30 wagonów, załadowanych samochodami i różnego rodzaju sprzętem, doszliśmy do jasno oświetlonego wagonu osobowego starego typu. Znalazłem tam komendanta transportu w stopniu kapitana oraz kilku młodszych oficerów i podoficerów. Byli na rauszu, ale zachowywali się poprawnie i można było się z nimi porozumieć. Zapytałem komendanta transportu czy wie, że w przewożonych samochodach znajdują się pijani do nieprzytomności żołnierze i że naczelnik stacji skarży się, że jego ludzie awanturują się i pobili straż kolejową.

„Obywatelu poruczniku, to musi być jakieś nieporozumienie. To musieli być ludzie z innego transportu. U mnie zawsze jest idealny porządek. Ja mam frontowych, doświadczonych żołnierzy. Nie są to aniołki, ale znają umiar. Gotów jestem iść razem z wami i wykazać, że u mnie nie ma ani jednego pijanego”.

Poszliśmy. Nietrudno było zapamiętać wagony z pijanymi konwojentami. Były to trzy ostatnie wagony pociągu. Wdrapaliśmy się teraz na pierwszy z nich, zaglądamy do szoferki; melduje się nam siedzący tam konwojent. W sąsiednim wagonie nie ma nikogo. W kolejnym konwojent zatrzymuje nas okrzykiem: „Stój! Kto idzie?”.

Kierownik transportu protekcyjnym tonem mówi do mnie: „Musieliście poruczniku pomylić transporty. Stoimy na dużej stacji, ruch tu ogromny, ciemno, nietrudno o pomyłkę. Proszę do mnie, do wagonu, na chwilę odpoczynku i może mały kieliszek na rozgrzewkę.” Nic nie odpowiedziałem; poszliśmy w kierunku wagonu osobowego. Wewnątrz

kapitan wyciągnął butelkę, ktoś szykował szklanki (wówczas wypicie w takiej sytuacji „kielicha” nie było poważnym naruszeniem regulaminu). „Panie kapitanie, przerwałem mu, chętnie wypiję, ale wpierw muszę do końca wypełnić moje obowiązki. Jaki jest stan ludzi w tym transporcie?” – Bez wahania podał mi liczbę, chyba około 50-ciu. „No to proszę zrobić zbiórkę.” „Sierzancie, za trzy minuty wszyscy mają się zebrać tu przed wagonem, zostawić tylko 2 ludzi na posterunku na końcu pociągu”. Nie mierzyłem czasu, ale wkrótce przed wagonem stało w dwuszeregu dokładnie tylu ludzi ile wynosił stan, minus dwóch pozostawionych na posterunku. Wszystko się zgadzało.

Nie ulegało dla mnie wątpliwości, że podał mi mniejszy stan ludzi od rzeczywistego i zdołali usunąć wszystkich nie nadających się do pokazania oficerowi dyżurnemu garnizonu. Organizacja imponująca. Tak mogła zachować się tylko grupa dobrze zgranych, frontowych żołnierzy. Przyjąłem wyjaśnienie za dobrą monetę. Przeprosiłem komendanta transportu za nieporozumienie; wypiliśmy po „kielichu” dobrego samogonu, pożegnałem się i wyszedłem z wagonu.

Kapitan wyszedł za mną. „Odprowadzę was, a przy okazji skontroluję jeszcze raz cały transport”. Szliśmy przez chwilę w milczeniu. Wreszcie, z pewnym wahaniem, powiedział: „pierwszy raz oficer dyżurny garnizonu zwrócił się do mnie ‘panie kapitanie’, a nie ‘obywatelu kapitanie’ i do tego jeszcze mnie przeprosił i to przy ludziach”. Odpowiedziałem: „Należało się to panu za wzorowe wybrnięcie z tej sytuacji i za tak zgranych podwładnych”.

„Nie wygląda pan na to, ale chyba także był pan na froncie?” – Byłem. „Można wiedzieć gdzie?” – W Warszawie, w Powstaniu. „Cieszę się, że na pana trafiłem, może się jeszcze kiedyś spotkamy”.

Zasalutował, uściśnął mi rękę tak, że o mało nie jęknąłem i poszedł wzdłuż wagonów transportu. Po kilku krokach odwrócił się do mnie i powiedział: „Tak naprawdę to mam o 20 ludzi więcej”. – Tak właśnie myślałem. Czołem panie kapitanie! „Czołem panie poruczniku; życzę powodzenia”.



Miałem służbę oficera dyżurnego Szkoły. Siedziałem w nocy w pokoju służbowym i robiłem nadludzkie wysiłki, żeby nie zasnąć. Na stole leżał przede mną skoroszyt z rozkazami dziennymi Szkoły. Trudno uznać je za pasjonującą lekturę. Zacząłem je jednak czytać, żeby nie zasnąć. Nagle natrafiłem na fragment, który mnie zainteresował. Przeczytałem raz i drugi, przetarłem oczy i jeszcze raz. Sens jego był następujący: Przypominano oficerom i podoficerom zawodowym, że obowiązuje ich zakaz podejmowania jakichkolwiek prac zarobkowych. Jedynie lekarze (i chyba prawnicy) mogą takie prace podejmować po uzyskaniu specjalnego zezwolenia. Jednocześnie informowano, że wolno publikować w prasie różnego rodzaju oraz wydawać książki naukowe, zawodowe i beletrystyczne, jeżeli ich treść nie narusza tajemnicy wojskowej lub służbowej.

Teraz wszystko jest jasne. Wolno pisać, więc będę pisał. Nie wiem jeszcze co i gdzie będę to publikować, ale będę, bo jest to jedyny dostępny mi sposób zarobienia dodatkowych pieniędzy. Miałem już jedną publikację techniczną, jeszcze jako student. Więc będę pisać.

Przy najbliższej okazji poszedłem do biblioteki i wziąłem po kilka ostatnich numerów dostępnych tam rosyjskich czasopism technicznych. Znalazłem w nich jakieś nowinki i wysmażyłem na tej podstawie artykuł do *Wojskowego Przeglądu Samochodowego*. Złożyłem go memu bezpośredniemu przełożonemu do zaakceptowania. Po kilku dniach zostałem niespodziewanie wezwany do komendanta Szkoły.

Okazało się, że byłem pierwszym autorem artykułu do czasopisma technicznego wśród kadry szkoły. Byli w niej „zawodowi” pisarze panegiryków do prasy wojskowej i politycznej o działalności szkoły i sukcesach jej kadry oraz podchorążych, ale do prasy technicznej nikt jeszcze nie próbował pisać. Otrzymałem błogosławieństwo dla dalszej działalności pisarskiej, zezwolenie na korzystanie po godzinach pracy ze sztabowej maszyny do pisania. Na comiesięcznej odprawie oficerskiej, ku memu zdumieniu, otrzymałem oficjalną pochwałę.

Artykuł został przyjęty do druku i ukazał się, jak na miesięcznik, bardzo szybko, bo już po 3 miesiącach. Nie

pamiętam ile wynosiło honorarium autorskie, ale było dość wysokie. W każdym razie, w stosunku do mojej pensji oficerskiej. Liczyło się w moim budżecie.



Pewnego dnia, jeden z kolegów poprosił, abym wpadł do niego do domu po południu i pomógł mu w przygotowaniu konspektu na jakiś temat techniczny. Zdziwiłem się nieco, bo był to jeden z najlepszych wykładowców, ale poszedłem do niego. Napisaliśmy wspólnie konspekt. Żona jego przygotowała skromny podwieczorek. Porozmawialiśmy razem chwilę o naszych codziennych sprawach i kłopotach, po czym poprosił mnie o wyjaśnienie pewnego interesującego go problemu technicznego, wykraczającego poza program szkolenia. Zrobiłem cały wykład na ten temat, po czym pojawiły się nowe pytania, dodatkowe wyjaśnienia, rozwinęła się dłuższa dyskusja. Przerwała ją jego żona prosząc nas na kolację. Byłem zaskoczony, tłumaczyłem, że mam kolację w kasynie, ale zostałem niemal siłą zatrzymany.

Po kilku dniach podobne zaproszenie dostałem od innego kolegi, po tym jeszcze innego. Przebieg był za każdym razem jednakowy. Wspólne przygotowywanie konspektu, dłuższa dyskusja na tematy techniczne i ... kolacja. Doszedłem wkrótce, że koledzy wykładowcy cyklu technicznego zorientowali się w mojej sytuacji finansowej, że zdarzało mi się nie jeść obiadu lub kolacji w kasynie, aby oszczędzić parę groszy i opracowali „grafik wspólnego przygotowywania konspektów kończącego się ... kolacją”. Większość z nich była w lepszej ode mnie sytuacji finansowej (pomimo podobnych pensji), bo mieli oparcie w rodzinach na wsi i dostawali solidne paczki żywnościowe. Po odkryciu „grafiku zaproszeń” byłem zażenowany, ale jednocześnie podziwiałem ich koleżeński stosunek do mnie i delikatność z jaką całą tę sprawę zorganizowali i przeprowadzili.

Odkryciem „grafiku” podzieliłem się z kapitanem Pa-górskim, z którym byłem zaprzyjaźniony. Wiedział o całej sprawie, delikatnie poinformował o moim odkryciu wszystkich zainteresowanych. Od tej pory byłem zapraszany na

kolację lub niedzielny obiad, zupełnie niezależnie od tego, że czasami któryś z kolegów prosił mnie o pomoc w sprawach technicznych. Wszyscy moi koledzy pochodzili z bardzo prostych rodzin. Rodzice niektórych z nich byli analfabetami. Skąd u nich tego rodzaju inicjatywa i taka delikatność w jej przeprowadzeniu? Nigdy nie dowiedziałem się kto był inicjatorem całej tej akcji.

●

W dowództwie szkoły znane były moje kłopoty rodzinne. Wiedziano o moim ciężko chorym ojcu inwalidzie i o żonie, która się nim opiekowała, a mieszkała z dzieckiem na drugim końcu Warszawy. Staralem się przynajmniej raz w miesiącu dojeżdżać na niedzielę do Warszawy. Oznaczało to dwie kolejne noce w pociągu (sobota była w tym czasie normalnym dniem pracy), a także poważny wydatek finansowy na bilety kolejowe.

Pewnego dnia wezwano mnie do sztabu i zaproponowano dostarczenie w sobotę poczty do departamentu służby samochodowej w Warszawie. Mogłem wyjechać w piątek na noc, i być dwa dni w Warszawie. Zgodziłem się z radością. Od tej pory miałem zapewniony jeden tego rodzaju wyjazd służbowy w miesiącu, a czasami nawet dwa. Wyjazd do stolicy nie był dla moich kolegów specjalną atrakcją (dwie noce w pociągu). Na ogół do tej pory za każdym razem jeździł z pocztą kto inny. Teraz zostałem „etatowym poczmistrzem”. Sprawa dla maszyny biurokratycznej drobna. Komuś jednak chciało się nad nią zastanowić, podjąć decyzję i naruszyć ustalony od dawna porządek, żeby ulżyć mi w trudnej sytuacji rodzinnej.

●

Było to jesienią 1951 roku. Wróciłem do domu po obiedzie w kasynie bardzo zmęczony. Miałem przez ostatnie kilka tygodni bardzo dużo pracy, a wiadomości z Warszawy były coraz bardziej stresujące. Wyjątkowo miałem tego dnia wolne popołudnie. Postanowiłem wykorzystać je na odespanie zaległości. Położyłem się w mundurze na łóżku i natych-

miast usnąłem. Obudziłem się wyspany, na dworze było ciemno. Cholera, przespałem całą noc w ubraniu. Spojrzałem na zegarek i przeraziłem się, zasnęłem, chyba już nie zdążę na śniadanie do kasyna.

Ubrałem się błyskawicznie, nie ogoliłem się (co mi się nigdy nie zdarzało), umyłem czubek nosa i wyleciałem z domu jak z procy. Trochę dziwiło mnie, że nie spotykam po drodze nikogo z kolegów. Widocznie wyszli wcześniej. Postanowiłem wpaść jednak do kasyna. Śniadania nie zdążę już zjeść, ale przynajmniej zabiorę ze sobą chleb i wędlinę lub ser. Wbiegłem do kasyna; było w nim pustawo i panował senny nastrój. Dopiero po dobrej chwili zrozumiałem, że to nie jest 7 rano, jak byłem przekonany, lecz 7 wieczór i mam przed sobą kolację i jeszcze całą noc do spania !

Opowiedziałem ze śmiechem tę historię spotkanemu koledze. Nie zdziwił się. „Każdemu z nas zdarzyło się coś takiego przynajmniej raz. Znamy to. Jest to oznaka przepracowania i zmęczenia. Postaraj się odpocząć.” Rada była dobra, tylko bardzo trudna do zastosowania w praktyce. Przez kilka dni usiłowałem „oszczędzać się”. W praktyce sprowadzało się to do nieco wcześniejszego kładzenia się spać. Po kilku dniach wydawało mi się, że przyszedłem nieco do siebie. A może po prostu przyzwyczałem się do warunków pracy i służby w szkole i życia w Pile.



Podczas wizyt w Warszawie wpadałem zawsze do Biblioteki Naczelnej Organizacji Technicznej przy ulicy Czackiego. Była nieźle zaopatrzona w zachodnie czasopisma techniczne. Korzystałem z nich jeszcze jako student i od dawna znałem starszą panią, która była tam bibliotekarką. W zasadzie nie wypożyczała czasopism „na zewnątrz”, ale z pism o tematyce samochodowej prawie nikt prócz mnie w tym czasie nie korzystał, więc „po kumotersku” pozwalała mi wypożyczać interesujące mnie tytuły na kilka dni.

Z pewnym wahaniem zgodziła się teraz na moją prośbę wypożyczać aż na miesiąc (do następnego przyjazdu) najnowsze egzemplarze: miesięcznika francuskiego (*Journal de*

la SIA) i niemieckich (MTZ i ATZ). Wywiązałem się z terminowego zwrotu i bez przeszkód otrzymywałem następnie co miesiąc kolejne egzemplarze czasopism. Pozwalały mi one na śledzenie na bieżąco co się dzieje w mojej specjalności i zapewniały trening we francuskim i niemieckim. Nie przynosiłem tych pism do szkoły, aby uniknąć pytań ciekawskich kolegów, na które nie miałem ochoty odpowiadać. Czytałem je z reguły w nielicznych wolnych chwilach w domu.

Było to chyba na wiosnę 1952 roku. Nie pamiętam już z jakiego powodu przez kilka dni nie było wykładów. Chyba podchorążowie mieli jakieś praktyki, czy ćwiczenia, a może wyjechali pomagać w gaszeniu pożaru lasów w okolicy. Kolejność zdarzeń uciekła mi już z pamięci. W każdym razie mieliśmy kilka ulgowych dni i w szkole zapanował niemal urlopowy nastrój. Wbrew przyjętej zasadzie wzięłem tego dnia wypożyczone zachodnie czasopisma do szkoły. Miałem własny pokój; nie było tam zwyczaju wpadania na pogawędkę, zresztą koledzy wiedzieli, że każdą wolną chwilę wykorzystuję na przygotowywanie artykułów i starali się mi w tym nie przeszkadzać.

Siedziałem więc w swym pokoju i czytałem przyniesione czasopisma, gdy zadzwonił telefon. Mój przełożony prosił, abym wpadł do niego na chwilę w jakiejś drobnej sprawie. Nie schowałem czasopism do szuflady i wybiegłem z pokoju. Gdy wróciłem po chwili, w moim pokoju przy biurku stał jeden z wykładowców i z zainteresowaniem (czemu się nie dziwiłem) przeglądał pozostawione czasopisma. Wymieniliśmy uwagi na temat ich zawartości, przetłumaczyłem podpisy pod rysunkami, które go zainteresowały i wyszedł.

W kilkanaście minut później telefon. Dzwoni oficer informacji (kontrywiadu) i prosi, abym natychmiast do niego przyszedł. Oczywiście wiem już o co chodzi. Mój kolega, zresztą jeden z „akcji kolacyjnej”, nie omieszkał zawiadomić kogo trzeba o podejrzanych materiałach, które zastał na moim biurku. Biorę więc je do teczki i idę na rozmowę.

Rozmowa w atmosferze super grzecznej, ale w stylu dobrze mi już znanym z wcześniejszych kontaktów z władzami bezpieczeństwa. „Skąd macie te pisma? A do czego są wam potrzebne? A dlaczego nie korzystacie z czasopism

radzieckich? Skąd znacie język niemiecki i francuski ?” (Jakby nie czytał mojej ankiety personalnej).

Zanotował wszystkie moje odpowiedzi. Najbardziej zaskoczyła go informacja, że prenumeruję (okazało się, że jako jedyny w tym czasie w szkole) radziecką *Avtomobilnq Promyszlennost'*. Grzecznie podziękował mi i wyszedłem ze „spowiedzi”. Już na drugi dzień zorientowałem się, że atmosfera koło mnie zrobiła się „gęsta”.

Po mniej więcej tygodniu „informacyjny” wezwał mnie ponownie. „Sprawdziliśmy podane przez was informacje. Zgadzą się. Nie mamy nic przeciw temu, że czytacie prasę fachową i interesujecie się co się dzieje w państwach kapitalistycznych. Nie wykorzystujecie tego w celach propagandowych. Więc wszystko jest w porządku, a nawet możecie być dla nas przyteczni. Jesteście jeszcze bardzo krótko w wojsku. Być może wrócimy jeszcze do tej rozmowy.”

Ledwo wróciłem do mego pokoju, telefon. Dzwoni kierownik cyklu technicznego. Przekazuje mi prośbę (!?) komendanta szkoły zorganizowania prasówek, na których przedstawiałbym raz w miesiącu dla wybranej (!?) kadry najświeższe nowinki z zachodniej prasy technicznej. Zgadzam się bez wahania.

Jeszcze tego samego dnia atmosfera wokół mnie zmienia się nie do poznania. Kolega, którego zastałem przy przeglądaniu czasopism na moim biurku, przychodzi, ale nie z przeprosinami czy tłumaczeniem się, lecz żeby mi powiedzieć jak bardzo się cieszy, że wszystko jest w porządku, on przecież spełnił tylko swój podstawowy obowiązek.

W tydzień później jadę do Warszawy. Wpadam jak zawsze do NOT-u, do biblioteki. Moja znajoma bibliotekarka wita mnie okrzykiem „panie Macieju, co się z panem działo, przychodzili tu z UB i przez dwa dni pytali się o pana. Sprawdzali jakie czasopisma, od kiedy i na jak długo pan pożyczał. Wypytywali skąd pana znam, czy pan się tu z kimś spotykał i wiele innych jeszcze pytań, ale już nie pamiętam, byłam strasznie zdenerwowana. Po kilku dniach przyszedł jeden z nich i powiedział, że mogę panu pożyczać czasopisma, nie mają nic przeciwko temu. Ale ile się o pana martwiłam, tego już mi nikt nie odbierze. O co im chodziło ?”

Dookoła Piły były piękne, duże lasy. Nie sprzyjało im sąsiedztwo licznych jednostek wojskowych oraz poligonów; zarówno polskich, jak i sowieckich. Często wybuchały w nich pożary, niekiedy dość groźne. Wtedy na pomoc straży ogniowej zjawiało się wojsko. Także podchorążowie z naszej szkoły. Nie miałem okazji brać udziału w gaszeniu pożaru lasu. Jedyny raz, gdy znalazłem się w grupie jadącej na pomoc straży ogniowej, przyjechaliśmy już po ugaszeniu ognia. Szkołę zaalarmowano „na wyrost”. Pożar ugaszono w zarodku, do tego jeszcze lunął solidny deszcz.

Z wyprawy tej zapamiętałem historię nieszczęśliwego wypadku, który zdarzył się przed kilku laty, opowiedzianą przez jednego ze starszych podoficerów podczas jazdy powrotnej do Piły. Podchorążowie jechali, tak jak my teraz, na otwartych samochodach ciężarowych do pomocy straży ogniowej podczas poważnego pożaru lasu. Samochody jechały wolno leśną drogą. Nie było widać dymu i trudno było zorientować się, w którą przecinkę należy skręcić, żeby dojechać do strefy pożaru. Oficer siedzący w szoferce w pewnej chwili krzyknął do kierowcy „w prawo”. Ten gwałtownie skręcił i zahaczył skrzynią o stalową linkę odciągu słupa telegraficznego stojącego na skrzyżowaniu leśnych dróg. Napięta linka pękła i ... odcięła głowę żołnierzowi siedzącemu na skrzyni samochodu. Wszystko to działo się przy prędkości jazdy dosłownie kilku kilometrów na godzinę.

Historię tego wypadku muszą znać wszyscy podchorążowie i kierowcy szkoły. Pożary wciąż się zdarzają, a na leśnych drogach wciąż stoją słupy telegraficzne (a może telefoniczne) i niektóre z nich utrzymywane są przez odciągi ze stalowych linek.



Obrazek z egzaminów wstępnych. Jestem członkiem komisji egzaminacyjnej z matematyki i fizyki. Poziom zdających bardzo różny, ale na ogół kiepski, choć trafiają się młodzi ludzie dobrze przygotowani i naprawdę inteligentni.

Zdaje chłopak będący klasycznym przykładem tego, że „nie matura lecz chęć szczerza zrobi z ciebie oficera”. Wyciąga

kartkę z pytaniami z elementarnej fizyki. Nic nie umie, a co gorsza nic nie rozumie. Ostatnie pytanie brzmi: „Podaj definicję mocy”. Nie ma żadnej odpowiedzi. Usiłuję więc mu pomóc. – No proszę powiedzieć co to jest moc; przecież to proste pytanie. – Dłuższe milczenie, nagły błysk w oczach i zdecydowana odpowiedź: „moc spirytusu 98%, a wódki 45%”. Wysoka komisja z trudem zachowuje powagę, a delikwent po chwili dodaje: „przeważnie tak, ale są i słabsze, a bywają też mocniejsze”.

●

Pewnego dnia zniknął dyrektor nauk (czyli zastępca komendanta d/s szkolenia) płk Kita, przedwojenny oficer – niestety nie pamiętam jego imienia. Zniknął i przestano o nim w ogóle mówić. Wiele lat później dowiedziałem się, że w ramach wielkiej czystki został skazany na karę śmierci i wyrok wykonano. Później został zrehabilitowany.

Niewiele mogę o nim powiedzieć. Tylko raz miałem z nim do czynienia i to stosunkowo krótko przed jego zniknięciem. Wydał mi się jakiś zamyślony, nie bardzo słuchał co do niego mówiłem. Dziś wiem dlaczego. Atmosfera wokół niego musiała już „gęstnieć” od pewnego czasu.

●

Co jakiś czas przypadała mi służba oficera dyżurnego garnizonu lub Szkoły. Mój pies (airedale terrier „Raf”) zawsze „pomagał” mi ją pełnić. W garnizonie – nie było z tym kłopotu. Pies jeździł ze mną gazikiem i „pomagał” w patrolowaniu miasta. Główne moje zadanie polegało na wyłapywaniu pijanych żołnierzy i odsyłaniu ich do aresztu w Szkole. Raf zdecydowanie wzbudzał respekt pijaczków dla patrolu.

W Szkole Raf siedział ze mną w moim gabinecie lub cierpliwie czekał aż skończę zajęcia. Włączył się wtedy po terenie koszar, najczęściej w pobliżu kuchni. Problem trochę się komplikował, gdy miałem służbę oficera dyżurnego Szkoły. Rano na placu apelowym musiałem składać raport komendantowi. Raf koniecznie chciał także brać w tym udział.

Zamykałem go w moim pokoju, ale zdarzało się, że ktoś zaglądał tam, pies wylatywał i np. siadał grzecznie obok mnie, podczas gdy składałem raport komendantowi Szkoły.

Z początku miałem z tego powodu trochę kłopotów, ale wkrótce wszyscy się do tej nieregulaminowej atrakcji przyzwyczaili. Uprzedzano tylko mnie życzliwie, abym jednak dokładnie zamykał psa, gdy do Szkoły przyjeżdżał ktoś z Okręgu lub z Warszawy.

Raf przydawał się bardzo, gdy miałem służbę oficera dyżurnego Szkoły. W nocy miałem prawo położyć się na leżance w dyżurce, ale w pełnym umundurowaniu. Nie było to najwygodniejsze. Przy Rafie mogłem spokojnie zdjąć kurtkę mundurową i długie buty. Był tak czujny, że ostrzegał mnie dostatecznie wcześniej w przypadku nadchodzącej (bardzo rzadko to się zdarzało) kontroli, abym mógł doprowadzić mój ubiór do stanu regulaminowego.

Pewnej nocy na kontrolę do Szkoły przyjechał SzeF wykszolenia Dowództwa Pomorskiego Okręgu Wojskowego. Nie znałem go osobiście, ale wielokrotnie słyszałem opowiadania, że jest on niesamowitym służbistą, kocha kontrole i zawsze do czegoś się przyczepi. Wylegitymował się dowódcy warty, przedstawił upoważnienie do kontroli i nie pozwolił się odprowadzić do sztabu, gdzie było pomieszczenie oficera dyżurnego Szkoły. Szedł cicho, zapewne chciał zaskoczenia sprawdzić jak w Szkole działają służby.

Miałem tego dnia (a raczej nocy) służbę oficera dyżurnego. Mój pokój mieścił się na pierwszym piętrze w budynku sztabu. Raf usłyszał, że ktoś się skrada; wybiegł cichutko na schody i na dole szczerząc zęby przyparł do muru zaskoczonego tego rodzaju atakiem przybysza. Na szczęście Raf był bardzo czujny i obudził mnie, zanim niespodziewany gość doszedł do budynku sztabu. Zdążyłem włożyć buty i mundur, zapiąć pas i wybiegłem na schody tuż za psem i odciągnąłem go. „Kto tu właściwie pełni służbę wy czy pies?” usłyszałem.

„Ja z psem obywatelu pułkownika. Regulamin tego nie zabrania, a pies jest bardzo czujny i obcego z daleka wyczuje.”

„Hmm, rzeczywiście regulamin nie zabrania; a psa macie czujnego i dobrze wyszkolonego. Trudno was obu tu zasko-

czyć.” Wylegitymował się i poprosił, aby mu towarzyszyć w kontroli Szkoły. Raf widząc, że rozmawiam spokojnie z przybyszem, przestał warczeć i machał przyjaźnie ogonem. Dał się też pułkownikowi pogłaskać.

Nie zapamiętałem nazwiska, które odczytałem z przedstawionej mi legitymacji i upoważnienia do kontroli. Na drugi dzień ktoś mi przypomniał, że Szkołę kontrolował pułkownik X, straszny służbista i aż dziw, że się nie przyczepił do tego, że na służbie miałem ze sobą psa. Jeżeli służbista, no to wiedział, że regulamin tego nie zabrania...



Pod koniec czerwca 1953 roku zostałem wezwany do wydziału kadr Szkoły. Wielokrotnie, jeszcze za życia Ojca, pisałem raporty z prośbą o przeniesienie do Warszawy. Oczywiście otrzymywałem odpowiedzi odmowne. Ale jednak za każdym razem odpowiedź przychodziła w przewidzianym regulaminem czasie.

Tym razem rozmowa znów dotyczyła mojej prośby o przeniesienie. Zaczęła się nieciekawie. Usłyszałem długą przemowę, że jestem potrzebny w Szkole w Pile, że są ze mnie tu zadowoleni, bo bardzo dobrze prowadzę zajęcia dydaktyczne, mam dobry kontakt z podchorążymi i chwalą sobie moje wykłady. Wykładowcy przedmiotów technicznych także korzystają z mojej obecności.

Po raz, nie wiem już który, przypomniałem wszystkie swoje argumenty za przeniesieniem i pretensje, że mój Ojciec, z powodu mego pobytu w Pile, ostatnie lata swego życia spędził w strasznych warunkach. Opowiadałem o tym jak ciężko chory, stary, inwalida bez ręki, przebywał całymi dniami sam w sublokatorskim pokoju, czekając na przyjazd mojej żony, która między karmieniami dziecka, jechała na drugi koniec miasta, żeby mu przywieźć coś do jedzenia i choć chwilę z nim porozmawiać.

„A dlaczego nie oddaliście Ojca do szpitala wojskowego w Warszawie? Miałby tam na pewno dobrą opiekę?”

„Przecież Ojciec nie mieszkał razem ze mną, więc mu szpital wojskowy nie przysługiwał. Próbowałem, odmówiono mi.”

„Ale to można było załatwić. Dlaczego nie przyszlście z tym do mnie?”

W tym miejscu straciłem cierpliwość i panowanie nad sobą. Przecież rozmawiałem w tej sprawie wielokrotnie z Komendantem Szkoły, jego zastępcami, pisałem raporty do wszystkich, którzy teoretycznie mogli mi w tym pomóc. Wygarnąłem to wszystko, denerwując się coraz bardziej.

„A trzeba było przyjść do mnie” – usłyszałem. A po co? Przecież o moich kłopotach rodzinnych wszyscy dokoła doskonale wiedzieli. Jeżeli obywatel major mógł mi w tym pomóc, to trzeba mnie było do siebie wezwać. Teraz dostaję dobre rady, jak Ojciec już nie żyje i nic mu już nie wynagrodzi tej strasznej, samotnej vegetacji.

Nerwy zaczęły mnie ponosić, przeszedłem z regulaminowego „obywatela” na „pan” i wygarnąłem co o tym wszystkim myślę. Szczegółów zupełnie nie pamiętam. Wiem tylko, że w pewnym momencie ochłonałem i zdałem sobie sprawę, że cała ta rozmowa może mieć dla mnie bardzo niedobre konsekwencje.

„No, po tym co tu usłyszałem, mogę was bez problemu zamknąć, albo jeszcze lepiej przenieść, ale do jednostki liniowej w leśnym garnizonie, gdzie do najbliższego miasteczka jest ze 20 kilometrów. Zamiast tego jednak obiecuję, że załatwię wam przeniesienie do Warszawy, tylko to musi jeszcze trochę potrwać”.

„Dziękuję, ale nie wierzę już w żadne obietnice.”

„To już wasza sprawa. Ja swych obietnic dotrzymuję. Jeżeli dalej będziecie chcieli przenieść się ze Szkoły, to wam to umożliwię, ale to musi potrwać jeszcze z pół roku. Możecie w to nie wierzyć, ale lepiej nie opowiadajcie o mojej obietnicy, bo może to tylko utrudnić całą sprawę. No, możecie już odejść. Ale nie dajcie się ponosić nerwom i uważajcie co mówicie, bo możecie wpaść w kłopoty, i to poważne”.

Patrzyłem na mego rozmówcę zdumiony. Pierwszy raz ktoś z przełożonych rozmawiał ze mną normalnie, po ludzku.

„No idźcie już, mam jeszcze dziś sporo pracy”.

Po przyjściu do domu żona zauważyła, że coś się musiało wydarzyć. Nie wiem jak to poznawała, ale nie myliła się w takiej diagnozie nigdy. „Czy znów miałeś propozycję wstąpie-

nia do partii?” Nie, od czasu jak trzykrotnie kategorycznie odmówiłem, dają mi spokój. „To może propozycja ‘transakcji związanej’ za przeniesienie do Warszawy?”

Nie wierzyłem w otrzymaną obietnicę i nie chciałem stwarzać żonie złudzeń. Odpowiedziałem więc, że miałem rozmowę w kadrach, ale tak naprawdę, to nie wiem o co chodziło. Chyba nie bardzo w to uwierzyła, ale nie wracaliśmy już do tego tematu.



We wrześniu 1953 roku zostałem przeniesiony ze Szkoły Oficerskiej w Pile do Wojskowej Akademii Technicznej.

To już zupełnie inna historia, ale może także warta przypomnienia.

Maciej BERNHARDT

Warszawa, dn. 29 września 1999 r.

Tadeusz WYRWA

MONOGRAFIA O PAWLE EDMUNDZIE STRZELECKIM

Truizmem jest – wartym jednak przypominania – nasz brak umiejętności, a często i dobrej woli, propagowania wkładu polskich uczonych do kultury i cywilizacji Zachodu. Tak też było w stosunku do Pawła E. Strzeleckiego, podróżnika po pięciu kontynentach, zwłaszcza Ameryki Północnej i Południowej, oraz wybitnego odkrywcy w Australii, pod wieloma względami pioniera w dziedzinach geografii, geologii, mineralogii i gleboznawstwa. Wśród Polaków – i nie tylko – wiedza o Strzeleckim ogranicza się często do zdobycia przez niego najwyższego szczytu Alp Australijskich, który nazwał Górą Kościuszki, co w rzeczywistości było jednym z mniej znaczących dla nauki jego wyczynów.

W 1997 r., w dwóchsetną rocznicę urodzin Strzeleckiego, ukazała się w Australii, w języku angielskim, bardzo wartościowa książka pióra Lecha Paszkowskiego¹. Zanim mowa będzie o książce, kilka słów o jej Autorze. Pisarz, historyk, miłośnik morza, przed wojną kończy maturę po opuszczeniu, z powodu choroby, Państwowej Szkoły Morskiej w Gdyni. Bierze udział w kampanii wrześniowej, dostaje się do niewoli.

1. Lech Paszkowski, „Sir Paul Edmund de Strzelecki. Reflections on his life”, ARCADIA Australian Scholarly Publishing, Melbourne 1997, str. 370, oraz fotografie i szkice.

Po wyzwoleniu przebywa w strefie brytyjskiej w Niemczech i wiosną 1948 roku wyjeżdża przez Francję do Australii, gdzie pracował m.in. w laboratorium elektrotechnicznym rady miejskiej w Melbourne, a urlopy spędza na morzu, zaciągając się na statki jako marynarz. Jednocześnie podejmuje przerwana przez wojnę twórczość literacką i współpracuje z czasopismami w Australii oraz w Europie, m.in. paryską *Kulturą*, a na łamach londyńskich *Wiadomości* zamieszcza kilkadziesiąt reportaży i szkiców. Publikuje również eseje historyczno-naukowe w języku angielskim. Jest autorem i współautorem kilku książek, w tym pionierskiej też książki, w języku polskim, następnie przełożonej na angielski, pt. „Polacy w Australii i Oceanii w latach 1790-1940”.

Materiał do swojego dzieła o Strzeleckim Paszkowski zbierał, jak pisze we wstępie, od 1953 roku (publikując od 1959 r. kilkanaście na ten temat artykułów). Konsultował ponad 450 książek, 320 artykułów, dokumentację w różnych archiwach, oraz liczne periodyki i listy. Autor podkreśla, że opracowanie pełnej biografii Strzeleckiego jest trudne, gdyż jego prywatna korespondencja i papiery zostały po jego śmierci spalone, a z „Mojego Dziennika”, który pisał po francusku, znane są dotychczas nieliczne tylko strony. Tym większą przeto zasługą Paszkowskiego jest, że zdołał zebrać ogromny materiał źródłowy i – co nie mniej ważne – opracował go z fachową umiejętnością i starannością. Zadanie Paszkowskiego było utrudnione i dlatego, że musiał polemizować z autorami wcześniejszych publikacji, którzy przeważnie świadomie pomniejszyli osiągnięcia Strzeleckiego, lub też po prostu znieważali go, jak to miało np. miejsce w książce Helen Heney pt. „In a Dark Glass...”, na której, niestety, oparli się m. in. naukowcy „Australian Dictionary of Biography”. Nawet strony „Dziennika” i niektóre listy Strzeleckiego, pisane w języku francuskim, były dotychczas niezbyt dokładnie przetłumaczone i dopiero Paszkowski, znając francuski, wiernie oddał ich treść.

Dzieło Paszkowskiego podzielone jest na trzy części i każda z nich składa się z kolei z siedmiu rozdziałów. Następnie załączone są trzy aneksy; pierwszy z nich o szlachcie polskiej, ułatwiający wyjaśnienie zarzutu jakoby Strzelecki po-

dawał się za hrabiego. Bogata bibliografia obejmuje 25 stron, a po nich, na 28 stronach, znajdują się noty do każdego rozdziału. Całość zamyka indeks osób na 10 stronach, brak jest indeksu rzeczowego, ale trudno wszystkiego od Autora wymagać. Nadto w książce zamieszczone są, bardzo przejrzyste wykonane, mapy podróźniczych szlaków wypraw Strzeleckiego, oraz z dużym kunsztem dobrane ilustracje. Trudno wyobrazić sobie wspanialszą jeszcze szatę graficzną od tej, w jakiej została wydana ta książka.

Paszkowski skrupulatnie przebadał wszystkie etapy życia Strzeleckiego. W nowym teraz, pełniejszym ujęciu sylwetki Strzeleckiego, bardziej wyrazista jest też motywacja jego osiągnięć. Po pięcioletnim pobycie w Australii, Strzelecki powrócił do Anglii w 1843 r. i dwa lata później wydał książkę pt. „Physical Description of New South Wales and Van Diemen's Land”, w której opisał wynik swoich badań i odkryć. Książkę przyjęto z dużym uznaniem, o czym świadczą wyrażone wówczas opinie Brytyjczyków na łamach prasy londyńskiej, którym Paszkowski poświęca sporo miejsca i z jakich warto przytoczyć kilka wyjątków. „Strzelecki jest godnym uczniem szkoły Humboldta”². (*Quarterly Review*) „Strzelecki daje dobre streszczenie swoich badań i masę nowego materiału... Jest rzeczą oczywistą, że materiał ten posiada dużą wartość dla kolonistów, którzy zaciągają dług wdzięczności wobec entuzjastycznego cudzoziemca, który poświęcił im tyle czasu i troskliwości” (*Athenaeum...*). „Nie przynosi zaszczytu naszemu narodowi to, że pierwsza naukowa praca o jednej z naszych najważniejszych kolonii pochodzi spod pióra cudzoziemca” (*Times*).

Charles Darwin, po otrzymaniu od Strzeleckiego książki, wysłał do niego list z podziękowaniem i gratulacjami, pisząc: „Jestem zdumiony ilością zasadniczych kwestii, jakie pan podnosi”. Paszkowski zwraca uwagę, że zdobycie szczytu Kościuszki nie zrobiło na Darwinie wrażenia i przypuszcza, iż „mówiąc o ‘zasadniczych kwestiach’, miał być może na myśli filozoficzne refleksje Strzeleckiego o ludzkości, pięknie natury,

2. Alexander von Humboldt – słynny przyrodnik, podróżnik i geograf, badacz Ameryki tropikalnej i Azji Centralnej.

podboju wolnych ludów, niewolnictwie, trudnościach nauki angielskiego, losie tubylców, sposobie bycia tzw. dzikusów, projektach udoskonalenia australijskiego rolnictwa, irygacji Nowej Południowej Walii i Tasmanii”. Wiele z tych refleksji, zaczerpniętych z „Dziennika” Strzeleckiego, znajduje się w odsyłaczach jego książki – pisze dalej Paszkowski – i Darwin ubolewał w liście do Strzeleckiego, iż zostały tam włączone nieliczne tylko strony „Dziennika”, z czego wyciąga wniosek, że Darwina interesowały przede wszystkim humanitarne rozmyślenia Strzeleckiego o doli, a zwłaszcza niedoli ludzkiej.

Paszkowski przekonująco uwypuklił humanitarno-społeczne walory Strzeleckiego, jego współczucie dla tubylców i w ogóle nędzy człowieka. Wymownym tego dowodem było jego oburzenie na skandaliczne traktowanie niewolników w porcie Rio de Janeiro i masakry Indian w Buenos Aires, której był świadkiem i co odnotował – ze szczerym współczuciem dla „ofiar chciwości i barbarzyństwa Europejczyków” – w swojej kronice z 1836 r. Dużą też sympatią darzył Strzelecki australijskich tubylców, co też podkreślił Paszkowski samym już tytułem jednego z rozdziałów swojej książki: „Przyjaciel Aborygenów”. Słusznie również pisze, że Strzelecki może być uważany za prekursora badań antropologii społecznej, które kilkadziesiąt lat później rozwinął i ukształtował Bronisław Malinowski. Osobny też rozdział poświęcił Paszkowski dwuletniej charytatywnej akcji Strzeleckiego w Irlandii, nawiedzonej od 1845 klęską głodową. Powołany w styczniu 1847, przez British Association Committee, do kierowania akcją ratowniczą, Strzelecki wykazał i tutaj talent organizatorski, a w raportach wysyłanych do Londynu, opisując zgrozę przejmującą nędzę i śmiertelność ludzi, surowo krytykował stan zacofania tego kraju i brak pomocy ze strony zamożniejszej szlachty i właścicieli ziemskich.

Strzelecki zmarł w 1873 w Londynie, w domu, gdzie mieszkał od 1855 roku i został pochowany na cmentarzu Kensal Green. Zgodnie ze swoją wolą, żeby nie wystawiać mu pomnika, na grobie umieszczono jednak skromną, marmurową płytę, którą w 1940 r. uszkodził odłamek bomby niemieckiej i w 1943, staraniem rządów polskiego i australijskiego, została złożona nowa płyta z wrytym pod

nazwiskiem napisem w języku angielskim, zaczynającym się od słów: „Badacz, uczony, filantrop...”. W 1997 roku – w szale sprowadzania do Kraju prochów, jaki ogarnął Polaków – nie zostawiono nawet w spokoju szczątków Strzeleckiego i w dwusetną rocznicę urodzin, wbrew ostatniej jego woli, by go nie pchać na narodowe „świeczniki”, prochy jego przeniesiono na wzgórze św. Wojciecha w Poznaniu. Rocznicą ta była okazją nie do jeszcze jednej „repatriacji”, lecz do przypomnienia tego, co dokonał Strzelecki, a jego grób w Londynie – potwierdzeniem więzi, jaka go łączyła z Wielką Brytanią.

W tym też kontekście większego jeszcze znaczenia nabiera dzieło Lecha Paszkowskiego, który z całym pietyzmem dla faktów – i po ich wnikliwej analizie – odtworzył, w literackiej formie i po raz pierwszy w tym wymiarze, życie i wkład Strzeleckiego do powszechnej kultury. Na pierwszy rzut oka może się wydawać, że Autor przeładował swoją książkę zbyt dużą ilością szczegółów. Obawa rozwiewa się po lekturze pierwszych już rozdziałów. Książka jest bowiem napisana barwnym stylem, argumentacja gruntownie przemyślana, a różne błahy na pozór epizody są potrzebne do wyjaśnienia tego, co dotychczas nie było znane, lub też po prostu zniekształcane. W rezultacie monografię czyta się z dużym zainteresowaniem, bo i ciekawe było życie Strzeleckiego.

Tadeusz WYRWA

Jerzy R. KRZYŻANOWSKI

POWIEŚĆ O KRYSYTYNIE SKARBEK

Na okładce odbity w ciemnym lustrze profil półnagiej sylwetki kobiecej. Twarz ukryta w mroku, widoczny tylko cień piersi, częściowo okrytej białym całunem. Nazwisko

autorki, Maria Nurowska. I tytuł „Miłośnica”, neologizm nasuwający raczej negatywne skojarzenia językowe – kochanica? Ladaczniczka? Nierządnica? Ponieważ mam reputację recenzenta raczej sceptycznie ustosunkowanego do współczesnej twórczości naszych pisarek, czemu niejednokrotnie dawałem wyraz, sięgam po książkę ostrożnie, ale bez uprzedzenia – nie wiem nic o autorce, a nazwiska jej nie mogę znaleźć w żadnym z ostatnio wydanych słowników literatury. Dopiero później sprawdzam i orientuję się, że mam przed sobą książkę pisarki publikującej od dwudziestu pięciu lat, w czasie których wydała kilkanaście pozycji, od zbioru opowiadań aż po bieżący bestseller, współczesną trytomową sagę rodzinną „Panny i wdowy”.

Zaczynam jednak, zwyczajowo, od tekstu powieści, znamienne rozpoczynającego się słowami „*Elle avait du chien* – mówią Francuzi. Ktoś powiedział: Wabiła jak suka. Pewnie dlatego kobiety jej nie lubiły. Mężczyzn intrygowała, Ignęli do niej, czuła się jednak przy nich samotna. Czuła się samotna przy mężczyznach, przy kobietach, ze wszystkimi. Często słyhać było jej śmiech. Nie słyhać było jej słów. Dlaczego?... Tak mogłaby się zaczynać powieść o Krystynie Skarbek, gdybym zdecydowała się ją napisać” (s. 5). Początek jak widać dość znamieny, zwłaszcza w zestawieniu z obrazem narzuconym przez okładkę. Znamieny z trzech co najmniej powodów: skojarzeń wyzywającego erotyzmu, historycznego nazwiska i trybu warunkowego w zdaniu ostatnim. Gdybym się zdecydowała? Każdy z tych czynników zasługuje na najkrótsze bodaj omówienie, co pozwoli odważyć się na ocenę zbudowanej z niej powieści.

Zacznijmy od sprawy najbardziej konkretnej, postaci bohaterki. Nie doczekała się należnego miejsca w dziejach Polskiego Państwa Podziemnego, a Jerzy Ślaski w swojej „Polsce Walczącej” wspomina o niej tylko marginesowo, przy innej okazji, jako o „sławnej piękności i nie mniej sławnej superagentce wywiadów francuskiego i brytyjskiego” (T. I, s. 308), mimo że aktywnie działała na rzecz konspiracji i wielokrotnie przechodziła granicę między Słowacją a Polską.

* Maria Nurowska, „Miłośnica”, Puls, Londyn, 1998, s. 234.

Podobnie wyłącza ją ze spraw krajowych Jędrzej Tucholski pisząc w swej znanej pracy: „Pod pozycją 317 listy skoczków figuruje pani Krystyna Skarbak-Giżycka”. Odnotowano tam: „Zrzucana z Włoch w końcu grudnia 1944 z rozkazu p.o. NW gen. Andersa, Krystyna Skarbak-Giżycka, ps. Granville, Folkstone, agentka SOE, nie przechodziła przez Oddział VI, nie była więc cichociemną, tak jak Elżbieta Zawacka, ps. Zo.” A w przypisie powołując się na streszczenie angielskiej powieści o Krystynie Skarbak dodaje, że „zrzut odwołano w ostatniej chwili. Nie można wykluczać, że umieszczenie na liście cichociemnych jest miłym, kurtuazyjnym gestem w stosunku do tragicznie zmarłej koleżanki (została zamordowana w połowie czerwca 1952 r. w Londynie)” („Cichociemni”, s. 183, tamże fotografia Krystyny Skarbak-Giżyckiej, s. 396). A więc raz jeszcze, agentka brytyjska w dodatku do superagentki wywiadu francuskiego. Niewiele tu miejsca na Polskę, na rzecz której przede wszystkim pracowała.

Znacznie bardziej elokwentne są opracowania obce. Tak np. Patrick Howarth w swojej książce „Undercover. The Men and Women of the Special Operation Executive” (1980), poświęconej „przyjaciołom i kolegom z SOE, a zwłaszcza pamięci Christine Granville”, pisze o Krystynie Skarbak, która taki właśnie przyjęła pseudonim, bardzo obszernie, poświęcając szesnaście stronik dokładnego omówienia jej działalności w tej ekskluzywnej organizacji brytyjskiego wywiadu i zamieszczając jej zdjęcie, jedno z niewielu dotychczas publikowanych. W zestawieniu z tak przychylną oceną daną przez człowieka, który znał ją blisko, pierwsza o niej wzmianka w powieści Nurowskiej brzmi jak przykry zgrzyt: na pytanie narratorki „A co to za kobieta?”, pada odpowiedź: „Angielski szpieg” (s. 5). Ciężkie, bolesne, krzywdzące słowo. O ile wiem nikogo, z ludzi Polski Podziemnej, pracujących pośrednio lub bezpośrednio na rzecz angielskiego wywiadu, nigdy tak nie nazwano, ani cichociemnych, ani żołnierzy konspiracji i dywersji. Czy Jan Nowak, przewożąc z Polski do Anglii mikrofilmy cennych dokumentów, może być nazwany szpiegiem? Czy rotmistrz Pilecki, który dobrowolnie dał się uwięzić w Oświęcimiu żeby przekazać raport o tamtejszych warunkach, zasługuje na miano szpiega? Czy – w ostatecznym rachunku

– wywiad AK nie był agendą wywiadu brytyjskiego, a zatem „organizacją szpiegowską”?

Sądzę, że warto najkrócej bodaj przypomnieć biografie Krystyny Skarbek, ażeby rozprawić się z określeniem jej jako angielskiego szpiega.

Urodziła się w 1909 roku, jako córka ziemianina hr. Jerzego Skarbka i Stefanii z Goldfederów, stając się „pół hrabianką, pół Żydówką, co w tamtych czasach było niemal jak skrzyżowanie jamnika z chartem” (!) (s. 10). Po śmierci ojca i stracie majątku Krystyna pracowała w Warszawie, „siedziała za biurkiem, prezentując nogi opięte modnymi nylonami, a takie nylony kosztowały niemal połowę jej pensji” (s. 22). Warto tu autorce przypomnieć, że nylonowe pończochy wprowadzono na rynek w USA dopiero w 1940 r., a przed wojną kobiety nosiły pończochy jedwabne. Jest to jedno z wielu potknięć rzeczowych, jakie znaleźć można w tej książce.

Po krótkotrwałym pierwszym małżeństwie Krystyna poznała Jerzego Giżyckiego i wyszła za niego za mąż w 1938 r., poczem wyjechali do Kenii, gdzie Giżycki objął stanowisko konsula RP i gdzie zastał ich wybuch wojny. Po przyjeździe do Londynu w październiku 1939 r. Giżyccy znaleźli się w kręgu angielskich dyplomatów blisko związanych z wywiadem, a wkrótce Krystyna zaofiarowała swoją pomoc w przesyłaniu do kraju ulotek podtrzymujących ducha i wiarę w trwałą pomoc Anglików. W tym celu wysłano ją do Budapesztu, jako bazy wypadowej do Polski. Poznała tam człowieka, z którego losami związać się miała na długo. Był to por. Andrzej Kowerski, oficer Warszawskiej Brygady Pancerno-Motorowej płk. Stefana Roweckiego, kawaler Virtuti Militari za kampanię wrześniową, rezydujący w stolicy Węgier z zadaniem pomocy w wydostawaniu się z Polski wojskowych potrzebnych do rozbudowy Wojska Polskiego we Francji. Razem zorganizowali kilkakrotnie przejście Krystyny do kraju, przy czym misje jej nie miały w żadnym razie „szpiegowskiego” charakteru. Przeciwnie – zadania propagandowe umiała nawet łączyć ze sprawami osobistymi, a podczas ostatniego pobytu w Warszawie, późną jesienią 1940 r., dowiedziała się o osadzeniu matki w getcie, a wkrótce potem o jej wywiezieniu do Oświęcimia. Kontakty warszawskie miała

niestety nie na Komendę Główną ZWZ, ale na organizację Muszkieterów, utrzymującą bliskie powiązania nie tylko z Anglikami, ale także – jak się okazało z czasem – z Niemcami. W rezultacie Krystyna Skarbek została w Londynie „spalona”: raporty z Warszawy donosiły o jej kontaktach z kierownikiem organizacji Muszkieterów, Stefanem Witkowskim, w latach następnych skazanym przez AK na karę śmierci, a tym samym dyskredytowały jej przydatność dla ZWZ i późniejszej AK, co odbiło się tragicznie na jej dalszych losach. „Otrzymała najwyższe odznaczenia francuskie i angielskie – powie jedna z powieściowych postaci – z polskich ani jednego, nawet zwykłego Krzyża Walecznych, chociażby bez okucia...” (s. 6). Raz jeszcze trzeba zwrócić uwagę autorce i przypomnieć, że okucie na Krzyżu Walecznych oznaczało nie wyższy stopień tego odznaczenia, ale po prostu ponowne nadanie Krzyża. Ale nawet tych „zwykłych”, jak je lekceważąco autorka nazywa, Krzyży nie dawano za darmo – trzeba było na nie zasłużyć istotnie walecznością.

Aresztowana przez Węgrów i obawiając się wydania jej Niemcom, Krystyna wraz z Kowerskim przy pomocy angielskiego ambasadora wydostaje się na Bałkany, a następnie do Turcji, skąd jako Christine Granville i Andrew Kennedy, na polecenie SOE przenoszą się do Kairu. *Nota bene* ambasador, który zaopatrzył ich w brytyjskie paszporty i przeszmugłował Krystynę w bagażniku własnego auta, nazywał się Sir Owen O'Mally, a nie Owen Russell, jak autorka nazywa go. Okres egipski upłynął w stanie zawieszenia spowodowanego koniecznością sprawdzenia przez Anglików lojalności obojga, ponieważ współpraca z organizacją Muszkieterów rzucała poważny cień na ich przydatność do dalszej służby w SOE. Z chwilą, gdy zarzuty zostały wyjaśnione, Kowerskiego przeniesiono do Włoch jako instruktora kursów spadochronowych, a Skarbek, bezbłędnie znająca język francuski, dostała przydział do Resistance w rejonie Vercors, gdzie miała się chlubnie odznaczyć w szeregu legendarnie śmiałych akcji dywersyjnych, po wojnie trwale zapisanych we francuskich i angielskich publikacjach.

Następne lata nie okazały się łaskawe dla wojennej bohaterki. Do Polski wrócić nie mogła i nie chciała, nie miała za-

wodu, ani koniecznych powiązań, a w końcu, zmieniając kolejne przygodne prace, zaangażowała się jako stewardessa na angielski statek, gdzie poznała swego ostatniego partnera, Irlandczyka nazwiskiem Dennis Muldowney. Stosunek ten skończył się tragicznie – zginęła z jego ręki w czerwcu 1952 r.

Użyłem tu określenia „partner” zupełnie świadomie, wkraczamy bowiem w drugą zasadniczą warstwę powieści Nurowskiej, a mianowicie sferę erotyczną. Nie podejmuję się policzyć, ilu partnerów – mężów, kochanków, najbliższych fizycznie przyjaciół – wymienia autorka w biografii Krystyny Skarbek. Miłośnica jest tu określeniem zbyt słabym, sądzę, że lepiej pasowałby medyczny termin nimfomanka, a autorka nie cofa się przed opisem nader intymnych szczegółów związków z różnymi panami, różnych narodowości. Nie wydaje mi się to konieczne ze względów innych niż komercyjne, a w żadnym razie nie pomaga w zrozumieniu psychiki tej niezwykłej kobiety. Sądzę, że bardziej właściwe byłoby podkreślenie wpływu podwójnego dziedzictwa, a co za tym idzie zagubienia własnej osobowości i rozpaczliwych prób jej określenia przez szukanie coraz to nowych, coraz śmielszych przygód. I to niekoniecznie łóżkowych.

Sprawa wreszcie trzecia to forma powieści o skomplikowanych losach Krystyny Skarbek. Nurowska zdecydowała się na narrację w pierwszej osobie, tworząc postać fikcyjnej dziennikarki, która początkowo na czyjeś zlecenie, a potem przez własną ciekawość, próbuje odnaleźć ludzi z Krystyną w przeszłości związanych i o przygodach swoich opowiada, nie ograniczając się zresztą do sprawy Krystyny. Powstaje w ten sposób „opowieść podwójnie opowiedziana” (*twice told tale*, jak to nazwał przed stu pięćdziesięciu laty Nathaniel Hawthorne): raz ustami fikcyjnej narratorki, drugi zaś przez autorkę, która jej relację opisuje, co zostaje wyjaśnione w krótkim posłowiu, dodanym do tekstu powieści. Z posłowia tego dowiadujemy się, że dzienniki Krystyny Skarbek, z których autorka czerpie wiele wiadomości, „powstały w mojej wyobraźni”, podobnie jak zasadnicze dla fabuły powieści rozmowy z Andrzejem Kowerskim. Zabieg tego rodzaju nie dodaje wiarygodności relacjom innym, rzekomo prawdziwym, a tylko upowieściowanym.

Utrudniają też czytanie książki świadome zakłócenia chronologii wypadków, co jest być może zabiegiem bardzo

modnym, ale niezbyt wygodnym dla czytelnika. Zamiast śledzić i tak dostatecznie zawikłaną chronologię wypadków, musi on ustawicznie cofać się, sprawdzać, porównywać, a to zamiast przykuwać uwagę, stale ją rozprasza. Zamierzona zapewne struktura mozaiki zamienia się w dość chaotycznie skomponowane malowidło.

Wspomnieć na koniec trzeba tak często we współczesnej powieści polskiej spotykane niechlujstwo językowe. „Którego dnia Andrzej zjawił się u Krystyny w hotelu, tym samym, w którym potem zginęła. Odstawiony, w marynarce, pod krawatem” (s. 149). Tego rodzaju bardziej niż kolokwialne zwroty (a jest ich sporo), w połączeniu ze stereotypami w rodzaju „dookoła tylko zwały stalowo-sinej wody” (s. 175) obniżają wartość książki, która była bardzo potrzebna, poza bowiem trudno dostępną powieścią biograficzną Madelaine Masson „Christine: A Search for Christine Granville, G.M., O.B.E., Croix de Guerre” (1975) i równie niedostępnymi pracami historycznymi, postać Krystyny Skarbek nie pozostawiła w historiografii i literaturze polskiej wielu śladów. A na dobrą pamięć na pewno zasłużyła.

Jerzy R. KRZYŻANOWSKI

Krzysztof CZYŻEWSKI

STUDIUM ZNIEWOLENIA*

Pewien komsomolski agitator, który przybył do Galicji Wschodniej dobrowolnie, by organizować wybory, tak przemawiał do Stanisława Vincenza, aresztowanego po agresji Sowiec

* Jan Tomasz Gross, „Studium zniewolenia. Wybory październikowe 22 X 1939”. TAIWPN Universitas. Kraków 1999.

na Polskę 17 września 1939 roku: „Pomyślcie – mówił po rosyjsku, patetycznie i wpadając we wzruszenie – po raz pierwszy Związek Sowiecki daje tej biednej uciśnionej ludności tę wielką szczęśliwą okazję. Głosują po raz pierwszy. Więc chociaż trudno z nimi dogadać się, robimy co możemy”. W odpowiedzi Vincenz ironizuje, że i owszem „w naszym kraju znane były różne formy degeneracji wyborów, kiełbasa i wódka wyborcza, i że nie brakło lokalnych szachrajstw wyborczych, bardzo przemyślnych, tylko tego jeszcze nie było, aby rozdawano gotowe kartki drukowane i to tylko na kandydatów jednej partii”.

Jest to zaledwie epizod z książki „Dialogi z Sowietami”, tak jak zaledwie epizodem naszych dziejów najnowszych pozostaje historia wyborów w Zachodniej Ukrainie i Zachodniej Białorusi przeprowadzonych przez władze sowieckie 22 października 1939 roku, dodajmy: epizodem zapomnianym i niedocenianym. Przypomina o tym książka Jana T. Grossa, którą czyta się jednym tchem, zanosząc się śmiechem zamierającym co chwila w przerażeniu lub gorzkiej refleksji nad naturą systemu totalitarnego.

Autor m.in. „Polish Society Under German Occupation – Generalgouvernement, 1939-1944” (1979), „Revolution from Abroad. Soviet Conquest of Poland’s Western Ukraine and Western Belorussia” (1988) oraz „Upiorna dekada. Trzy eseje o stereotypach na temat Żydów, Polaków, Niemców i komunistów. 1939-1948” (1998), w swej ostatniej książce posługuje się tą samą, opanowaną do mistrzostwa metodą, która tak znakomite rezultaty przyniosła we wcześniejszych pracach: materiały źródłowe gruntownie zbadane przez historyka stają się przedmiotem „dekonstrukcji” wnikliwego analityka, która zostaje przyprawiona czasami aż porażającym swą zwięzłością i celnością komentarzem wyrafinowanego stylisty.

To, co uczynił Vincenz, spisując na prośbę pisarza i wydawcy francuskiego, Jeana Rounaulta, swoje wspomnienia sowieckie, na swój sposób uczynili żołnierze armii Andersa i ich rodziny, ludzie pochodzący z obszarów okupacji sowieckiej, którzy uczestniczyli w wyborach październikowych z 1939 roku. Uczynili to na rozkaz swego dowódcy, który w 1943 roku polecił im wypełnienie ankiety, mającej na celu „odtworzyć okoliczności, w jakich odbywały się wybory i plebiscyt na ziemiach polskich okupowanych przez ZSRR”. Około 12.000 kwestionariuszy ankietowych zachowanych w archiwach Instytutu Hoovera w Kalifornii to źródłowy materiał historyczny, na którym oparł się autor „Studium zniewolenia”.

Dlaczego zarówno dla generała Andersa, który pracę ankietową traktował jako jedno z najbardziej priorytetowych zadań tamtego czasu, jak i dla wybitnego historyka najnowszych dziejów Polski, problem wyborów październikowych jest tak istotny? Przecież cała sprawa od początku była wielką fikcją, która zdawała się zaklepywać tylko formalnie stan, o którym wcześniej zadecydowały gabinetowe rozmowy dyktatorów i armie. Pierwsza odpowiedź pióra Jana Grossa pada już na samym początku książki: „Skutki (...) tych wyborów pozostają w mocy do dziś, skoro na ich wyniki właśnie powołano się przyłączając olbrzymie obszary państwa polskiego do ZSSR. Wkrótce ten stan rzeczy został potwierdzony przez układy międzynarodowe (pomijając drobne korekty granic) i choć ZSSR z czasem przestał istnieć, to ani Lwów, ani Wilno, ani przeszło 100.000 kilometrów kwadratowych bardzo malowniczych krajobrazów już nigdy nie powróciło do Polski. Wydarzenie to 60 lat temu robiło ogromne wrażenie, zasadniczo zmieniało życiorysy ludzi i było przedmiotem negocjacji najpotężniejszych wówczas mężów stanu na kuli ziemskiej”. Dla generała Andersa i innych polityków polskich (choćby profesora Stanisława Kota, od 1941 roku ambasadora w ZSSR, który był inicjatorem zbierania materiałów antysowieckich) w roku 1942, kiedy sprawa przyszłych granic Polski pozostawała jeszcze otwarta, rzeczą niezmierniej wagi było bezsporne wykazanie, że te wybory były jednym wielkim oszustwem.

Warto odnotować, że z polskiej strony pojawiły się też próby „zakłamania” z kolei zeznań świadków podanych w ankietach. Gross cytuje „Notatkę Służbową” porucznika Telmany’ego z Biura Dokumentów Armii Andersa, który w odpowiedzi na kłamstwa bolszewików sugerował podobne metody stronie polskiej: „Nie ma bowiem relacji, w której nie znalazłby się bodaj jeden epizod, ustęp czy zdanie, kryjące w sobie akcenty antysemitki, antyukraińskie, czy też opisujące fakty opowiedzenia się części naszej ludności w październiku 1939 po stronie czerwonej. Jedyne życiowe rozwiązanie to właśnie cenzura polityczna i eliminacja głosów mogących nam zaszkodzić”. W praktyce miało to oznaczać przepisywanie świadectw ankietowych na maszynie z odpowiednimi poprawkami. Na szczęście materiały zachowały się w swej oryginalnej postaci, a profesor Sukiennicki, pod którego opieką naukową dokonano w 1944 roku w Ośrodku Studiów w Londynie pierwszego ich opracowania, odniósł się bardzo krytycznie do tego rodzaju praktyk i zadbał o skrupulatne dochowanie wierności źródłom.

Kolejne rozdziały książki, krótkie, dynamiczne, ilustrowane przedwyborczymi plakatami tamtego okresu, przedstawiają kulisy wielkiego spaktaklu propagandowego, który na tyle był absurdalny i surrealistyczny, że niepodobna było uwierzyć w jego skuteczność. A jednak. Cel zainscenizowania na wielką skalę cyrku wyborczego przez Sowietów Gross ujmuje następująco: „usiłowano stworzyć pozory, że podbój tych ziem nie był wcale konsekwencją zbrojnej interwencji dokonanej przez państwo ościenne, tylko jakimś spontanicznym aktem samostanowienia miejscowej ludności”.

Czynnikiem niewątpliwie sprzyjającym realizacji takiego scenariusza była fatalna polityka rządu Polski międzywojennej wobec mniejszości narodowych. Nie ulegało wątpliwości, że Sowietci będą się starali umiejętnie grać tą kartą wobec Ukraińców, Białorusinów i Żydów. Pomimo tego jednak, by osiągnąć tak nakreślony cel, który oznaczał w praktyce wciągnięcie milionów ludzi do gry w teatrze absurdu, trzeba było stworzenia nie lada maszyny, która w swej totalności i skuteczności przypominać może współczesne wizje wszechmocy mediów, jak przedstawili to choćby autorzy filmu „Truman Show”. Metody Sowietów, nieporównanie bardziej prymitywne i barbarzyńskie od tych, którymi posługuje się współczesna technika i psychologia, posiadały jednak swą skuteczność. Jan Gross wtajemnicza nas po kolei we wszystkie elementy tej machinerii: kalendarz wyborczy, ustawodawstwo wyborcze, wszechobecność i skuteczność propagandy wyborczej (system dziesiętny, tzn. jeden agitator na każde 10 osób), metody agitacji, przymus uczestnictwa, spisy wyborców, dobór kandydatów na posłów (szczególna rola ludzi z marginesu społecznego), organizację przestrzeni lokali wyborczych, sam przebieg głosowania, reakcje na protesty, obliczanie głosów i manipulowanie statystyką wyborów.

Dzięki temu, że autor „Studium zniewolenia” potrafił spojrzeć na pewne wydarzenie historyczne jakim były wybory październikowe, jak na wielki spektakl, który rządzi się swoistymi prawami dramaturgii, otrzymaliśmy książkę wielobarwną, żywą, wydobywającą aspekty niedostępne dla suchej analizy historycznej. Jest to opowieść o świecie, w którym pada tylko jedno pytanie: „kto przeciw?”, w którym milczenie „przestało być oznaką niezaangażowania i stawało się, na odwrót, sposobem uczestnictwa”, „w którym nie wyróżniając się niczym, gubiąc się w tłumie, było się ‘za’”, w którym widz stawał się aktorem a aktor widzem („bo przecież to nie zebrana publicz-

ność przyglądała się organizatorom tych spotkań [agitacyjnych], tylko na odwrót”), w którym o tym, co nastąpi po wyborach, mówiono nie w trybie przypuszczającym, lecz oznajmującym; w którym najbardziej stosowną cechą człowieka była anonimowość i wymiennność; w którym tłem dla wszystkiego pozostaje niezmiennie radosny festyn ludowy.

W zakończeniu książki Jan Gross jeszcze raz próbuje odpowiedzieć na pytanie dlaczego wybory październikowe z 1939 roku są tak ważnym wydarzeniem w naszej historii. Odcinając się od głosów bagatelizujących wagę całej sprawy (jak choćby Władysław Broniewski, który pisał o spokojnym głosowaniu „w atmosferze ironii ze strony Polaków odnośnie formy i treści tych wyborów”) autor formułuje kilka odpowiedzi, z których każda brzmi jak osobny akapit traktatu moralnego, bardzo bolesny, którego powinniśmy być świadomi chcąc stawić opór każdemu systemowi władzy absolutnej: „Była to (...) pierwsza systematyczna transfuzja sowieckich obyczajów w życie codzienne mieszkańców ziem świeżo zdobytych przez Armię Czerwoną. (...) W tym dziwnym spektaklu wszyscy ukazujemy się sobie nawzajem w akcie zdrady i sprzeniewierzenia własnym poglądom. Czy będziemy wobec tego mogli liczyć na siebie nawzajem w przyszłości i w imię jakich wartości? (...) Poczynając od wyborów październikowych, przeważająca większość mieszkańców Zachodniej Ukrainy i Zachodniej Białorusi, która wrzuciła głos do urny, nie była już całkiem w porządku; w jakiś sposób ludzie stracili wtedy niewinność; od tej pory mieli już swój wkład w nową rzeczywistość. Bowiem jedyna interpretacja, w świetle której bezsens wymuszonego uczestnictwa w tych wyborach przestaje być zagadką, to taka, że Sowiecom bynajmniej nie chodziło o to, żeby z miejscowej ludności zrobić swoich zwolenników albo nawet klakierów, ale o to, żeby przynajmniej w jakiejś mierze uczynić z niej swoich współników”.

Krzysztof CZYŻEWSKI

KSIĄŻKI NADESŁANE

- BANACH (Edward). *Nad Wołgą i Donem*. Wspomnienia tułacza po ziemiach ZSRR w latach 1941-1944. Str. 81. Instytut Historii Uniwersytetu w Białymstoku, Białystok 1998.
- BOBRZYŃSKI (Jan). *O kwestiach ustrojowych Drugiej Rzeczypospolitej*. Str. 257. Wydawnictwo Sejmowe, Warszawa 1998.
- Bracia zza Buga*. Wspomnienia z czasu wojny. Zebrał J. Turnau. Str. 173. Wyd. UMCS, Lublin 1999.
- BUKOWSKI (Władimir). *Moskiewski proces*. Dysydent w archiwach Kremla. Przekład z angielskiego J. Darczewska, J. Derwojed, G. Lipszyc, L. Masiulanis, H. Paczuska, M. Putrament. Str. 743. Bertelsmann Media, Warszawa 1999.
- Catalogue of Non-Censored Press in Belarus: 1971-1990*. Oprac. J. Łauryk, L. Androsik. Str. 170. Modern History Archive, Miensk 1998.
- CORBIN-SCHUFFELS (Anne-Marie). *La force de la parole*. Les intellectuels face à la RDA et à l'unification Allemande (1945-1990). Str. 279. Presse Universitaires du Septentrion, Paris 1998.
- DOBROŃSKI (Adam). *Białystok – historia miasta*. Str. 215. Zarząd miasta Białegostoku, Białystok 1998.
- DZIEWANOWSKI (Marian K.). *Napoleon Bonaparte*. Kochanek. Polityk. Mistrz propagandy. Str. 276. Alta 2, Wrocław 1998.
- GELLA (Aleksander). *Zagłada Drugiej Rzeczypospolitej 1945-1947*. Str. 235. Agencja Wydawnicza CB Andrzej Zasieczny, Warszawa 1998.
- GUDZIAK (Borys A.). *Crisis and Reform*. The Kyivan Metropolitanate, the Patriarchate of Constantinople and the Genesis of the Union of Brest. Str. 489. Ukrainian Research Institute, Harvard University, Cambridge 1998.
- HERNIK-SPALIŃSKA (Jagoda). *Wileńskie Środy Literackie (1927-1939)*. Str. 338. Wyd. IBL PAN, Warszawa 1998.
- JANAS (Eugeniusz). *Konfederacja wojska koronnego w latach 1661-1663*. Str. 297. Wyd. UMCS, Lublin 1998.
- JANDA (Witold). *Dotrzeć do świtu*. Wspomnienia z lat wojny. Str. 466. Wyd. Adam Marszałek, Toruń 1998.
- JANIK (Wojciech). *Bitwa pod Skoczowem 28-30 stycznia 1919 roku*. Geneza, przebieg, skutki. Str. 138. IPSE FECIT, Cieszyn 1999.
- KARPUS (Zbigniew). *Wschodni sojusznicy Polski w wojnie 1920 roku*. Oddziały wojskowe ukraińskie, rosyjskie, kozackie i białoruskie w Polsce w latach

- 1919-1920. Str. 230. Wydawnictwo UMK, Toruń 1999.
- Katalog druków zwartych wydanych w Polsce poza cenzurą w latach 1976-1990 w zbiorach Ośrodka KARTA.* Str. 180. Ośrodek KARTA, Warszawa 1999.
- KOCÓJ (Henryk). *Konstytucja 3 Maja w relacjach posła pruskiego Augusta Fryderyka Ferdynanda Goltza.* Wybór. Str. 193. Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego, Kraków 1999.
- KONDERAK (Adam). *Bibliografia prasy opozycyjnej w PRL do wprowadzenia stanu wojennego.* Str. 298. Wyd. UMCS, Lublin 1998.
- KOSIŃSKI (Jan). *Niemieckie obozy koncentracyjne i ich filie.* Oprac. W. Sobczyk. Str. 771. Nakład Drukarni Polskiej „Kontrast”, Stephanskirchen 1999.
- KOZIŃSKA-WITT (Hanna). *Die Krakauer Jüdische Reformgemeinde 1864-1874.* Str. 312. Peter Lang Verlag. Frankfurt 1999.
- LEWANDOWSKI (Edmund). *Rosyjski sfinks. Rosjanie wśród innych narodów.* Str. 215. Książka i Wiedza, Warszawa 1999.
- ŁASZEWSKI (Bolesław T.). *Poglądy i działalność społeczno-polityczna Adama Mickiewicza po roku 1830.* Str. 111. Wyd. Instytut Technologii Eksploatacji, Radom 1999.
- Polish Independent Publications, 1976-1990.* Guide to the Collection in the Hoover Institution Archives. Oprac. M. Siekierski, Ch. Lazarski. Str. 506. Hoover Institution Press, Stanford 1999.
- Polski Słownik Biograficzny.* Skowroński Ignacy-Skrzypek Józef. Tom. XXXVIII/3, zeszyt 158. Str. 321-480. Instytut Historii PAN, Warszawa-Kraków 1998.
- Polskie podziemie 1939-1941.* Lwów -Kołomyja-Stryj-Złoczów, t. I. Str. 1039. Wyd. polsko-ukraińskie. Centralne Archiwum MSWiA RP, Państwowe Archiwum Służby Bezpieczeństwa Ukrainy, Warszawa-Kijów 1998.
- PONARSKI (Zenobiusz). *Wojciech Jaruzelski na Litwie i Syberii w okowach NKWD.* Str. 119. Grafpol Publ., Mississauga-Kanada 1999.
- Postowie i senatorowie Rzeczypospolitej Polskiej 1919-1939.* Słownik biograficzny. Tom I: A-D. Oprac. M. Smogorzewska, A.K. Kunert. Str. 493. Wydawnictwo Sejmowe, Warszawa 1998.
- PRUSZYŃSKI (Mieczysław). *Dramat Piłsudskiego. Wojna 1920.* III wydanie rozszerzone. Przedmowa prof. J. Pajewski. Str. 318. Oficyna Wydawnicza Graf Punkt, Warszawa 1999.
- RAZUMOVSKY (Maria). *Les Razoumovsky 1730-1815.* La saga d'une famille dans la Russie des tsars. Tłum. z niemieckiego O. Demange. Str. 438. Les Editions Noir sur Blanc, Montricher 1999.
- ROMANOWSKI (Andrzej). *Młoda Polska wileńska.* Str. 450. Universitas, Kraków 1999.
- SAWICKI (Jan). *Michał Römer a problemy narodowościowe na ziemiach byłego Wielkiego Księstwa Litewskiego.* Str. 152. Towarzystwo Naukowe w Toruniu, Toruń 1998.
- SAYN-WITTGENSTEIN (Katarzyna). *Koniec mojej Rosji.*

- Dziennik 1914-1919. Przekład z niem. W. Malesa. Str. 312. Noir sur Blanc, Warszawa 1998.
- Sejmy i sejmiki Pierwszej Rzeczypospolitej*. Dokumenty w zbiorach Biblioteki Narodowej. Oprac. Marek i Maria Wrede. Str. 153. Wydawnictwo Sejmowe, Warszawa 1999.
- SEMELIN (Jacques). *Wolność w eterze*. Przekł. z fran. H. Abramowicz. Str. 329. Wyd. UMCS, Lublin 1999.
- Spod Monte Cassino na Sybir*. Deportacja byłych żołnierzy Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie z Białorusi, Litwy i Ukrainy w 1951 roku. Str. 299. Centralne Archiwum MSWiA, Warszawa 1998.
- Straty wojenne*. Malarstwo polskie. Obrazy olejne, pastele, akwarele utracone w latach 1939-1945. W granicach Polski po 1945. Oprac. A. Tyczyńska, K. Znojewska. Str. 320. Ministerstwo Kultury i Sztuki. Bogucki Wydawnictwo Naukowe, Poznań 1998.
- Sussidi per la storia della Polonia*. Red. J.W. Woś. Str. 328. Università degli studi Trento. Facoltà di lettere e filosofia., Trento 1998.
- SZAWŁOWSKI (Ryszard). *Najwyższe państwowe organy kontroli w Polsce w XIX wieku*. Główna Izba Obrachunkowa Księstwa Warszawskiego oraz Izba Obrachunkowa i Najwyższa Izba Obrachunkowa Królestwa Polskiego, lata 1808-1866. Str. 389. Dom Wydawniczy Bellona, Warszawa 1999.
- SZYMANOWSKI (Genadiusz). *Dwanaście lat – wspomnienia z lat 1927-1939*. Str. 312. Wyd. Adam Marszałek, Toruń 1998.
- Śladem zbrodni katyńskiej*. Str. 488. Centralne Archiwum MSWiA, Warszawa 1998.
- TOPOLSKI (Jerzy). *Jak się pisze i rozumie historię*. Tajemnice narracji historycznej. Str. 424. Oficyna Wydawnicza RYTM, Warszawa 1998.
- TOPOLSKI (Jerzy). *Od Achillesa do Béatrice de Planissolles*. Zarys historii historiografii. Str. 168. Oficyna Wydawnicza RYTM, Warszawa 1998.
- Unia Lubelska i tradycje integracyjne w Europie Środkowo-Wschodniej*, Red. J. Kłoczowski, P. Kras, H. Łaszkiwicz. Str. 224. Instytut Europy Środkowo-Wschodniej, Lublin 1999.
- WIELICZKO (Mieczysław). *Jeniecstwo wojenne Polaków w Rosji w latach 1503-1918*. Str. 312. Wyd. UMCS, Lublin 1998.
- WOŚ (Jan Władysław). *Un incontro fra Mickiewicz e Goethe*. Nel 200° anniversario della nascita del poeta polacco. Str. 15. Centro di Documentazione sulla Storia dell' Europa Orientale, Trento 1998.
- Zachodnia Białoruś 17 IX 1939-22 VI 1941*. Wydarzenia i losy ludzkie. Rok 1939. T. I. str. 511. Oficyna Wydawnicza RYTM, Warszawa 1998.
- ZIĘBA (Andrzej A.). *Ukraińcy w Kanadzie wobec Polaków i Polski (1914-1939)*. Str. 400. Księgarnia Akademicka Wydawnictwo Naukowe, Kraków 1998.
- ŻENKIEWICZ (Jerzy). *Ziemiaństwo polskie w Republice Litewskiej w okresie międzywojennym*. Str. 75. Nakładem autora, Toruń 1998.

OKRUCHY HISTORII

Lesław GRUSZCZYŃSKI

ZJAZD HISTORYKÓW WE WROCŁAWIU

Byłoby rzeczą interesującą ustalić jakie miejsce zajmie – w ponad stuletniej historii statutowych zebrań polskich historyków – ostatni, XVI Powszechny Zjazd Historyków Polskich, który odbył się 15-18 września 1999. Dla mnie to wrocławskie spotkanie było równie doniosłe, co kontestujący wobec władzy realnego socjalizmu XIII Zjazd P.T.H. w 1984 roku (Poznań). Poza tradycyjną prezentacją najnowszych ustaleń naukowych wrocławski Zjazd imponował wieloraką mnogością – około 1500 uczestników (70% stanowili nauczyciele historii z Polski, także z Białorusi i Litwy), 31 sekcji specjalistycznych, kilka inspirujących paneli z udziałem gości z Francji, Czech, Izraela i Niemiec, traktujących o ocenach i perspektywach historiografii polskiej, a także europejskiej. Z przyczyn znanych jedynie organizatorom Zjazdu zabrakło we wrocławskim spotkaniu – mimo zaproszeń – historyków z Rosji i Ukrainy. Było to szczególnie odczuwalne podczas dwudniowej sekcji XXVII (Europa Środkowo-Wschodnia i dziedzictwo Rzeczypospolitej), na której ciekawy dyskurs wiedli historycy polscy, litewscy i białoruscy. Podczas czterodniowych obrad wygłoszono 350 (!) referatów i komunikatów naukowych, a w dyskusji wzięła udział trudna do ustalenia liczba uczestników. Zjazd miał reprezentacyjną oprawę zewnętrzną. Wielogodzinną obecność podczas pierwszego dnia

Zjazdu zaznaczyli dwaj prezydenci Rzeczypospolitej – aktualny Aleksander Kwaśniewski i były na uchodźstwie Ryszard Kaczorowski. Ewidentnym przeżyciem dla zebranych było nadanie podczas inauguracji Zjazdu tytułu doktora *honoris causa* Uniwersytetu Wrocławskiego wybitnemu polskiemu mediewiście Gerardowi Labudzie z Poznania.

Prezydent Kwaśniewski przeznaczył na to wrocławskie gremium historyków cały dzień, uczestnicząc w inauguracji Zjazdu w Leopoldinum, plenarnym spotkaniu w Hali Ludowej i dyskusji panelowej na temat „Miejsce Polski w dziejach Europy i świata w okresie drugiego tysiąclecia” (moderator – Piotr Wandycz, USA), a jego dwa wystąpienia przyjęte zostały z życzliwością. Wydaje się, że niektórzy prominentni politycy polscy chcą łączyć swoją aktualną działalność z wiedzą, a nawet erudycją historyczną, co zresztą zaznaczają (Bronisław Geremek).

Godnym uwagi wystąpieniem pozamerytorycznym był głos kardynała Henryka Gulbinowicza, 57-mego ordynariusza diecezji wrocławskiej, licząc od pierwszego biskupa wrocławskiego Jana z 1000 roku. Kardynał Gulbinowicz, sam powojenny egzylant z Wilna, przypomniał m.in. „Niemców stąd wypędzono, ale i nas wypędzono też, i szliśmy na Zachód, na Śląsk”. Widzenie Śląska jako „zwornika” kultur narodowych – polskiej, czeskiej i niemieckiej – tej części Europy znalazło swoje miejsce podczas obrad zjazdowych, również w jednym z trzech referatów programowych (Wojciech Wrzesiński).

Przechodząc do nader pobieżnego przeglądu niektórych tylko sekcji XVI Zjazdu można zastanawiać się, ile racji miał Daniel Beauvois, twierdząc na jednym z paneli, iż istnieją tylko prawdy cząstkowe, zaś te ogólne ulegają transformacji, aby użyć modnego ostatnio nad Wisłą sformułowania z kręgów elit politycznych. Te prawdy niekiedy zdumiewały w swojej rzetelności badawczej jak np. to, iż „Kościół miał kłopoty z jezuitami w pierwszej Rzeczypospolitej” stwierdzone przez referenta-jezuitę, albo fakt, iż senatorowie biskupi koronni uznali uchwały poreformacyjnego soboru trydenckiego 13 lat później, niż tego dokonał król Zygmunt August w 1564 roku. Sekcja XVI Zjazdu „Historia Kościoła” (moderator bp Jan Kopiec) pierwsze samodzielne gremium

historyków Kościoła w powojennej historii zjazdów P.T.H. – poświęcona została w dużej mierze problematyce polskiego Kościoła w kontekście innych religii, Kościoła prawosławnego, unickiego, protestanckiego, religii mojżeszowej i ruchu reformacyjnego.

Ogrom tematyki zjazdowej i skromne rozmiary mniejszego tekstu stwarzają trudne dylematy. Nie można jednak pominąć sekcji VII nt. „Polska 1944-1989” (moderator Krystyna Kersten), która zgromadziła najwięcej uczestników, bo kilkuset, głównie nauczycieli i studentów. Przyznaję, że spotkał mnie tutaj zawód. Referaty i komunikaty typu represyjność systemu komunistycznego w Polsce, kryzysy i mechanizmy sprawowania władzy, modele oporu społecznego, albo „polska codzienność w Peerelu” wydały mi się już dostatecznie wyeksploatowane zarówno w historiografii jak i publicystyce. Prawdopodobnie trafiłem na cykl referatów martyrologicznych tej sekcji, stanowiących, według Romana Wapińskiego, czarną legendę okresu PRL, przejętą w dużej mierze od byłej opozycji antykomunistycznej. Wielka nieobecność złożonej chorobą Krystyny Kersten zaważyła na obradach tej sekcji. Już pięć lat temu w Gdańsku uczona ta zaproponowała ciekawą periodyzację czterdziestopięcioletnia Polski zwanej Ludową.

Z racji swoich zainteresowań niemerytorycznych wybrałem jeszcze dwie sekcje Zjazdu, traktujące o problematyce historycznej Polski i całego regionu środkowoeuropejskiego. Chodzi o sekcję XX „Myślenie o Rosji” i o wspomnianą już sekcję XXVII „Europę Środkowo-Wschodnią i dziedzictwo Rzeczypospolitej” (organizator Jerzy Kłoczowski). Zapowiedziane tematy referatów wskazywały na zainteresowanie ich autorów Rosją końca XIX wieku, jej strukturą społeczno-polityczną i takąż ideologią oraz Rosją po rewolucji bolszewickiej. W referatach o charakterze przyczynkarskim, bez większych konkluzji, znaleźć można było sporo trafnych spostrzeżeń. Teza moderatora sekcji, iż nic nie powstaje *ex nihilo*, w przypadku komunistów rosyjskich nawiązujących do tradycji Piotra I, zdaje się być przekonującą. Trudno się też nie zgodzić, że bolszewizm był wynaturzeniem cywilizacji zachodniej, a część inteligencji rosyjskiej nienawidzącej caratu

(Lenin) była podatna na utopię marksistowską z jej rosyjskimi dewiacjami. Ciekawie w szczegółach przedstawione zostały stosunki polsko-rosyjskie tuż po Wielkiej Wojnie z roku 1918. Lenin np. pomysł J. Piłsudskiego o niepodległości Ukrainy nazwał „warunkiem kryminalnym”, a Woroszyłow polskie zwycięstwo nad Wisłą w sierpniu 1920 roku skwitował w liście do Stalina „przekłeta i uparta Polska”. I wreszcie sekcja XXVII, traktująca o regionie środkowo-europejskim z udziałem Rzeczypospolitej, głównie przedrozbiorowej. Dopiero w XX wieku przyjęto w nauce termin „środkowo-wschodnia” obejmujący ziemie nie tylko byłej Rzeczypospolitej. W literaturze np. francuskiej, Polskę i Rosję określano jako państwa Północy. Wolter nazywał Katarzynę II Semiramidą Północy. Daniel Beauvois przypomniał, iż przez stulecia rejon ten był znacznie zoksydentalizowany i dopiero rozrost imperium rosyjskiego wytworzył wyraźną dwubiegowość, w czym swoje miejsce zaznaczył polonocentryzm. W oparciu o materiały archiwalne rzadko udostępniane przez stronę sowiecką czy rosyjską skonstatowano (Bauvois), iż w poufnych raportach carskich gubernatorów i policmajstrów do 1914 roku dużo miejsca zajmuje polonofobia. Wiek XIX był dla regionu pewnym przełomem – ukształtowały się wtedy kultury i świadomość narodowa litewska, białoruska i ukraińska. Tę ostatnią stymulował Wiedeń i polscy chłopomani z przełomu ostatnich stuleci. Z uwagą przyjęto długą wypowiedź litewskiego historyka Juozasa Tumelisa o litewskiej drodze do własnej kultury i tożsamości. Strona litewska neguje pozytywne skutki np. unii lubelskiej 1569 roku; wiek XIX uznaje jako zintensyfikowaną rusyfikację i polonizację ziem litewskich. Zdaniem Tumelisa na zasadach XIX-wiecznego polonocentryzmu zrodził się lituanocentryzm i jest to dotąd waśń między „braćmi-bliźniakami”. W dyskusji zauważono, iż litewski nacjonalizm z końca ubiegłego stulecia przypomina polską paralelnie działającą Narodową Demokrację. Rozbieżność ocen historycznych strony polskiej, ukraińskiej, litewskiej i białoruskiej utrudnia powstanie wspólnie opracowanego podręcznika historii, o co zabiega od kilku lat nieustrudzony Jerzy Kłoczowski. Do truizmów należy zaliczyć narzekania polskich nauczycieli z Białorusi (7 osób z Brześcia,

3 z Mińska) o trudnościach dydaktycznych spowodowanych brakiem podręczników m.in. do historii i innych pomocy naukowych. W tym wielowątkowym dwudniowym posiedzeniu zderzyły się odmienne racje i interpretacje, na które nakładał się cień kolejnej wielkiej nieobecnej – Rosji. To się wyczuwało w każdym prawie wystąpieniu!

Dwa spotkania panelowe w Leopoldinum pierwszego i ostatniego dnia Zjazdu obejmowały problematykę i reinterpretacje interesujące całe środowisko. Według zamierzeń organizatorów miały to być rozważania historyków o miejscu Polski w Europie w ciągu mijającego tysiąclecia i o wezwaniach polskiej nauki historycznej w trzecim tysiącleciu. Z tego zderzenia myśli i wypowiedzi można w tym miejscu przytoczyć jedynie kilka. Jerzy Kłoczowski ocenił np. unię lubelską z XVI wieku jako ciekawy eksperyment federalizmu europejskiego o społeczeństwie obywatelskim, jak na warunki epoki. Natomiast unia brzeska z tegoż stulecia uznana została (D. Beauvois i J. Tazbir) jako „fatalny krok wobec Wschodu”. Optymistycznie odniesiono się (J. Tazbir) do aktualnego stanu historiografii polskiej i różnorodności podręczników szkolnych. Daje to możliwości wyboru. W innym miejscu stwierdzono, że historia, „Klio to muza mamiąca i sprzedajna” i jest ona zawsze ideologizowana (A. Paczkowski). Piotr Wandycz skonstruował wyraźny postęp historiografii anglosaskiej współczesnej w zrozumieniu specyfiki i problematyki polskiej. Jakub Goldberg przyznał, że „prawie” trzecia część historii narodu żydowskiego związana jest z Polską, a negatywne elementy w stosunkach polsko-żydowskich wypierają znacznie liczniejsze i ważniejsze pozytywy. W wypowiedziach powątpiewano w peryferyjność dziejów Polski i Europy Środkowo-Wschodniej. Ogólnie podobały się błyskotliwe konstatacje Janusza Tazbira, jak „nam zawsze lepiej wychodziły państwa podziemne, niż nadziemne”, albo „siłą polskiej humanistyki jest to, że rozwija się, mimo obchodzenia rocznic”.

Sobotni panel zamykający Zjazd o perspektywach polskiej nauki historycznej w następnym stuleciu był zderzeniem ciekawych ocen i przemyśleń. Warto przytoczyć choćby niektóre. Uznano np. że polska nauka historyczna najlepiej

„ożeniła” marksizm ze zdrowym rozsądkiem, choć pozostaje otwartym problemem, czy jest ona nadal znacząca w świecie, czy tylko jego zaściankiem. Apelowano o odejście od hermetycznego języka naukowego w historiografii, jako zniechęcającego do odbioru społecznego. Jacek Staszewski, były dwukrotny prezes P.T.H., skonstatował m.in., że nauczanie historii w szkole jest sprowadzone przez Ministerstwo do poziomu robótek ręcznych, z fatalnymi skutkami dla edukacji narodowej. Ambiwalentnie przyjęto ministra Andrzeja Wiszniewskiego, obwieszczającego historykom, iż wprowadzenie internetu do badań naukowych jest „większym wydarzeniem, niż druga wojna światowa”. Przyznano zarazem, że w warunkach kolosalnego rozwoju „świata technicznego” stajemy się globalną wioską, z czym nauka historii musi się w przyszłości liczyć. Powątpiewano zarazem, czy historia może być nauką, czy tylko rzemiosłem artystycznym. Marcin Kula w błyskotliwej wypowiedzi poddał krytyce rekrutację i studia historyczne, które uznał za skamielinę. Jego zdaniem warsztat badawczy historyka przerósł cel – myślenie. W polskiej nauce istnieje kult nader wąskich specjalizacji, ucieczka od syntez. Problem ten przedstawiono dość obrazowo: opisanie wioski daje magisterium, powiatu doktorat, a województwa - habilitację. Jaroslav Valenta z Pragi zdaje się widzieć perspektywy nauki historycznej w przyszłej „globalnej wiosce” w sposób pesymistyczny. Grozi nam, już mamy, zalew informacji przy braku metod sprawdzenia ich wiarygodności. Nasz region środkowoeuropejski w warunkach pogoni za zyskiem, z dużym bezrobociem staje się głęboko amoralny, antyhumanistyczny. „Stajemy się obdartusami Europy” skwitował sytuację w regionie nasz czeski przyjaciel. Jaroslav Valenta wyraźnie optował za zachowaniem autonomii regionu środkowoeuropejskiego wobec postępującej globalizacji w sferze kultury, polityki czy mediów. W obradach panelu i niektórych sekcji przewijała się obawa o upolitycznienie, ideologizowanie i mitologizowanie nauki historycznej. Już naczelne hasło Zjazdu „wielkie przełomy” – *les grands tournants de l'histoire* – stwarzało takie niepokoje. Roman Waipiński, referując na sesji plenarnej polskie przełomy XX wieku, lata 1918-1945-1989, próbował zachować dychoto-

miczność nauki historii i polityki. Autor zarzucił współczesnej historiografii polskiej, publicystom, a przede wszystkim politykom, że do obiegu społecznego wprowadzają preparowane mity historyczne, modnie dziś zwane konfabulacją. Polska niepodległość w 1918 jest efektem nie mesjanistycznego poświęcenia narodu, lecz przegranej wojny przez dwóch zaborców i rewolucji bolszewickiej w Rosji. Gdyby nie sprzyjający kontekst międzynarodowy, Józef Piłsudski pozostałby tylko komendantem Strzelca. Dla Romana Wapińskiego rok 1918 jest tylko początkiem przełomu, który trwał całe dwudziestolecie, a data 11 listopada ma znaczenie konwencjonalnego symbolu. Również splot wydarzeń, autor to określa jako „logikę ciągłości przemian dziejowych”, zdecydował o upadku reżimów komunistycznych w Europie w 1989 i 1990 roku. Mniemanie, iż Polska jest „wyzwoliciełką Europy Środkowej i Wschodniej, świadczy o megalomanii byłej opozycji antykomunistycznej. Krytyka PRL, państwa, które było podmiotem prawa międzynarodowego, przez koła opiniotwórcze po roku 1989, jest adekwatna do tej, którą uprawiano w Polsce po 1945 roku wobec Polski przedwrzesniowej. Roman Wapiński poruszył problem *quasi*-historii uprawianej z dużym wzięciem w obecnej Polsce. Efekty XVI Zjazdu w formie ulepszonej dydaktyki historycznej, zwłaszcza twórczych poszukiwań choćby cząstkowych prawd, będą owocowały w przyszłości.

Wrocławski Zjazd Historyków był dużym wydarzeniem w skali całego kraju. Niemieccy goście XVI Zjazdu ocenili go wyżej od frankfurckiego zjazdu historyków niemieckich sprzed roku. Wrocławskie spotkanie historyków było przeglądem intelektualnych i merytorycznych możliwości krajowych ośrodków akademickich. Cieszy stabilna prężność naukowa ośrodka toruńskiego, zaznaczająca się widoczność młodego środowiska naukowego z Białegostoku, smuci i zadziwia chyba marazm, a może regres, innych, do tej pory widocznych na mapie intelektualnej Polski. Wydaje mi się sporym uchybieniem organizacyjnym nieobecność w formie samodzielnej sekcji historii nauki polskiej, mającej tak znaczący dorobek w środowisku warszawskim. We wrocławskim spotkaniu zabrakło wielu samodzielnych pracowników nauko-

wych w randze tzw. profesorów kontraktowych oraz belwederskich. Ich miejsce zajęła liczna grupa historyków młodszej generacji. Zjazdowi wrocławskiemu towarzyszyły imprezy okolicznościowe w muzeach, spośród których „Angielskie malarstwo i grafika XVII-XIX wieku” było prawdziwym rarytasem.

Za pięć lat kolejny statutowy zjazd P.T.H. odbędzie się gdzieś na „ścianie wschodniej” Rzeczypospolitej, może w Białymstoku, może w Rzeszowie.

Lesław GRUSZCZYŃSKI

Janusz CISEK

AMERYKAŃSKI LEGION DLA POLSKI?

W czasie wojny polsko-bolszewickiej Rzeczpospolita nie należała do pupilów prasy zachodniej. I to niezależnie od tego czy zdobywaliśmy Kijów, czy też broniliśmy Europy na przedpolu Warszawy. Tym trudniej przychodziło przełamać uprzedzenia, czy apelować o pomoc, gdy w lipcu 1920 roku wojska bolszewickie zaczęły zagrażać świeżo odzyskanej niepodległości. Na szczęście nie wszędzie postawa rządów odzwierciedlała sympatie społeczeństw. Wraz z przesuwaniem się na zachód linii frontu, sympatie do Rzeczypospolitej zaczęły gdzieś tam przybierać formę ofert służby wojskowej przeciwko bolszewikom. Już na początku lipca 1920 roku do poselstwa w Brukseli zgłosiło się z taką deklaracją około 200 belgijskich oficerów. W komentarzu Ministerstwa Spraw Zagranicznych podkreślono, że: „Objaw ten nie jest zupełnie nowym, gdyż już od roku poselstwo nasze w Brukseli komunikowało nam o zgłaszaniu się ochotników z zapytaniem o warunki służby.” Ochotnicy ci kierowali się, być może, sym-

patiami historycznymi, sięgającymi wstecz do 1831 roku, ale względy tego rodzaju musiały być obce chociażby Duńczykom czy Anglikom. Dla nich najważniejsza była walka z komunizmem. 1 lipca kontradmirał Wacław Kłoczkowski – nasz Attaché Wojskowy i Morski w Londynie informował, że duński kapitan Palludan proponuje zorganizowanie oddziału karabinów maszynowych do walki na froncie polskim. Kapitan, który poprzednio walczył wraz z „białymi” w okolicach Archangielska godził się na przyjęcie ekwipunku i żołdu polskiego. Jego oddział miał liczyć około 100 osób. Naczelne Dowództwo WP zasadniczo godziło się na tę propozycję, polecając jedynie dostarczenie szczegółów oraz kosztorysu. Znaleźli się nawet Anglicy gotowi wesprzeć nas w godzinie próby. Gen. Crosier zgłosił Kłoczkowskiemu propozycję zorganizowania Legionu Brytyjskiego. Sam był poprzednio szefem misji angielskiej w Kownie, znał sprawy rosyjskie z pierwszej ręki, rozumiał niebezpieczeństwo wiszące nad Europą. Jego propozycję przekazano do Warszawy 12 lipca 1920. Wkrótce potem Szef Sztabu Generalnego gen. Stanisław Haller zwrócił się do *attaché* w Londynie z pytaniem o warunki służby, oraz o przypuszczalną liczebność oddziału. Inicjatywa Crosiera miała indywidualny charakter i pozostawała bez związku z polityką Foreign Office.

Sytuacja militarna pogarszała się tak szybko, że oferty tego rodzaju stały się przedmiotem poważniejszych rozważań MS, Ministerstwa Spraw Wojskowych oraz Rady Obrony Państwa. 7 lipca ROP zadekretowała powstanie Armii Ochotniczej, w kolejnym rozporządzeniu z 19 lipca otworzyła drogę do zaciągu ochotników obcych. Nad zasadami zaciągu pracowało także MSZ. W elaboracie z 20 lipca 1920 MSZ stwierdziło, że formacje ochotnicze mogłyby nosić odrębne mundury, że dowództwo nad tymi jednostkami spoczywać będzie w rękę oficerów danej narodowości, oraz że pozostaną one na żołdzie polskim. Przewidywano przyznanie ulg celnych, przewozowych i finansowych.

Uwaga Ministerstwa Spraw Wojskowych, w tym głównie gen. Kazimierza Sosnkowskiego oraz Sztabu Generalnego skierowana była w stronę Waszyngtonu. I to z kilku powodów. Po pierwsze, stosunek do Polski okazany w latach I wojny, w tym

możliwość rekrutacji do armii gen. J. Hallera, był kapitałem świeżej daty, na którym można było operować także w 1920 roku. Odległość od europejskiego teatru działań zwalniała od wielu problemów oraz komplikacji. Jedynie Stany Zjednoczone mogły kredytować większe zakupy sprzętu, oraz zapewnić rekrutację wysoko kwalifikowanych ochotników obsługujących broń techniczne. Co więcej, był już precedens tego rodzaju. Latem 1919 roku podjęto w Paryżu próbę zorganizowania Amerykańskiego Legionu dla Polski. Projekt ten był wprowadzany w życie przez gen. Tadeusza Rozwadowskiego oraz płk. Harry Howlanda – *attaché* wojskowego akredytowanego przy misji Rozwadowskiego z rozkazu gen. Johna J. Pershinga. Kolejną postacią był gen. A.W. Bjornstad, który opracował w dniu 16 lipca 1919 roku szczegółowy elaborat na temat Legionu. Przewidywał w nim rozwinięcie jednostek piechoty, artylerii, oddziałów pancernych a także lotnictwa oddziałów technicznych i sanitarnych. Projekt był odpowiedzią na zgłoszenia demobilizowanych oficerów i żołnierzy „American Expeditionary Force”, którzy nie chcieli powracać za Ocean. Niestety, wskutek oporu czynników politycznych, projekt nie został wprowadzony w życie. Nie po raz ostatni rozbieżności pomiędzy Departamentem Stanu a czynnikami wojskowymi pokrzyżowały szyki przeciwnikom Rosji. Pozostał wszakże precedens, do którego zdecydowano odwołać się latem 1920 roku. Na dodatek, jako surogat Legionu walczyła na froncie polskim Eskadra Kościuszkowska, dowodzona przez mjr. Cedrica Fauntleroya oraz kpt. Meriana Coopera. Żaden ze służących w niej pilotów nie posiadał polskich przodków czy więzów rodzinnych, wszyscy natomiast pragnęli spłacić dług wobec ojczyzny Kościuszki i Pułaskiego, wszyscy deklarowali wrogość wobec komunizmu. W te właśnie nuty uderzali polscy dyplomaci pragnący pozyskać kolejnych Amerykanów. 5 lipca 1920 r. poseł w Waszyngtonie, książę Kazimierz Lubomirski wołał: „...Setki Amerykanów walczą dzisiaj w naszej Armii, tysiące tych, którzy wyemigrowali z Polski wróciło aby wziąć udział w walkach. Linie frontu przekraczają codziennie ochotnicy Eskadry Kościuszkowskiej – rodowici Amerykanie, którzy ideały swych przodków przekładają na język czynów. Ci szlachetni rycerze w pełni spłacili dług wobec Kościuszki i Pułaskiego.”

Niestety, tak jak w 1919, Waszyngton unikał mieszania się w odległy konflikt. Na dodatek Kongres był w okresie wakacyjnej przerwy, zbliżały się wybory prezydenckie, co podwójnie komplikowało nasze starania. Tymczasem wojna zaczęła przedostawać się na pierwsze strony gazet. Dostrzegano coraz wyraźniej zagrożenia w przypadku upadku Polski. Szereg zdemobilizowanych wcześniej weteranów Armii Hallera zgłaszało gotowość powrotu do Polski, polskie placówki dyplomatyczne a także redakcje pism polonijnych alarmowały, że brak jest wskazówek co do traktowania potencjalnych ochotników. Ożywili się wierni przyjaciele Rzeczypospolitej, jak na przykład były *attaché* lotniczy w Paryżu a od 1919 szef nowojorskiego American Flying Club płk Benjamin Castle. Od szeregu miesięcy prowadził kampanię na rzecz uzupełnień dla Eskadry Kościuszkowskiej. Klub był wykorzystywany jako punkt kontaktowy, tu wywieszano ogłoszenia, nawet werbowano. 9 lipca 1920 na łamach *Evening Telegram* Castle wezwał młodzież amerykańską do wstępowania w szeregi Eskadry. Sam uczyniłby to natychmiast, jak pisał, gdyby nie stan zdrowia. Niewątpliwie to jego staraniom zawdzięczać należy lwią część uzupełnień jakie dotarły do Eskadry w czasie wojny 1919-1920. W istocie była to jedyna pomoc w ochotnikach jaka z Ameryki dotarła do Polski.

Szereg tytułów prasy podkreślało potrzebę pomocy. *Baltimore Sun* z 9 lipca pisał na przykład, że jeśli Polska wyjdzie z wojny zwycięsko, będzie silnym państwem, jeśli natomiast zwyciężą bolszewicy, będzie to katastrofa dla świata. W obu przypadkach dojdzie do zburzenia wersalskiego układu sił, w obu, konkludowała gazeta, bezczynność Ameryki jest szkodliwa. Zdarzały się też cięte riposty. Oto na żądanie zatrzymania się wojsk polskich na granicy etnicznej, publicysta *Evening Mail* przypomniał, że wojska amerykańskie nie miały tego rodzaju zahamowań w stosunku do Niemiec w roku 1918. Nie wspominamy tu o głosach krytyki, bo tych zresztą nigdy nie brakowało. W tych kilku tygodniach przeważał jednak nastrój zrozumienia.

14 lipca 1920 roku gen. Brynk donosił z Waszyngtonu: „Zgłasza się stale wielka ilość fachowych oficerów amery-

kańskich do armii polskiej, oraz znaczna ilość Polaków i Amerykanów na żołnierzy. Poseł ma zamiar rozpocząć akcję werbowania, czeka decyzji Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Polacy natarczywie żądają wcielenia do armii.” Nastroje te potwierdzał w kolejnym raporcie Lubomirski, wskazując, że chodzi również o lotników.

Nic dziwnego, że władze polskie starały się ująć i skanalizować entuzjazm zgłaszających się. 6 sierpnia minister spraw zagranicznych Eustachy Sapieha wysłał depezę do Lubomirskiego domagając się poczynienia zdecydowanych kroków w Departamencie Stanu w celu uzyskania zgody na utworzenie ochotniczych pułków artylerii, eskadr lotniczych oraz oddziałów pancernych. Tego samego dnia na adres *attaché* wojskowego w Waszyngtonie Naczelne Dowództwo wysłało elaborat na temat warunków służby. Deklarowano, że ochotnicy otrzymają żołd stosownie do rangi oraz w wysokości przyznanej im we własnym państwie. Jego wypłata dokonywać się miała w walucie polskiej według kursu ustalanego co dziesięć dni. Rodzinom poległych przyznano prawo do zapomóg, w sprawach organizacyjnych zapowiedziano zachowanie komendy, zasad organizacyjnych danego państwa oraz pozostawienie na czele własnych dowódców. Rząd polski zapowiadał ewentualne przejście kosztów organizacji oraz propagandy na rzecz powstania oddziałów. Oczekiwano w zamian, że ochotnicy zadeklarują służbę aż do podpisania pokoju z bolszewikami. Polacy spodziewali się ponadto, że administracja wyda zgodę na zakup po cenach własnych broni, amunicji oraz umundurowania. Ponieważ sytuacja militarna była krytyczna, w ślad za depezą Naczelnego Dowództwa także gen. Sosnkowski depeszował do gen. Brynka aby przy użyciu wszystkich stosunków wysłać do Polski: „tyle kompletnych eskadr lotniczych, bojowych razem z pilotami, ile uda się Panu zebrać. Ilość aparatów i ludzi bez ograniczenia. Eskadry mają być myśliwską grupą do bombardowania, całkowicie wyekwipowaną z dostateczną ilością amunicji, na razie przynajmniej na sześć tygodni.”

Trzeba przypomnieć, że oba dokumenty powstały w dniach krytycznego już zagrożenia niepodległości. Pomimo odległości, także ksiązę Lubomirski odczuwał ciśnienie chwili.

Jego starania w Departamencie Stanu o zgodę na wystawianie indywidualnych dokumentów podróży dla ochotników zawiodły. Nie podjęto także dyskusji nad kwestią organizowania odrębnych jednostek dla Polski. Ostatnią kartą Lubomirskiego był płk Harry Howland, który po powrocie z Europy osiadł w Nowym Jorku. 9 sierpnia Lubomirski zatelefonował do niego, prosząc o wyrażenie poglądów na możliwość utworzenia Ochotniczego Legionu. Już następnego dnia otrzymał w odpowiedzi dłuższy elaborat.

Odpowiedź była w najlepszym przypadku ostrożna, by nie powiedzieć negatywna. Pułkownik wyłuszczył szereg przeszkód. Po pierwsze, należałoby zapewnić sobie przychylność Administracji. Przewidując opór podkreślał, że trzeba w takim razie uzyskać chociażby „zapewnienie ze strony Administracji, że nie zgłasza obiekcji przeciwko zaciągowi Amerykanów oraz ‘Polish-Americans’ do sił zbrojnych walczących na rzecz Rzeczypospolitej. Wymagane jest, aby jakaś forma oficjalnej zgody, czy to pisemnej, czy po prostu werbalnej, była pozyskana przed podjęciem jakichkolwiek kroków.” Poselstwo polskie, pisał dalej, winno wysondować Departament Stanu w sprawie Legionu Ochotniczego, oraz co do możliwości otrzymania paszportów. Niemniej istotny był czynnik czasu, innymi słowy, czy w świetle dramatycznego położenia pod Warszawą wystarczy go na odpowiednie wyćwiczenie ochotników, nie mówiąc nawet o transporcie przez Atlantyk. Kolejną przeszkodą były pieniądze. Biorąc za podstawę przekonanie, że nie dostarczy ich Waszyngton, a nie posiada ich Warszawa, Howland doszedł do wniosku, że jedyną szansą byłoby rozpisanie pożyczki wśród Polonii. Pozostawała ponadto sprawa wyżywienia, umundurowania oraz żołdu, co zdaniem pułkownika winno być oparte na standardach amerykańskich. Howland uważał dalej, że podobnie jak w 1919 roku najlepszym kandydatem na organizatora oraz dowódcę Legionu byłby gen. A.W. Bjornstad.

Niestety, żadna ze wzmiankowanych przeszkód nie mogła być usunięta w krótkim czasie. Departament Stanu unikał wyrażania negatywnego stanowiska wobec Polski, ale nie odpowiadał pozytywnie na noty czy monity Lubomirskiego. Prezydent Wilson był z kolei chory. 9 sierpnia Lubo-

mirski lamentował: „Stanowisko administracji, która nie da uzbrojenia, uniemożliwia zaciąg ochotników, nawet paszporty dla lotników trudno uzyskać.” Co więcej, na 10 sierpnia 1920 datowana jest nota Sekretarza Stanu Bainbridge Colby do barona Camillo Avezzano, w sumie nieprzychylna dla Polski w swej wymowie. Nie pomagały wysiłki Polonii, chociaż te były doprawdy duże. „Amerykański Komitet Obrony Polski” zorganizował 15 sierpnia szereg mitingów w różnych miastach z udziałem lokalnych polityków, kongresmenów, majorów miast. Wiece te uchwały jednobrzmiącą rezolucję, która 18 sierpnia delegacja złożona z 300 działaczy zawiozła do Waszyngtonu. Wręczono ją Colby’emu oraz sekretarzowi prezydenta Wilsona, Josephowi Tumulty. Dr Franciszek Fronczak – komisarz zdrowia miasta Detroit i jeden z szefów Komitetu – poparł ją płomiennym apelem. W odpowiedzi usłyszał słowa sympatii, bez konkretnych zobowiązań.

Lubomirski i Brynk nie pozwolili się tak łatwo zniechęcić. Jeszcze 13 sierpnia Lubomirski wysłał kopię planu przysłanego przez Naczelne Dowództwo do gen. Bjornstada, po tej dacie co najmniej jeszcze dwukrotnie kontaktował się z nim w tej sprawie. Następnego dnia (14 sierpnia) Lubomirski zwrócił się do Colby’ego o kredyt na wyposażenie 3 eskadr lotniczych po 10 samolotów każda, zakup 500 karabinów maszynowych, 120 dział kalibru 75 mm, oraz wyposażenie dla 10 dywizji. Były to poważne ilości sprzętu, czy to w sensie zaopatrzenia potencjalnych ochotników, czy uzupełnień dla już walczących nad Wisłą. Jednocześnie starano się znaleźć rozwiązanie dla kwestii paszportów i wiz. *Attaché* wypracował sposób na obejście obiekcji Departamentu Stanu. Ponieważ otrzymanie paszportów na bezpośredni wyjazd do Polski było niemożliwe, Brynk obmyślił, że ochotnicy deklarować mieli jako kraj docelowy Francję. Każdy z nich miał jednocześnie otrzymać pismo rekomendujące, które Ambasada Polska w Paryżu miała zamienić na wizy. *Attaché* wyszedł także z projektem pokonania niedoborów finansowych. Polegał on na rozpisaniu masowej pożyczki pod hasłem „Help for the Polish Army”. Spodziewał się, że Polonia zdoła wyłożyć na ten cel 1 mln dolarów w ciągu trzech tygodni, następny milion lub dwa w ciągu kolejnych

kilku tygodni. Organizacje polonijne, które wyłożyłyby większe kwoty mogły się spodziewać, że ich nazwy zostaną nadane poszczególnym szwadronom lotniczym. Spodziewano się szlachetnej rywalizacji o prawo do pośredniej obecności na froncie polsko-bolszewickim. Pozyskane w ten sposób środki gen. Brynk planował przeznaczyć na zakup wyposażenia dla lotniczych eskadr oficjalnie zamówionych przez polskie Naczelne Dowództwo. Zakupione w ten sposób samoloty miałyby dopiero po transakcji zostać obsadzone przez ochotników z Ameryki. Potem dopiero planowano sfinalizować wyjazd pilotów do Francji. Stąd już bez paszportów nastąpić miał bezpośredni przelot do Polski.

Sprawa Legionu stała się na tyle głośna, że do Lubomirskiego zaczęli się zgłaszać ludzie oferujący praktyczną pomoc. 18 sierpnia poseł otrzymał list od rzeźbiarza Gutzona Borgluma, który swego czasu wspierał wysiłki Paula Baera. Ten ostatni w końcu 1919 roku obiecywał Paderewskiemu utworzenie kolejnego po „Kościuszkowcach” amerykańskiego szwadronu lotniczego. Borglum pisał, że w związku z planami utworzenia Legionu gotów jest przeznaczyć do wykorzystania swą wiejską posiadłość pod Stamford w stanie Connecticut. W latach Wielkiej Wojny służyła ona jako obóz szkoleniowy dla ochotników czesko-słowackich, posiadała baraki będące w stanie pomieścić do 1000 ludzi oraz podstawowe wyposażenie. Mogła więc znakomicie służyć jako obóz szkoleniowy. Kopię swego pisma Borglum przesłał Colby'emu.

Innym, mniej wykonalnym pomysłem był projekt wysłania do Polski flotyli łodzi podwodnych, które wedle autora projektu, gen. Daniela Appletona mogły operować na wodach o minimalnej głębokości. Nie mniej niewykonalny, choć już nie z technicznych powodów, był apel osobnika o nazwisku Poray, który 6 sierpnia depeszował do Lubomirskiego o pomoc w przetransportowaniu do Polski kilkuset ochotników, których udało mu się zorganizować w Pittsburgu. Po przyjeździe na miejsce wysłannicy konsulatu stwierdzili, że dzielnica o której pisał Poray zamieszкана była głównie przez Greków i Włochów, nie byli też w stanie zlokalizować adresu, gdzie rzekomo przebywać mieli zwerbowani ochotnicy. Oczywiście oba z opisywanych tu projektów trzeba włożyć na

karb rozwiniętej fantazji pomysłodawców, oddają one jednak gorączkową atmosferę lata 1920 roku. Nie oznacza to rzecz jasna, że Howland, Bjornstad czy Lubomirski wykonywali ruchy pozorowane. Poselstwo i kilka konsulatów przeżyły autentyczny zalew pytań o możliwość służby w Polsce. To, że nie udało ich się wprowadzić w życie, zawdzięczamy zwycięstwu Piłsudskiego oraz ostrożności Departamentu Stanu. Można jednak założyć, że w przypadku przedłużania się działań, znalazłby się sposób na przetransportowanie ochotników do Polski – tak jak udało się to jesienią 1919 w odniesieniu do lotników Eskadry Kościuszkowskiej. Na szczęście nie było to potrzebne. Dzięki temu zresztą nie musimy zawdzięczać zwycięstwa obcej pomocy, chociaż trzeba o niej, nawet jeśli nie dotarła na czas, przypomnieć.

Janusz CISEK

Piotr DASZKIEWICZ

JENIEC POLAK W OSIEMDZIESIĄTĄ ROCZNICĘ ZAKOŃCZENIA DZIAŁALNOŚCI

Osiemdziesiąt lat temu, w czerwcu 1919 roku ukazał się ostatni numer, wydawanego przez nieomal dwa lata, *Jeńca Polaka*. Gazeta ta, z założenia tygodnik, wydawana w Le Puy (Departament Górnej Loary), przez Centralną Bratnią Pomoc Jeńców, była pismem Polaków, głównie Wielkopolan, Pomorzan i Ślązaków, żołnierzy niemieckiej armii, francuskich jeńców wojennych. Pismo kontrolowane było przez wojskową cenzurę i oczywiście wydawane za zgodą władz francuskich.

Ostatni, siedemdziesiąty piąty numer ukazał się dziesiątego czerwca 1919 roku. W numerze tym redakcja złożyła podziękowania wszystkim instytucjom francuskim, organizacjom i działaczom polonijnym za życzliwość i pomoc w wydawaniu gazety. Rozliczono także majątek organizacji polskich jeńców wojennych, przekazując Towarzystwu Niesienia Pomocy Naukowej im. Karola Marcinkowskiego w Poznaniu przeszło sto piętnaście tysięcy franków na Fundusz Stypendialny dla polskiej młodzieży, preferując uczniów niezamożnych, pragnących zdobyć wykształcenie zawodowe. Rozliczono także finanse Skarbcza Dzieci Narodu Polskiego, Funduszu Ofiar Wojny w Polsce i Funduszu Bronisława Piłsudskiego. Wcześniej zdecydowano, iż biblioteka i aparat do projekcji filmów zostaną przekazane Towarzystwu Czytelnii Ludowych w Poznaniu (N° 63 z 13 lutego 1919). Godnym podkreślenia jest, iż czasopismo działające w tak trudnych warunkach nie tylko nie pozostawiło długów ale przekazało do Polski pokąźną kwotę na działalność społeczną. Gazeta wspierała finansowo instytucje polonijne, m.in. Muzeum w Rapperswilu (N° 49 z 5 września 1918) i organizowała zbiórkę na „dary dla głodnej dziatwy w kraju” (N° 37 z 13 czerwca 1918).

Oprócz podziękowań i rozliczenia funduszy ostatni, poźegnalny numer nieomal w całości poświęcony został przygotowaniu powrotu do Polski. Artykuł „Stosunki handlowe w Polsce” informował o straszliwej inflacji w kraju i podawał zestawy cen produktów pierwszej potrzeby w polskich miastach. Informowano także jakie produkty należy zakupić we Francji aby ulżyć doli najbliższych i przetrwać pierwsze dni po powrocie. W Polsce brakowało przecież wówczas nieomal wszystkich produktów pierwszej potrzeby: soli, zapalek, mydła, nici, wełny, cukru i tłuszczu, a papierosy i alkohol osiągały na czarnym rynku zawrotne ceny i zastępowały pieniądze. Redakcja radziła więc zaopatrzyć się w te produkty przed powrotem do kraju.

Organizacja jeńców Polaków jest oczywiście najważniejszym tematem artykułów *Jeńca Polaka*. W artykule „W czym leży wartość naszych obozów?” (n° 35 z 30 maja 1918) wskazywano na ważną rolę jaką mogą odegrać obozy jenieckie

w organizacji polskiego życia politycznego i przygotowaniu niepodległości. Artykuł zachęcał do prowadzenia aktywnego życia aby czas spędzony w niewoli nie był stracony. Omówiono pracę dr. Fiszera, szwajcarskiego psychologa o jeńcach (n° 52 z 26 września 1918). Z radością relacjonowano wizytację obozów jeńców Polaków przez przedstawicieli Narodowego Komitetu Polskiego (n° 7 z marca 1919). Redakcja interesowała się losem polskich jeńców wojennych uwięzionych przez wszystkie walczące strony. Apelowano o organizację pomocy dla jeńców Polaków w Niemczech i wysyłanie paczek żywnościowych (n° 18 z 31 stycznia 1918). Informowano „O działalności jeńców Polaków w obozie amerykańskim w St. Pierre des Coups” (n° 74 z 3 czerwca 1919). Nawiązane zostały także kontakty z polskimi jeńcami przebywającymi we Włoszech. Wymieniono korespondencję z uwięzionymi w obozie Santa Maria Capua Vetere (n° 41 z 11 lipca 1918 roku). Przesyłano im głównie żywność, książki i prasę (n° 35 z 30 maja 1918 roku). Informowano o lidze piłkarskiej działającej w obozach jenieckich tego kraju (n° 48 z 29 sierpnia 1918). Zaniepokojenie wywoływała aktywność wywiadowcza służb specjalnych Habsburgów, prowadzona wśród Polaków, więźniów włoskiej armii. Traktowano ją jako poważne zagrożenie dla akcji niepodległościowej (n° 50 z 12 września 1918).

W licznych artykułach omawiano warunki bytowe jeńców podkreślając dobre ich traktowanie przez władze francuskie, zainteresowanie prowadzeniem akcji antyniemieckiej wśród Polaków. Redakcja zdawała sobie sprawę, że los polskich jeńców jest często tragiczny. Informowano o procesie 114 legionistów uwięzionych w Marmosz-Sziged na Węgrzech i oskarżonych o nieuprawniony werbunek, spisek dezercyjny i zamach na całość państwa i kradzież (n° 41 z 11 lipca 1918). Wskazywano na nieprawidłowości procesowe (niedostateczny materiał dowodowy, proces prowadzony po węgiersku bez tłumaczy), żądano interwencji dyplomatycznej i mobilizowano opinię publiczną zarówno Francji jak i Niemiec. Wkrótce zaczęto drukować korespondencje o straszliwych warunkach bytowych i tyfusie panującym wśród uwięzionych legionistów (n° 55 z 17/10/1918). Zamieszczano

także korespondencje o położeniu jeńców Polaków w obozach w Austro-Węgrzech (2 obozy na Węgrzech i 1 w Czechach) i wieloletnich zmaganiach o zezwolenie na wizytację owych obozów przez polskie organizacje (n° 37 z 13 czerwca 1918). Donoszono o rozstrzelaniu przez bolszewików braci Lutosławskich, oskarżonych o próbę formowania polskich oddziałów dla Dowbora-Muśnickiego (n° 53 z 3 października 1918) i informowano o strasznym losie Polaków internowanych przez Ukraińców (n° 58 z 9 stycznia 1919). W ostatnich numerach apelowano o informacje dotyczące Polaków ciągle przebywających w obozach jenieckich (n° 66 z 7 marca 1919).

Jeniec Polak prowadził zakrojoną na szeroką skalę akcję oświatową. Opublikowano cykl lekcji historii i geografii Polski. Organizowano konkursy literackie (n° 69 z 27 marca 1919) i kursy francuskiego. Drukowano nowele Sienkiewicza i Reymonta. Przypominano teksty historyczne jak wyjątki z kroniki Długosza w rocznicę bitwy grunwaldzkiej (n° 41 z 11 lipca 1918 roku) czy „O miłości ojczyzny” Karola Libelta (n° 44 z 1 sierpnia 1918). Relacjonowano pierwszą wystawę francusko-polską w Paryżu (n° 64-65 z 27 lutego 1919). Redakcja zapraszała na odczyt Stanisława Posnera „Jeden z przywódców Powstania Stanisław Krzemiński na tle nieznannej korespondencji” (n° 18 z 31 stycznia 1918). Publikowano „Relacje z obozowych teatrów” (n° 35 z 30 maja 1918 roku). Obchodzono rocznice Konstytucji Trzeciego Maja, śmierci generała H. Dąbrowskiego, Powstania Styczniowego. Prowadzono różnorodną działalność wydawniczą drukując kalendarze, pocztówki ale także popularne broszury m.in. „Z dziejów twórczości polskiej” Z.L. Zaleskiego, „Popularną gramatykę języka polskiego”, „Elementarz polski z czytanką” J. Zborowskiego. W trosce o stan zdrowia jeńców wydano także „Alkoholizm” dr. J. Bieleckiego i „Choroby zakaźne i walka z nimi” dr. W. Kopaczewskiego. Z uznaniem witano założenie kółka naukowego w Clureaux-Mercier (n° 41 z 11 lipca 1918 roku) i przypominano jubileusze postaci ważnych dla polskiej kultury m.in. 80 lat Władysława Mickiewicza (n° 39 z 27 czerwca 1918 roku) i historyka Ludwika Kubali (n° 54 z 10/10/1918). Wielu wybitnych ludzi nauki blisko współ-

pracowało z redakcją *Jeńca*, by wspomnieć jedynie Bronisława Piłsudskiego, który opublikował cykl artykułów „Polacy w Syberii” (wydanej później jako odrębna broszura) czy też Władysława Kopaczewskiego, publikującego popularne artykuły na tematy medyczne i historyczno-naukowe. Wydrukowano także cykl artykułów „Kultura Słowiańska i Germańska” Oswalda Balzera. Czytelnikom przybliżano także polską przyrodę publikując m.in. „Świat zwierzęcy” (n° 18 z 31 stycznia 1918 roku).

Z najwyższą uwagą śledzono zabiegi dyplomatyczne o niepodległość Polski. Przetłumaczono i przedrukowano oświadczenie Najwyższej Rady Sprzymierzeńców w sprawie Polski (n° 37 z 13 czerwca 1918) i oświadczenie Clemenceau w sprawie Polski (n° 50 z 26 września 1918). Z wdzięcznością informowano o życzliwej wypowiedzi Benesa w wydawanym przez niego w Paryżu *La Nation Tchèque* (n° 43 z 25 lipca 1918) i o propolskim oświadczeniu rządu Brazylii „Brazylia za wolną Polską” (n° 48 z 29 sierpnia 1918). Szczególną wagę przywiązywano do polityki amerykańskiej i do akcji Polonii tego kraju, wydrukowano rezolucje Sejmu Obywatelstwa Polskiego w Ameryce (n° 53 z 3 października 1918). Z uznaniem powitano wnioski senatora Hitchcocka o uznanie Komitetu Narodowego Polski przez rząd USA i uznawanie Polaków za obywateli polskich, a nie jak dotychczas poddanych państw zaborczych (n° 48 z 29 sierpnia 1918). Z oburzeniem pisano o aroganckiej reakcji Niemiec na propozycje prezydenta Wilsona. Uroczystie obchodzono rocznicę niepodległości USA (n° 40 z 4 lipca 1918 roku). Później publikowano artykuły o amerykańskiej pomocy dla Polski (n° 63 z 13 lutego 1919).

Jeniec wojenny był pismem założonym przez mieszkańców zaboru pruskiego, nic więc dziwnego, że znacząca część publikacji dotyczyła Wielkopolski i w mniejszym zakresie Śląska, a także sytuacji Polaków w Niemczech. Publikowano oświadczenia posłów polskich, m.in. interpelację Trąpczyńskiego w sprawie zwrotu majątków polskich na Litwie (około 1700), bezprawnie zarekwirowanych przez niemieckie władze okupacyjne (n° 37 z 13 czerwca 1918). W artykule „Golgota polskiego robotnika w Niemczech” przypomniano o bezpraw-

nym przetrzymywaniu przez władze niemieckie 700 tysięcy polskich robotników z Litwy i Królestwa, zatrzymanych w momencie wybuchu wojny (n° 37 z 13 czerwca 1918), opublikowano także interpelacje poselskie Głębińskiego i Trąpczyńskiego w tej sprawie (n° 42 z 18 lipca 1918 roku). Odrębny artykuł poświęcono akcji ratowania zabytkowych dzwonów w Wielkopolsce, uniemożliwiającej rekwizycje i przetapianie na działa (n° 18 z 31 stycznia 1918). Informowano o nasileniu antypolskiej polityki niemieckiej, m.in. zakazie obchodów rocznicy H. Dąbrowskiego w Poznaniu (n° 37 z 13 czerwca 1918), zamknięciu organizacji skautingowych w Poznaniu (n° 38 z 20 czerwca 1918) i o polskiej reakcji na przemoc „Antyniemieckie zamachy w Polsce” (n° 47 z 22 sierpnia 1918). Apelowano o protesty wobec akcji niemieckiej na Górnym Śląsku (n° 72 z 14 maja 1919) i o przeciwstawianie się polskojęzycznej niemieckiej propagandzie na Górnym Śląsku (n° 35 z 30 maja 1918 roku). Nawoływano także do solidarności ze strajkującymi polskimi górnikami w Westfalii (n° 52 z 26 września 1918). Z radością donoszono o zwycięstwie wyborczym Korfantego (n° 37 z 13 czerwca 1918), i o secesji posłów polskich z Wiednia i Berlina (n° 56 z 24 października 1918). Począwszy od pierwszych numerów z 1919 roku w każdym numerze relacjonowano walki Powstania Wielkopolskiego informując np. o zdobyciu Poznania przez oddziały powstańcze. Później wielokrotnie podkreślano antypolską politykę Republiki Weimarskiej „Republika Niemiecka przeciw nam” (n° 59 z 16 stycznia 1919).

Redaktorzy *Jeńca Polaka* byli w pełni świadomi komunistycznego zagrożenia Polski. Zdawali sobie sprawę nie tylko z niebezpieczeństwa agresji ze strony sowieckiej Rosji ale także z siły agitacji komunistycznej w społeczeństwie i armii niemieckiej, której przecież przez krótszy lub dłuższy czas byli żołnierzami: „Agresja bolszewicka i zagrożenie komunizmem” (n° 72 z 14 maja 1919). W artykule „Bolszewizm, Polska, Europa” (n° 66 z 7 marca 1919) sygnalizowali niedocenianie przez Zachód komunistycznego zagrożenia. A w artykułach „Walka Polaków z bolszewikami” (n° 56 z 24 października 1918), „Bestialskie pogromy obywateli ziemskich i polskiej inteligencji na Białorusi” (n° 56 z 24 października 1918),

„Precz z bolszewizmem” (n° 57 z 1 stycznia 1919), „Koncentracja armii bolszewickiej nad polską granicą” (n° 60 z 23 stycznia 1919) i „Najazd bolszewizmu” (n° 61 z 30 stycznia 1919) apelowali o społeczną mobilizację dla obrony Polski.

Z uwagą i zaniepokojeniem relacjonowano także sytuację w Galicji Wschodniej. Informowano o negocjacjach z Niemcami i i hetmanem Skoropadzkim na temat samorządu (n° 43 z 25 lipca 1918), o pozycji krajów ościennych wobec konfliktu „Wsparcie Czechów, Niemców i Austriaków dla Ukraińców w walkach z Polakami” (n° 63 z 13 lutego 1919), „Spisek wiedeńsko-madziarsko-czeski wspierający Ukraińców” (n° 59 z 16 stycznia 1919), „Tajemnicze agitacje dla walk bratobójczych we Lwowie” (n° 53 z 3 października 1918) i o walkach polsko-ukraińskich „Spór o Galicję Wschodnią z Rusinami” (n° 56 z 24 października 1918), „Obrona Lwowa” (n° 58 z 9 stycznia 1919), „O ukraińskich okrucieństwach” (n° 63 z 13 lutego 1919).

Oczywiście relacjonowano także wydarzenia polityczne przełomowe dla odradzającej się Rzeczypospolitej: „Dobre początki armii polskiej we Francji, zwycięska bitwa w Szampanii” (n° 46 z 15 sierpnia 1918), „Warszawa najdroższym miastem Środkowej Europy” (n° 42 z 18 lipca 1918 roku), „Grożba cholery w Galicji” (n° 52 z 26 września 1918) i „Cholera w Chełmie” (n° 53 z 3 października 1918) „O nominacji we Francji generała Hallera na stanowisko Naczelnego D-cy Polskich Sił Zbrojnych” (n° 55 z 17/10/1918) „O formowaniu nowej armii Polskiej na Syberii” i „Uwolnienie Piłsudskiego” (n° 56 z 24 października 1918), „O zniszczeniach wojennych i głodzie w Polsce” (n° 18 z 31 stycznia 1918 roku), „Stan polityczny Polski” (n° 57 z 1 stycznia 1919), „Upadek rządu Moraczewskiego” (n° 60 z 23 stycznia 1919), „Polityka Paderewskiego według jego własnych słów” (n° 61 z 30 stycznia 1919), „Otwarcie pierwszej szkoły lotniczej” (n° 63 z 13 lutego 1919), „Orędzie naczelnika Państwa” i „Informacje o polskim Sejmie” (n° 67 z 14 marca 1919), „Konieczność przeniesienia działalności emigracyjnej do kraju: odjazd Armii Polskiej do Ojczyzny” i „Koniec politycznej roli Komitetu Narodowego Polskiego” (n° 71 z 10 kwietnia 1919), „Bezrobocie w Polsce” (n° 72 z 14 maja 1919).

W artykule „Co nam przynosi niepodległa Ojczyzna?” (n° 68 z 21 marca 1919) podkreślano, iż wreszcie Polacy będą mogli decydować o losach swojego kraju. Artykuł ten miał bez wątpienia niebagatelne znaczenie. Rozpowszechniano go wśród Polaków, byłych żołnierzy armii niemieckiej, gdy ciągle jeszcze toczyła się walka nie tylko o granice ale i o „dusze” mieszkańców pogranicza, często przecież po tylu latach życia spędzonych w Niemczech – dwujęzycznych i dwukulturowych.

Redakcja *Jeńca Polaka* starała się w miarę możliwości wziąć czynny udział w dyskusji o programie dla przyszłej Polski. Wiele uwagi poświęcano sprawom gospodarczym: „Czy może się rozwinąć Polski Przemysł na Górnym Śląsku?” (n° 18 z 31 stycznia 1918), „Przemysł naftowy w Galicji” (n° 35 z 30 maja 1918 roku), „Bałkany jako rynek zbytu dla polskiego przemysłu” (n° 38 z 20 czerwca 1918), „Kasy oszczędnościowe” (n° 43 z 25 lipca 1918), „Przemysł żelazny w Królestwie Polskim” (n° 44 z 1 sierpnia 1918), „Rozwój przemysłu Galicji” (n° 50 z 26 września 1918), „Sprawa rolna w Polsce” (n° 52 z 26 września 1918). Dyskutowano także pożądaną kierunek ewolucji nowo powstałych polskich instytucji: „O powszechne nauczanie w Polsce” (n° 50 z 26 września 1918), „Zadania sejmu konstytucyjnego” i „O szkołę świecką” (n° 74 z 3 czerwca 1919).

W lecie 1919 roku nastąpił w końcu dawno oczekiwany powrót do Polski. Ustalono, że w Poznaniu zwoływane będą zjazdy byłych jeńców wojennych z Francji. Działalność *Jeńca Wojennego* zyskała uznanie zarówno działaczy emigracyjnych jak i władz Rzeczypospolitej. Wysoki poziom tygodnika tworzonego przecież w warunkach karceralnych stanowi bez wątpienia rzadkość w historii prasy (nie tylko polskiej). Dzisiaj jednak jest to pismo niestety prawie całkowicie zapomniane i stosunkowo trudne do odnalezienia. Spośród francuskich bibliotek (wg systemu informacji Myriade) jedynie Biblioteka Narodowa posiada, niepełną zresztą, kolekcję numerów *Jeńca Polaka*.

Piotr DASZKIEWICZ

JESZCZE RAZ OŚWIĘCIM

W ciągu powojennych lat wydano sporo interesujących pozycji o obozie w Oświęcimiu. Nie sposób wszystkich przytoczyć, ale wydaje mi się, że warto wspomnieć o pracach Józefa Bogusza, Stanisława Kłodzińskiego, Antoniego Kępińskiego, Jana Masłowskiego (twórcy i wieloletni redaktorzy *Przeglądu Lekarskiego Oświęcim*), Danuty Czech i Aleksandra Lasika. W literaturze krajowej ważną rolę odgrywa pięciotomowa monografia, „Auschwitz 1940-1945. Węzłowe zagadnienia z dziejów obozu” pod red. Wacława Długoborskiego i Franciszka Pipera (Oświęcim-Brzezinka 1995). W literaturze zagranicznej na uznanie zasługuje dzieło Martina Broszata „Zur Erklärung des n/s Massenmordes an den Juden” (w:) „Nach Hitler. Der schwierige Umgang mit unserer Geschichte” (Muenchen 1989); Christophera Browninga „Le décision concernant la solution finale” (w:) „L’Allemagne nazie et la génocide Juif (Paris 1985), czy też Wolfganga Schefflera, „Judenverfolgung im Dritten Reich 1933 bis 1945” (Frankfurt am Main-Wien-Zurich 1961). Nie należy zapominać o twórczości pisarzy żydowskich, mam tu na myśli Raula Hilberga, Martina Gilberta i Israela Gutmana.

Drugie wydanie książki Jerzego Bieleckiego, „Kto ratuje jedno życie” zostało uzupełnione rozdziałem XXVIII, napisanym przez autora w styczniu 1999 roku i opracowaniem Bogdana Wasztyła pt. „Wierzyłem, że żyjesz”. Nowością jest również słownik obozowy, wykaz stopni służbowych SS i rozbudowana część dokumentacyjna zawierająca kilka nieznanych dotąd fotografii.

Wspomnienia Bieleckiego można podzielić na dwie części. Przyczyny deportacji autora do Auschwitz i jego losy obozowe znajdziemy w rozdziałach I-XXI. Wspólna ucieczka z Żydówką Cylą Cybulską i lata powojenne aż do dnia dzisiejszego zdominowały część drugą.

Sposób przedstawiania codziennego życia obozowego od początku budzi moje uznanie ze względu na niezwykle trafne oddanie jego „szarości” pełnej udręki i cierpienia. Unikając jednoznacznej „czerni” i „bieli” Jerzy Bielecki ustrzegł się nadmiernego subiektywizmu zniekształcającego rzeczywistość.

Ukazując własne losy, Jerzy Bielecki stworzył bardzo interesujące psychologiczne studium więziennych zachowań. Przedstawił nam obraz ludzkiej natury pełen wstrząsów emocjonalnych i kontrastów. Autor w swych wspomnieniach zachował pełny obiektywizm, wyzbywając się nienawiści. Śmiało poruszył temat ludzkich odruchów u więźniów funkcyjnych (kapo); przykładem może być Eddie z rozdziału XI i Aleksander z rozdziału XIV. Z pewnością ze zdziwieniem większość Czytelników przyjmie fakt, że postacią pozytywną w książce Bieleckiego jest esesman *unterscharführer* Paul Mässner, którego Autor porównał do ojca (?), oczywiście nie bez powodu, bowiem dzięki niemu doszło do upragnionego spotkania z matką. Z niemieckim „humanitaryzmem” (esesmani rzadko robili coś bezinteresownie) spotkamy się w recenzowanej pracy jeszcze wielokrotnie, co bynajmniej nie zmienia negatywnego wizerunku całej formacji SS. Autor dostrzega człowieczeństwo wśród szarych więźniów, funkcyjnych i esesmanów. Nie ma złych Niemców, dobrych Polaków czy Żydów, są ludzie i mordercy. Opisy tych ostatnich są aż nazbyt wyraziste. Bielecki nie zostawia Czytelnikowi wątpliwości kim, a raczej czym, byli Palitzsch, Mayer, Grabner i inni zbrodniarze. Nie rezygnując z opisu przerażających i wyrafinowanych sposobów uśmiercania ludzi, Autor przedstawia swoją „drogę do wolności”. Śledząc losy bohatera poznajemy więzienną hierarchię i zaczynamy zdawać sobie sprawę, że bez ewolucji postawy wobec nadzorców i pracy, czy też awansu obozowego, szanse na przeżycie praktycznie spadały do zera. Osobny temat to handel wymienny, jego wpływ na zmianę stosunków esesman-więzień jest bardzo widoczny w rozdziałach XVI, XVIII i XX.

Pewnym uproszczeniem w obiegowym mniemaniu jest tłumaczenie przyczyn wszystkich konfliktów obozowych różnicami narodowościowymi i kulturowymi. Akty agresji, niechęć czy wrogość wobec innych, zdarzały się również

wewnątrz grup narodowościowych, ponieważ do czynników stymulujących zachowanie więźniów zaliczyć można konflikty pokoleniowe, zróżnicowanie warunków egzystencji, a także interes grupowy wynikający z działalności wielonarodowościowych komand roboczych. Głoszenie teorii o „zakorzenionym” polskim antysemityzmie nikomu dzisiaj już nie służy. Przytaczając przykłady negatywnych postaw Polaków wobec Żydów nie należy zapominać o takich ludziach jak Jerzy Bielecki i jemu podobni, bo ich bohaterstwo jest niekwestionowane. Cyla Cybulska ukrywała się u rodziny polskiej (Czerników) w okolicach Raławic, zaś Bielecki za pomoc udzielaną Żydom w 1985 r. został odznaczony przez Instytut Pamięci Yad Vashem medalem „Sprawiedliwy wśród Narodów Świata”.

Ostatnie rozdziały książki opisują ucieczkę dwóch młodych ludzi, Jerzego Bieleckiego i jego ukochanej, ale tak naprawdę opowiadają o wielkiej miłości: o walce z przeciwnościami losu i dramatycznym rozstaniu.

W większości książek o tematyce obozowej dominują sceny grozy i cierpienia. Czytelnik po kilkudziesięciu stronach przestaje reagować emocjonalnie na opisy skrajnego okrucieństwa. Bielecki w swych wspomnieniach umiejętnie zestawia ze sobą określone wydarzenia, przez co nie naraża czytającego na znużenie. Nietrudno jednak zauważyć, że Autor w miarę upływu czasu poświęca coraz więcej miejsca własnej egzystencji w KL Auschwitz. Osoby nie znające tematyki oświęcimskiej mogą niekiedy odnieść błędne wrażenie sielankowego życia głównego bohatera, co rozmija się z prawdą. W recenzowanej pracy daje się odczuć niedostatek opisu wydarzeń istotnych dla całego obozu.

Wydawcą książki „Kto ratuje jedno życie” jest Chrześcijańskie Stowarzyszenie Rodzin Oświęcimskich. Redakcja z pewnością zasługuje na pochwałę za przejrzystość tekstu i przypisy pod nim, co zdecydowanie ułatwia korzystanie ze wspomnień. Pewnym utudnieniem dla Czytelnika są zdjęcia na końcu książki. Okładka ma ciekawą grafikę, ale nie posiada elementu, który by zwrócił uwagę klienta księgarni na tę interesującą pozycję. Myślę, że kilka zdań na okładce książki, może jakieś zdjęcie, rozwiązałoby problem. Sam tytuł

wspomnień jest mało wymowny dla przeciętnego Czytelnika, mnie osobiście kojarzy się z szerzej znaną historią losów księdza Kolbego, który oddał życie za współwięźnia właśnie w KL Auschwitz. Aspekty komercyjne są dzisiaj niezwykle ważne, biorąc po uwagę „niechęć do czytania” naszego społeczeństwa.

Krytyczne uwagi nie zmieniają mojego pozytywnego nastawienia do recenzowanej pracy. Wspomnienia Bieleckiego czyta się jak powieść, jednym tchem. Polecam je czytelnikom o silnych nerwach ponieważ trzymają w napięciu do samego końca. Książka „Kto ratuje jedno życie...” jest nie tylko cennym dokumentem historycznym lecz również interesującą pozycją o dużej wartości literackiej.

Piotr OWCARZ

Drugie wydanie (poprawione i uzupełnione) wspomnień obozowych Je-rzego Bieleckiego pt. „Kto ratuje jedno życie...”, Oświęcim 1999, s. 381.

Mieczysław BORNET

PIERWSI ŻOŁNIERZE POLSCY W RZYMIE W 1944 ROKU

Po bitwie pod Monte Cassino 2 Korpus przeszedł na dwutygodniowy odpoczynek i większość z nas dostała przepustkę na cztery dni, głównie do Neapolu. Byłem wtedy podporucznikiem łączności i zastępcą dowódcy drugiego plutonu radio w 11 Batalionie Łączności, który obsługiwał dowództwo Korpusu. Przysługiwał mi łażik, więc dobrałem sobie dwóch młodych chłopców, nie oficerów, i pojechalśmy na wycieczkę. Jednym z moich towarzyszy był plutonowy

podchorąży Genek Kuroczko, obecnie (koniec 1998 roku) inżynier mechanik na emeryturze, zamieszkały w Kalifornii. Odnalazłem go dosyć przypadkowo i wspólnie wspominaliśmy ten przyjemny urlop. Drugim towarzyszem był starszy szeregowiec Władek Czartoryski, z którym ani Genek ani ja nie mamy teraz kontaktu. (Ja sam jestem też inżynierem na emeryturze, podobnie jak Genek, a mieszkam w Toronto).

Ponieważ obsługiwaliśmy Dowództwo Korpusu, więc byliśmy dosyć daleko od pola bitwy i tylko słyszeliśmy burzę artylerii, no i naturalnie jako łącznościowcy wiedzieliśmy, co się dzieje. Postanowiliśmy więc, przed pojechaniem do Neapolu, dokąd mieliśmy Rozkaz Wyjazdu (*movement order*), pojechać na pobojuwisko bitwy i ewentualnie do klasztoru Monte Cassino. Było to dwa tygodnie po zdobyciu klasztoru ale pobojuwisko jeszcze cuchło, jak to zwykle po bitwie, no a klasztor był w ruinie. Wisiała polska flaga a ruin pilnował mały oddział polskiej żandarmerii. Na dnie ruin było pełno książek z klasztornej biblioteki i wzięliśmy sobie parę. Książki zginęły w ciągu przyszłych lat ale mam jeszcze mały święty obrazek, na którym napisałem, że był znaleziony w ruinach klasztoru Monte Cassino na początku czerwca 1944.

Około południa zjechaliśmy z Monte Cassino i pojechaliśmy jeszcze kawałek na północ do Piedimonte, gdzie też walczyły nasze oddziały. Nic tam nie było ciekawego, ale dojechaliśmy do wojskowej stacji benzynowej z wielkim napisem NEXT PETROL STATION ROME. Niby bez benzyny jechać nie można, więc zwróciłem się do moich chłopców: „No cóż, jedziemy do Rzymu?”. Odpowiedź była natychmiastowa: „Tak jest, panie poruczniku!” A więc zamiast na południe do Neapolu, pojechaliśmy na północ.

Szosa sły oddziały brytyjskiej 8 Armii, której część stanowił 2 Korpus. Mundury i sprzęt mieliśmy brytyjskie, więc nie odróżnialiśmy się od reszty kolumny i nikt na nas nie zwracał uwagi. Pod wieczór szosa się opróżniła i na prawo był wielki napis ROME OUT OF BOUNDS, czyli wstęp dla żołnierzy zakazany. Obok napisu był posterunek brytyjskiej żandarmerii. Niedobrze. Ale głupi a młodzi mają szczęście, bo jechał właśnie szosą brytyjski *staff car* czyli samochód osobowy dla wyższych oficerów. Niewiele myśląc

pojechałem zaraz za nim. Żandarmi widocznie uznali, że towarzyszymy tym oficerom oficjalnie, pięknie zaszalutowali i nie zatrzymali nas. Byliśmy w Rzymie.

Oddziały brytyjskie nie zatrzymywały się w Rzymie a szły dalej na północ na front. Znowu była kolumna wojska i jechaliśmy wielką ulicą po przedmieściach Rzymu, niby objeżdżając miasto. Na ulicy były napisy po włosku wzywające ludność do witania wojska (LIBERATORI!). Było sporo Włochów na chodnikach, choć nie za wiele. Moi chłopcy doskonale wyczuli sytuację, stanęli w łażyku i zaczęli rozrzucać trochę czekolady i konserw. Dużo tego nie mieliśmy ze sobą ale na trochę wystarczyło. Odgrywaliśmy zwycięzców – wtedy jeszcze myśleliśmy, że jesteśmy zwycięzcami – zabawa była wspaniała.

Po jakimś czasie zorientowałem się, że trzeba odłączyć się od kolumny brytyjskiego wojska, bo byśmy z Rzymu wyjechali. Więc skręciliśmy w bok i trafiliśmy na piękny stadion z posągami, bodaj Stado Mussolini. Stacjonował tam mały oddział amerykański, jakaś służba, nie pamiętam jaka. Przedstawiliśmy się jako Polacy z 2 Korpusu, nic im to nie mówiło, ale przyjęli nas gościnnie o nic nie pytając. Rozstawiliśmy nasz namiocik na noc, moi chłopcy jedli z szeregowymi a mnie zaprosili amerykańscy oficerowie do ich bardzo skromnego kasyna. Rozmów w kasynie zupełnie nie pamiętam, wiem tylko, że jedzenie było sobie dziwne. Genek za to wspomina, że paru Amerykanów przyszło do nas jako że są pochodzenia polskiego. Chwalili się też swoimi kilkoma polskimi słowami.

Zbliżał się wieczór, ale pojechaliśmy jeszcze do śródmieścia, żeby oglądać miasto. Miasta nie znaliśmy, planu miasta nie mieliśmy, jakeśmy tam jeździli i jak trafiliśmy z powrotem, już po ciemku, do naszego stadionu, zupełnie nie wiem. Rzym nie był bombardowany, ale natrafiliśmy na jeden z nielicznych lejów po bombie w środku ulicy i na dole w dziurze wojskowy łażyk. Trochę nas to przeraziło, no ale nam wypadek się nie zdarzył.

Na drugi dzień pojechaliśmy zwiedzać Rzym. Przydały się moje nawyki turystyczne – przed samą wojną kręciłem się coś niecoś po Europie i na szczęście znałem parę języków – więc zwiedzaliśmy co się dało. Nigdy ale to nigdy nie zapomnę

wrażenia, jakie na mnie zrobił wtedy nastrój Rzymu. Było to w pięć dni po wkroczeniu aliantów, czyli po pozbyciu się Niemców. Miasto dyszało radością, ludzie byli podekscytowani i, powiedzmy, szczęśliwi. Byłem potem w Rzymie kilkakrotnie, no cóż, wielkie piękne miasto, ale tej atmosfery radości już nigdy nie wyczułem ani w Rzymie, ani nigdzie indziej.

Pojechaliśmy naturalnie na plac św. Piotra. Plac był przedzielony płotem, który zamykał jakie 3/4 placu. Wy tłumaczono nam, że płot był po to, żeby Niemcy nie mogli wchodzić na teren Watykanu. Płot został usunięty niedługo po naszym pobycie, ale narazie była otwarta wielka furta, tak że przechodziliśmy bez problemu. Zwiedziliśmy bazylikę św. Piotra i uciałem sobie rozmówkę ze Szwajcarem, członkiem gwardii papieskiej w pięknym kolorowym mundurze. Młody człowiek powiedział mi, że papież miał rano pierwszą audiencję dla wojska alianckiego i że taka audiencja będzie znowu na drugi dzień. Trzeba tylko przyjść o 10 rano. Nie trzeba nam tego było dwa razy powtarzać.

W czasie popołudnia zatrzymaliśmy się na jednej z głównych ulic Rzymu (chyba via del Corso). Nagle podbiegło do nas dwóch młodych ludzi z okrzykiem „ach, Polacy”. Chłopcy ci kręcili się po niemieckiej Europie aż zajechali do Rzymu i doczekali się wkroczenia aliantów. Pierwsi żołnierze polscy to było dla nich wielkie przeżycie i pięknie się nami zaopiekowali. Przede wszystkim znaleźli nam sklep, gdzie kupiliśmy plan miasta. Pogadaliśmy przyjemnie i umówiliśmy się na drugi dzień.

Więc o 10 rano byliśmy na placu św. Piotra. Z prawej strony bazyliki była otwarta brama a za nią schody prowadzące na górne piętro. Schodami walił tłum żołnierzy, częściowo Amerykanów, częściowo Francuzów, którzy byli przydzieleni do armii amerykańskiej, tak jak my do brytyjskiej. Na górze schodów stało dwóch księży, którzy rozdawali kieszonkowy różaniec poświęcony przez papieża (niestety zginął mi w ciągu lat) a także kierowali Amerykanów do jednej sali a Francuzów do innej. My najwyraźniej nie pasowaliśmy (inne mundury), więc ksiądz zapytał, dokąd chcemy pójść. Wybraliśmy Francuzów, że to katolicy. Ksiądz specjalnie się

nami zajął i postawił na najlepszym miejscu. Sala była wąska i długa, może 5 m na 20 m. Wzdłuż długiej ściany było odgrodzone metrowe przejście dla papieża, gdzie w środku było zagięcie. Tam ksiądz nas umieścił, tak że widzieliśmy dokładnie, jak papież dochodził i przechodził koło nas.

Po chwili rozległy się oklaski, to papież przyszedł do Amerykanów. Byliśmy trochę zaszokowani tym brakiem uroczystego szacunku – nie znaliśmy wtedy zwyczajów amerykańskich. Po paru minutach papież przyszedł do naszej sali, gdzie powitaliśmy go pełnym szacunku milczeniem. Papież zatrzymał się na początku sali i może powiedział parę słów, nie pamiętam. A potem przeszedł tym niby korytarzykiem. Koło nas zatrzymał się na chwilę i mnie dotknął. Zastanawiałem się, czy przedstawić się papieżowi jako żołnierze polscy spod Monte Cassino, ale byłem młody i nieśmiały i zabrakło mi odwagi. Może i dobrze się stało, bo papież mógł wspomnieć o nas gen. Andersowi, który przyjechał na prywatną audiencję parę dni później, i mogła być awantura. Ojciec Święty (Pius XII) był szczupły, jakby wymizerowany i nie robił postawą wielkiego wrażenia. Ale zawsze papież! A więc byliśmy pierwszymi polskimi żołnierzami w Rzymie i pierwszymi u papieża.

Po południu spotkaliśmy się znowu z naszymi rzymskimi Polakami. Żeby nam dogodzić, wzięli moich chłopców na dziewczynki. Po paru godzinach chłopcy wrócili rozanieleni, że to Polka a nie Włoszka. Przy sposobności Władek Czartoryski starał się odnaleźć swoją rodzinę w Rzymie ale nie było na to dosyć czasu. Mnie nasi rzymscy przyjaciele jakoś nie zaprosili, więc pojechałem najpierw zwiedzać Panteon a potem do parku Villa Borghese, bo podobała mi się nazwa. Park jak park, pełno było jak w całym Rzymie tego dnia żołnierzy amerykańskich na przepustce. Jeden z żołnierzy machnął na mnie, żeby go podwieźć. Wziąłem chłopca naturalnie i próbowałem z nim rozmawiać, ale bezskutecznie, był zupełnie onieśmielony i ciągle mi mówił Sir. Żołnierzy amerykańskich nie znaleźmy, ale to przesadnie grzeczne zachowanie nie pasowało do naszych wyobrażeń. Po chwili żołnierz poprosił, żeby go wysadzić. Trwało kilka tygodni aż się domyśliłem, co było zabawnym powodem tej niezwykłej

nieśmiałości. Jako podporucznik miałem jedną gwiazdkę na ramieniu a w armii amerykańskiej gwiazdki to oznaki generałów. Więc dzielny wojak pewnie wziął mnie za generała. Byłem trochę młody jak na generała, ale w armii amerykańskiej przecież wszystko możliwe...

Spotkałem się znowu z moimi chłopcami i pod wieczór pojechaliśmy do Neapolu, dokąd mieliśmy skierowanie i gdzie byliśmy umówieni z kolegami na drugi dzień. Pojechaliśmy jeszcze do Pompei a wieczorem byliśmy z powrotem w batalionie. Zapowiedziałem chłopcom, żeby się specjalnie naszą nielegalną wyprawą do Rzymu nie przechwalali, ale niewątpliwie po paru dniach cały batalion wiedział o tym, łącznie z dowódcą batalionu, płk. Łysakiem. Pułkownik ani słowa nie powiedział, widać nasza eskapada połechtła jego zmysł humoru. Cześć jego pamięci i niech mu londyńska ziemia lekką będzie.

Podczas naszego pobytu w Rzymie nie natknęliśmy się na żadną polską wojskową „władzę”. Tak przynajmniej myślałem. Otóż teraz (w 1998 roku) powiedział mi Genek, że pod koniec naszego drugiego dnia w Rzymie, kiedy chłopcy byli sami, zaczął ich na ulicy podpułkownik 2 Korpusu: „A wy co tu robicie ?” Pułkownik powiedział im, że przyjechał do Rzymu organizować polską komendę placu i kazał chłopcom prędko wyjechać. Genek przyznał mi się do tego spotkania dopiero teraz, po latach.

I tak minęły te najszcześniejsze, najcudowniejsze trzy dni mojej kampanii włoskiej.

Mieczysław BORNET

PS. Po paru dniach napisałem dokładny i bardzo długi list do mojej ówczesnej narzeczonej, a obecnie żony, która była uczennicą w Szkole Młodszych Ochotniczek w Nazarecie. Jakichś 10 dni później dostałem lakoniczną notatkę od cenzora korespondencji wojskowej: „Na przyszłość proszę się streszczać”. Ubawiło nas to, bo cenzorów nikt nie lubił i nadal pisałem do narzeczonej obszerne listy, zawsze dla uwagi cenzora zaczynając od „Jak wiesz z radia, Korpus zajął...” (Loreto czy Bolonię czy co wypadło).

LISTY DO REDAKCJI

MŁODYM NIE WSZYSTKO WOLNO

(Odpowiedź na artykuł Grzegorza Motyki
z nr 128/1999 *Zeszytów Historycznych*)

Grzegorz Motyka jest początkującym historykiem zatrudnionym w Instytucie Studiów Politycznych PAN. Napisał on artykuł pt. „Ostro tak, ale czy zawsze prawdziwie?“, w którym zaatakował bezpośrednio Włodzimierza Odojewskiego, a pośrednio również mnie. W. Odojewskiego za to, że rzekomo nie rozumie on doktryny Dmytra Doncowa, wskazując przy tym, iż W. Odojewski „swoją wiedzę czerpie z książek Wiktora Poliszczuka, [które] niestety pozostawiają wiele do życzenia”. Otóż twierdzę, że G. Motyka dotknięty jest wadą tupetu – nie czytał on bowiem, nie znając języka ukraińskiego, podstawowej pracy D. Doncowa „Nacjonalizm”, w której sformułował on ideologię integralnego nacjonalizmu ukraińskiego, i w tym stanie zabiera głos, występując przeciwko znanemu polskiemu pisarzowi. Poza tym twierdzę, że Motyka nie zna literatury na temat ideologii faszyzmu i nazizmu, co wynika z jego artykułu, bowiem gdyby znał te rzeczy, to, wzorem W. Odojewskiego, mógłby dokonać porównania tych ideologii i wyciągnąć z niego odpowiednie wnioski. Brak wiedzy w tym zakresie ujawnił się w artykule G. Motyki w całej pełni. Nie wolno młodemu człowiekowi publicznie bezzasadnie podważać opinii człowieka doświadczonego, znającego, niewątpliwie więcej, niż G. Motyka.

G. Motyka twierdzi, że moje prace noszą charakter „publicystyki politycznej”. Takie twierdzenie można rozumieć, będąc pewnym, że tenże Motyka, choć ze stopniem doktora nauk humanistycznych, nie potrafił przetrwać tego, co napisałem w dysertacji doktorskiej, są to, jak się okazuje, za wysokie progi jak na niego. Mój sarkazm jest usprawiedliwiony tym, że atakuje mnie młody człowiek, nie mający do tego podstaw, a robi to na łamach poczytnego czasopisma. Jako doktor z zakresu nauk histo-

rycznych, zamiast publikować gołosłowne inwektywy, Motyka winien wziąć do ręki moje prace i, wskazując na ich tytuły oraz na strony, zarzucić mi nieznamość faktów, błędną ich interpretację, bądź pozbawione podstaw wnioski. Tego ani Motyka, ani nikt inny dotychczas nie uczynił. Widocznie nie ma argumentów na naukowe podważenie moich prac.

G. Motyka zastanawia się „dlaczego W. Poliszczuk oraz za nim (?) W. Odojewski pomijają całkowitym milczeniem koncepcje polityczne Doncowa dotyczące Polski”. Poza tym Motyka zastanawia się „dlaczego taki faszysta jak Doncow wyjechał do Bukaresztu, a nie do Berlina”, bowiem tenże Doncow, jak wynika z twierdzeń Motyki, „po wrześniu 1939 r., solidaryzując się z pokonaną Rzeczpospolitą, poprosił w Bukareszcie o polski paszport”. Jest to kolejny dowód na to, że Motyka nie zna elementarnych rzeczy, że myśli on jak dziecko: Doncow po 1920 roku nie uprawiał polityki, on tylko wpływał na politykę Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów, a w jakim kierunku – nie będę tutaj udowadniać. Doncow nigdy nie uprawiał propolskiej polityki, on kształtował światopogląd Bandery, Szuchewycza, Stečki i im podobnych. Motyka nie rozumie elementarnej rzeczy: w sierpniu 1939 roku został podpisany pakt Ribbentrop-Mołotow. Doncow znany był Moskwie. Gdyby Doncow udał się po wrześniu 1939 roku do Berlina, to Hitler wydałby go Stalinowi: precedens z Lebiediem był. Doncow wiedział co mu grozi ze strony Moskwy, dlatego zwrócił się o polski paszport. O Doncowie wiedziała nie tylko Moskwa, wiedziały też Stany Zjednoczone i Kanada, najpierw przedostał się on do USA, ale tam nie otrzymał pozwolenia na osiedlenie się, Kanada też odmówiła mu tego prawa, dopiero po wielu staraniach, po uzyskaniu gwarancji od 99-letniego dziś pastora Mychajła Fesenki z Toronto, rząd kanadyjski zgodził się na pobyt Doncowa w Kanadzie.

G. Motyka nie zna, nie rozumie istoty tragicznych wydarzeń na Wołyniu i w Halicji okresu okupacji hitlerowskiej, w swych publikacjach idzie on po linii wytyczonej przez ukraińską nacjonalistyczną historiografię, dla niego autorytetem jest historyk Lew Szankowskyj, który we wrześniu 1939 roku jako członek OUN organizował napady i brał udział w napadach na cofające się w kierunku rumuńskiej granicy oddziały Wojska Polskiego; który od chwili powstania UPA był w jej szeregach, był przy tym nie szeregowym jej wojakiem. To na Ł. Szankowskiego powołuje się G. Motyka, twierdząc, że bestialskiego mordu na ludności czeskiej wsi Malin dokonała polska policja wspólnie z Niemcami. Jest to jedno z wielu kłamstw powielanych od 1946 roku, od czasu ukazania się książki M. Lebiedia „UPA”. G. Motyka zamiast usiłować ustalić prawdę historyczną, a do tego możliwości istnieją,

kładzie w ślad za ukraińskimi nacjonalistycznymi historykami i działaczami OUN. Tego Motyce też nie wolno robić, tym bardziej, że idzie on nawet dalej, niż ukraińscy nacjonalistyczni historycy, którzy mówią o tym, że Czechów w Malinie wymordowali Niemcy wraz z polską policją, natomiast Motyka zmienia akcenty, mówi, że to polska policja wspólnie z Niemcami dokonała okrutnego mordu. Niech G. Motyka przyjmie do wiadomości: przeprowadziłem badania w zakresie faktu wymordowania ludności czeskiej we wsi Malin Czeski w powiecie dubieńskim i w ich wyniku stwierdzam: kłamstwem jest twierdzenie, że polska policja brała udział w tym mordzie! Dowody na moje twierdzenie przedstawiłem w artykule „Rzecz o tupecie i nie tylko”, którego Redaktor J. Giedroyc, jak wyjaśnił, nie może opublikować z braku miejsca w *Zeszytach Historycznych*, dlatego też podejmę próbę opublikowania go w innym miejscu. W tytule artykułu G. Motyki jest mowa o prawdzie. Niech czytelnik porówna ile prawdy jest w twierdzeniach Motyki, chociażby tylko na przykładzie mordu w Malinie Czeskim. Jeżeli Motyka nadal będzie ograniczał źródła swej wiedzy do ukraińskiej nacjonalistycznej historiografii, to jego twierdzenia prawie nigdy nie będą prawdziwe. Proponuję Motyce przeczytanie mojej niewielkiej pracy „Falszowanie historii najnowszej Ukrainy”, dowie się on z niej, że ukraińscy nacjonalistyczni historycy nie tylko absolutnie tendencyjnie interpretują fakty, ale też bez badania powtarzają kłamstwa, a co gorzej – dopuszczają się fałszowania dokumentów programowych OUN.

Z przykrością muszę podkreślić, że G. Motyka nie jest zdolny pojąć różnicy między planowym, doktrynalnym, organizowanym, nakazanym przez organizację, która nie miała mandatu do działania, mordowaniem w okrutny sposób bezbronnej ludności, a zabronionym przez legalną organizację zabijaniem w afekcie, w zaślepieniu, z zemsty za utratę osób najbliższych. Usiłuje on, idąc torem wytyczonym przez nacjonalistów ukraińskich, zrównoważyć „zabijanie” z „zabijaniem”. Motyka nie jest zdolny pojąć, że po 1944 roku istniało, chociaż komunistyczne, chociaż podległe Moskwie, a jednak państwo polskie, od którego OUN-UPA usiłowała oderwać jego południowo-wschodnie terytoria. Motyka, jak widać, nigdy też nie zrozumie, że celem moich badań i publikacji jest oczyszczenie narodu ukraińskiego od niezasłużonego stereotypu „rizuna”, że moim celem jest zapobieżenie konfliktowi polsko-ukraińskiemu, a więc zachowanie pokoju, pojednanie polsko-ukraińskie na prawdzie, a nie na zakłamaniu, w którym udział bierze Grzegorz Motyka. Nie jest bowiem prawdą, że struktury OUN-UPA stanowiły ukraińskie formacje narodowo-wyzwoleńcze, władze Ukrainy nie uznały ich za takie.

Dowody na powyższe twierdzenia przedstawię w przygotowywanym do druku II tomie pracy „Integralny nacjonalizm ukraiński jako odmiana faszyzmu – działalność ukraińskich struktur nacjonalistycznych w latach 1920-1999”.

Nie wszystko można młodemu człowiekowi, natomiast trzeba mu uczyć się samodzielności w pracach badawczych. I nie trzeba ulegać wpływowi politycznym. Wówczas można nawet zrozumieć przyczyny operacji „Wisła” i wiele innych zaszłości. Historia bowiem lubi obiektywność jej tłumaczenia.

Wiktor POLISZCZUK



Mr. T.W. Trejdosiwicz,
4, Sandhill Drive
Alwoodley
LEEDS LS17 8DX.
Tel: (0113) 225 0563

25 sierpień 1999

M. Jerzy GIEDROYC
Institut Litteraire
91, Avenue de Poissy
Le Mesnil-le-Roi
78600 Maisons-Laffitte
France

Wielce Szanowny Panie Redaktorze!

Wobec ataków na Zdzisława Starosteckiego zamieszczonych w *Zeszytach Historycznych*, uważam za swój obowiązek, stanąć w jego obronie.

W czasie akcji 3-go plutonu, 3-go szwadronu 4-go pułku pancernego „Skorpion” na Widmo w bitwie Monte Cassino, byłem zastępcą dowódcy szwadronu i jako prawnik z zawodu zostałem włączony do sprawy Kochanowskiego.

Niniejszym potwierdzam relacje Zdzisława Starosteckiego odnośnie natarcia na Widmo, zamieszczone w jego wywiadzie opublikowanym w *Zeszytach Historycznych* nr 117, w 1996-tym roku.

Pomimo, że w wywiadzie jestem wspomniany, nie byłem w tej sprawie indagowany przez Koło Pułkowe.

Pozostaję z poważaniem

Tadeusz TREJDOSIEWICZ

SPIS TREŚCI

Andrzej Nowak: <i>Polityka „rosyjska” obozu Piłsudskiego w latach 1914-1918</i>	3
Grzegorz Mazur: <i>Polityka sowiecka na „Zachodniej Ukrainie” 1939-1941 (zarys problematyki)</i> . . .	68
Jerzy Witold Solecki: <i>Unia, własność, sprawiedliwość</i>	96

DOKUMENTY

Tomasz Mianowicz: <i>Mniejsze zło. Taktyka PZPR w 1989 r.</i>	115
---	-----

WSPOMNIENIA

Anna Rudzińska: <i>Mój KOR. Czerwiec 1976 – styczeń 1980</i>	127
Maciej Bernhardt: <i>Byłem przymusowym ochotnikiem</i>	153

KSIĄŻKI

Tadeusz Wyrwa: <i>Monografia o Pawle Edmundzie Strzeleckim</i>	184
Jerzy R. Krzyżanowski: <i>Powieść o Krystynie Skarbek</i>	188
Krzysztof Czyżewski: <i>Studium zniewolenia</i>	194
<i>Książki nadesłane</i>	199

OKRUCHY HISTORII

Lesław Gruszczyński: <i>Zjazd historyków we Wrocławiu</i>	202
Janusz Cisek: <i>Amerykański Legion dla Polski?</i>	209
Piotr Daszkiewicz: „ <i>Jeniec Polak</i> ” w osiemdziesiątą <i>rocznicę zakończenia działalności</i>	217
Piotr Owczar: <i>Jeszcze raz Oświęcim</i>	225
Mieczysław Bornet: <i>Pierwsi żołnierze polscy w Rzymie</i> <i>w 1944 roku</i>	228

LISTY DO REDAKCJI

Wiktor Poliszczuk: <i>Młodym nie wszystko wolno (Odpowiedź na artykuł Grzegorza Motyki z nr 128/1999 Zeszytów Historycznych)</i>	234
Tadeusz Trejdosiewicz: <i>Na marginesie polemiki wywołanej wywiadem ze Zdzisławem Starosteckim (Zeszyty Historyczne, nr 117/1996)</i>	237

ACHEVÉ D'IMPRIMER
LE 3 décembre 1999
SUR LES PRESSES
DE
L'IMPRIMERIE NOUVELLE
16-24, RUE SOUBISE,
93400 SAINT-OUEN
Dépôt légal : 4^e trim. 1999
N° d'imprimeur : 4741



Towarzystwo Opieki nad Archiwum
Instytutu Literackiego w Paryżu